

# Enklawa

Marcin Wolski



calibre 0.9.27

**MARCIN WOLSKI**

**ENKLAWA**

**WOLSKI W SHORTACH (2)**

**ENKLAWA**

*W swojej radiowej wersji, jako serial słuchowiskowy do „60 minut na godzinę” „Enklawa” powstała w roku 1977. Wkrótce potem dokonałem jej adaptacji na wersję drukowaną.*

*Sięgając*

*po nią w ćwierć wieku później początkowo zamierzałem napisać rzecz na nowo. Tyle się zmieniło... Radiowe mikrosluchowisko pisał trzydziestolatek, który nigdy nie był na Zachodzie.*

*I co więcej, nie miał pewności, że kiedykolwiek tam się znajdzie.*

*Jednak po namyśle zrezygnowałem z większych zmian, poza drobnymi korektami stylistycznymi. Uznałem, że pisanie o świecie, o którym nie ma się pojęcia, kryło w sobie pewien wdzięk. Pozostawiłem zarazem to, co mogło wydawać się najbardziej kontrowersyjne.*

*Owo opisywanie Zachodu („Enklawa” w zamyśle nie dzieje się w żadnym konkretnym państwie) jako swoistej karykatury socjalistycznego PRL-u. Zresztą, po latach naszych doświadczeń z „pokojowym budownictwem kapitalizmu”, a zarazem obserwując proces „socjalizacji” tamtego świata zauważam, że wiele żartów zyskało wymiar aktualny, czasem proroczy. Można powiedzieć, że przez ćwierć wieku wszystko się zmieniło i nic się nie zmieniło.*

*Może tylko każdy człowiek jest coraz bardziej samotną enklawą. I nadal warto czytać „Apokalipsę św. Jana”.*

**1. AUTOR**

Nadejdzie dzień, w którym człowiek na widok odcisku stopy bliźniego na piasku przypadnie do ziemi ślad ten ucałować. A zwierz dziki załęgnie się w opustoszałych domostwach, gdzie wilcy wyc będą swoje pieśni, a mech porośnie pamięć i tylko duch wszechmocny unosić się będzie ponad pustkowiami... — zabrzmiało złowieszczo z ulicy.

— Zamknij okno i skończ się ubierać! — powiedział Walter, wychodząc z toalety.

Zuzanna wykonała polecenie posłusznie, świadoma faktu, że minęła już 11.28 i do końca spotkania nie zostało więcej niż trzy minuty. Przez jej dziecinną twarz o wielkich czarnych oczach nie przemknął najmniejszy cień zdziwienia. Znała Waltera przeszło trzy miesiące i mimo swoich szesnastu lat zdawała sobie sprawę, jakiego rodzaju był to człowiek. Kiedy przy pomocy staroświeckiej dźwigni zatrzaskiwała wywietrznik hotelowego okna, jej partner skończył już pobieżną toaletę.

— Zobaczmy się... — błyskawicznie przejrzał swój elektroniczny notatnik — ...w piątek o 16.24 w Hadze.

— Hotel „Hilton”?

— Nie. „Krasnopolsky”!

Skinęła głową jak dobrze wytresowana sekretarka, a potem, gdy Walter już wyszedł, otworzyła okno i zaciągnęła się papierosem.

— A z czterech stron wystąpią żywioly, zaś konie apokalipsy wypełnią świat swym tętentem, a uszy trwogą... I będzie dzień wtóry, wieczór i zaranek... — grzmiał dalej prorok przez ręczny megafon.

Na skwerku wokół fontanny słuchaczy miał niewielu. Z biedą do audytorium zaliczyć można było ziewającego policjanta o twarzy znudzonego alfonsa, kobietę z wózkiem dziecięcym i sprzedawcę uwijającego się przy straganie ze świeżymi owocami. W dalszej perspektywie można było natomiast zaobserwować parę migdalącą się na szerokim obramowaniu fontanny i kioskarza w białego w swoją budkę jak parówka w hot-doga. Atoli katastrofista wyraźnie nie dbał o publiczność i wyrzucał z siebie wariacje na motywach *Apokalipsy św. Jana* w dość dowolnej interpretacji. Prorok nosił się niedbale. Obszarpane dzinsy kontrolował żółtawy brudny zakiet, a głowa z wygolonym krzyżem kontrastowała z rzadką beżową bródką a la Ho Szi Min.

Powieki, na których jakiś biegły spec z Chińskiej Dzielnicy wytatuował znak ryby, miał półprzymknięte, a całość postaci wyglądała jak darmowy souvenir Rady Miejskiej dla przypadkowych turystów, którzy zapuściliby się na ten staroświecki skwerek przydeptyany kancią bryłą hotelu.

— I nadejdzie to w dniu, w którym nikt się nie będzie spodziewał. A nie z ziemi i nie z nieba spłynie królestwo śmierci.

Zuzanna uśmiechnęła się. Kiedy miała czternaście lat, fascynowały ją podobne gadki.

Odmienne zareagował jej sąsiad z pokoju obok, łysawy emeryt o wyglądzie Winstona Churchilla. Przez poprzedni kwadrans zajmował się podsłuchiowaniem erotycznych osiągnięć tandemu Walter — Zuzia; teraz z niesmakiem splunął przez okno:

— Wizjonerzy, psiakrew... Jakby za mało było im codzienności!

Niechętnie sięgnął po gazetę, w której wiadomość o porwaniu tramwaju przez terrorystów w Belfaście sąsiadowała z wieścią o zbiorowym amoku narkomanów w wesołym miasteczku i wojną między dwoma bananowymi republikami wywołaną kontrowersyjnym werdyktem sędziego podczas rozgrywek futbolu... A cena złota znów szła w górę.

— I kto wówczas da świadectwo prawdzie? Kto się ostatecznie? — głos mówcy załamał się nagłym skowytym. — Kto?

— Ale musiał się naćpać prochów — pomyślała Zuzanna i postanowiła zadbać o siebie.

Jej źrenice rozszerzyły się jeszcze bardziej. Z kosmetyczki wyciągnęła jednorazową strzykawkę. Była godzina 11.31.

## 2. WALTER

Lubię podróżować nocą. To mnie odpręża. Jeśli człowiek kiedykolwiek bywa wolny, to jestem nim ja, właśnie teraz, w mojej maszynie. Minęła 1.22. A ja mogę zupełnie dokładnie powiedzieć, co się dzieje ze wszystkimi moimi ludźmi. Tam, na ziemi i tu, na pokładzie: George siedzi przy sterach, dobry stary George, precyzyjny jak szwajcarski zegarek. Mimo autopilota śledzi uważnie wszystkie światelka wskaźników. Drugi pilot mego gulfstreama, Michael —

drzemie. W kabinie obok Luke przygotowuje zestawienia na jutrzejszą konferencję. Anna parzy herbatę. Dwaj ochroniarze, pieszczotliwie nazywam ich „orangutankami” (jak na „goryli” są zbyt szczupli i rudzi), relaksują się grą w szachy, a my suniemy wzdłuż wybrzeża, by za pięć minut zmienić kurs na północno-zachodni. I wszystko jest w porządku. Odprężony włączam

„Błękitną Rapsodię” Gershwina. Nie wiem dlaczego, ale lubię te starocie. Co śmieszniejsze, zawsze zadaję sobie podobne pytanie dopiero w chwili włączenia muzyki. Zuzia była dziś pyszna. To zabawne, że mogąc mieć tyle dziewcząt w najrozmaitszych zakątkach globu, tak często spotykam się właśnie z nią. Fascynacja jej wiekiem? Raczej nie. W Kalifornii zaliczałem

już czternastolatki. Podoba mi się chyba to jej przywiązanie. Jej pełna dyspozycyjność. Jej dziwkarska gotowość do miłosnego aktu w jakiegokolwiek sytuacji — czy będzie to szybkie windy, biurko w sali Rady Nadzorczej czy przypadkowa brama. Za każdym razem jest jej obojętne, że tuż obok moje „orangutanki” grają w karty lub czytają gazety, ona po prostu to lubi. Nie wiem nawet, czy ważne jest dla niej, że i ja to lubię... A czyją lubię? Był czas, kiedy zadawałem sobie podobne pytania. Jeszcze w college’u. Miałem na to czas. Potem zorientowałem się, że filozofowanie i tym podobne rozterki zbyt drogo kosztują. Miewałem je więc coraz rzadziej. Nawiasem mówiąc, jeśli kiedykolwiek jakiś pieprzony Leonardo da Vinci wymyśliłby maszynkę do kochania — to prototypem byłaby Zuzia. Pojutrze spotkamy się w Hadze, za tydzień w Hongkongu czy innym Vegas. Przy moich pieniądzech znajdę ją tam jak każdy towar.

Pieniądze, mój Boże, jak ja mam dużo tych pieniędzy! I mnożą się, mnożą, drukują się realnie i wirtualnie, zalewają świat. Zielone jak zupa szczawiowa, przysmak mojego starego w czasach Wielkiego Kryzysu.

Z tymi pieniędzmi robiłem sporo eksperymentów. Z nudów. Kretyńscy autorzy dydaktycznych historyjek, przy których rzygają nawet zakonnice, lubią gadać, że szmal szczęścia nie daje i nie wszystko można mieć za pieniądze. Bzdura! Wszystko można! I ja to mogę każdemu powiedzieć. Wszystko już kupowałem. Miłość? Miłość kupuje się najłatwiej.

Chociaż nie, ludzką sympatię, szacunek, uwielbienie nabywa się jeszcze prościej...

Cholera, ależ filozofuję! A gdzie mam filozofować, jak nie w swoim samolocie. A przywilej bluzgania też kupiłem, studiując na najelitarniejszych uczelniach. Jeśli ktoś potrafi przemawiać najczystszy Ciceronem, może sobie pozwolić na slang dokera. Jest to nawet w dobrym tonie.

A zresztą, pieprzę dobry ton! Pieprzę wszystko! Wracając do tych transakcji — co jeszcze można kupić? Zdrowie? Można. A życie? Gdybym nie wiedział, że stary Jeff zamraza się w swoim grobowcu za osiemset milionów (wliczając rachunek za światło na najbliższe sto lat), mógłbym nie wierzyć. Podobnie jest z bezpieczeństwem. Ryzyko istnieje tylko tam, gdzie w grę wchodzi nieudolność. Ja nie znam tego uczucia. Wielu nazwałoby moje życie nieustannym igraniem z ryzykiem. Ale jakie to igranie? Safari w Kenii, gdzie ubezpiecza mnie sześciu strzelców wyborowych, surfing na Wielkiej Rafie, gdy w kryształowej toni zatoki przysiadło dwóch pletwonurków ratowników... Interesy, za które niejeden chciałby przetrącić mi kark? To niech spróbuje.

W naszej chrzanionej epoce nagminnie porywa się przemysłowców i premierów, stało się to nawet pewnego rodzaju hobby wynaturzonych ekstremistów. Dojdzie do tego, że zaczniemy grać w jakąś ligę terrorystów. Mnie nie porwą! Moi ludzie są za dobrzy.

Zresztą próbowano. Wszelkie działania są zawsze pojedynkiem inteligencji dwóch stron, obojętne, w polityce czy w seksie, wygrywa sprytniejszy, zwycięża ten, który przewidzi więcej ewentualności, zresztą niekoniecznie przewidzi, może tylko wyczuje, wymaca...

Wiadomo, skąd może przyjść zagrożenie. Rodzina Tanelly’ego? Simone pracuje tam od dwóch lat... Trust TGD? Działają z szybkością ślimaka idącego tyłem.

A zresztą... Istnieje jeszcze asekuracja wyższego rodzaju...

### 3. AUTOR

Główne biura konsorcjum Waltera Swampsona zajmowały kilkanaście pięter Mega-Buildingu, królującego samotnie pośród parku w południowej części metropolii wypełniającej

dno Wielkiej Depresji. Około godziny 2.20 w nocy czuwała w nim Magda, z racji swych wymiarów — metr czterdzieści wzwyż i prawie tyle samo wszerz — nazywana przez przyjaciół

Pulpetem. Była to chyba jedyna kobieta pracująca w centrali, nie posiadająca warunków dziewczyny „Playboya”, trzymana głównie z powodu znakomitej operatywności. Drugi powód był jeszcze ważniejszy — Walter przy Magdzie odpoczywał, a jego niepohamowany popęd płciowy choć na chwilę mógł sobie wziąć wolne. Obok paru interkomów i podręcznego komputera, centralnym przedmiotem na biurku Magdy był terminarz zawierający wszystkie sprawy jej szefa:

17.02 — człowiek od Thompsona — sprawa licencji.

17.19 — Rada Nadzorcza — margines tolerancji dziesięć minut — mogą nudzić.

18.05 — kolacja na jedenastym piętrze z Norwegiem od analizy rynku (uwaga: lubi ostrygi).

18.45 — przejrzanie kolekcji modelek (dopisek czerwonym ołówkiem — ewentualnie piętnaście minut na degustację w saloniku B).

19.11 — spotkanie z wiceprezesem Rudolfim... itd.

Były to jednak terminy na drugą połowę dnia. Na najbliższe godziny przewidziane było: 2.25 — lądowanie na prywatnym lotnisku, 2.40 — krótka wizyta na nocnym party u senatora. (Nie wiadomo po co, gospodarz i tak przepadnie w kolejnych wyborach, a o tej porze wszyscy muszą być już pij ani w dym, ale Walt się uparł), 3.15 — ewentualne spotkanie z małą Lindą — ma być prześcieradło na tylnym siedzeniu rolls-royce'a... (Do licha, co za ogier z tego mojego szefa!), 3.39 — wysadzenie Lindy przy stacji metra, 3.42 — bungalow, spotkanie z żoną i uroczyste powitanie na podjeździe, 3.45 do 6.55 — czas wolny. (Jak na Waltera zadziwiająco długi — od lat jego dewizą było przecież: wykorzystać każdą minutę do maksimum).

Magda nigdy nie pyta. Magda załatwia. Usuwa ewentualne przeszkody, rozładowuje przypadkowe karambole, przeprasza, gdy zdarzy się dwuminutowy poślizg. Precyzja, dokładność, funkcjonalność.

Tymczasem o 2.21 nieoczekiwanie dzwoni pomarańczowy telefon z drugiej linii. Linii przeznaczonej dla najważniejszych rozmów wewnątrz firmy.

— Biuro pana Swampsona, słucham... — mówi Pulpet. Nim jeszcze zaskoczona myśl zanalizuje fakt, w jaki sposób ktoś obcy mógł wejść na tę linię, starannie dobrane słowa przygważdżają sekretarkę do fotela. Nie jest tych słów dużo. Niewiele zarejestruje automatycznie włączający się magnetofon. Złowróżbny anonim urywa się po trzech zdaniach

— wzrok Magdy natychmiast pada na elektroniczną mapę świata. Punktik wskazujący miejsce pobytu gulfstreama o kryptonimie „Petrela 3” jarzy się już na samym krańcu Wielkiej Depresji... Pan Walter powinien zaraz lądować. Katastrofa? To chyba głupi żart! Magda wie, że nie powinna się wahać, wywołuje więc radiostację samolotu. Milczenie. Przechodzi na kontakt awaryjny. Cisza. I nagle rozlega się przeciągły gwizd, a jaskrawa plamka znika. Sekretarka czuje, jak krew odpływa jej z twarzy. Łączy się z wiceprezesem. Ten jeszcze nie śpi. „Pulpet”

drżącym głosem (nie zdarzyło się to jej od jedenastu lat) relacjonuje sytuację...

— Co mam robić, panie prezesie?...

— Przede wszystkim zachować spokój. Nadal wywoływać samolot szefa.

Magda zwalnia przycisk interkomu i wie już wszystko. Nie potrzeba jej rutyny, by w głosie



rozmówcy wyczuć nutę, którą bardzo trudno jest ukryć. Na słowa można tę nutę przełożyć krótkim: „Udało się”.

#### 4. WALTER

Musiałem chyba na moment przysnąć. Zresztą zupełnie świadomie. Kiedy tylko jest okazja, pozwalam memu organizmowi na regenerację. Ze snu wyrwał mnie łagodny głos George’a: — Schodzimy, szefie.

Rzuciłem okiem na wysokościomierz. Jeszcze 2000 metrów. Dopilem drinka. Potem rozejrzałem się: Luke porządkował teczkę z papierami. Anna poprawiała fryzurę. Moi ochroniarze z nawyku sprawdzali broń. Usłyszałem trzask zapinanego automatycznie pasa.

I chyba to było moje ostatnie zapamiętane wrażenie.

To co zdarzyło się później, nie zostało zarejestrowane ani pamięcią, ani czarną skrzynką, ani żadną kamerą. Po prostu zdarzyło się zbyt szybko. Co najwyżej mogę podejrzewać, jak to się stało. Byłem przygotowany i na taką ewentualność.

Bomba ciśnieniowa od czasu swego wynalezienia przeszła szereg innowacji, zasada jej działania pozostała jednak niezmienna. Raz puszczona w ruch nie lubi się zatrzymywać i wybucha zawsze na określonej wysokości. Tym razem punkt krytyczny wynosił dwa tysiące dwieście metrów. Eksplozja rozerwała kabinę pilotów, rozrzucając ciała George’a i Michaela na tysiąc i jeden fragmentów... Pęd powietrza wdarł się w kadłub niczym pocisk pneumatyczny.

Atoli jedną miliardową sekundy wcześniej komputer awaryjny przekazał impuls, który uruchomił katapultę. Mój fotel razem ze mną wyprysnął w górę. Cudem nie ugodził mnie żaden z odłamków.

Dalsze wypadki następują błyskawicznie. Od „Petreli 3” odłamały się skrzydła, eksplodowały zbiorniki paliwa i jak płonący warkocz komety wszystko to podążyło na spotkanie z ziemią. (Szczątki pletwonurkowie znajdą na dnie Złotego Jeziora, nad którym rozsiadła się metropolia). A ja leciałem półprzytomny, nie do końca świadomy, co się wokół

mnie dzieje. Małe szarpnięcia, potem mocniejsze — to otwierają się kolejne spadochrony. Parę minut i będę na ziemi. Fotel zwalnia. Odzyskuję świadomość. I wtedy przychodzi to trzecie zadziwiające uderzenie, dużo za wczesne — od dołu. Tracę przytomność na dobre.

#### 5. AUTOR

Wiadomość o śmierci młodego potentata finansowego i jego najbliższych współpracowników przyniosły wszystkie ważniejsze dzienniki, zamieszczając czarne ramki pomiędzy informacjami o strajku generalnym w Turcji i wyborach samorządowych w Lombardii. Czasem nekrolog zablądził pod zdjęcie przedstawiające transport buraków do przodującej cukrowni. Poza katastrofą gulfstreama, do miana „informacji dnia” kandydowało jeszcze doniesienie o samobójstwie Żółtej Luli, znanej gwiazdki porno, i reportaż z tajfunu na Filipinach. Był to więc stosunkowo mało interesujący dzień.

Szczałki samolotu Waltera znaleziono (cóż za ironia losu) o dwa kilometry od gigantycznego biurowca. To co nie utonęło w jeziorze, było rozrzucone na znacznym obszarze willowych wzgórz. Pogrzeb wyznaczono na sobotę. Na razie zakwefiona wdowa i śmiertelnie poważny wiceprezes przyjmowali kondolencje w salach recepcyjnych na dwunastym piętrze.

Szefowa sekretariatu nie płakała. To nie należało do zakresu jej obowiązków. Ale niewiele brakowało, aby zawodowy uśmiech zniknął na dobre z jej twarzy, gdy w pewnym momencie zorientowała się, jak wyglądają przedpogrzebowe „konferencje” wdowy i wiceprezesa na

slużbowej kozetce w malej sypialni obok gabinetu zmarłego szefa. Ech, żeby ta kanapa umiała mówić — zwierzenia autorskie barona de Sade i kawalera Casanovy okazałyby się dość wstrzemięźliwe, choć prawdę powiedziawszy, Walter przedkładał nad wyszukaną perwersję zdrowe tradycyjne sposoby, tyle że ze stale zmieniającymi się partnerkami...

Szybko jednak spokój powrócił na twarz Magdy. Co z tego, że WIEDZIAŁA. Na jej biurku piętrzyły kolejne orzeczenia o naturalnych przyczynach katastrofy, wywołanej nagłym rozhermetyzowaniem się kabiny pilotów. Żadnych konkretnych dowodów na sabotaż, a tym bardziej spisek, nie miała. Poza tym doskonale zdawała sobie sprawę, że ciekawi żyją krócej.

Zuzanna znalazła się na miejscu katastrofy nazajutrz po wypadku. Przyleciała najbliższym samolotem. Nie bardzo zastanawiała się nad powodem swego przybycia. Nie ustąpiły jeszcze skutki wczorajszego oszołomienia narkotykami. A jednak chciała tu być... Spacerowała więc tam i z powrotem po wzgórzu przypominającym teren przeznaczony pod zwalną śmieci, nie nagabywana ani przez zapóźnionych reporterów, ani policjantów, spokojnie inwentaryzujących szczątki. Co pewien czas patrzyła na położone w dolinie miasto i na przypominający gigantyczny monolit graniastosłup Mega-Buildingu. Tak zeszło jej do wieczora. Gdzie posiała torebkę z pieniędzmi i prochami nie wiadomo. Dopiero koło ósmej głodna ruszyła ulicą w stronę dzielnic rozrywkowych... Bezmyślnie przyglądała się mijanym wystawom, gablotom kinowym i barwnym neonom. Jakiś pajac reklamujący najnowsze prądy w przemyśle spożywczym uraczył ją puszką galaretek. Przyjęła. I szła dalej.

— Pójdiesz ze mną, sestro? — usłyszała nagle cichy głos za sobą...

Obejrzała się. Mówiącym był mężczyzna w dżinsach i brudno-żółtym zakiecie. Musiała go już chyba kiedyś widzieć, chyba — niedawno, ale kiedy?... Ta wątla bródka, włosy wygolone w krzyż...

— Chodź, sestro, posłuchasz głosu prawdy — mówił łagodnie, pociągając ją w stronę dyskoteki, na której wisiało ogłoszenie: „Wieczorek odwołany — dziś prelekcja CZAS POKUTY”.

Poszła bez słowa.

## 6. WALTER

Najpierw w mój mózg o fakturze gigantycznego, zmasakrowanego sznycla załomotało sto tysięcy drobnych młoteczków. Potem zawirowały czerwone krążki. Za jakiś czas dołączyła do tych wrażeń dziwna ociężałość nóg, a na koniec wszystko nagle ustąpiło. Otworzyłem oczy.

Oślepiło mnie jaskrawe słońce i na dłuższą chwilę cofnąłem się na powrót w purpurowy mrok.

Odchyliłem głowę w bok i ostrożnie odemknąłem jedno oko. Na nieskończenie niebieskim niebie szybował jakiś ptak. Dobrze! Oglądałem niebo zdecydowanie od dołu. Żyłem. Zaraz potem moje zmysły zaatakowały dziesiątki doznań, które od razu mogłem zdefiniować i uporządkować. Zapach świeżego siana i jego szorstkość pod głową, dziwne odgłosy przypominające beczenie jakichś zwierząt, znów szybujący ptak i niebo...

— No i jak się pan czuje, młody człowieku? — spoza kadru doleciał mnie głos przyciszony, trochę gderliwy, ale na swój sposób sympatyczny.

Chciałem coś powiedzieć, ale gardło miałem zaschnięte, więc wyszło mi tylko nieskładne stęknienie...

— Proszę się nie bać, jest pan zupełnie bezpieczny... a najważniejsze, że będzie pan żył...

Może chce się pan czegoś napić?

— Pro... szę!

Rozmówca, który pochylił się nade mną, odziany był na biało, ale nie okrywał go fartuch lekarza... Na gołe ciało narzuconą miał samodziałową szatę z wełny. Nie był stary, ale bujną brodę i imponującą czuprynę gęsto przestębnowała siwizna.

„Cholera, pan Bóg!”, przemknęło mi.

Szpakowaty widać odgadł moje myśli, bo uśmiechnął się i rzekł ni to chępliwie, ni rozbrajająco:

— Na imię mam Jeremiasz... — tu podsunął mi naczynie. — Napij się, synku...

Przelknąłem, spodziewając się w najgorszym razie kruszonu. Natychmiast, jak szybkobieżna winda, żołądek podjechał mi aż pod przelyk. Z trudem zapobiegłem wylaniu się jego zawartości.

— Ccco to za świństwo? — wykrztusiłem.

— Nie lubi pan koziego mleka?... No to proszę, tu jest woda... Łyknąłem. Woda była okropna, chłodna, bez smaku, niegazowana.

— Gdzie ja jestem, panie Jeremiaszu?

— U mnie! — powiódl ręką dookoła, a ja uniósłszy się nieco na posłaniu, pobiegłem wzrokiem za jego gestem. Wokół piętrzył się mur zieleni, w którym przerwy stanowiły wyloty jakichś ścieżek, trzcinowy szalas, kamienny zbiornik na wodę... Obok, na nasłonecznionej polance, pasło się parę kóz. Słońce stało wysoko... Chciałem spojrzeć na zegarek i elektroniczny terminarz... Ale nic takiego nie znalazłem. Leżałem nagi pod tkaniną przypominającą suknię starego.

— Która godzina?

— Będzie koło południa.

— Do diabła, strasznie późno. Miałem na dziś program napięty co do minuty... o pierwszej konferencja w United Sindical...

— I tak jest już za późno. Spał pan dwa dni...

Spokój, z jakim ten groteskowy typ wypowiadał te przerażające zdania, doprowadził mnie do furii. Czulem, że zaraz dam mu w zęby. Usiłowałem powstać, ale nie udało się i padłem ciężko na leże.

— Obie nogi miał pan złamane — wyjaśnił. — Ale złożyłem je... dałem łupki i obłożyłem gliną. Zrosną się. Tylko musi to potrwać.

Śmieszne — ten człowiek najwyraźniej nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia.

Postanowiłem wielkodusznie wybaczyć mu jego nieświadomość.

— W porządku, niepotrzebnie się uniosłem. Niech pan mi szybko da telefon, raz dwa wezwę mój helikopter. A pan otrzyma sute wynagrodzenie.

— Niestety nie dysponuję telefonem — zabrzmiała odpowiedź.

— To niech pan pójdzie do budki i zadzwoni.

— Stąd nie można zadzwonić.

Panowanie nad sobą to jedna z najważniejszych cech, które bezwzględnie musi wyrobić w sobie człowiek sukcesu. Groteskowa sytuacja, w jakiej się znalazłem, była jednak nie do zniesienia. Odpowiedzi powracające jak piłeczka pingpongowa zaczęły mnie drażnić. Powiem więcej — nudzić. Oczywiście ani przez moment nie odczuwałem strachu. Przymknąłem oczy i próbowałem przypomnieć sobie, skąd właściwie się tu wzięłem. Co było przedtem? No, naturalnie Zuzia... a potem?



I znów samodziśalny gospodarz odgadł moją myśl.

— Spadł pan z nieba. Słyszałem eksplozję samolotu. Noc była widna. Widziałem, jak pański fotel opada na spadochronie. Nie zdążyliście jednak należycie wytracić szybkości... Uderzenie wrzuciło pana w zarośla, poryw wiatru natomiast uniósł spadochron w drugą stronę. Niech będzie pochwalony Stwórca. Od dwóch dni dziękuję mu, że pozostawił pana przy życiu, a ponadto zrzucił właśnie do mnie. Nie uwierzy pan, ale po raz pierwszy od dziesięciu lat rozmawiam z człowiekiem.

Nie wiem dlaczego, ale w tym momencie oblał mnie zimny pot.

— We dwóch będzie nam różniej — ciągnął dalej Jeremiasz.

— Kozy też pana niewątpliwie polubią.

— Jak to we dwóch? Jakie dziesięć lat? Pan jest chyba szalony! — przez moment przyszło mi do głowy, że spadłem do jakiegoś sanatorium dla obłąkanych. — Gdzie ja jestem? Niech pan mi powie, do jasnej cholery?!

— Na mojej wysepce. Bezludnej wysepce!

— Jakiej?! Jakiej?!

— Nazwałem ją Enklawa.

## 7. AUTOR

Walter niechętnie wspominał swego ojca, myślał o nim tylko wtedy, kiedy miał chandrę albo za dużo czasu. W ciągu ostatnich lat zdarzyło mu się to dwukrotnie. Raz, kiedy wielka awaria energetyczna na pół godziny uwięziła go w windzie, drugi raz w dniu własnego ślubu. Obecnie obydwa warunki: czas i chandra, spletały się w niebezpieczny warkoczyk wspomnieniowej nostalgii. Powiedzmy otwarcie, ojciec Waltera był całkowitym przeciwieństwem młodego biznesmena. Wyobraźmy sobie niewielkiego, szarego facecika, pozbawionego jakichkolwiek talentów poza wściekłym szczęściem do pieniędzy. Dajmy temu człowiekowi miły charakter życia i bezmiar sympatii do zwierząt, a uzyskamy portret pana Eddy'ego. Nawiasem mówiąc i sama sprawa ojcostwa była dosyć problematyczna — kursowała plotka, że Waltera spłodził

w przyływie litości dyrektor zarządzający firmą, niejaki Olivetti — nie bójmy się postawić kropki nad i — makaroniarz. Pan Eddy, czy jak kto woli — Edward, pochodził z kraju herosów i alkoholików, kraju usytuowanego w jednym z tych miejsc świata, które bywają zarazem centrum i marginesem, przedmurzem i zadupiem.

Wśród monumentalnej masy spadkowej Walter znalazł starą walizkę przewiązaną paskiem, a w niej czapkę dziwnego kroju, fotografię dzieci od pierwszej komunii, jakiś pejzaż przedstawiający rząd koślawych wiersz oraz trzy książki pisane w języku równie tajemniczym jak sanskryt.

Walter hodowany w najelitarniejszych szkołach na brojlera kapitalizmu zaledwie z pięć razy rozmawiał ze swym starym; za każdym razem jednak Eddy opowiadał mu tę samą historię, która równie dobrze mogłaby przydarzyć się baronowi Munchhausenowi. Od pokoleń z kraju przodków ojca naszego bohatera wyjeżdżało się przeważnie z dwóch powodów: za chlebem oraz „za wolność własną i cudzą”. Tymczasem w wypadku pana Edwarda motywy były odmienne: po prostu na krajowej loterii w rodzinnym N. wygrał wycieczkę za granicę. Wygrał

i pojechał, mimo że nad rubieżami kraju gromadziły się chmury dziejowych nawałnic, których nie wypadło ani nie można było przeczekać. Wiadomość o wybuchu wojny zastała Eddy'ego w sali kasyna w malowniczym kurorcie, gdzie już pierwszej nocy dał wyraz swemu patriotyzmowi,

ogrywając w ruletkę przedstawicielei narodu agresorów. Rozbicie banku bez udziału bomb burzących, a jedynie z pomocą srebrzystej kulki i krupierskich grabek, przyniosło ojcu Waltera pokaźny kapitał, który ulokowany został na koncie (tym razem, jak to często bywa — szwajcarskim). Sam triumfator postanowił zaciągnąć się w tzw. szeregi. Na obcej ziemi tworzono właśnie armię. Jako dobry obywatel nie powinien mieć przecież innego wyboru...

Atoli i tym razem nie dane mu było zasmakować w wojennym rzemiośle czy choćby spojrzeć wrogowi w twarz. Do punktu rekrutacji dotarł w momencie, kiedy pośród ogólnego zamieszania trwał odwrót sojuszniczej armii. Nie udało mu się więc ani zaszczytnie polec, ani honorowo trafić do niewoli. Natomiast w trakcie heroicznej ucieczki poznał Marka.

Mark, gadatliwy mężczyzna w stylu lewantyńskim, podawał się za pułkownika i choć był zaledwie kapralem, zaprzyjaźnił się z Eddym na zasadzie kontrastu. Godzinami potrafił opowiadać o swym interesie za oceanem, żonie, córce... Ojciec Waltera był znakomitym słuchaczem. Tak dotarliby niechybnie do któregoś z naturalnych, nigdy niezamarzających portów, gdyby nie dezynteria, śmiertelny wróg dzieci dobrobytu, która powaliła Marka. Jak to bywa w złych filmach lub prawdziwych wojnach, skonał on na rękach Eddy'ego, zobowiązawszy go do zaopiekowania się sierotami oraz zostawiając mu listy do żony i córki, a nade wszystko plenipotencje w rozległych interesach.

Słowo dane umierającemu jest rzeczą świętą. Czy więc można było sprzeniewierzyć się i idąc za głosem serca dołączyć do swej jednostki? Jeszcze nie opadły bitewne dymy, a ojciec Waltera już stapał po ziemi, jak na razie — neutralnego mocarstwa, gotów wypełnić obietnicę do końca albo jeszcze dalej. Był to kraj tak wielkich możliwości, że karierę w nim można było zrobić nawet wbrew sobie. Mark należał do tych Europejczyków, którzy zjawili się tam dostatecznie wcześnie, więc choć przybyli za chlebem, zdążyli się dorobić buleczki z maselkiem. Już piękny dom w stylu kolonialnym, portier Murzyn i pies brytan zrobiły dobre wrażenie na Edwardzie. Reszty dokonała wdowa i córka jedynaczka. Łzy i kombatancie wspominki trwały jedynie do kolacji. Już pierwszej nocy przypadło Eddy'emu pocieszenie pani Elizabeth, z czego wywiązał się sumiennie, po żołniersku. W jakiś tydzień później doszedł mu analogiczny obowiązek w stosunku do córki — Sally.

Dualizm nie trwał długo. Zresztą nie mógł trwać. Ojciec Waltera należał do najmarniejszych kochanków świata — był jednak szczęśliwcem. Już po miesiącu bowiem pani Elizabeth zeszła ze świata na skutek ostrego woreczka żółciowego, zaś Sally, która też swoje w życiu przeżyła, oddała Eddy'emu to, co dać jeszcze mogła — to znaczy rękę.

Ślub odbył się późną jesienią, natomiast miodową podróż na Hawaje trzeba było odłożyć z powodu brzydkiego postępu Japończyków, którzy zbombardowali nie to, co powinni, odmieniając losy świata i nowo tworzącej się komórki społecznej, której owocem miał być Walter. (Ale na to szczęśliwe wydarzenie trzeba było również poczekać kilkanaście lat).

Tymczasem nastal okres dobrej koniunktury dla wszelkiego rodzaju interesów, i choć ginęli ludzie, wartość dodatkowa dodawała się, mnożyła i potęgowała, a gdy po jakimś czasie Eddy znów znalazł się na Starym Kontynencie, najbardziej zaskoczyło go własne konto bankowe.

Franki szwajcarskie rozmnożyły się jak króliki. Z człowieka dość zamożnego stał się potentatem. Sytuacji tej już nie zmienił, bo choć bez przerwy zamierzał wracać do kraju i przekazać posiadane miliony w ręce tych, którym by się to słusznie należało, czyli ludowi pracującemu miast i wsi, formalności paszportowe i niezrozumiały opór Sally uniemożliwiły

sfinalizowanie tego przedsięwzięcia, mimo że mogłoby ono zakwitnąć kilkunastoma hutami, szpitalami bądź szkołami zbiorczymi. Czas płynął, hossy i bessy, a przede wszystkim doskonały dyrektor generalny, wspomniany już Carlo Olivetti, wprowadziły Edwarda do klubu miliarderów. Wystarczyło jeszcze trudne do wymówienia w sferach biznesu nazwisko Bagnowicz zmienić na Swampson, aby sukces był pelen. Eddy i w tej kwestii ustąpił żonie i dyrektorowi, prywatnie jednak pozostał marzycielem — nadal śnił o skromnym życiu za waluty niewymienialne, o małym ogródku pod lipą, wśród kwaczących kaczek i wijących gniazda bocianów. Marzeń swych nie zrealizował, ale śmierć miał równie piękną. Od pewnego momentu ustawicznie uciekał ze swej Clear Glade. Przeważnie kończyło się to w malowniczej tawernie, odludnej pustelni czy stołówce Armii Zbawienia. Aż wreszcie kostucha spotkała go na autostradzie, gdzie maszerując pod prąd w samych kałesonach, zderzył się z ambulansem pocztowym... A sypiące się banknoty przykryły jego ciało jak zielona flaga finansjery. Zupełnie przypadkowo tego samego dnia jego syn osiągnął pełnoletniość.

Oczywiście, Walter wychowany w innej rzeczywistości, ojcowskim sentymentom nie ulegał, alkoholi nie nadużywał. Był obywatelem świata, choć za słowem obywatel nie przepadał. Nigdy nie marzył też o wierzbach, kaczkach i bocianach, dlatego teraz słysząc pobekiwanie owiec i gładzenie Jeremiasza, poczuł się źle i nieprzypadkowo pomyślał o ojcu.

## 8. JEREMIASZ

— Diabli nadali, diabli nadali, diabli nadali, diabli nadali, diabli nadali... Boże, po co mi ten facet!

## 9. WALTER

Dni mijają. Jednostajnie, niezmiennie. Kozie mleko, rosół z gołębia, pędy bambusa, chleb z kory... Kurczę blade! Nocami, nie mogąc usnąć, przypominam sobie mój jadłospis jeszcze sprzed miesiąca: ostrygi, kawior, melba, wyborne kuropatwy z truflami na dziko, pierożki z ptasich ozorków, suszi... Ech. A teraz jeszcze ta glina na nogach rozgrzewająca się za dnia i ziębnąca nocą. Żeby tylko chodziło o zmiany temperatur! Między opatrunkiem a moją skórą uwila sobie gniazdko rodzina mrówek, których w żaden sposób nie mogłem wykurzyć ani trzcinką, ani wodą, ani rosółem. Na pytanie, jak długo pozostanę unieruchomiony, mój anachoreta uśmiechnął się dobrodusznie:

— Sześć do ośmiu tygodni i będzie po wszystkim.

— Aleja się tu okropnie nudzę! Jestem beczynny, samotny!

— Mogę ci odpowiedzieć słowami przypowieści: Każdy człowiek jest samoistną enklawą, a życie to wrogi ocean...

— Dobrze, dobrze! — nie miałem ochoty go słuchać, kaznodziejstwo przerażało mnie jeszcze bardziej niż nuda.

— Zaprawdę — ciągnął pustelnik — wróćmy do naszych źródeł, do korzeni człowieczeństwa, do zielonych lasów, odnajdźmy zapomniane skarby dzieciństwa, a wówczas osiągniemy szczęście i harmonię życia...

— Bzdura, Jeremy, życie to dysharmonia, tempo i ciągłe zmiany.

— Życie to jednostajność i trwałość — mamrotał swoje, zabierając się do pracy.

Pustelnik jest cholernie robotny: wciąż coś spulchnia, przędzie kozią wełnę albo produkuje masło. I jaki jest zadowolony ze swego statusu... Po raz nie wiadomo który zadaję mu to samo pytanie:

— Powiedz mi wreszcie, gdzie leży ta przeklęta wyspa?

— A czy to ważne? Wszędzie i nigdzie. Daję ci słowo, że czasem lepiej nie wiedzieć.

— To wymijająca odpowiedź, żądam wyjaśnienia!

— Nie denerwuj się, Walterku, emocje ci szkodzą... — To mówiąc, znika z mego pola widzenia.

W nocy jestem sam, cykają świerszcze, z oddali dochodzi jednostajny gęsty pomruk.

Jeremy mówi, że to ocean. Ciekawe, gdzie ten cholernik udaje się po zmroku. Może śpi w zagrodzie dla bydła, z kózkami? W końcu jeśli jest tu dziesięć lat... Tfu, tego jeszcze nie próbowałem. Tymczasem śnią mi się różne rzeczy, a przede wszystkim kolumny cyfr, notowania, odsetki, tantiemy... Czasami w snach widuję mego zastępcę Rudolfa. Kiedy indziej Magdę, która nie wie, czemu ma twarz Zuzi. Tylko dlaczego?

— No, mała, mamy pięć minut dla siebie — mówię Zuzi, a odpowiada mi Magda: — Waluta spada w związku z kryzysem indochińskim. Co zrobić z pakietem Stephensa i Boxa?

— Ach, żebym się mógł poruszać, to bym chyba do was dopłynął! Gdyby nie te złamane nogi...

Magda zmienia się w Zuzię, która dziwnie poważnym tonem mówi:

— Jesteś taki zupełnie pewien, że są złamane?

Budzę się. Ciemna noc. Cykady drą się jak oszalałe. Morze huczy. Jeremiego nie ma w pobliżu, tylko księżyc świeci ogromny.

Poruszam palcami nogi. Nie czuję bólu... A może...? Zwlekam się z posłania i dopelzam do skrzynki z narzędziami. Dłutko, nożyce!.. Kruszę glinę na lewej nodze. Potem rozcieram skórę.

Nic nie boli. Poza paroma siniakami ani śladu zwichnięcia, nie mówiąc o złamaniu. Szybko pozbywam się łupiny z drugiej nogi. Ta też jest w porządku. Ryzykuję powstanie... Trochę ciężko mi utrzymać równowagę, ale poza tym nic mi nie jest. A więc ten skubany pustelnik po prostu mnie uwięził... Tylko dlaczego? Jaki miał plan, skoro za sześć tygodni i tak musiałby zdjąć mi unieruchomienie. A poza tym, po co więzić kogokolwiek na bezludnej wyspie?

Biorę ze stołu maczetę i zapuszczam się w pierwszą lepszą dróżkę.

Już wcześniej zauważyłem, że wysepką miała charakter wklęsły... Teraz wspinam się w górę. Szum się wzmaga. Jest jakiś dziwny. I naraz moje ucho, łapie z oddali dźwięki klaksonu... O cholera... czyżby gdzieś w pobliżu była jakaś droga? Może cieśnina od lądu stałego jest wąska? Wówczas przełynę ją bez trudu. Ścieżka zakręca, a przede mną wyrasta ściana krzaków. W ruch idzie maczeta. Raz... dwa... trzy... I nagle... Ziemia ucieka mi spod nóg... Lecę! Nie, nie lecę. W ostatniej chwili chwyta mnie za kołnierz czyjaś ręka.

— Nie powinieneś tego robić, Walterze — słyszę głos Jeremy'ego.

Nie odpowiadam. Jestem zbyt zdumiony. Ponad pół kilometra niżej pulsuje olbrzymia metropolia. Widać światła latarni, tańczą neony, pędzą samochody. Pulsują pętle autostrad...

Ciemna plama to chyba park... Zaraz, zaraz. To przecież moje miasto! Co więcej, wysepka mieści się na dachu Mega-Buildingu, w którym na czternastym piętrze mieści się mój gabinet prezesa Swampson Corporation.

— Wracamy! — pustelnik wciąga mnie w zarośla. — Musiałeś się sam przekonać. Trzeba było wierzyć, gdy mówiłem ci, że z mojej Enklawy nie ma żadnego wyjścia. I bardzo dobrze.

Bardzo dobrze.

10. WALTER CIĄG DALSZY

Przez chwilę nie mogłem wymówić ani słowa. Jak szczenię pozwoliłem się wciągnąć w zarośla, a potem poszedłem za pustelnikiem do naszego szalasu. Bardzo rzadko tracę spokój, więc tym razem już po chwili mówiłem zupełnie opanowany:

— Pan mnie oszukał, Jeremy, usiłuje mnie pan bezprawnie uwięzić... Ale to się panu nie uda!

— Ja miałbym cię więzić!?! — w głosie pustelnika zabrzmiało zdumienie tak szczere, że aż obrzydliwe. — Jesteś teraz wolny bardziej niż kiedykolwiek. Czy naprawdę nie widzisz, że tu po raz pierwszy jesteś panem swego czasu, nie obciążony żadnymi terminami, obowiązkami?..

— Ale moja firma przez ten rajski okres mogła ponieść milionowe straty, parę kontraktów zostawiłem nie dopiętych...

— A czy to ważne? Te kontrakty?

— Pan jest śmieszny. Domyślam się, że ktoś panu zapłacił za przetrzymanie mnie tutaj.

Obiecuję, że podwoję stawkę.

— Nie interesują mnie pieniądze... — pada w odpowiedzi.

— Wariat. Normalny wariat! W porządku, nie chce pan pieniędzy, dobrze, proszę mi natychmiast wskazać klapę wjazdu.

— Jakiego wjazdu?

— No, na ten strych... Może być też drabinka przeciwpożarowa albo...

— Nie ma wjazdu ani drabinki. Kiedy wydzierżawiłem ten dach na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, cała powierzchnia została pokryta dwumetrową płytą żelbetową, na niej położono, po starannym zaizolowaniu, jeszcze trzy metry gleby... Niech jej ziemia lekka będzie.

Na wszystko miał gotowy argument, cwaniaczek...

— Ale pan jakoś się tu dostał? — konsekwentnie mówiłem mu „pan”, mimo że Jeremiasz bez przerwy mnie tykał.

— Przybyłem śmigłowcem. Helikopterem przewiozłem też mój skromny dobytek, zwierzęta, nasiona...

— A jak chce się pan wydostać?

— Zostanę tu do śmierci!

Zgrywał się. Nie ulegało wątpliwości, że się zgrywał. A jeśli w tym, co mówił, było choćby źdźbło prawdy?

— Takich typów jak pan powinno się eliminować ze społeczeństwa — westchnąłem.

— Sam już to zrobiłem. Nie chciałem mieć nic wspólnego z waszym społeczeństwem.

Pobędziesz tu dłużej, kochany, a docenisz ten może nieco surowy, ale przyjemny tryb życia.

Tykwy, kozy, pataty...

Długo mogłem tłumaczyć cymbałowi, że nie mam powołania na anachoretę, a wręcz przeciwnie, lubię ruch, tłum, towarzystwo.

— Wszystko można polubić — skontrolował, zacierając ręce. — Weźmy kozy...

Wybuchnąłem:

— Mam alergię na futro!

— Uczulenia to choroby cywilizacji, tu ci szybko przejdą. Znałem faceta, który dostawał wysypki na widok własnej żony, a znowuż inny uczulony był na abstrakcję...

— Nie rozumiem? Nie lubił Picassa?

— Obsypywał się krostami, słysząc takie pojęcia jak równość, sprawiedliwość, demokracja.

Nie miałem ochoty na tego typu szermierkę słowną, przestałem więc zwracać uwagę na jego

bajania. Jedno, co wiedziałem z absolutną pewnością: muszę się stąd wydostać! Wyczuł chyba moje myśli, bo rzucił słodziutko:

— Z Enklawy można uciec tylko w jeden sposób. Wskoczyć! Przez chwilę śmieliśmy się obaj, choć różny był powód i różna szczerłość tego śmiechu. A potem rzekłem:

— Powiedzmy, że wierzę panu, powiedzmy też, że nie uważam pana za wariata, jednakże nadal nie mogę zrozumieć sensu tego pustelnicstwa. Wiem, że w młodym wieku ludzie robią różne głupie rzeczy; uciekają z domów, bawią się w dzieci-kwiaty, ale pan — człowiek doświadczony, tak bez powodu...

— Ja miałem powód — przerwał mi gospodarz Enklawy. — Po prostu nieszczególnie lubię ludzi...

## 12. JEREMIASZ

Dlaczego uciekłem? Nowoczesna nauka potrafi wytłumaczyć wiele zadziwiających zjawisk z przeszłości. Medycyna wykryła chorobę psychiczną, na którą cierpiał Szymon Słupnik, psychologia i socjologia zdolne są wyjaśnić zjawiska ascezy i monastycyzmu frustracjami oraz sadomasochistycznymi aspektami ludzkiej osobowości, ja jednak, drogi Walterze, nie jestem ani wariatem, ani ekscentrykiem, ja jedynie straciłem wiarę w człowieka. Nie, nie kręć głową, wiem, co powiesz — że człowiek, społeczeństwo to trybiki tworzące mechanizm doskonały, mechanizm cudowny, rozwijający się... I ja tak kiedyś myślałem. Niestety, całe moje życie było ciągłym pasmem rozczarowań. Wyobraźmy sobie taki pasjans: wyłożyłeś na stół wszystkie karty zakryte, następnie po kolei odkrywasz jedną za drugą i widzisz, że są to figury, których teoretycznie nie ma w talii, które w ogóle nie powinny istnieć. W ludziach tkwi immanentne zło, sprzęgnięte z głupotą. Jeden mądry przypada na milion głupców, myślących emocjami, gotowych poddać się najbardziej zwariowanemu owczemu pędowi. Nawet instynkt samozachowawczy został w ostatnich czasach zachwiany. Ludzkość, taka jaka jest, ku niczemu nie dąży, zatraciła dawne ideały, zgubiła swe biologiczne instynkty, którymi kierowali się nasi przodkowie jeszcze parę setek lat temu...

Zaprawdę, nie od razu popadłem w negację. Szukałem człowieka niczym grecki Diogenes, tyle, że z lampą błyskową, jako reporter w najbardziej zakazanych dziurach świata, próbowałem działać wśród elity jako moralista, zszedłem do młodzieży... Wszędzie mnie odtrącono.

Z najgłębszych przyjaźni, kiedy się im przyjrzałem chłodnym okiem, wyzierała zawiść, a każda kobieta, którą kochałem, w końcu musiała mnie zdradzić... Nie, nie mów, Walterze, że można wszystko to wiedzieć i nadal żyć wśród ludzi, w teatrze pozorów i chińskich cieni. Wiem, że ty wykorzystywałeś swoją wiedzę, aby rządzić i czerpać z życia to, co tylko można wydrapać do dna... Ja też kiedyś próbowałem. Doszedłem jednak do momentu, gdy już nie mogłem.

Usunąłem się. Nie chciałem doczekać dnia, w którym wszystko skończy się jakimś kolosalnym kataklizmem. Może los da mi tę satysfakcję, że zdążę to jeszcze zobaczyć z mojego dachu.

Jeśli człowiek nie potrafi się pogodzić, może walczyć albo uciec. Wybrałem to drugie, synu...

## 13. AUTOR

Istnieją podobno ptaszki żyjące w symbiozie z nosorożcami. Są też rybki całe życie pilotujące rekina. Zuzanna należała do tego typu stworzonek. Jej dawny świat skończył się



wraz z utratą Waltera. Ewentualne odrodzenie mogło nastąpić tylko wówczas, gdyby na widnokregu pojawił się jakiś Walter–bis. Ewentualnie jego namiastka.

Częściowo spełniał te warunki Tim, prorok, którego spotkała w czasie swego załamania nerwowego. Teraz od trzech dni wędrowała za apokaliptykiem. Słuchała, jak przemawiał, uczestniczyła w nocnych seansach, zawsze jednak przed końcem imprezy Tim gdzieś zniknął

i zostawiał ją samą. Pozostawała zatem cicha adoracja, podczas gdy Zuzia potrzebowała prochów i mężczyzny. Pierwsze prorok limitował, stosując miękki odwyk, a jeśli idzie o to drugie, wydawał się być nie zainteresowany. Gdy zaś usiłowała sugerować wspólne spędzenie dalszej części wieczoru, zatrzymywał ją delikatnie, lecz stanowczo:

— Daj spokój, mała!

W odróżnieniu od reszty nawiedzanej braci, nocował w całkiem niezłych hotelach, mało pił, a jego jointy były zadziwiająco słabe. Przy ludziach zgrywał odlotowca, jednak, gdy byli sami, zachowywał się zadziwiająco kulturalnie.

Parokrotnie próbował splawić Zuzannę, wreszcie któregoś dnia, gdy usiłowała wejść za nim do hotelu, powiedział:

— Dostyc tego, mała. Wracaj do domu...

— Nie mam domu.

— Więc idź, gdzie chcesz!

— Chcę być z tobą...

Spod przepoconego podkoszulka wydobyl zmietoszony banknot i wręczył go dziewczynie.

— Masz na pożegnanie, jutro zmieniam miasto...

— Pójdę za tobą... — deklaracja zawisa w próżni, bo Tim już się oddalił. Zuzanna obejrzała banknot. Nominał był dość wysoki. W trzy kwadransy potem, w hotelu o pretensjonalnej nazwie „Minerwa” wynajęła pokój obok pokoju Tima. Oczekwała do północy, a potem otworzyła okno.

Na okolicznych gmachach błyskały neony i zewsząd dolatywała muzyka — seksowny puls rozrywkowej dzielnicy. Na horyzoncie jak radioaktywny plaster miodu świecił się Mega Building. Tylko dach tonął w ciemności. Podobno jakiś czubek urządził tam sobie wiszące ogrody... Oba pokoje hotelowe położone były na szóstym piętrze, ale dla Zuzanny nie odgrywało to żadnej roli — wyszła na parapet. Świat zachybotał się, utrzymała jednak równowagę. Zupelnie nie odczuwała strachu. Jak po równoważni (jeszcze trzy lata temu, w szkole, uprawiała gimnastykę akrobatyczną) przeszła pod sąsiednie okno. Było uchylone.

Apokaliptyk drzemał. Zuzia wślizgnęła się do wnętrza. W smudze księżycowego światła szybko ściągnęła skąpy przydziewek.

— To wprawdzie nie Walter, ale... Nowocześni prorocy też lubią takie rzeczy.

Noc była ciepła, Tim spał jedynie pod prześcieradłem, i gdy wsunęła się pod nie, poczuła, że również był nagi...

— Kto... co? — rozległo się senne mamrotanie. — Mała, nie powinnaś tego robić!

— Ale pan powinien — odpowiedział jej szept.

\* \* \*

Świt gmera niemrawo po zakamarkach hotelowego pokoju. Słoneczny promień natrafia następnie na kupkę zrolowanej bielizny w środku pomieszczenia, mija krzesło, na którym złożony w kostkę odpoczywa niechlujny strój proroka, i dociera do tapczanu, wyluskując z

pościeli gołe ramię dziewczyny i owłosiony tors młodego mężczyzny. Scena jak z filmu dla młodzieży, w którym wszystkie jednoznaczności działy się przed lub zdarzą po.

Tim nie śpi. Wpatruje się w sufit i co pewien czas spogląda na główkę drzemiącej obok Zuzanny.

— Kompletne dziecko, w co ja się wplątałem? — myśli, cokolwiek spanikowany. Parę godzin wcześniej, kiedy dziewczyna dokonywała gwałtu na jego zasadach, Tim odczuwał znacznie mniej skrępowań, zresztą nie miał na to czasu. Poza tym był półprzytomny — jak każdy, kto przez cały wieczór kulby mozolnie wersety z Apokalipsy. — Cholera nadała tę narkomankę!

Jeśli nie uda jej się splawić, będę miał prawdziwą kulę u nogi.

A Zuzia zaróżowiona świtem, mimo podkrążonych oczu wyglądała tak niewinnie, tak autentycznie — po raz pierwszy zgodnie z szesnastoletnią metryką.

— Obejmij mnie, Timmy! — szepcze przez sen. — Mocno!

Obejmuje. Potem zamawia śniadanie do pokoju. Jedzą z apetytem, a Zuzia co chwila taksuje go wzrokiem, jakby widziała Tima po raz pierwszy w życiu. W eleganckiej jedwabnej pidżamie, z gładko wygoloną twarzą i schludnymi paznokciami, prorok wygląda bardziej na komiwojażera czy sprzedawcę rajstop...

— Co się stało z twoimi włosami? — pyta dziewczyna w przerwie między rogalikiem a łykiem aromatycznego kakao, a w myślach zastanawia się: „Czy ja przypadkiem nie pomyliłam pokoi?”

Tim otwiera swoją walizkę. Pokazuje perukę z wygolonym krzyżem, naklejaną bródkę à la Ho Szi Min, puder udający brud, nakładane paznokcie z centymetrową „żałobą” oraz parę flakoników z potem w aerozolu...

— Więc ty... więc ty nie jesteś prawdziwym natchnionym apokaliptykiem? A ja myślałam, że będziesz moim guru...

Tim bezradnie rozkłada ręce.

— Dlaczego więc grasz taką rolę? — pyta dalej dziewczyna, przechodząc do białego serka i smarując go grubą warstwą powideł.

— Czasami lepiej nie zadawać pytań, malutka.

— Dobrze, że chociaż jesteś prawdziwym mężczyzną...

Młodzieniec uśmiecha się, co Zuzanna bierze za kokieterię, bo i skąd mogłaby przypuszczać, że ekscesy minionej nocy były absolutnym debiutem pseudoproroka. Kto wie, czy w innych, mniej sprzyjających warunkach, da radę je powtórzyć. Dochodzą do deseru.

— Pozwolisz mi iść za tobą? — pada zasadnicze pytanie.

— A chcesz?

Zuzanna kiwa głową. Nie potrafi być sama, a skoro nie ma Waltera, to ten guru nie guru też będzie dobry...

— Pozwolę, ale pod paru warunkami — mówi Tim. — Jeśli chcesz być ze mną, zapamiętaj: koniec z narkotykami, alkohol w normie, dobre odżywianie, no i będziesz się musiała uczyć, a co się tyczy współżycia, przedyskutujemy jeszcze sprawę — ale sądzę, że trzeba będzie poczekać z tym do twojej pełnoletności. Więc nie wiem, czy to ci będzie odpowiadało?

— A więc on jest aż tak perwersyjny? — myśli Zuzia i potakująco pochyła głowę. Potem przeciąga się.

Tim skromnie odwraca się i rozpoczyna przepoczwarczenie w malowniczego hippisa.

Zuzanna obserwuje go bez większego zdziwienia i nie reaguje, nawet, gdy zza fałdów szaty wypada na podłogę masywny smith&wesson.

#### 14. WALTER

Cały mój system buntował się coraz bardziej przeciwko nienormalnej sytuacji, a wysiłki Jeremy'ego zmierzające do uczynienia ze mnie członka pustelni, przypominały próbę hodowli pstrąga w kałuży lub Eskimosa w lodówce. Byłem jednak na tyle ostrożny, aby niczego nie dać po sobie poznać — Jeremiasz miał nade mną przewagę fizyczną, był panem sytuacji: on dostarczał pożywienia, organizował czas i doglądał mnie na każdym kroku. I nudził, nudził, nudził! Uwielbiał gawędy o świecie jego młodości, o kniejach, w których nie brakowało ptactwa, o rześkich strumieniach pełnych ryb.

— Dziś nasze lasy są gluche, wody przypominają roztwory chemiczne, a ludzie...

Miał, oczywiście, sporo racji, ale to jeszcze nie był powód, żebym musiał rezygnować ze swego trybu życia, z komfortu, nieustannego sprawdzania się w działaniu. Z kobiet.

Z rozrywek... Nigdy dotąd nie uświadamiałem sobie, że brak gazety czy telewizji może być torturą, której nie osłabia stale podnoszenie wydajności uprawy patatów.

— Chodźmy spać, Walterku, kto śpi, nie grzeszy — mawiał co wieczór mój pustelnik, a ja niezmiennie odpowiadałem:

— Wolalbym grzeszyć.

— Apage!

Sypiałem dobrze, aż za dobrze. Tak, że w końcu wydało mi się to podejrzane. Sądząc po karbach żłobionych na drzewie, upływał ósmy dzień pobytu na dachu, a moje obawy, że nie wszystko jest tak, jak twierdził pustelnik, zwiększyły się jeszcze bardziej. W zasadzie Jeremy nie pozwalał mi oddalać się od szalasu; pod różnymi pozorami udało mi się jednak zwiedzić cały dach. Długość Enklawy nie przekraczała kilkuset metrów, szerokość ograniczała się do kilkudziesięciu.

Tego dnia w pogoni za zabląkaną kozą znalazłem się na nieznanej mi dotąd północno-wschodniej części dachu. Wśród piaszczystych wzgórków porośniętych rzadszą roślinnością znajdował się mały stawek, szczerze, mówiąc większa kałuża. Wystarczająca jednak, by móc się wykapać. Zrzuciłem samodziłowy przyodziewek i już zamierzałem się oplukać, gdy nagle...

We wczesnym dzieciństwie bona czytywała mi „Robinsona Crusoe”. Ta scena jako żywo była wyjęta z tamtej opowieści. Na piasku widać było wyraźnie odcisnięty ślad ludzkiej stopy.

Jeden! Przy kolacji wspomniałem o tym Jeremiaszowi.

— Ślad stopy? To normalne, często się tam kąpię...

— Ale pan ma płaskostopie i nogę jak kajak! — nacisnąłem. — Ten odcisk był niewielki...

— No to może koza... albo wiatr tak ułożył piasek. Daję ci słowo: nie ma tu żadnych ludożerców.

Widziałem, że jest zakłopotany. Wzmocniło to moje wątpliwości i kiedy zadeptywał ognisko, szybko wylałem przygotowany dla mnie napój. Jeśli usypiał mnie, cwaniaczek, co noc, to teraz była okazja przekonać się, po co to robi? Udałem, że zapadam w sen. Zachrapałem. Jeremiasz pokręcił się jeszcze po gospodarstwie, umył zęby, powtórzył „Walter, Walter”, a upewniwszy się, że śpię, ruszył w stronę tajemniczego jeziora. Odczekałem dobrą chwilę i pomaszerowałem za nim.

Skradanie się to głupia, poniżająca czynność, dobra może dla prywatnego detektywa, a nie dla człowieka interesu. Zwłaszcza, gdy wśród drzew mrok jest gęsty jak sadza i co chwila przed nosem wyrasta gałąź, pień lub kolczasty krzak. Szczęściem podśpiewujący pustelnik („Och, kobiety, co one mogą zrobić z nas!”) czynił tyle hałasu, że mogłem się posuwać nie zauważony.

Droga nie była długa. Jeremy minął jeziorko i zatrzymał się przy wzgórku, parę metrów od krawędzi dachu. Widziałem wyraźnie jego przygarbioną sylwetkę na tle luny wielkiego miasta.

Wyjął z kieszeni coś, co przypominało latarkę. Rozległ się krótki pstryk, a potem miarowe buczenie; bryła wydmy drgnęła, piasek sypnął się jak po uruchomieniu elewatora, skrzypnął jakiś zamek, otworzyły się drzwi. Fala światła zalała polankę. Ledwie uskokczyłem w cień.

W prostokącie świetlnym stała smukła postać kobieca, powiem więcej — dziewczęca. Zanim mój pustelnik znikł we wnętrzu i znów wszystko ogarnęła ciemność, dobiegł mnie krótki dialog:

— Halo, kochanie, późno coś dzisiaj przychodzisz!

— Witaj, moja mała Piętaszko!

## 15. AUTOR

Zuzanna nigdy nie zadawała pytań. Nawet do głowy jej nie przyszło, by zagadnąć Tima o broń, która w całej swej zabójczej agresywności leżała pośrodku hotelowego dywanu. Ale pseudoprorok był zupełnie innym człowiekiem niż Walter. Zamachał bezradnie rękami, spiekl raka i spuszczał oczy, rzekł:

— Teraz wiesz wszystko. Jestem gliną.

Dziewczyna przyjęła informację do wiadomości. Podobnie jak nie poruszyłoby jej oświadczenie: „Jestem krokodylem” albo: „jestem płatnikiem podatku wyrównawczego”, atoli Timowi wydało się, że to wyznanie jej nie wystarczyło. Powtórzył więc:

— Jestem parszywym policjantem, udaję zwariowanego hippisa, bo wymaga tego moje zadanie. Ze względu na tajemnicę służbową nie mogę niestety powiedzieć nic więcej. A w ogóle, to muszę iść do pracy.

— Pójdę z tobą!

— Wykluczone, udasz się na kurs kroju i szycia, który zaraz ci załatwię.

— Okay, jeśli sobie tego życzysz.

Tim nie znalazł się na kobietach, wyjąwszy koleżanki z sekcji specjalnej, których ciała poznał niezbyt dokładnie na zajęciach dżudo. Policjantem został tylko dlatego, że tak chciał ojciec, funkcjonariusz, którego splodził również policjant, syn policjanta... Kto wie, czy cała jego rodzina nie wywodziła się od owego aniołka, który w raję pierwszy zakapował Adama i Ewę. Nie ulega bowiem wątpliwości, że już w okresie wędrówek ludów przaszczur Tima rozpoczął

niewdzięczną służbę dla społeczeństwa i dzięki swej inteligencji stał się ulubionym tematem kawałów krążących w hordzie. Cień munduru wisiał zatem nad chłopcem od kołyski. Już jego dziadek po pracy pozwalał malcowi bawić się służbową pałką i gładził płową głowinę, mówiąc:

— Jak dobrze pójdzie, może kiedyś zostaniesz, wnusiu, Ministrem Spraw Wewnętrznych.

Chłopiec kiwał głową i martwił się, ponieważ jego prywatnym marzeniem była kariera buchaltera, czyli księgowego. W rzadkich chwilach, gdy rodzina przestawała go musztrować, zamykał się w schowku na szczołki i tam, z latarką w rękę, dokonywał zawilych obliczeń. Raz był kalkulatorem ogrodu zoologicznego i przeliczał zapotrzebowanie 1897 lokatorów na białko, kiedy indziej dochodził do przerażającego wniosku, że skoro każdy ma czworo dziadków,

ośmioro pradziadków, szesnaścioro prapradziadków, to ludzkość około roku tysięcznego musiała wynosić wielokrotnie więcej niż wynosiła.

Sztywno wpojone zasady moralne nie pozwalały mu na kontakty z plcią przeciwną.

— Nadejdzie czas, założysz rodzinę i rozpoczniesz pożycie — mawiała matka, gdy prosił ją, by pozwoliła mu na udział w prywatce.

Tak wykuta niewzruszona moralność uczyniła go niezastąpionym w pracy, która niesie ze sobą tyle pokus. W obyczajówce był surowy jak Katon, w sekcji narkotyków nieprzekupny jak Robespierre, a gdy rzucono go do działu zwalczającego przestępczość gospodarczą, zatrzęsa się wszechwładna mafia, kontrolująca rejon Wielkiej Depresji.

Tim uporał się z gangami w sposób godny pozazdroszczenia, nie przyjął ofiarowanych kwot, oparł się naciskom i nie zwiodył go czule słowa Rosanny, pierwszego ciała szajki. Posadziwszy wszystkich, których należało posadzić, nie wykluczając paru osób wysoko postawionych, jak zwykle udał się do swego szefa rezydującego na ulicy Przejściowych Trudności, róg Wielkiego Kryzysu.

Dzień był akurat świąteczny, młodzież z okolicznych ulic przygotowywała się do parady.

Nastolatki mocowały się z transparentami, na których łopotwały hasła „Kapitalizm twoim przyjacielem” bądź „Miliarderzy Awangardą Partii Demokratycznej”. Tim wszedł na schody i już zamierzał zadzwonić w umówiony sposób, znany tylko grupce najbardziej zaufanych pracowników cywilnych, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nim mężczyzna w marynarce.

— Inspektor Tymoteusz? — zagadnął.

Policjant potwierdził.

— Poproszę za mną.

Za zakrętu wyłonił się czarny cadillac. Tim wsiadł bez słowa, wychodząc z obowiązującego założenia: im mniej pytań, tym dalej zajedziesz. Ale nie zajechali daleko. Zresztą trudno było trafnie ocenić, dystans mając zawiązane oczy. W pewnym momencie samochód się zatrzymał, coś zgrzytnęło i fotel począł się zapadać.

Czyżby winda towarowa?

Kiedy zdjęto wreszcie nieprzyjemną opaskę, budzącą niemile skojarzenia z egzekucją, Tim znajdował się w niedużym pomieszczeniu bez okien, z jednym biurkiem. Siedział za nim znany z telewizji mężczyzna o twardych rysach i charakterystycznie wysuniętej szczęce. Ciarki przeszły po plecach inspektorowi, różne bowiem krążyły pogłoski o super sekretnych służbach, tworzących w organizmie kraju zupełnie nieznaną obieg. Jeśli bowiem prasa była systemem nerwowym, gospodarkę można było porównać z układem krwionośnym i limfatycznym, to Super Secret Service była niewątpliwie gruczołem produkującym adrenalinę

— czyli strach. Tim, dotychczas pracownik sekretnej służby bez przydomku super, zrozumiał, że spotyka go olbrzymie wyróżnienie.

— Nikt pana nie widział, kiedy pan się tu udawał? — zapytał Człowiek z za Biurka.

— Chyba nie.

— Wykona pan nasze rozkazy?

— Według rozkazu!

— W porządku. To właśnie chciałem wiedzieć.

Człowiek noszący w krajowej hierarchii numer, powiedzmy, jednocyfrowy, przycisnął jakiś guzik. W drzwiach stanęli dwaj niechlujni osobnicy, przy których rodzina Mansona mogłaby

uchodzić za patriarchalne dziewiętnastowieczne stadło.

— To sierżanci Bob i Mike, to jest inspektor Tim. A tu macie potrzebne materiały.

Ściana rozstąpiła się, ukazując obszerny ekran, jednocześnie z gładkiej tapety wysunęła się szufladka zawierająca trzy teczki.

— Tu znajdziecie wszystko — mówił Człowiek z za Biurka. — Trzy pozornie nie związane ze sobą sprawy — być może absolutnie nieważne i nieistotne. A być może o ogromnym znaczeniu. Waszym obowiązkiem będzie ich sprawdzenie. W tym celu będziecie musieli działać pod przykrywką, poza strukturami oficjalnymi, bez wsparcia... Jeszcze dziś, inspektorze, w stołówce policyjnej wdacie się w bójkę o kobietę z waszym dotychczasowym zwierzchnikiem i zostaniecie dyscyplinarnie zwolnieni. Tu jest klucz od sejfu na dworcu Stephensona. Tam znajdziecie kostiumy i wszystko, co będzie wam potrzebne do dalszej działalności. Aha, tu jest numer telefonu, z którego możecie skorzystać tylko w wypadku najwyższej potrzeby. Raz! Poza tym będziecie absolutnie sami, zdani na siebie. Nikt nie udzieli wam pomocy ani wsparcia.

Myślam jednak będę z wami... A teraz wypijmy za pomyślność.

Znów poruszył przyciskiem i z blatu wyłonił się karabin maszynowy.

— O przepraszam, pomyliłem się! — powiedział boss. Nacisnął jeszcze raz jakiś detal i teraz pojawiła się butelka doskonale zamrożonego szampana i cztery kieliszki. Strzeliło.

— Życzę wam niepowodzenia. — Człowiek z za Biurka uśmiechnął się gorzko. — Bo jeśli moje obawy się potwierdzą, niech Bóg ma nas w swej opiece!

Cały ten fragment życiorysu przeleciał Timowi przez głowę, kiedy wpatrywał się w piwne oczy Zuzanny. Dziewczyna ubierała się powoli...

— Właściwie to mogę ci powiedzieć, czym się zajmuję — zwalczam kradzieże kieszonkowe wykolejonej młodzieży — skłamał.

— Kurs kroju i szycia, to może być bardzo interesujące — powiedziała Zuzia, nawiązując do jego wcześniejszej propozycji.

## 16. WALTER

Po odkryciu tajemnicy pustelnika cały dzień spędziłem jak podminowany. Robota leciała mi z rąk. Rozdeptałem dwa melony, urwałem wymię kozie, a spulchniając półko, mało co nie rozharatałem sobie nogi motyką. Godziny wlokły się jak zmęczone żółwie. Cierpiałem nie tylko z chęci wyjaśnienia sprawy, ale głównie dlatego, że nie znoszę dwuznacznych sytuacji.

Pamiętam, gdy kiedyś pewna dziewczyna, na którą miałem ochotę, udzieliła prywatnej usługi wicedyrektorowi firmy „Fifteen Brothers”, moja zemsta była przewyborna. Wykupiłem po prostu wszystkie długie przedsiębiorstwa „Fifteen Brothers”, a następnie doprowadziłem ją do bankructwa. Wicedyrektor, jak każdy przyzwoity szef nieprzyzwoitej firmy, popełnił samobójstwo. Teraz też wiedziałem, że Jeremy zapłaci mi za wszystko. Wcześniej jednak trzeba było wyjaśnić motyw jego dwulicowej gry. A do tego potrzebny był wieczór. Wieczór! Wieczór!

Wieczór, no już! Pustelnik niczego nie podejrzewał, po południowej drzemce był jowialny, rozluźniony...

— No, i jak ci się spało, bracie? — zapytał swym faryzeuszowskim tonem.

— Wybornie. Śniły mi się kobiety, setki kobiet...

— W solarium? — domyślił się obleśnie.

— Nie. W domu towarowym.



— To według sennika egipskiego zdradza postawę konsumpcyjną. Oj, synu — tu pogroził mi palcem — popraw się. Śnij o rzeczach postępowych. Więcej pokory i wstrzeźliwości.

„Skubany hipokryta, już ja mu pokażę sto lat samotności”.

Na razie usypiałem jego czujność, a zamieniwszy czarki z wieczornym napojem, uspiłem go fizycznie. Przedtem jeszcze naplotłem kupę bzdur na temat mojego przekonywania się do życia na dachu, gdzie zarośla tłumią zgiełk miasta, a deszczowa woda i świeże mleko są podstawą dobrego samopoczucia.

Kiedy chrapał już jak ósmy brat śpiący, sięgnąłem do jego kieszeni. Obok sprężynowego noża (szelma!) znalazłem małego pilota i tak uzbrojony powtórzyłem drogę przebytą ubiegłej nocy. Muszę powiedzieć, że odczuwałem emocje. Nie tyle z faktu istnienia tu kobiety, ale z nadziei, że być może tajemniczy właz otwiera drogę na niższe piętra, zaś całe bajanie o żelbetowym stropie jest jedynie czczą historyjką.

Stanąwszy z boku wzgórką, tak żeby nie zdradzić za wcześnie zamiany ról, przycisnąłem guzik nadajnika. Znów rozsunał się piasek, ukazały drzwi prowadzące do wnętrza wydmy.

Rozległo się skrzypnięcie...

— Chodź, ucałuj swoją Pięt...

Głos zamarł na ślicznych ustach. Odepchnąłem dziewczynę możliwie delikatnie, choć zdecydowanie, i już byłem we wnętrzu ziemianki. Lokal zdradzał swoje przeznaczenie od pierwszej chwili; jego centralnym obiektem był okrągły tapczan. Trzy ściany pokrywały obrazy o tematyce, delikatnie mówiąc, frywolnej. Czwartą zajmował ekran, w kącie stały dwa telewizory i masa sprzętu radiofonicznego. Przez uchylone drzwi widać było korytarz z biblioteką a jeszcze dalej kuchnię.

Dziewczyna zatoczywszy się, przysiadła na tapczanie i spoglądała na mnie z niemym zdumieniem, zapominając nawet o zapięciu hojnie rozchylonego szlafrocza.

— Spokojnie! Nie przybyłem tu w złych zamiarach — powiedziałem.

— Kim, kim pan jest?

— Walter Swampson!

— Ach! Jeremy opowiadał mi dużo dobrego o panu, ale pan powinien spać... Jeremy zaraz tu przyjdzie.

— Chyba że jest lunatykiem. Na razie śpi jak susel...

— Uśpił go pan — w oczach Piętaszki zapaliło się coś figlarnego. — Ale ja, uprzedzam, nie panu nie powiem.

— Interesuje mnie wyłącznie, gdzie jest wyjście?

— Stąd nie ma wyjścia.

— Gadanie!

Przeszukałem nieduży apartament, kuchnię, spiżarnię, parę szaf, zajrzałem pod dywan.

Piętaszka chodziła za mną krok w krok.

— Mówiłam przecież, stąd nie ma wyjścia. A może chce pan obejrzeć telewizję?

Propozycję uznałem za śmieszna, tym bardziej że wzrok mój przykuł inny fascynujący kształt: telefon! No tak... Piękny różowy aparat o słuchawce w kształcie śpiącej nimfy i o tarczy... wstyd opisywać! Telefon! To jest to! Wystarczy wykręcić numer, a już za chwilę rozmawiać będę z Magdą albo szefem moich ochroniarzy. Za kwadrans wylądaje tu któryś z moich helikopterów... Nie spuszczając z oka pani domu, chwyciłem nimfę w talii.

— Chce pan dzwonić do swego biura? — zapytała Piętaszka. — Nie radzę. Z tego co mówili w telewizji, już dawno uznano pana za zmarłego. Było też śledztwo, pewne poszlaki wskazywały na pańskiego zastępcę i pańską żonę...

— O cholera!...

— Ale sprawę umorzono. Na pewno nie dopuszczą, żeby pan wrócił.

Staralem się przypomnieć sobie numer telefonu policji miejskiej. Sam przed rokiem wyznaczyłem jej szefa.

— Poza tym telefon od paru dni jest zepsuty — oblała mnie zimną wodą dziewczyna.

— Może da się naprawić.

— Jak Jeremy coś psuje, to psuje... Lepiej włączyć muzykę.

— Nie! A zresztą, jak pani chce.

Włączyła coś nastrojowego i kuszącego zarazem. Telefon rzeczywiście był głuchy jak pień. Cholera!

— Jeremy mówił, że pan jest stary i brzydki — zaszczebotała Piętaszka. — Tymczasem...

— Dajmy spokój komplementom...

Uśmiechnęła się zalotnie:

— To nie komplement, to stwierdzenie faktu.

Normalnie nie zwracam uwagi na bzdury mówione przez kobiety. Biorę, co chcę i kiedy chcę. W tej sytuacji trzeba wziąć pod uwagę długotrwały (ośmiodniowy!) post oraz chwilową dezorientację. Przyjrzałem się uważniej mieszkance wydmy. Stopy już znałem z odcisku na piasku, reszta też była kształtna. Buzia może nieco za okrągła, płowa czuprynka i piersi pierwszej klasy sprawiały nienajgorsze wrażenie.

— No dobrze, skoro chcesz — powiedziałem.

Następny kwadrans był czymś naprawdę godnym podziwu. Naszych osiągnięć nie notowały najstarsze podręczniki biologii, a zezwierzęcenie w namiętności przywodziło na myśl najszczytniejsze osiągnięcia humanizmu. Zniszczyliśmy przy okazji parę mebli, futrzak, makatę, etażerkę z saską porcelaną i (chyba przez nieporozumienie) żyrandol. Wiadomo, że w grze wzajemnych pożądań poduszki, walki, a nawet krzesła mogą odgrywać niebagatelną rolę. Moje upojenie spowodowało, że zlekceważyłem moment, gdy wśród tych rekwizytów pojawił się sznur. I kiedy Piętaszka z gasnącymi płomykami ognia w kącikach oczu zapadła w zasłużoną drzemkę, uczulem, że jestem związany, mało powiedziane, zasznurowany jak baleron lub but narciarski. Węzeł zadzierzgnięty w momencie szczytowego upojenia był nie do rozerwania.

— Rozwiąż mnie, natychmiast! — powiedziałem ostro.

— Po co? Po co... — dziewczyna wyraźnie nie myślała o konwersacji.

— Piętaszko, zawiodłaś moje zaufanie!

— A pan moje oczekiwania.

— Jako mężczyzna? — byłem zaskoczony.

— Nie, jako spryciarz — odrzekła.

— Rozwiąż mnie, to ci pokażę...

— Widziałam, widziałam, dobranoc.

Było coraz gorzej. Próbowalem przyjąć ton perswazyjny:

— Piętaszko, czy jesteś aż tak głupia, by spędzić życie na tym zwariowanym dachu, z abominacyjnym staruchem? Chodź do mnie i pamiętaj, że gdy znajdziemy się tam na dole, nie

pożalujesz...

Nie pożałowała mi knebla, a potem odwróciła się na drugi bok. I zachrapała!

\* \* \*

Nigdy nie byłem w sytuacji równie upokarzającej. Nie mogąc zapaść się pod ziemię, udawałem, że śpię, nawet wówczas, gdy u Piętaszki pojawił się Jeremiasz.

— Jeszcze chrapie — słyszałem szept dziewczyny. — Poza tym jest zupełnie niegroźny, zastosowałam poczwórne węzły. Zresztą mam broń...

— Czego się dowiedziałas? Czy na pewno jest tym, za kogo się podaje?

— No, przecież telewizja pokazywała...

— Głupiaś! — warknął pustelnik i natychmiast zniżył głos: — To wszystko może być ukartowane. A nam tylko brakowało tu szpicla.

— Co z nim zrobimy? Zabijemy go? — w słodkim głosie zadrżał bardzo niesympatyczny ton.

— Jeśli to oryginalny Swampson, może być jeszcze użyteczny.

— Ja ci nie wystarczam?

Anachoreta zaśmiał się i wymierzył dziewczynie przyjacielskiego klapsa.

— Nigdy dość ostrożności. Zwłaszcza, kiedy nasze przedsięwzięcie zbliża się do końca.

Rozmowa zeszła na tematy prywatne, uznałem więc za celową symulację swego przebudzenia. Ziewnąłem potężnie, aż zatrzeszczały ciasne więzy. Jeremy obrócił się szybko.

— Dzień dobry, Walterku — rzekł. — Przepraszam za niedogodność, już cię rozwiążuję. Mam nadzieję, że spałeś dobrze?

Nie odpowiedziałem, pochylił się więc nade mną i szybko przeciął sznury. Milczałem nadal.

— Rozumiem, możesz mieć do mnie trochę żalu, że nie powiedziałem ci całej prawdy, ale widzisz, nie chciałem cię pakować w moje interesy. Mówiłem zresztą i tak dość dużo...

Uśmiechnąłem się ironicznie; Jeremy nie przerwał jednak swego monologu:

— Rozumiem, rozumiem, dziewczyna i sybarycki apartament nie pasuje ci do prostoty życia pustelnika, ale zrozum: człowiek jest słaby. W dzień pokutuję za grzechy nocy i bilans wychodzi na zero. Przynajmniej w moich rachunkach z Opatrznością. A że nie cierpię za grzechy innych — no cóż, wyznałem ci już, że nie mam charakteru altruisty... Tak, Walterku, jeśli coś przemilczałem, to dlatego, że musiałem sprawdzić, czy nie zostałeś tu zrzucony celowo.

— Nie rozumiem? — odezwałem się.

— To długa historia. Dziesięć lat temu należałem do mocnych ludzi Drugiego Wybrzeża. Nie słyszałeś zapewne mego nazwiska, bo zawsze wołałem stać w cieniu. Niemniej stojących w cieniu było więcej. Przegrałem, naraziłem się trzem najpotężniejszym rodzinom. Osaczono mnie, złamano. Z paru powodów, których, jeśli pozwolisz, nie wyjawię, moja śmierć nie była dla mych antagonistów warunkiem sine qua non; gotowi byli zgodzić się na moje dobrowolne wycofanie. Wybrałem banicję i ten dach.

— Dlaczego właśnie dach?

— To daje im gwarancję, że nie wrócę; co pewien czas sprawdzają mnie z samolotów.

— A Piętaszka? — zapytałem. — Czemu ją ukryłeś w tej ziemiance kategorii luks?

Przez chwilę milczał.

— Powiedz mi, Jeremy, co ci szkodzi — wtrąciła się dziewczyna.

— Sprawa jest prosta: gangsterzy nie wiedzą o jej obecności na dachu. A ja nie chcę, żeby

mi ją ktoś porwał.

Dziewczyna przytaknęła, teraz w pełnym świetle miałem wrażenie, że już kiedyś widziałem tę twarz. Oczy, grymas ust, były jakby znajome. Gdyby nie kolor włosów i zarys nosa powiedziałbym... Ale nie było czasu na analizy porównawcze. Rzekłem krótko:

— Dziękuję za informację, niemniej nie widzę powodu, aby przedłużać moją wizytę na tym zapaćkanym dachu.

— Mimo to pozostaniesz naszym gościem — stwierdził pustelnik z naciskiem. — Może kawy albo koniaku?

To mówiąc, odwrócił się w stronę barku.

Od momentu przecięcia więzów czekałem na tę okazję. Silnym pchnięciem stopy rzuciłem go na tapczan, z półobrotu unieszkodliwiając kantem dłoni Piętaszkę. Dziewczyna upadła, upuszczając trzymaną broń, ale dziarski pustelnik szybko przetoczył się po futrzaku i gdy powstał, jego dłoń przedłużała klinga. Wykonałem unik i sparowałem cios krzesłem, następnie prześlizgnąłem mu się pod ręką, uchwyciłem ją w przegubie i zrobiłem przerzutkę. Podwójnym saltem Jeremy padł na telewizor. Huknęło, implodowało, zadymilo.

— Zabiłeś go, brutalu! Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy! — zapiszczała skurczona i spokorniała Piętaszka.

— Nic mu nie będzie, za godzinę dojdzie do siebie — powiedziałem, dokonawszy szybkich oględzin. — A teraz pani wybacz, że ją pożegnám. Pierwsza wizyta nie powinna być za długa.

Uniosłem linę, którą niedawno tak skutecznie mnie zwiázano i z gorącym postanowieniem definitywnego rozstania skierowałem się w stronę krawędzi dachu. Wystarczy, jeśli sznur sięgnie okien najwyższych pięter. Potem jakoś sobie poradzę... A swoją drogą, warto było uprawiać sport.

## 17. AUTOR

Inspektor Tim, tajny agent grupy A-12, czuł się marnie. Fizycznie wyczerpywała go Zuzanna, żadnej zaprawy przeciw w tym względzie nie miał, a psychicznie dławilo go poczucie bezsilności. Od trzech miesięcy, to znaczy od chwili, gdy szef Super Secret Service uczynił go odpowiedzialnym za tę robotę, jego postępy były więcej niż skromne. Nie lepiej wiodło się sierżantowi Bobowi i Mike'owi. Daremnie penetrowali środowiska wizjonersko-apokaliptyczne we wszystkich większych ośrodkach obu kontynentów, grając przewybornie rolę nawiedzonych proroków. Jak dotąd nie natrafili na nikogo z poszukiwanych, których zdjęcia i portrety z wyobraźni wżarły się w ich mózgi mocniej niż korozja w rurę kanalizacyjną.

Piętnaście dni upływało od momentu, gdy Tim zwiázal się z Zuzanną, osiemnaście od przybycia do Wielkiej Depresji, i nadal dreptali w miejscu.

Czwartek był dniem wyjątkowo nieudanym — rano pokłócił się z Zuzanną na temat pism pornograficznych, które zdecydowanie potępiał, a Zuzia uwielbiała (w paru zablýsła swego czasu jako bohaterka), koło południa zapłacił mandat za złe parkowanie, a na „podwieczorku z orgią” — imprezie organizowanej w „Szalejącej Dolince” z udziałem tłumów wykolejonej młodzieży, pomylił wersety ze swych psalmów.

— Jutro skorzystam z zastrzeżonego telefonu i przekażę szefowi nasze zdanie o bezcelowości akcji — zdecydował o dziesiątej wieczór, na krótkiej odprawie z Mike'em i Bobem, która odbywała się w wesołym miasteczku.

— Nie będzie zadowolony — powiedział Bob. — Pośle nas do diabła!

— Albo na placówkę — westchnął Mike, który niejedno w życiu przeżył.

— A zatem, co robimy, dajemy sobie jeszcze trzy dni czasu? — spytał Tim.

Zgodzili się większością głosów. I każdy ruszył w stronę swej kwatery.

Tim minawszy rozbitą beczkę śmiechu i tunel grozy, w którym okoliczni mieszkańcy urządzili sobie szalet, wyszedł na ulicę. Kilkadziesiąt metrów i już znajdował się w pasażu centrum handlowo-rozrywkowego. Późna pora wyludniła deptak, tylko wiatr pędził strzępy gazet, w których można było wyczytać nagłówki: „Postęp nie przejdzie” lub „Militaryzm nadzieją ludzkości”. Dwóch pijanych obywateli walczyło o wstęp do pubu, ale barczysty portier odmawiał wpuszczenia, argumentując, że nie mają krawatów.

Idąc opustoszałą ulicą Tim dostrzegał na witrynach rozmaite wywieszki: — „Z powodu awarii striptizerki program odwołany” lub „Wyszedłem na giełdę”, czy też „Konsument ma prawie zawsze rację”. Tuż za pornoshopem stała długa kolejka po darmowe hamburgery z Armii Zbawienia, zaś większość taksówek stojących pod hotelem miała tabliczki: „Wyłącznie do Park Square”, „Zjeżdżam na bazę” albo „Jadę tylko za franki szwajcarskie”. Zaczął siąpić dokuczliwy deszczyk. Tim zwyczajem tajniaków zamierzał postawić kołnierz, atoli zorientował się, że żakiet proroka nie posiada takowego, i dał spokój. Zziębnięty ruszył w stronę hotelu.

Dookoła tańczyły neonowe feerie świetlne, rozbierały się wielometrowe panienki, kusily reklamy środków piorących i sypały się monety z napisem „Październik m...cem osz...ę... zania”.

— Ech, źle się dzieje z tym szczytowym stadium kapitalizmu — pomyślał agent.

— Masz ognia? — zacharzał nagle głos z boku.

Przypalił machinalnie, prawą rękę zachowując na wszelki wypadek do odparcia ataku.

W płomyku zapalniczki błysnęła śniada twarz palacza... Nagły skurcz targnął sercem policjanta. Nie dał po sobie niczego poznać, ale gdy przypalający odwrócił się, poszedł za nim z gorliwością myśliwskiego wyżła. Parę miesięcy czekał na ten moment. Miał przed sobą rozłożyste plecy osobnika o pseudonimie Ezechiel, jednego z pięciu bohaterów listy, którą otrzymał u zarania całej akcji. Znał również kryptonimy pozostałych — Jonasz, Eklezjasta, Hiob, Daniel... Szósty pozostawał na razie nieosiągalny, choć przynajmniej jego miejsce pobytu było ustalone.

\* \* \*

Ezechiel najwyraźniej nie zauważył, że jest tropiony, chyba w ogóle nie brał pod uwagę tej możliwości, nie zachowywał żadnej ostrożności, szedł krokiem energicznym, pewnym. Zamiast jednak kierować się w stronę rozrywkowego centrum, jak przypuszczał Tim, pomaszerował w kierunku wysokich domów mieszkalnych. Dotarłszy na miejsce obejrzał się i pewnie wszedł do budynku oznaczonego numerem 6. Portier poderwał się na jego widok, po czym nagle przysiadł, zgarbił się, a następnie osunął na blat, jakby ukąszony przez niewidocznego węża.

Ezechiel wsiadł do windy. Gdy zasunęły się drzwi dźwigu, Tim podskoczył do wejścia. Niestety, szklana tafla została już zablokowana. Tim przycisnął dzwonek, ale portier nawet nie drgnął.

Wyważenie pancernej szyby było przedsięwzięciem niewykonalnym, pozostawało tylko czekać.

Cyferki; zapalające się ponad drzwiami windy wskazywały, że dojechała do najwyższego piętra.

Tim odszedł od zamkniętych drzwi i cofnął się kilkadziesiąt metrów. Miał teraz przed sobą cały, w większej części mroczny wieżowiec (ta cholerna oszczędność energii), za plecami był park, a w pewnej odległości Mega Building. Tymczasem na najwyższym piętrze bloku, w oknie klatki schodowej błysnęło światelko, potem zgasło i zapaliło się powtórnie. Krótka, długo, krótka, długo... Tim natychmiast przypomniał sobie alfabet Morse'a wyniesiony z czasów skautowskich:

„Za-lat-wio-ne, Je-re-my, go-to-we”.

Dla Tima stało się teraz wszystko jasne. Piątka pozostawała w kontakcie z mieszkańcem dachu. A więc jednak! Kiedy Ezechiel ponownie znalazł się na dole, Tim podszedł do niego jak kot.

— Ręce do góry, policja!

Ale czy ton był nieprzekonujący, czy pora nieodpowiednia, dość, że specjalista od kodu Morse'a uskoczył jak piłka i znikł za występem muru.

— Stać, stać, bo będę strzelał! — regulaminowo uprzedził zbiega Tim. Tamten jednak lekceważył sobie wszelkie ostrzeżenia. Sadził wielkimi susami, klucząc zarazem jak zając w rzysku.

— Trudno — pomyślał Tim, unosząc colta. Bang! Bang!

Ten drugi strzał był już zbyteczny. Ezechiel z szeroko rozrzuconymi rękami leżał w poprzek rynsztoka, z wyrazem dziwnej satysfakcji w rozwartych oczach. Przeszukanie kieszeni niewiele dało, poza gazem paraliżującym w aerozolu (jego działanie poznał na sobie nieszczęsny portier), była jeszcze latarka, mały pistolet i chyba przez zapomnienie gruszka z kluczem hotelowym pokoju numer 341. Hotel nosił nazwę „Finisz”. Aha, w wewnętrznej kieszeni obok zwitka pieniędzy, dłoń gliny wymacała książeczkę niewielkiego formatu. Było to „Objawienie św. Jana” znane pod popularnym tytułem — „Apokalipsa”.

## 18. WALTER

Nareszcie pojawiła się szansa na ucieczkę. Musiałem ją wykorzystać! Początek ewakuacji nie nastęczał trudności. Sprawdziłem linę, wyglądała na wytrzymałą, przymocowałem ją do solidnego pnia, a na krawędź dachu rzuciłem kawałek grubej tkaniny, aby zapobiec przetarciu się sznura; dla lepszego schodzenia zawiązałem też parę węzłów. Dokonawszy tego wszystkiego, rzuciłem koniec liny w dół i spuściłem nogi poza okap. Powiało zapachem i zgiełkiem metropolii. Pół kilometra w dole kolumny samochodów posuwały się wielopoziomowymi autostradami na kształt pielgrzymek żuczków czy innych karaluchów, autobusy przypominały owady zwane za czasów mego dzieciństwa karawaniarzami, a wielkie, kilkucylonowe ciężarówki transkontynentalne kojarzyły się z mrówkami taszczącymi swe jaja w rozgrzebanym mrowisku. Ująłem mocno linę i wychyliłem się jeszcze bardziej. Głupia sprawa, najbliższe okna odległe były o osiem metrów, a ściana wieżowca lśniła gładzią aluminiowych płytek. Wśród różnorodnych sportów uprawianych przeze mnie miałem parę osiągnięć alpinistycznych: zimowe wejście na Mont Blanc, letnie na Kilimandżaro i jesienne na Annapurnę. Oczywiście, zawsze miałem wtedy asekurację w postaci wytrenowanych górali, szerpów czy ratowników alpejskich. Uważałem, że ryzyko jest wtedy najprzyjemniejsze, gdy go nie ma. Poza tym, w wypadku zmęczenia zawsze mogłem zdobyć szczyt „na barana”. Obecna sytuacja nie pozostawiała mi jednak wyboru. Ruszyłem. Lina zakolebała się wahadłowo. Świat zatańczył pode mną, przypominając natrętnie, że pół kilometra w pionie to



dużo więcej niż ten sam dystans w poziomie.

— Patrz tylko w górę, tylko w górę! — powtórzyłem sobie maksymę wspinaczy.

Popatrzyłem i widok zmroził mnie bardziej niż wiatr hulający pod moją samodzielną szatą.

Sponad okapu spoglądało na mnie coś żółtego. Chciałem posunąć się niżej, ale ręce dziwnie kurczowo zacisnęły się na węzłach. To coś żółtego miało skośne oczy, ciemne włosy i ostrzyło o krawędź dachu kordelas. Zgrzyt noża wykluczał możliwość złudzenia optycznego.

— Zaiste, miły spacer, czcigodny panie Walterze — powiedziała naraz zjawa nie zaprzestając ostrzeżenia.

— Tak, właśnie — bąknąłem, dyndając na sznurze jak zdechła ryba. — Lekarz zalecił mi sporo ruchu na świeżym powietrzu.

— Słuszna maksyma, czcigodny. U nas, w cieniu wielkiej Fudzi, mawiają: „Lotem bliżej!”

Pomogę ci.

Charakterystyczne wzniesienie noża dowodziło, że uprzejmy przedstawiciel Dalekiego Wschodu serio traktuje pomysł dopomożenia mi w jak najszybszym dotarciu na dół. Niemal fizycznie czułem, jak kordelas pogrąża się we włóknach liny.

— Stop, Nakayama, wystarczy! — zabrzmiał nagle głos Jeremiasza.

— Czy pan Walter ma wrócić, gwiazdo mego dachu? — zapytał Japończyk z wytwornością właściwą jego nacji.

— Niech jeszcze trochę podynda! — doleciał zjadliwy śmieszek Piętaszki.

— Powiedziałem, wystarczy!

— Twoja wola, pagodo mej duszy, chociaż nasze stare przysłowie mówi: siedem razy upadniesz, osiem razy powstaniesz... On może być groźny, ale go wyciągnę!

To mówiąc, ruchem mistrza wędkarskiego pociągnął za linę, a ja jak szczupak rekordzista wylądowałem na piaszczystym wzgórku.

— Skąd on się tu wziął — wybelkotałem. — Ten bandyta?!

— Ostrożnie z epitetami — powiedział Jeremiasz. — Nakayama jest wcieleniem dobroci, ale raz powziętą urazę zachowuje do zgonu. Jako typowy syn Kraju Kwitnącej Wiśni prędzej popelni harakiri, niż zejdzie z raz obranej drogi.

Spojrzałem na nieprzenikloną twarz Japończyka. Ukłonił się uprzejmie.

— Ponadto — ciągnął pustelnik (choć jak na pustelnię zaczął się tu robić stanowczo za duży tłok) — nasz tokijski przyjaciel jest mistrzem sztuk walki. Aliści ma swoisty kodeks moralny, nie zabija bez wyraźnego polecenia. Pamiętam, jak trzy dni katował pewnego nieszczęśnika, ponieważ wyjeżdżając zapomniałem dać mu rozkaz: dobij! — Tu machnął ręką.

— Możesz odejść, Naki.

Nakayama ukłonił się, zakręcił się na pięcie i znikł w zieleni, a po paru sekundach doleciało nas zagadkowe pluśnięcie.

— Burczy nam w brzuchu — powiedziała Piętaszka. — A śniadanie stygnie.

— Doskonale, zaprosz Waltera, niech raz ma gastronomiczną odmianę, a ja tymczasem pójdę wydoić kozy.

Kuchnia i spiżarnia w ziemiance — salonce zaopatrzona była jak stolówka dla senatorów.

Puszkowane szynki, kapsuły z kawiozem, wina i koniaki, konserwy z łososią robiły wrażenie nawet na człowieku przyzwyczajonym do dobrej kuchni...

„Wykluczone, żeby te zapasy leżały tu od dziesięciu lat”, powiedziałem sobie w duchu.

Gospodyni jednak nie jedzenie było w głowie.

— Może pobaraszkuje trochę? — zaproponowała, chichocząc. Miałem ochotę ją stłuc.

Odgadła to.

— Dam ci, kochany, dyscyplinę i pejcz. To lubię — rzekła, oblizując się. — Nie chcę tylko, żeby Jeremy wiedział o naszej „rozmowie”. Stary jest zupełnie nietolerancyjny. Fanatyk w każdym calu.

— A wczorajsze igraszki puścił płazem?

— Wczoraj oddałam ci się służbowo, dla dobra sprawy... No — ostrymi pazurkami przejechała po moim ramieniu — buzi!

— Buzi później! Posłuchaj, kochana. Nie mam zamiaru mieszać się w wasze interesy, ale muszę jak najprędzej dać stąd nogę. Słowo biznesmena, że nie wspomnę nikomu o waszej Enklawie. Więcej, jeśli chcecie, użyję swoich wpływów, aby poskromić tych gangsterów...

— Dlaczego nie chcesz tu zostać... brzydalu?

— Nienawidzę pustelnicstwa.

— Widzisz przecież, że pustelnie mogą być różne. Są jedyńki, są pustelnie grupowe.

A pustelnia sześćoosobowa to prawdziwa seks grupa.

— Możemy pustelnikować wszędzie, złotko: w Rio de Janeiro i Honolulu! Ale ten przeklęty dach działa mi na nerwy!!!

— Lęk wysokości?

— Nie, poczucie marnowania czasu.

— No to nie marnujmy go! Tu uderz! Tu! I nałóż mi kolczatkę. Do krwi! — zażądała.

— Pomóż mi w ucieczce, Piętaszko, a zrobię cię pierwszą damą świata!

— Nie chcę być damą, chcę być dziwką! — zaśmiała się.

I wtedy przypomniałem sobie! Te słowa, ten ton, te oczy. Operacja plastyczna zmieniła jej nosek, a dobry fryzjer przerobił uczesanie i kolor włosów. Wszystkiego jednak zmienić nie można. To samo zdanie trzy lata temu wypowiedziała na tajnej konferencji prasowej córka Szefa Super Secret Service, Sonia. Było to w miesiąc po jej ucieczce z domu rodzicielskiego i przyłączeniu się do sekty apokaliptyków.

## 18. AUTOR

Zanim jeszcze ciało Ezechiela zdążyło wystygnać na dobre, Tim za pomocą krótkofalówki zebrał swoją trzyosobową grupę. Przy czym pod określeniem „swoja” kryło się coś dwuznacznego. Nominalnie Tim był szefem, ale miał świadomość, iż obaj podlegli mu funkcjonariusze kontrolują jego posunięcia, informując o wszystkim przelożonych. (Szef SuSeSu wie, jak organizować ludzi na zasadzie ograniczonego zaufania). Zespół prezentował się malowniczo: ogromny Murzyn — Bob, chuderlawy Mike z niewątpliwą domieszką krwi indiańskiej i bladolicy Tim dopełniali się jak klocki w kolorowej układance. Łączyły ich obszarpane kostiumy „dzieci bożych”. Były inspektor błyskawicznie wprowadził kolegów w sytuację i skromnie przyjął gratulacje współpracowników.

— Czy Ezechiel coś zeznał? — zapytał Mike, nie przestając żuć gumy. Zawsze musiał ruszać szczękami. A gdy brakowało balonowy, żuł przekleństwa.

— Nic nie zeznał i nie zezna — odrzekł Tim. — Niestety, strzelam za celnie. Wiemy jednak, gdzie szukać tych ptaszków — uniósł gruszkę z kluczem: Hotel „Finisz”.

— A ja nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie dorwiemy tego cwaniaczka z dachu. Po tym,

co mówileś o sygnałach Morse'a nie ma wątpliwości, że jest w kontakcie z apokaliptykami.

Zróbmy desant i podduśmy go! — podniecił się Mike.

— Mamy za mało konkretnych dowodów — zaproponował Tim. — Wszystko opiera się wyłącznie na domniemaniach, poszlakach, domysłach... Poza tym jest z nimi Sonia, co stanowi poniekąd jego puklerz...

— Jedźmy więc do hotelu „Finisz” — mruknął Bob. — Dla niepoznaki proponuję ruszyć jakimś kradzionym wozem...

— OK! — zgadza się były inspektor. Nie ma zresztą innej koncepcji. Nadal nie wie, jak dopaść przeciwnika ukrytego na „dachu”. Chyba, żeby apokaliptycy złożyli jakieś zeznania obciążające Jeremiasza. Na razie trudno jest cokolwiek zrobić — Sonia, jako pełnoletnia, nie może być sprowadzona do domu siłą, pustelnik–dachowiec w świetle obowiązującego prawa jest czysty. A że związał się z sektą apokaliptyków, powstała jako odprysk gminy samobójców?

No cóż, na żadnym z piątki proroków nie ciążyły zbrodnie, w orgii śmierci w Księżycowej Osadzie na Saharze nie brali żadnego udziału. A że wieszczili koniec świata? Cóż, na ten temat lamentuje tyle sekt, bractw i stowarzyszeń, że starczyłoby nie na jeden, a na tysiąc kataklizmów. Gdyby nie zielona teczka, która pewnego dnia znalazła się na biurku Szefa Super Secret Service, w ogóle nie podjęto by żadnej akcji.

Tymczasem Bobowi bez trudu udaje się uruchomić jakiegoś starego chevroleta. Ruszają. Do hotelu położonego na odległym przedmieściu mają przeszło czterdzieści kilometrów. W trakcie drogi zaczyna świtać. Spoza gór okalających skalistym wieńcem Wielką Depresję wschodzi słońce, zapowiadając skwarny dzień. Tim z pewnym wzruszeniem myśli o małej Zuzannie oczekującej go w hotelu „Minerwa”.

„Pewnie się o mnie niepokoi, maleństwo. Była cały dzień na kursie, dostała nawet piątkę...”

Oto i hotel „Finisz” — nieforemny, kryty saidingiem pawilon, położony opodal wjazdu na autostradę. Chłopcy zostają na ulicy, a Tim wkracza do recepcji i budzi recepcjonistę... Podaje się za apokaliptyka i pyta o Ezechiela, opisując dość barwnie jego powierzchowność.

— Tak, mieszka tu razem z czterema kolegami... Bardzo przyjemni studenci teologii. Płacą regularnie! Pokoje 34, 5 i 6, 7... — informuje go łysy kurdupel, ledwie wystający zza kontuaru.

Tim wbiega na schody, odbezpieczając broń. Kopnięciem wyważa drzwi. Niestety, pokój jest pusty. Tak samo trzy następne. Kiedy dołączą partnerzy, rewizja wykryje jedynie kufer wypełniony — rzecz znamienna — pięcioma bardzo grubymi futrami, zupełnie nieprzydatnymi w ciepłym klimacie Wielkiej Depresji. Wracają przygnębieni.

— Chyba zapomniałeś mi powiedzieć, że koledzy wypuścili się gdzieś na noc — zwraca się Tim do łyska krasnala.

— A rzeczywiście, zupełnie zapomniałam. Wychodzili przed świtem na medytację.

— Wie pan gdzie?

Recepcjonista milczy i zerka niespokojnie na trójkę obszarpańców.

— Jesteśmy również badaczami Pisma — szczerzy zęby inspektor.

— Będziemy niepokieszeni, jeśli nie nawiążemy kontaktu z naszymi braćmi w Panu. — Tu wyciąga przygotowany banknot. Nominał jest wystarczający, by człowieka kupić, a nie rozpaskudzić. — Gdyby był pan tak uprzejmy dać nam znać, gdy wróca... To jest nasz telefon.

— Czy ma pan też jakieś świątobliwe imię? — pyta mężczyzna, chowając skwapliwie banknot.

— Oczywiście, brat Abakuk — odpowiada z uśmiechem Tim.

— Tylko proszę nic nie mówić o naszej wizycie pańskim gościom, chcemy im zrobić miłą niespodziankę.

Ledwo zamykają się za nimi drzwi, recepcjonista szybko przeciera oczy i wykręca jakiś numer.

— Byli tu tacy trzej, wyglądali na przebranych gliniarzy. Ale słabo węszyli. Ich szef podał nawet swój numer 347-78-91, wewnętrzny 621. Sprawdziłem, to jest hotel „Minerwa”.

## 19. WALTER

Od dwóch dni nie mam apetytu. Nie lubię niejasnych sytuacji, a intuicja podpowiada mi, że Jeremiasz nie powiedział całej prawdy. „Odcięci od świata?” Akurat! W jaki sposób na dachu znalazłaby się Sonia? Skąd nagle wziął się ten dziki kamikadze? I co za pomysł robić sobie kryjówkę w tak widocznym punkcie? O ile jeszcze z ziemi ze względu na wysokie obramowanie dachu Enklawa jest zakryta, z powietrza dostępna jest jak kanapka na półmisku.

Nie znajduję odpowiedzi na żadną z tych kwestii. Aby uspokoić nerwy, biorę się za międlenie konopi.

## 20. ZNOWU AUTOR

„I usłyszałem głos jednej z czterech postaci, donośny jak grzmot, mówiący: Chodź!

I widziałem, a oto biały koń, ten zaś, który siedział na nim miał łuk, a dano mu koronę i wyruszył, aby zwyciężać...”

Tim odczytał werset zakreślony ołówkiem. Obok na marginesie kieszonkowego wydania

„Apokalipsy” postawiony był mały krzyżyk. Widać Ezechiel należał do bardzo aktywnych czytelników Pisma.

„A gdy zdjął drugą pieczęć, usłyszałem, jak druga postać mówiła: Chodź! I wyszedł drugi koń, barwy ognistej, a temu, który na nim siedział, dano moc zakłócić pokój na ziemi, tak by mieszkańcy jej zabijali się nawzajem...”

I ten fragment opatrzony był znakiem, jakby i ta sprawa była odfajkowana. Podobnie przekreślony był werset trzeci i czwarty: „I widziałem, oto siwy koń, a temu, który na nim siedział, było na imię śmierć, a piekło szło za nim...”

Wokół jadących agentów z wolna budziło się miasto. Bob nalegał, by się pospieszyli.

— Nie musimy się spieszyć — recepcjonista na pewno da znak, kiedy apokaliptycy powrócą. Znam się na ludziach. Ten karzeł za setkę zrobi wszystko... — twierdził wszystkowiedzący Mike.

— Chyba, że ktoś zapłacił więcej — refleksyjnie zauważył inspektor, zabierając się za piątą a następnie szósty passus „Objawienia Św. Jana”.

„I widziałem, gdy zdjął szóstą pieczęć, że powstało trzęsienie ziemi i słońce pociemniało jak czarny wór, a cały księżyc poczerwieniał niby krew. I gwiazdy niebieskie spadły na ziemię, jak drzewo figowe zrzuca figi swoje, gdy wiatr gwałtownie nim potrząśnie...”

Wjechali na szczyt estakady, gwałtowny poryw rannego wiatru zachybotał samochodem.

Tim, nie wiedząc czemu, wzdrygnął się. Czyżby czytelnik *Objawienia* zakreślał fragmenty stanowiące analogie ze współczesnym światem?

„I niebo znikło jak niknie zwój, który się zwija, a wszystkie góry i wyspy zostały ruszone z miejsc swoich. I wszyscy królowie ziemi i możnowładcy, i wodzowie, i bogacze, i mocarze, i wszyscy niewolnicy, i wolni ukryli się w jaskiniach i skałach górskich. I mówili do gór i skał:

**Padnijcie na nas i zakryjcie nas przed obliczem tego, który siedzi na tronie”.**

Ten fragment, aczkolwiek również zakreślony, nie miał żadnego znaku odfajkowania.

Oddech ulgi wyrwał się z piersi Tima, który chwilę potem roześmiał się w duchu.

— Zwariowałem chyba, mam się bać legend? Jako dobry policjant inspektor nie wierzył w Boga, a wyłącznie w konstytucję i kodeks karny. Poza tym ze szkół i domu wyniósł niewzruszalne przekonanie, że sprawiedliwość prędzej czy później zwycięży. Czyż nie dowodziła tego historia? No, może nie tylko historia, ale również pitawale sądowe.

Do hotelu „Minerwa” pozostało jeszcze około dwóch kilometrów. Za krótko, by się zdrzemnąć, wystarczająco, by pomyśleć. O co chodzi tym pomyleńcom?

## **21. ZAŁĄCZNIK NR 7**

**Do użytku wewnętrznego Poufne/Tajne**

**Pieczątko archiwum Super Secret Service**

**Zagadnienie Ruchu Apokaliptyków (na podstawie relacji Filipa Odstępcy, pseudo „Jonasz” i innych opracowań źródłowych)**

Sekta Wybrańców św. Jana wyłoniła się z dziesiątek podobnych grup mistycznych nie dalej jak jakieś osiem lat temu. Jej twórca — niejaki Patryk O’Brien — doznał objawienia pewnej nocy w pobliżu Dublinu. Przemieszkiwał tam na farmie położonej i odludziu i o zmroku lubił spacerować z psem po okolicznych ścieżkach. Tego razu było mgliście. Obok mgły w powietrzu wisiała wielka cisza, taka że — jak opisywali przygodni świadkowie — owa cisza i mgła były wręcz materialne. Nieomal można je było krajać nożem. I nagle O’Brien usłyszał

tętent. Znajdował się na rozstaju dróg, do którego z czterech stron zbliżało się czterech jeźdźców. Późniejsze badania policyjne nie wykryły wprawdzie śladów kopyt, ale bardzo możliwe, iż zdeptały je niezliczone tłumy ciekawskich! Mniej więcej po minucie O’Brien zobaczył kilka postaci, a właściwie otoczyły go cztery końskie lby wynurzające się z mgły.

Pyski miały przerażające, atoli sami jeźdźcy pozostawali niewidoczni. Pies O’Briena, olbrzymi wodolaz, drżąc i skomlać, rozplaszczyl się na ziemi. Irlandczyk również odczuł strach, nie wiedział i począć. Wtem, raczej umysłem niż uszami, usłyszał głos:

— Nie lękaj się, albowiem jesteś wybranym. Spójrz w górę!

Uniósł oczy — śnieżna ręka wyłoniła się z mroku i podała mu platynowy dzwon!

Niedowiarkowie utrzymywali, że O’Brien wymyślił całą historię po kilku głębszych, niemniej istnienie dzwonu było faktem. Każdy mógł go zobaczyć. Faktem były też epileptyczne ataki „wybranego”. Ataki, podczas których objawiał swe prawdy. I choć wymawiał je jako Alfa i Omega, swoim wiernym Patryk przedstawiał się jako Omikron.

W naszych czasach każdy, nawet najgłupszy pomysł, rychło znajdzie wyznawców.

Ostatecznie powstały potężne ruchy na znacznie słabszych podstawach teoretycznych.

Filozofia apokaliptyków była dość prosta: świat się kończy i nie należy mu w tym przeszkadzać. Ba, lepiej nawet jest pomóc, aby szybciej mieć wszystko za sobą. Kataklyzm i tak przeżyją tylko wybrani, czyli wtajemniczeni należący do sekty i przestrzegający regulaminu, na który składało się: uczestniczenie w seansach, noszenie znaczka z trąbą jerychońską i skrupulatne opłacanie składek organizacyjnych.

„Czyż cały rozwój człowieka — pisał O’Brien w felietonach dla czasopisma „The End” — i całe jego dzieje nie są jednym wielkim dowodem na to, że świat nieustannie się psuje? Czy każdy wynalazek, od tłuka pięściowego do bomby neutronowej, nie był kolejnym krokiem do

samozagłady, czy rosnąca od zarania historii wolność człowieka nie była po prawdzie antywolnością, prowadzącą do alienacji jednostki?”

Wyznawcy O'Briena hojnie podpierali się teoriami Tofflera i jego następców, powoływali się na Freuda, Fromma, a nawet Nietzschego, choć przeważnie były to zdania powyrywane z kontekstu. Na zasadzie konkurencji poczęły też powstawać nurty rywalizujące z dublińską ortodoksją, mnożyły się schizmy i herezje. Panowała też pełna niezgodność co do sposobu zagłady i możliwości czynnego w niej uczestnictwa. Byli apokosmicy, nuklegaci, nonapokaliptycy i ostateczniacy. Prąd osiągnął swoje apogeum, kiedy w czwartym roku od swego objawienia, O'Brien, który ukończył właśnie tworzenie wzorowej Gminy Księżyca w odludnym zakątku Sahary, wyznaczył w porozumieniu ze swym dzwonem północ z 12-go na 13 sierpnia nieodwołalnym terminem końca wszech rzeczy. Już nazajutrz Omikron stał się przedmiotem zjadliwych żartów licznych humorystów. W „Harakiri” zamieszczono rysunek gołego proroka, którego pośladki tworzyły półkule ziemskie. W egzotycznych „Szpilkach”

ukazał się rysunek Patryka przygniecionego przez olbrzymi kalendarz z nieszczęsną datą. „On pierwszy kopnął w kalendarz” — głosił podpis. Natomiast w „Krokodylu” zamieszczono karykaturę przedstawiającą katastrofistę złapanego mocarną ręką. Poniżej rozmawiało dwóch brzuchatych jegomościów palących cygara:

— Rzeczywiście, nasz imperialistyczny świat się kończy! — mówił jeden do drugiego.

Aliści nie wszędzie prorocstwo zbywano uśmiechem. Niespokojnie zareagowała nowojorska giełda. Cena złota poszła w górę. W Londynie masowo zaczęto wykupywać mąkę i cukier.

Wzrosło powodzenie pielgrzymek i kontemplacji. Tłumnie wykorzystywano zaległe urlopy.

Wskutek wzrostu liczby testamentów gwałtownie zwiększyły się obroty biur notarialnych.

W ciągu zaledwie czterech miesięcy świat przeżył gwałtowną falę wyuzdania, a następnie purytanizmu.

W lipcu nastrój zrobił się dość histeryczny. Mimo przerwania sesji ONZ — delegaci nie rozjeżdżali się do domów. Ostatnich parę dni przypominało nastrój przed mistrzostwami świata w piłce nożnej. Czekano. Naukowcy uspokajali... Oczywiście maksymalne emocje panowały wśród najbliższych wyznawców O'Briena, który nie zaprzestawał kreślenia coraz bardziej upiornych chwil zagłady.

Dziennikarz, który na przełomie lipca i sierpnia odwiedził Gminę Księżyca, relacjonował, że psychiczny stan apokaliptyków przypomina trans delfinów, dobrowolnie dryfujących ku mieliznom, gdzie czekała ich niechybna śmierć.

Nie pomylił się. Gdy godzinę przed oznaczonym terminem zadygotała ziemia, w saharijskiej wiosce nastął płacz i zgrzytanie zębów.

Zapalono reflektory i wśród hałaśliwej muzyki na ganku świątyni ukazał się sam Omikron w czarnej szacie arcykapłana.

— Chodźcie do mnie, ja was ocale — mówił, rozdając pigułki z bezbolesną trucizną. —

Chodźcie za mną, wybrani, nie lękajcie się, waszym przywilejem jest wcześniejsze przejście na tamtą stronę... Chodźcie. Unikniecie najgorszego.

Tej nocy umarli wszyscy z wyjątkiem samego O'Briena, który wynajętą awionetką, z majątkiem martwych wyznawców, oddalił się w nieznanym kierunku, oplaciwszy jeszcze górniką, który dokonał wybuchu w podziemnych grotach pod obozowiskiem komuny. A gdy minęła północ i świat trwał nadal, szła radości ogarnął wszystkich — od Jokohamy do Los



**Angeles, od Nordkapu po Capetown. Nieznajomi całowali się na ulicach i płakali ze szczęścia.**

**Politycy, oficjalnie dystansujący się od całej afery, nieoficjalnie przesyłali sobie depesze gratulacyjne.**

**A potem wszystko wróciło do normy w zwykłych proporcjach: seks, pieniądze, nadzieje.**

**Cała impreza załatwiła natomiast światowy ruch apokaliptyków na długo. Sekty zwiędły, gminy się rozpadły. W rok potem można było spotkać tylko sfrustrowanych niedobitków.**

## **22. ZAŁĄCZNIK NR 8 (SPRAWA SONI)**

**Nie znaleziono dotąd żadnych bliższych powiązań między Ezechielem, Jonaszem, Hiobem, Danielem, Eklezjastą, a grupą O'Briena. Żaden z nich, włączając Jeremiasza, nie należał do sekty Omikrona. Byli sektą apokaliptyków samorodnych, słabo aktywnych; szerzej usłyszano o nich dopiero, gdy do grupki smętnie szwendających się młodzianków, dyskutujących po piwnicach, w oparach haszu i overmusic, dołączyła zbiegła z domu Sonia. A i wtedy była to krótkotrwała popularność. W dobie, kiedy gwałt i przemoc są nieodzowną przyprawą szarych dni, ucieczka córki jednego z najbardziej znienawidzonych funkcjonariuszy administracji stanowiła co najwyżej ciekawostkę.**

**„Ten, który chce pilnować narodu, nie potrafi upilnować własnego dziecka!” — pisała prasa opozycyjna.**

**Szybko jednak wyperswadowano prasie zajmowanie się tym marginalnym incydem, zaś szef SuSeS przystąpił do działania. Właśnie wtedy po raz pierwszy z szarego tłumu agentów wyłowił Boba i Mike'a, przydzielając im za szefa niejakiego Rexa, który miał prawdziwie psi węch do tego typu spraw. Oczywiście zlecenie było zupełnie nieoficjalne, a akcja prowadzona poza kontrolą władz państwowych.**

**— Róbcie, co chcecie, byleby smarkuła wróciła do domu! — zadysponował zatroskany ojciec.**

**Sprawny zespół zużył aż dwa miesiące na odnalezienie apokaliptyków, którzy wraz z Sonią oddawali się podróżowaniu po świecie, drugie tyle zajęło odszukanie ich, gdy nieoczekiwanie wrócili do kraju.**

**Pod wieloma względami Rex przypominał swego obecnego następcę, Tima — węszył aż do skutku. I tak wywęszył kryjówkę młodych buntowników. Mieściła się w opuszczonym domku letniskowym, położonym w górach, na północ od Wielkiej Depresji.**

**13 września po południu Rex i jego podwładni dotarli n miejsce i ukryli się w starej stajni oczekując na zmierzch, który miał umożliwić im odbicie Soni i zwrócenie jej na ojcowskie łono.**

**Było już po dziesiątej, gdy od strony drogi rozległ się warkot samochodu i w obejściu zjawił się ktoś nowy, ktoś, do kogo piątka obdartusów zwracała się z wielkim szacunkiem.**

**Jednocześnie przybysz traktował apokaliptyków poufale i z sympatią.**

**— Trochę ich za dużo — powiedział Rex. — Siedmiu, wliczając kierowcę Nowego...**

**Przystąpimy do akcji, kiedy się nieco rozgęści.**

**Przez godzinę dochodziły ich wesole śmiechy. (Jak by nie było, Sonia pełniła również funkcję „kochanki przechodniej” całej bandy). Dopiero koło północy otworzyły się drzwi; nieznajomy, dziewczyna i szofer (niewysoki, szczupły i milczący) wyszli, żegnani hałaśliwie i ruszyli w głąb ogrodu.**

**— Może teraz? — ożywił się Mike.**

**— Spokojnie, spokojnie — powstrzymywał go Rex — mamy czas...**

**Tu jednak wytrawny łapacz pomylił się paskudnie. Trio doszło do starej, zrujnowanej**

oranżerii, którą agenci pominieli w czasie wizji lokalnej. W jej wnętrzu zawarczał motor i gwałtowny wicher rozczochrał zdziczałą roślinność. A dach nad pawilonem rozsypał się jak domek z kart.

— Helikopter — jęknął Bob. — Tego nie przewidzieliśmy!

W świetle reflektora, które wypełniło oranżerię, dostrzegli starszego mężczyznę, Sonię i niewielkiego, żółtoskórego mężczyźni przy sterach. Bob chciał wydobyć broń, ale Rex go powściągnął:

— Jeszcze postrzelisz małą! Złapiemy ich na pewno.

Helikopter znalazł się w powietrzu. Pięciu apokaliptyków machało im na pożegnanie, wołając:

— Do zobaczenia, Jeremy. Pa, Soniu!

Śmigłowiec wziął kurs na Wielką Depresję, pośrodku której nawet z tak dużej odległości widoczny był Mega Building.

Rex mylił się po raz drugi, kiedy sądził, że będzie mu dane naprawić swój błąd. Już następnego dnia skierowano go do regulowania ulicznego ruchu, potem wysłano do jakiejś zakazanej dziury, gdzie rozpił się i skończył w przytułku dla wykolejonych funkcjonariuszy. Do końca życia nie poznał prawdziwego powodu swej degradacji. Pomylił się, przegrał, owszem, ale bynajmniej nie chciał rezygnować. Gotów był, jak alpinista wdrzeć się na szczyt Mega Buildingu i porwać rozparzoną pannicę, ale nie dano mu szansy... Dlaczego?

Odpowiedzi mógł dostarczyć mały liścik, który nazajutrz po starcie helikoptera wylądował na biurku szefa SuSeS:

„Daj spokój, tатku. Przyjęłam gościnę pana Jeremy’ego w jego pustelni, którą nabył za własne, ciężko zarobione pieniądze i urządził na dachu Mega Buildingu zgodnie ze wszystkimi obowiązującymi przepisami. Nie próbuj mnie szukać. Tak się śmiesznie złożyło, że od roku przed moim odejściem nagrywałam wszystkie twoje rozmowy, a kasety i ich kopie znajdują się zdeponowane w sejfach pięciu różnych niezależnych czasopism w kraju i za granicą. Popraw się, albowiem twój świat musi zginąć. Sonia.”

Rex nigdy nie poznał treści tego świstka. Sprawę zatuszowano. Nie ujrzałaby ona nigdy więcej światła dziennego, a już na pewno nie zapoznałby się z nią inspektor Tim, gdyby nie fakt, iż mniej więcej dwa lata po ucieczce Soni do rąk szefa Super Secret Service trafiła pękata teczka opracowana przez młodego, zapalonego naukowca. Jego hipotezy były dość enigmatyczne, wystarczyły jednak, by ojciec Soni zmobilizował ponownie Boba i Mike’a i dokooptował do nich Tima (którego bezmyślna lojalność nie mogła budzić niczyjej wątpliwości) i rzekł:

— Odnajdźcie mi tych pięciu drani, spróbujcie znaleźć nici łączące ich aktualnie z mieszkańcami dachu na Mega Buildingu, a przede wszystkim odkryjcie ich zamiary, co do których otrzymałem niepokojące przecieki.

— Spróbujemy — odpowiedzieli chórem Tim, Bob i Mike.

### 23. WCIAŻ JESZCZE AUTOR

Dojeżdżają. Tim przestaje myśleć na moment o obowiązkach służbowych. Za chwilę będzie w hotelu i złoży powściągliwy pocałunek na czole Zuzanny...

Pisk opon! Mike hamuje ostro.

Na ulicy mimo wczesnej pory utworzył się zator. Główne wejście do „Minerwy” otacza gęsty

tłum gapiów. Błyskają światła wozów policyjnych.

— Co tam się stało? — rzuca Bob w kierunku chodnika.

— E, nic wielkiego — odpowiada przechodzień. — Z hotelu „Minerwa” uprowadzono jakąś dziewczynę.

— Miała szesnaście lat — dorzuca jeden z gapiów. — Podobno była fajna...

## 24. WALTER

Siła złego na jednego. Pozornie podporządkowałem się regułom obowiązującym w Enklawie. Pracuję, spulchniam, lepię i międlę. Wieczorami, w nagrodę pozwalają mi chodzić do ziemianki na telewizję. Potem jednak muszę wracać do szalasu, a Jeremiasz zostaje z Piętaszką. Nie zazdroszczę mu — w końcu w wolnych chwilach też mogę chodzić, kiedy chcę, do ziemianki. Pozornie wydaje się, że mam dużą swobodę. Jeremiasz parę dni wcześniej spięty, nieufny i czujny, teraz jakby mnie ignorował. Może udaje. Ubiegłego wieczoru wyszedł

z ziemianki, a gdy po kwadransie wrócił, wyglądał na człowieka, który otrzymał bardzo dobrą wiadomość. Ale skąd? I jaka to była wieść?

W telewizji szedł właśnie „Evening with the journal” i dwóch ekspertów zastanawiało się nad zbiorami trzciny cukrowej w Hondurasie, gdy pustelnik powiedział nieoczekiwanie:

— Niedługo będziesz mógł już nas opuścić, Walterze. Naturalnie, jeśli zechcesz.

— Nie zechce, oj, nie zechce — zaśmiała się Piętaszka. Przy czym śmiech ten zabrzmiał jakoś niemilo.

Czyżby zamierzali mnie sprzątnąć? I teraz próbowali uspić moją czujność? Ale w takim razie, co wstrzymywało ich dotąd? Na ziemi o mnie raczej zapomniano. A tu?

Bez przerwy łapię się na tym, że im więcej odkrywam, tymi mniej wiem. Moja akcja przeciwko Jeremiaszowi i Piętaszce nie ma szans, dopóki nie zorientuję się, kto jeszcze kryje się na dachu? Zresztą, ucieczka na ziemię metodą alpinistyczną jest wykluczona; odkryłem istnienie czujników reagujących na jakiegokolwiek naruszenie linii okapu. Prawdopodobnie to właśnie fotokomórka zaalarmowała Nakayamę.

Ciągle nie wiem skąd przybył Japończyk i gdzie zniknął? Chociaż ukradkowo spenetrowałem rozmaite zakamarki enklawy, pozostawało to tajemnicą. Następne pół dnia zajęło nam strzyżenie owiec. Robota głupia i w dwójnasób bezsensowna. Przecież mając zapasy i niewątpliwy, choć skrywany kontakt ze światem, Jeremiasz nie musiał organizować tych wszystkich robinsońskich zabaw, mógł zbudować sobie na dachu willę z parkiem i basenem, relaksować się, bawić, a nawet modlić, jakby odczuł potrzebę. Ale nie robił tego.

Przeciwnie, babrał się w tej swojej gospodarce naturalnej z zapalem godnym lepszej sprawy.

„Jednak wariat! Tylko dlaczego tak mu zależało na pozostawieniu mnie w nieświadomości co do swych zamiarów. Na co czeka, a może na kogo?”

Zastanawiając się, dotarłem jeszcze raz nad stawek koło ziemianki. Kąpałem się w nim już parokrotnie i zawsze zdumiewała mnie jego nieproporcjonalna głębokość. I dziś, nie mogąc dłużej wytrzymać skwaru, zanurzyłem się w chłodnej toni. Nurkowałem z otwartymi oczami.

W sadzawce było dużo słodkowodnych ryb i nie chciałem się spotkać z żadną z nich. Od dzieciństwa przepajał mnie wstręt do zimmokrwistych stworzeń, może dlatego tak lubilem ciepłe istotki o brzoskwiniowej skórce... Karp przemknął mi tuż przed nosem; nabrałem jeszcze raz powietrza i zanurkowałem powtórnie, tym razem wzdłuż ściany przeciwległej do ziemianki.

I nagle, na głębokości półtora metra, dostrzegłem owalny otwór. Wpłynąłem w niego. Pomysł był głupi i ryzykowny; w wąskim korytarzyku nie dałbym rady zawrócić. Na szczęście syfon okazał się krótki i parę sekund potem wpłynąłem do małego podziemnego basenu znajdującego się zapewne pod sąsiednim wzgórkim. Czyżby to była kryjówka Nakayamy?

Wyszedłem z wody, starając się jak najmniej pluskać. Wytarłem ciało w ręcznik kąpielowy leżący obok, jakby przygotowany... Ze słabo oświetlonego pomieszczenia prowadziło kilkanaście schodków w dół... Wszędzie panowała cisza. Może Japończyk spał? Stopnie kończyły się masywnymi stalowymi drzwiami. Drzwiami z gatunku trudnych do sforsowania, chyba, że są uchylone. Te były. Za nimi ciągnął się długi korytarz przebiegający chyba pod całą wyspą. Dookoła zauważyłem dziesiątki żelaznych drzwi. Były w nich metalowe klapki.

Uchyliłem jedną...

— Konie, o cholera, czwórka koni!!!

Gdy zajrzałem do kolejnego pomieszczenia, doleciała mnie charakterystyczna woń nierogacizny.

— Czy ten Jeremy zwariował? Założył tu sobie podziemne gospodarstwo rolne? Ukrywa się przed podatkami?

— Czy zechce czcigodny pan zostać gościem swego niegodnego sługi?

Oczywiście, Nakayama! Pojawił się jak kot. Gościnnie wskazał mi jedne z drzwi, a gdy wszedłem — spodziewając się za nimi jego kawalerskiego mieszkanka — stalowa płyta zatrzasnęła się za mną. Kaput!

Znalazłem się w klitce o wymiarach trzy na dwa metry. Betonowe ściany, prycza, kibel i dzban z wodą dowodziły, że kwatera już od pewnego czasu czekała na pensjonariusza.

Wściekle wałnąłem w drzwi. W okienku ukazała się nieruchoma twarz syna Wschodu.

— Wypuście mnie! Już nie będę! Chcę porozmawiać z Jeremym — wołałem. Zero reakcji.

— Dam ci tyle pieniędzy, że będziesz mógł sobie kupić całą Okinawę.

Milczenie.

— Niczego wam nie zrobiłem, w niczym wam nie przeszkodzę, powiedzcie mi przynajmniej, dlaczego mnie więzicie? — Cisza. — Nakayama, na miłość boską, co tu jest grane? Czy mam sobie rozbić głowę o mur? Za co to wszystko, za co?

Twarz mu nie drgnęła, może jedynie poruszyło się rybie oko żółtka.

— Dowiesz się pojutrze. I będziesz bardzo szczęśliwy! Potem okienko zatrzasnęło się.

Zostałem sam.

## 25. AUTOR

„Słuchaj no, kapusiu, mamy twoją kobitkę i jeśli zechcesz nas szukać, znajdziesz jej zwłoki. A jeśli okażesz rozsądek, miła nastolatka powróci do ciebie w stanie nieużywanym. Za trzy dni.

Powodzenia w pracy, a także w życiu osobistym życzą: Daniel, Hiob, Jonasz, Eklezjasta”.

Tyle głosiła notatka pozostawiona na tapczanie hotelowego pokoju. Porucznik prowadzący śledztwo pokazał ją Timowi, gdy ten powrócił do swego apartamentu w „Minerwie”.

— Jak sądzisz, kto to mógł napisać? To przecież twój pokój! Były inspektor nie odpowiadał.

Nie mógł ujawnić ani swej misji, ani niczego o całej sprawie, bowiem zobowiązywało go zachowanie ścisłej tajemnicy. Na korytarzach „Minerwy” roilo się od dziennikarzy.

— Nie chcesz po dobroci... doskonale. Pogadamy inaczej, proroku od siedmiu boleści!

**Prawdziwe imię i nazwisko! — napierał kolega po fachu.**

**Tim uśmiechnął się.**

**— Oj, pogadamy inaczej, hippisie! — wrzasnął policjant. — Jack, daj mu wycisk. Dowiedz się, dla kogo pracuje i kogo śledził?**

**Milczący dotąd drugi funkcjonariusz zbliżył się ciężkim, kołyszącym krokiem.**

**— Co to, poruczniku, wynajął pan sobie do pomocy kaczkę? — zapytał Tim.**

**Cios zadany oburącz doszedł go błyskawicznie. Ku zdumieniu obu funkcjonariuszy krnąbrny rozmówca nie padł i tylko oblizal rozkrwawione wargi.**

**— Czy ten dzieciuch nie potrafi czegoś innego, na przykład pielenia sadzonek?!**

**Porucznik rzucił mięsiste przekleństwo i sam skoczył ku bezczelnemu rozmówcy. Jednakże do mordobicia nie doszło, a ściślej mówiąc doszło, ale bez udziału Tima. Do akcji wkroczył**

**bowiem rosły Bob, który unieszkodliwiwszy wartownika w korytarzu, skorzystał z tego, że cała uwaga przesłuchujących koncentrowała się na jego koledze.**

**Jack związany i zawinięty w koc został umieszczony pod łóżkiem, a zakneblowanego porucznika zamknięto w łazience. Żegnając go, Tim nie odmówił sobie drobnej przyjemności.**

**— Pytał pan, panie poruczniku, o moje personalia? Chętnie uczynię zadość pańskiej ciekawości. Przyjaciele mówią na mnie: Abakuk.**

**Nie pilnowaną przez nikogo windą towarową zjechali w dół, garażami wyszli na tyły „Minerwy”, gdzie oczekiwał ich Mike. Wokół hotelu stały patrole. Inspektor machnął swoją starą legitymacją policyjną. Przepuszczono ich bez trudu.**

**— Musiałem tam pójść, inaczej nie zdobyłbym żadnych informacji — rzekł, obcierając krew z rozbitego nosa. — A tak mamy kartkę od apokaliptyków, parę moich drobiazgów i protokół sporządzony przez tego patalacha.**

**— Wracajmy do hotelu „Finisz”. Na pewno recepcjonista dał cynk tym draniom... Już ja go urzędzę — sapnął Mike.**

**— Spokojnie, przyjacielu, mamy na razie ważniejsze sprawy — powiedział szef trzyosobowej grupy. — A przede wszystkim udzielam wam pochwały.**

**Nie było dotąd czasu, by opisać bojową sprawność grupy A-12, sprawność, której jedynie skromną część wykorzystano w apartamentach hotelu „Minerwa”.**

**Zanim Tim, Bob i Mike przystąpili do akcji — za radą szefa SuSeS zorganizowali sobie krótki kurs kondycyjny. Treningowo porwali syna milionera i wypuścili go bez okupu. Opróżnili sejfy Banku Industrialnego, a następnie przesłali cały utarg na osobiste konto prezesa. Trawersowali ściany wieżowców, uczestniczyli w burdach w slumsach, zdobywając szereg cennych doświadczeń i pogłębiając wiedzę o dyscyplinach opanowanych wcześniej, jak karate, rzucanie nożami i duszenie pończochą. Wkrótce posiadli sprawności złodziei, morderców i porywaczy, dzięki którym mogli oddać wybitne usługi w służbie społeczeństwu. Oczywiście, zawsze zgodnie z regulaminem. Poza wszystkimi wyżej wymienionymi kwalifikacjami, dobrego policjanta od marnego odróżnia intuicja. Przeczucie. Czasem przydaje się inteligencja. Ona właśnie podpowiadała, co może uczynić przeciwnik.**

**Banda apokaliptyków miała tysiąc i jedną możliwość do wyboru: mogła zbiec za granicę, zdając sobie sprawę, że ich tropiciele dysponują państwową machiną ścigania, mogła zaszyć się w jednej z dawna przygotowanych kryjówek, w przyzwoitych dzielnicach, w piwnicach z podwójnym stropem lub w zamaskowanych wnękach ściennych. Mogła i powinna.**

Atoli biorąc pod uwagę, że są to spryciarze wielkiego kalibru, Tim przyjął wersję najmniej prawdopodobną, ale jego zdaniem dającą ścigającym szansę. Założył, że banda ukryje się w tym samym miejscu co przed laty, kiedy niemal dopadł ich Rex. Spalona kryjówka może się czasami okazać najbezpieczniejsza, tak jak podczas bombardowania najpewniejszym schronieniem jest lej po bombie. — Dokąd jedziemy? — spytał, jak zwykle niecierpliwy, Mike, gdy wsiedli do pierwszego lepszego forda, jaki wpadł im w oko.

Były inspektor wskazał łańcuch gór na północ od Wielkiej Depresji.

— Tam!

## 26. AUTOR (NADAL)

Wielka Depresja to geologiczny paradoks natury. Głębokie zapadlisko tektoniczne, odległe od wybrzeża, otoczone skalnym szansem niebotycznych gór, z jedną tylko bramą od południowego zachodu, przez którą kanionem przebiega rzeka, kolej i autostrada. Od północy góry są najwyższe. Jest to prawdziwy raj dla turystów, lasy pełne wszelakiej, sztucznie dokarmianej zwierzyny, jeszcze dziś dają przyjemność amatorom fotograficznych polowań.

Kilkanaście nitek wybornych szos wspina się na szczyty wzgórz. Jedną z nich pędził wóz z grupą A-12.

Agenci przezornie zaparkowali o pół kilometra od zrujnowanego bungalowu. Jako zwiadowca wyruszył Mike, niepozorny Mike, na którego cherlactwo nabral się już niejeden bandzior. Przygotowując się, policjant wyciąga strzykawkę. Zastrzyk w lewą nogę powoduje natychmiastowy jej obrzęk. Zamiast kostiumu apokaliptyka wkłada strój zamożnego turysty.

Listę rekwizytów uzupełnia jeszcze ręczna kamera i sękaty kij. Tak przygotowany przyobleka twarz w grymas bólu i kuśtykając, zbliża się do zabudowań od strony urwistych skałek. Nie udaje mu się podejść zbyt blisko.

— Hola, hola, to jest teren prywatny! — powstrzymuje go dobitny głos, a przed agentem wyrasta masywna postać Eklezjasty.

— Chciałbym stąd ty... tylko zadzwonić — bąka Mike, krzywiąc się okrutnie. — Mój przyjaciel, tam... osunęliśmy się ze skałek...

— Kto przyszedł, Eki? — z wnętrza pawilonu dobiega męski tenor.

— Jakiś pokiereszowany frajer, chciałby zatelefonować.

— Przecież nie mamy tu telefonu, niech idzie precz! — mówi głos należący do apokaliptyka o pseudonimie Jonasz.

— Najpierw sprawdźmy, kto to taki — mówi ktoś inny i na zewnątrz wysuwa się szczupła postać Hioba.

— Moja noga... auu! — głos sierżanta łamie się z bólu. — Mój biedny przyjaciel został tam! Hiob ogląda obrzęk.

— Faktycznie, marnie to wygląda!

Ta troskliwość rozjusza Jonasz, który przypatruje się całemu zajściu przez uchylone drzwi.

— Przestańcie, do cholery, zajmować się tym połamańcem — woła. — I tak przecież za dwa dni...

— Wody! — chrypi nasz symulant.

— Dobrze, damy ci wody — mówi Hiob.

— Powinniśmy raczej pomóc Danowi — wtrąca milczący Eklezjasta. — Ma jakieś trudności z uruchomieniem maszyny. A za kwadrans powinniśmy ruszać.

— Zdamy. Gdzie jest ten twój kumpel? — Hiob zwraca się do Mike'a.

— Pół kilometra stąd, pod czerwoną skałą.

— Pomożemy wam, chodź Eki — litościwy apokaliptyk pociąga Eklezjastę. — Kran jest po drugiej stronie domu, dojdiesz sam, bracie?

— Spróbuję... — sierżant kuśtyka we wskazanym kierunku, ledwie jednak skrywa go węgiel domu, wydobywa broń i granat z gazem paraliżującym. Teraz szybko sunie w stronę szerokiego okna wychodzącego na ogród. Wewnątrz domu widać Zuzannę i pilnującego ją Jonasza... Do dzieła!

Gdyby całą scenę móc zarejestrować na zwolnionej taśmie filmowej, kolejność działań wyglądałaby następująco: wyskok Mike'a, strzał Eklezjasty, którego wysokokalibrowy pocisk rozsadza wręcz plecy sierżanta, brzęk szyby i dopiero wtedy zdumiona reakcja dziewczyny i jej strażnika. Apokaliptycy nie dali się nabrać na prosty wybieg. Echo wystrzału dobiega również do ukrytych w pobliżu Tima i Boba, słyszy je także Daniel i pospiesznie uruchamia silnik śmigłowca. (Podobnie jak przed laty wypożyczona maszyna ukryta jest w oranżerii. Cóż za żalosne ubóstwo pomysłów!) Agenci kryjąc się wśród drzew, gnają ku domowi, celny strzał

powala Eklezjastę w momencie, gdy pochylał się nad ciałem Mike'a. Apokaliptyk upuszcza ciężkie magnum i pada z okrzykiem: „Witaj, jutrzeńko”. Hiob jednym susem kryje się we wnętrzu bungalowu. Okrażeni prawie natychmiast odpowiadają ogniem, co zmusza Tima i Boba do powstrzymania natarcia. Zasypani prawdziwym strumieniem kul, kryją się za starą fontanną.

— Wycofujemy się stąd — komenderuje Jonasz i kieruje lufę w stronę Zuzanny. — Trzeba ją załatwić...

Dziewczyna siedzi jak otępiała; od chwili uprowadzenia jej z hotelu popadła w całkowitą apatię, a teraz jest już jej naprawdę wszystko obojętne. Śmierć? Niech będzie!

— Uspokój się, Jon — interweniuje Hiob. — Bierz ją do maszyny. Będę was osłaniał!

Natężenie kanonady zbliża się do poziomu niezłego gradobicia. Hiob ustawia w okienku ręczny karabin maszynowy, a Jonasz manewrując Zuzią niczym tarczą, posuwa się w stronę oranżerii. Agenci, przyszpileni do gruntu, ostrzeliwiają się nieskutecznie.

— Padnij, mała! Padnij! — wrzeszczy Tim, kiedy apokaliptyk z dziewczyną mijają ich stanowisko. Tak łatwo mógłby go załatwić. Do nastolatki nic jednak nie dociera.

Tymczasem zrywa się wiatr wytworzony śmigłem helikoptera. Silnik maszyny zwiększa obroty.

— Startujemy! — woła Jonasz, bezpieczny już za masywnym skrzydłem bramy oranżerii. — Gazu, Hiob! Będę cię osłaniał!

Otwiera ogień. Przygarbiony apokaliptyk wybiega z domu i pędzi przez otwartą przestrzeń, porośniętą rzadkimi kępami cyprysów. W tym samym momencie zza fontanny podrywa się ciemnoskóry Bob. Odrzucił ciężką broń i pędzi w stronę śmigłowca jedynie z niewielkim pistoletem.

— Jest już mój — wyraz mściwej satysfakcji wypelza na twarz Jonasza. Wychyla się spoza okutej bramy, starannie mierzy... I w tym momencie ścina go seria bylego inspektora.

Tymczasem Hiob dociera do celu, jest już na stopniu śmigłowca. Daniel naciska dźwignię.

Maszyna odrywa się od ziemi. W tym momencie do środka oranżerii wpada Bob. Drobnym apokaliptyk puszcza poręcz i zwraca się przeciwko kolejnemu napastnikowi. Maszyna pozbawiona niespodziewanie obciążenia, podrywa się gwałtownie. Pilot usiłuje obniżyć ją, aby

przygwoździć atakującego Murzyna. Ten stoi twarzą w twarz z Hiobem, mierzą się wzrokiem.

Przekleństwo! Nieudolnie manewrujący Daniel trafia jedną z płóz w swego kompana i strąca go w jakąś rozpadlinę między agawami. W tym momencie Bob chwyta się podwozia. Pilot usiłuje naprawić błąd i szybko wzbija się w górę.

Tim, który dobiegł na miejsce, bezradnie opuszcza broń. Nie może strzelać — wewnątrz helikoptera jest jego dziewczyna, a na płozie dynda olbrzymi czarnoskóry policjant.

Daniel rozgląda się. Czuje, że coś zakłóca stateczność lotu. Jednak Bob ukryty pod brzuchem maszyny jest dla niego nieosiągalny. Pilot przekrzywia śmigłowiec lekko na bok i bierze kurs na Enklawę.

Nie wiadomo dlaczego, w Zuzannie coś pęka, spada maska otępienia i dziewczyna zaczyna płakać.

## 26. WALTER

Nigdy nie wierzyłem w coś takiego jak klaustrofobia. Teraz z wolna zaczynałem zmieniać zdanie.

Jest cicho. Tak cicho, że słyszę łomot swego serca, a gdy się ruszę, trzask kości w stawach.

Ale mnie urządzili! Czyżby Japończyk był zwolennikiem chińskich męczarni? Wybrali dobrze.

Ból, upał, głód — są łatwiejsze do wytrzymania, w porównaniu z uczuciem ubezwłasnowolnienia i samotności.

Samotność. Kretyńskie słowo, którego dotąd nie znałem. Dlaczego zresztą miałem znać? Na samotność trzeba mieć czas — mawiałem w wywiadach — to przywilej leniuchów i nędzarzy.

A teraz sam byłem jak nędzary, zdany na łaskę i niełaskę zidiociałych enklawistów: sadystycznej Soni, sfiksowanego Jeremiasza i nieprzeniknionego Nakayamy. Co gorsza, podejrzewałem, iż w ich szaleństwie kryje się jakaś metoda.

Z godziny na godzinę narastało we mnie uczucie, którego nie potrafiłem określić — ten pewien rodzaj niepokoju, jaki odczuwają szczury przed zatonięciem statku, lęku, który podrywa ptaki na krótko przed trzęsieniem ziemi i płoszy kozice, przeczuwające wulkanu. Wiedziałem, że coś się zdarzy, coś, czemu ewentualnie mogłem do niedawna zapobiec, ale teraz pozostało mi tylko bierne oczekiwanie.

Czasem rzucał mnie na pryczę wybuch wściekłości: jak to się mogło stać? Gdzie w doskonałym systemie, który stworzyłem, nastąpiło to fatalne pęknięcie? Zbieg okoliczności, spisak Rudolfa, katastrofa, lądowa na dachu... A może popełniłem jednak jakiś błąd? Może nie docenił czegoś lub kogoś? Cholera! Znalazłem się w sytuacji, której zawsze chciałem uniknąć, sytuacji, w której skazany jestem na jałowe rozpamiętywanie. Na zastanawianie się nad zupełnie zbytecznymi kwestiami, takimi jak sens życia... Psiakrew!

Warunki celi sprawiały, że wręcz tęskniłem za egzystencją „dachowca”. Tam wśród drzew, w blasku słońca można było jeszcze wytrzymać, zabijać czas quasi-działaniami typu dojenie i żywić nadzieję... A tu?

Do tej pory tylko dwukrotnie przeżyłem chwile chandry. Jak wspominałem, pierwszy raz zdarzyło się to w unieruchomionej windzie, drugi raz w dniu mojego ślubu.

Była to wspaniała ceremonia, szczególnie przyjęcie w siedzibie Centrali. Jeszcze dziś pamiętam moją matkę, królującą ponad weselnym bałaganem, delegacje pracowników, a potem trzydniowy popijawę na moim jachcie zakotwiczonym w zatoce. Alkohole, alkohole, alkohole,



jakby powiedział Apollinaire. Z tego, co było potem, zostało mi w pamięci znacznie mniej.

Jakieś urwane fragmenty bez zachowania następstwa faktów, pośpieszny seks z pokojówką w kabinie dziobowej, bójka z bosmanem, właściwie jednostronna, albowiem stary wilk morski zasłaniał się jedynie przed moimi ciosami, powtarzając mechanicznie: „Ekscelencja ma rację.

Wszystko w porządku, tak jest!” Może to zresztą nie był bosman. I jeszcze ta dziwaczna rozmowa o życiu, na samym dniu wielkiego jachtu, kiedy zbratany z dwoma majtkami sączyłem samogon z blaszanych kubków...

Tak. To był wielki, wspaniały ślub — dwie fortuny w monstrualnym akcie połączenia zlewały się w jedną, superindustrialną zygotę! Wydarzenie odnotowane przez kroniki towarzyskie i czule sejsmografy giełd. Tylko ja pozostałem nieporuszony. Aż głupio.

Inna sprawa, że w stosunku do niewielu kobiet mego życia pozostałem równie obojętny jak do Barbary. Jej to zresztą odpowiadało. Była typową zimną kobietą, traktującą sprawy łóżkowe jak dokuczliwy obowiązek. W sumie raczej mi to odpowiadało.

No więc piliśmy ten samogon blaszаныmi kubkami, lekceważąc sobie towarzystwo z górnego pokładu... W pewnym momencie w mojej głowie, skolataniej i nietrzeźwej, pojaśniało.

— Czy ja ciebie przypadkiem nie znam, stary? — powiedziałem do siedzącego vis-à-vis majtka.

— Oczywiście, Walt... Byliśmy w jednej drużynie w college’u... Mam na imię Sam.

— Sam? Sam? — próbowałem sobie przypomnieć.

— Nie pamiętasz meczu z Jajogłowymi? Dolożyliśmy im zdrowo. W końcu to ja wyrównałem na 40:40!

— Sam! Naturalnie, ale co ty tu robisz?

— Pracuję...

— Jako majtek na moim statku?

— Nie wiedziałem, że to twój jacht. Bosman mnie przyjął!

— Nie o to chodzi, nie rozumiem tylko, jak?

— Nie poszło mi, zmuszony byłem przerwać naukę na trzecim roku, stary wszystko stracił, a zerwany miesiąc sprawił, że musiałem porzucić koszykówkę... — mówił spokojnie, bez tragizowania. Trzeźwiałem coraz bardziej.

— Ależ Sam, trzeba było zgłosić się do mnie, pomógłbym ci... Mógłbym cię uczynić kapitanem, co ja mówię, choćby i dyrektorem którejś z naszych stocznii.

— Nie nęci mnie to.

— Czego więc chcesz?

— Być wolnym człowiekiem, szczęśliwym.

— Mając pieniądze, możesz tym bardziej realizować swoje upodobania, tylko w nieporównywalnej skali.

— Wydaje ci się, Walterze, zbyt duże pieniądze czynią nas swymi zakładnikami...

Nazajutrz wyszliśmy w morze. Gdy minął kac (wyborne pastylki naszej produkcji podobno likwidują go w ciągu kwadransa — guzik prawda!), postanowiłem odszukać Sama i uszczęśliwić go. Nie znalazłem go jednak, zaś bosman przyciśnięty do relingu zaklinał się, że nigdy nie angażował podobnego osobnika. A potem zajęły mnie zupełnie inne sprawy. Na rynku miedzi doszło do gwałtownego wzrostu popytu...

Chodzę po mej celi wszerek i wzdłuż. Wymierzyłem wszystkie możliwe odległości w krokach.

Nie mogę spać. W panującym stale półmroku, u pułapu pali się jedna mała, najwyżej piętnastowoltowa żaróweczka, godzinami przewracam się na pryczy. Może powinienem zacząć głodówkę na znak protestu? Nie wiem nawet, ile czasu upłynęło od mego uwięzienia: dzień, dwa? Czasami chciałbym umrzeć, choć życie kocham nade wszystko.

I nagle nieoczekiwany skrzyp drzwi. Uszy stają mi słupka. Niemrawo zastanawiam się, czy nie rzucić się na Nakayamę, jeśli to będzie on...

Drzwi otwierają się i w ciemnym pomieszczeniu robi się jakby jeszcze ciemniej. Potem zamykają się ponownie. Mroczna bryła zbliża się do mnie. Do licha, mam sublokatora. Jest nim potężny, gorylowaty Murzyn.

## 28. AUTOR

Szpital im. Hipokratesa — sześć graniastosłupów górujących nad kotliną św. Łazarza, to jeden z bardziej ekskluzywnych zakładów medycznych Wielkiej Depresji.

Tego dnia na terenie szpitalnego obiektu panuje dziwny niepokój: kordony odgradzają licznych gapiów i ekipy telewizyjne, na podjeździe błyskają światła wozów policyjnych. Są dwie przyczyny tak liczego przybycia funkcjonariuszy ładu i porządku. Od paru dni w szpitalu trwa strajk. Personel protestuje przeciwko wprowadzeniu obowiązkowych ubezpieczeń społecznych; ubezpieczeń, które w wydatny sposób mogą podciąć dochody lekarzy i pielęgniarek. Drugą przyczyną aktywności policji jest pacjent z pokoju 1028. Zmasakrowany facet o nie ustalonych personaliach, jedyny żywy znaleziony wśród kilku ciał w zrujnowanym bungalowie.

— Kiedy będzie można przeprowadzić rozmowę? — pyta lekarza porucznik z miejscowej policji. — Długo jeszcze mam tkwić na korytarzu?!

— Stan jest ciężki — odpowiada młody chirurg. — Dopiero co skończyliśmy operację.

Najbliższe godziny mogą się okazać krytyczne. Poza tym pacjent nie odzyskał jeszcze przytomności.

— Poczekamy — odpowiada policjant i zwracając się do towarzyszącego mu funkcjonariusza, mówi: — Siadaj Jack, i nie spuszczaaj ani na chwilę oczu z wejścia.

Od strzelaniny w górach upłynęło kilkanaście godzin. Policja zjawiała się jak zwykle po czasie, zastając prawdziwe pobojowisko i ani śladu po helikopterze. Trudno było nawet stwierdzić, czy ktokolwiek żywy wyszedł z całej rozróby.

Porucznik lokalnego wydziału zabójstw był wściekły. Co się dzieje? Najpierw ten trup w uliczce między blokami mieszkalnymi, potem upokarzający dla policji incydent w hotelu „Minerwa”, a teraz taki pasztet. No i jeszcze to porwanie młodej narkomanki... Czy te zdarzenia aby się nie zazębiały? A gdzie podziali się inni pomyleńcy?

Jest faktem, że wśród zwłok nie znaleziono ciała roślego Murzyna, z którego pięściami zdążył się zaznajomić, ani ciała aroganckiego przesłuchiwanego.

Tymczasem z resortowej góry sypały się gromy podenerwowanych przełożonych, z dołu natomiast naciskali nachalni żurnaliści. Popołudniowe dzienniki przyniosły krzykliwe nagłówki: „Porachunki wśród apokaliptyków”, „Policja jak zwykle bezradna”, „Czyżby nowy termin końca świata?”.

— Rzeczywiście przydałoby się skończyć z tym wszystkim — wzdycha zmęczony stróż prawa. — Nareszcie zapanowałby porządek!

— Koniec świata to nie dla mnie — stwierdza, wachlując się gazetą głupkowaty Jack. —

Świat jest za fajny, żeby się kończyć. Zresztą, jak mieliby to zrobić?

O północy przychodzą zmiennicy. Porucznik i Jack wracają do domu. W izolatce Hiob majaczy, gada nieprawdopodobne głupstwa. Z obrzmiałą, porozbijaną twarzą rzeczywiście przypomina biblijnego Hioba. W pewnej chwili chwyta za rękę pielęgniarkę.

— Czy zna pani sekretarza ONZ? — rzezi. — Jest jeszcze czas, aby zapobiec zagładzie!

Dziewczyna odskakuje z okrzykiem przestachu.

Rano temperatura opada i ranny zapada w sen. Następnego dnia wieczorem na korytarzu dziesiątego piętra pojawia się postawna, piersiasta blondyna. Opinający ją szpitalny fartuch uwydatnia znakomicie wszystkie jej doczesne walory.

— Pewnie praktykantka — myśli półsennie sanitariusz.

Strażnik siedzący przed pokojem pacjenta drzemie. Nie odczuwa nawet ukłucia szpilki, które pograża go w śnie jeszcze głębszym i znacznie dłuższym.

Blondyna pospiesznie wytacza łóżko Hioba z podręczną kropłówką. Szczęśliwym trafem vis-à-vis izolatki znajduje się winda. Na dole w garażu czeka zawczasu przygotowana karetka.

Ogólny bałagan panujący w szpitalu ogarniętym strajkiem ułatwia ucieczkę. Nikt nie sprawdza ambulansu wyjeżdżającego na sygnale. Nie odjeżdża zresztą daleko; w sennej, zacisznej uliczce samochód zatrzymuje się. Blondyna zrzuca kitel, pozbywa się wypełnionego wata stanika. Pozdjęciu peruki pokazuje twarz Tima. Kilka minut wystarczy, by z karetki zniknęły szpitalne akcesoria, lampa, znaki... Zamiast nich karoseria forda combi zostaje pokryta nalepkami przedstawiającymi wyroby czekoladowe.

Tim oddycha z ulgą. Udało się! Opuszczając w pośpiechu okolice bungalowu popełnił błąd, nie sprawdził, czy istotnie wszyscy nie żyją. Przeoczył Hioba! Dopiero z gazet dowiedział się o swojej pomyłce. Musiał użyć całego sprytu, by ją naprawić. A przecież zdany był na własne siły. Mike nie żył, Bob odfrunął, a do szefa SuSeSu nie było z czym dzwonić. Nadal zresztą nie ma. Mimo przejścia apokaliptyka sytuacja wciąż jest niejasna. Jeśli ranny umrze albo nie będzie chciał odpowiadać na pytania...

Wyjeżdżają za miasto. Autostrada rozbłyska światelkami, poza tym wokół panuje nieprzenikniony mrok. Tim zdecydowanie kieruje się w stronę przygotowanej kryjówki.

— Proszę pana — dobiega naraz głos z tyłu. Odwraca się. Hiob odzyskał przytomność i usiadł na łóżku. Twarz ma kredowobiałą.

— Proszę pana — powtarza. — Czy już minęła północ?

— Nie!

— To dobrze. Musi mi pan pomóc...

Tim jest zdziwiony.

— Najpierw porozmawiajmy — mówi.

— Nie ma czasu na rozmowę — w głosie apokaliptyka pobrzmiwa rozpacz i determinacja.

— Wpierw pan musi pomóc mnie i sobie! I nam wszystkim.

## 26. WALTER

Siedziałem i patrzyłem na Murzyna, a Murzyn siedział i patrzył na mnie. Milczeliśmy. Dość długo. Jeśli idzie o mnie, zastanawiałem się, czy za moment nie otworzą się drzwi i do celi nie wejdzie kolejno — Indianin, Eskimos i Papuas? Towarzystwo na dachu stawało się coraz bardziej wielobarwne. Mogłem wprawdzie zapytać sublokatora, kim jest i jak się tu znalazł, ale na wszelki wypadek wolałem poczekać na jego inicjatywę. Czarny olbrzym wydawał się

drzemać, a może tylko zbierał siły. Musiało upłynąć dobre dwie godziny, zanim zupełnie nieoczekiwanie padło pytanie, zadane z charakterystycznym akcentem mieszkańca Wielkiej Depresji:

— Jest stąd jakieś wyjście?

— Nie ma — odrzekłem.

— A czy ktoś tu przychodzi?

— Nie.

— Aha! — powiedział bez wyrazu. I znów zapadła cisza. „Bardzo dobrze”, pomyślałem, „sublokator nie przybył tu z własnej woli”. Przyglądając się uważniej, dostrzegłem świeży opatrunek na ramieniu.

— Zdrowo pan oberwał?

Kiwnął głową.

— Ten Japończyk?

Znów potwierdził.

— Dawno jest pan na dachu?

Murzyn rozejrzał się, jakby szukając i tak niewidocznych podsłuchów i wycedził szeptem:

— Parę godzin.

— O cholera — nie potrafiłem opanować zdumienia.

— Helikopterem... uczepiłem się podwozia...

— A więc wylądował tu helikopter. To by wyjaśniało powód mojego zamknięcia — mruknąłem na wpół do siebie. — Nie chcieli mieć świadków.

— To pan też nie apokaliptyk? — w głosie pytającego zabrzmiało zainteresowanie.

— A bo co?

Machnął ręką i stwierdził:

— Jest kiepsko.

Z tych lakonicznych odzywek nie wynikało jasno, z kim ma przyjemność. W grę wchodziły trzy możliwości:

— Detektyw?

— Policjant?

— Tajny agent?

Ponieważ nie odpowiedział na żadne pytanie, musiał być trzecim.

— Jesteś agentem — powtórzyłem.

Potaknął niechętnie.

— No to dlaczego nie odpowiadasz?

— Bo jestem tajny.

— Aha... Tak czy siak, przedstawmy się: Walter.

— Bob.

Uścisnęliśmy sobie ręce, a olbrzym dodał:

— Poznałem od razu. Widziałem pańskie zdjęcie w gazetach. Wszyscy myśleli, że pan zginął.

— Jednak żyję! Choć naprawdę nie bardzo wiem na jakim świecie... Ale może pan coś wie, w co się wpakowaliśmy?

— Nic nie wiem. Regulamin zabrania — wyznał prostodusznie.

— Ależ człowieku, regulamin regulaminem; dziś jedziemy na jednym wózku i musimy sobie ufać. Może będę mógł ci pomóc?

Skrzywił się:

— Regulamin nie pozwala mi na współpracę z amatorami.

Znałem ten idiotyczny rodzaj arcysłużbistości. Ale istniał na to sposób.

— Ile pan chce za przejście do pracy u mnie?

— Jestem na posadzie państwowej...

— A gdybym kupił pańską agencję?

— Nie kupi pan Super Secret Ser... auu! — ugryzł się w język. Miał dużo racji. Równie dobrze mógłbym kupić całą naszą administrację.

Natychmiast wykonałem dyplomatyczną wolbę.

— Oczywiście, ja pana kupić nie mogę, ale przecież pan może mnie zwerbować do swojej akcji — powiedziałem. — Jako konfidenta...

Przez moment na twarzy Boba malował się olbrzymi wysilek myślowy, wreszcie wykrztusił:

— Zwerbować! Aaa, to mogę...

— No to werbuj mnie pan.

Nie będę powtarzał dokładnie przebiegu tej zabawnej imprezy. Najpierw musiałem dwa razy opowiedzieć mój życiorys, następnie wygłosić deklarację pochwalną dla poczynań rządu i SuSeSu w szczególności, na koniec złożyłem uroczystą przysięgę o zachowaniu tajemnicy służbowej i otrzymałem kryptonim „Krezus”. Pisemne zobowiązanie miałem złożyć po uwolnieniu. Po tym wszystkim Bob powiedział:

— Doskonale, teraz jesteś moim człowiekiem i możemy wspólnie działać!

— Najpierw poproszę o wyjaśnienia...

— Wyjaśnienia są zbędne. Będziesz wykonywać moje polecenia. Ładny pasztet, po to się wyglupiałem z przysięgami, żeby wiedzieć tyle samo co na początku.

— Jeśli mam pomagać, muszę wiedzieć w czym, bo inaczej mogę zaszkodzić — nieomal wykrzyknąłem.

— Cicho! — huknął Murzyn.

A potem znów bardzo długo pozostawaliśmy w milczeniu.

Nigdy dotąd nie zastanawiałem się, ile bezmyślności kryje w sobie wszelka dyscyplina.

Człowiek jest z urodzenia anarchistą i dopiero życie zmusza go do ustawicznych kompromisów, ale jeśli idzie o mnie, wszelki rytuał postępowania, wszelki dyscyplinarny automatyzm zawsze napawał mnie wstrętem.

W czasie przedłużającej się ciszy Bob bynajmniej nie pozostawał bezczynny, parokrotnie obszedł celę, obejrzał nieliczne sprzęty, zbadał drzwi i nagle zagadnął:

— Co pan wie o profesorze?

— O jakim profesorze! — wykrzyknąłem.

— No... o Jeremiaszu.

— Nie wiedziałem, że ten obszarpany pustelnik ma tytuł profesora!

— Teraz pewnie już nie ma, ale miał... Kiedyś uznawany był za jeden z najlepiej zapowiadających się umysłów epoki. W wieku dwudziestu jeden lat obronił doktorat z futurologii... Mając dwadzieścia cztery lata, został profesorem. W rok później oficjalnym członkiem Komitetu „XXI wiek” przy ONZ... Oczywiście nazywał się wtedy trochę inaczej (tu podał nazwisko, które kiedyś obilo mi się o uszy).

— Niezwykły człowiek — westchnął Bob. — Wielki. Może nawet za duży jak na epokę. Jego pomysły były tak fantastyczne, że nikt nie miał zamiaru ich realizować.

— Na przykład? — rzuciłem zaszokowany elokwencją osobnika, którego oszacowałem jako półgłówka. Dopiero później dowiedziałem się, że recytował materiał wykuty na pamięć podczas przeszkolenia.

— Na przykład osuszenie Atlantyku, wykorzystanie wnętrza Ziemi do kolonizacji nadwyżek ludnościowych, atomowe odcięcie Grenlandii od jej podłoża i zaholowanie na południowy Atlantyk. Przyspieszenie lotu Księżyca...

— W jakim celu?

— Korzyści, jego zdaniem, byłoby wiele: zmiana pływów morskich i wykorzystanie ich w energetyce, skrócenie okresu ciąży dzięki krótszym miesiącom księżycowym, wreszcie te same pensje przy dwudziestu czterech miesiącach w roku.

— Jako autor science-fiction Jeremy zrobiłby karierę — rzekłem z przekąsem.

— Niestety, profesor traktował swoje pomysły jak najbardziej serio, a brak zainteresowania

uważał za osobistą zniewagę. I nadal kombinował. Do jego kolejnych pomysłów należał projekt ochronnego półpancerza słonecznego, który zapobiegałby trwonieniu energii w przestrzeń kosmiczną. Chciał również hodować mutacyjne owady rzeźne wielkości słoni, myślał o krzyżówce ludzi z delfinami i wyhodowaniu rasy syren homoidalnych, które w przyszłości kontynuowałyby dotychczasową cywilizację...

— Czysty surrealizm!

— Niewątpliwie... Z biegiem czasu Jeremiasz coraz bardziej zamykał się w kręgu swych zwariowanych koncepcji, tracąc kontakt z rzeczywistością. Jego przełożeni kładli to na karb postępującej choroby psychicznej. Izolowano go od studentów, usiłowano leczyć. Parokrotnie uciekał z kliniki psychiatrycznej, gdy próbowano poddać go badaniom. W dniu, kiedy pozbawiono go profesury, buńczucznie zgłosił żądanie przyznania mu Nagrody Nobla za całokształt pracy i oddania mu do dyspozycji wszystkich laboratoriów świata. Wtedy był już tylko śmieszny. Tak właśnie oceniono jego wypowiedź dla prasy, w której przestrzegal świat przed rychłą katastrofą i zagładą, ubliżał politykom i naukowcom, twierdząc, że ci, którzy go nie słuchają, zapłacą za swą niefrasobliwość i ignorancję.

— Biedny wariat! — powiedziałem.

Bob tylko pokiwał głową.

— Tak właśnie to oceniono. Zresztą, nastroje katastroficzne stały się wtedy modne. Pamięta pan na pewno sektę O'Briena, z tym, że działania Irlandczyka były bardziej spektakularne niż dywagacje profesora.

— No dobrze, ale co to ma wspólnego z naszą obecną sytuacją? — zapytałem. — Jeśli Jeremy jest wariatem... a chyba jest, to nie ma się czego obawiać! Ciekawe tylko, dlaczego ukrywał przede mną swą przeszłość. Wie pan, wymyślał coraz to nowe powody swej ucieczki na dach.

— My również nie znamy pełnej prawdy. Przez parę lat nic się nie mówiło o profesorze.

Zapomniała o nim prasa, nie interesowały się nasze służby, które miały — jak pan się domyśla, wiele innych spraw na głowie: przewroty w Trzecim Świecie, krótkotrwałe sukcesy Ruchu Odnowy zakończone aferą korupcyjną, wielkie manewry szpiegowskie, terrorystę, który szantażował kraj bombą wodorową własnej konstrukcji, apokaliptyków i ich samobójstwa w Gminie Księżycyca... Co ja zresztą będę panu opowiadał...

— Czy już wtedy Jeremy był na tym dachu? — przerwałem.

— Nie, nie... sprawa dachu pojawiła się troszkę później, jakieś siedem lat temu, ale wówczas oceniano jego ucieczkę wyłącznie w kategoriach czynów ekscentrycznych. Doszliśmy do wniosku, że profesor musiał upłynnić komuś jakiś swój wynalazek, dostał bowiem dość środków, aby dokonać zakupu dachu, a co ważniejsze, opłacić prasę, by nie zajmowała się jego sprawami. Zresztą, czy był to ciekawy temat? Jest w Anglii facet, który od dwudziestu lat mieszka w wannie, a w Grecji z kolei ktoś postanowił pobić rekord Szymona Słupnika...

Rozgadało się Murzynisko, nie ma co. Słuchałem tego jednak z rosnącym zaciekawieniem.

— Dopiero trzy lata temu cała kwestia odżyła w związku z ucieczką Soni.

— Sonia jest tu, na dachu! — wtrąciłem szybko.

— Wiemy o tym. Głównie dzięki temu nie mogliśmy dobrać się Jeremiaszowi do skóry. To była jego żywa tarcza. Bo w końcu zbombardowanie, wytrucie czy też zdmuchnięcie tej pustelni nie stanowiłoby problemu. Poza tym, długi czas nie widzieliśmy powodu do takiego

**działania. Wynalazca wydawał się niegroźny...**

— A teraz?

— Dużo panu mówię — westchnął Bob — powiem jednak do końca, to wprowadzie niezgodne z regulaminem, ale w obecnej sytuacji...

— W jakiej sytuacji?

— Obawiam się, że to wszystko nie potrwa już długo.

— Co do licha?

— Świat!

Na moment zrobiło się cicho, potem wybuchnąłem śmiechem.

— A cóż może zrobić naszemu światu ten nieszkodliwy staruszek?

— Tego niestety nie wiemy. Jednak rok temu na biurku szef SuSeSu znalazła się pewna zielona teczka. Były to analizy wykonane przez jakiegoś młodego naukowca. Początkowo jako hobbysta tropił fantastyczne pomysły Jeremiasza. Przekopywał archiwa, sprawdzał doświadczenia. Przez dziewięć lat nauka poszła naprzód i wbrew pierwotnym ocenom, niektóre koncepcje profesora stały się całkiem realne... Młody naukowiec zainteresował się szczególnie katastroficznymi pogroźkami Jeremiasza. Szczęście mu sprzyjało, zdołał wkręcić się do sekty apokaliptyków, z którymi — jak się, okazało — nawiedzony profesor nawiązał współpracę.

Poznał tam niejakiego Daniela...

— Daniela?

— To wiceszef całej paczki. Osobiście pilotował helikopter, którym dzisiaj dotarliśmy na dach... Reszta bandy chyba zginęła.

— A więc ktoś prowadzi pościg!

— Tak, mój przyjacielu. Mam nadzieję, że zdobędą ten dach, zanim będzie za późno.

— Wróćmy do naukowca i zielonej teczki — przerwałem niecierpliwie.

— Już wracam. Daniel w chwili szczerości zwierzył się, że jego grupa przygotowuje kataklizm na miarę globalną. Kataklizm, który przetrwają tylko wybrani... Szczegółów, niestety nie ujawnił.

Młody naukowiec niezwłocznie skontaktował się z Super Secret Service, ale nazajutrz, chyba nieprzypadkowo, zginął w wypadku drogowym. A pięciu wymienionych przezeń apokaliptyków jakby się pod ziemię zapadło.

Nasza grupa, specjalnie wyznaczona do tej akcji, tropiła ich przez rok... I dopiero przedwczoraj...

Zgrzytają drzwi, słychać głos Nakayamy:

— Czarnuch w kącie celi, Walter, podejdź do wejścia. Pan Enklawy chce z tobą rozmawiać!

## **28. AUTOR**

Snopy światła z reflektorów grzęzły w mgłę gęstej i lepkiej jak zsiadłe mleko. Mimo maksymalnie wyęźzonego wzroku, Tim nie widział dalej niż na odległość kilku metrów.

Samochód jechał coraz wolniej. Krawędzie poboczy również były niedokładnie widoczne.

W tych warunkach jazda przypominała raczej żegluga Latającego Holendra. Mgły są specyfiką okolic Jeziora Nimf, stanowiącego najniższy punkt Wielkiej Depresji, dzisiejsza była jednak szczególna, zważywszy, że na wyżynie niebo pozostało zupełnie czyste, a ziemia sucha. Były inspektor policji z uwagą śledził licznik kilometrów. Na czterdziestym drugim, licząc od



zjazdu z autostrady, powinien skrócić w prawo. Właściwie nie bardzo wiedział, dlaczego jedzie w tym kierunku, wykonując polecenie na wpeł przytomnego Hioba... Gdy usiłował pytać, apokaliptyk, przytomny tylko dzięki wyjątkowo mocnym specyfikom, powtarzał:

— Tam dowiesz się wszystkiego! Szybciej! Czasu pozostało niewiele...

Kiedy monosylaby Tima świadczyły o niedowierzaniu i nieufności, Hiob powtarzał gorączkowo:

— Przysięgam! To nie jest pułapka. Ja chcę cię uratować! Szczegółów jednak wyjawić nie chciał. A w odpowiedzi na pytania tylko cicho pojękiwał. Byłemu policjantowi pozostawał jedynie monolog.

— Zupełnie nie rozumiem waszej strategii — mówił. — Najpierw perfekcyjnie się ukrywacie, potem nagle zaniedbujecie wszelkiej ostrożności i porywacie Zuzannę. Idziecie z nami na wymianę ognia. Przecież wtedy, w górskim domku, po oddaniu Zuzanny, nie mielibyśmy nawet powodu was zatrzymać. Za porwanie? Nie jesteśmy zwykłą policją.

— Wiem. Jesteście z SuSeSu...

— A teraz chcesz mi wszystko wyjaśnić i prowadzisz do waszej kryjówki. Nic nie rozumiem.

— Nadszedł czas... — Zamruczał i naraz głos mu się zmienił, stał się bardziej gardłowy, natchniony: — „I widziałem anioła lecącego przez środek nieba, który mówił donośnym głosem: Bójcie się Boga, gdyż nadeszła godzina sądu Jego. A drugi anioł szedł za nim i mówił: Upadł, upadł wielki Babilon, który napoił wszystkie narody winem szaleńczej rozpusty...”

Tim mocniej zaciska dłonie na kierownicy. Do czego zmierza Hiob? Dokąd go prowadzi, w zasadzkę? Niestety, agent nie ma wyboru. Trzyma w ręku jedyną nić prowadzącą do sedna sprawy. A w razie czego... W samochodzie jest telefon, zawsze będzie mógł skorzystać z podanego numeru i zadzwonić do Szefa Super Secret Service.

Mgła, choć to prawie niemożliwe, staje się jeszcze gęstsza, od strony jeziora dolatuje rechot żab i hałas cykad.

— Można trochę szybciej? — stęka Hiob. — To blisko... Nagle drogę przegradza im masywna kuta brama. Hamują. Dookoła ciągną się schludne żywopłoty. Nad bramą złoci się wielki napis. „Witaj w Studium Fundacji Patricksona”.

— Tutaj jest wasza melina? — dziwi się Tim.

— Zatrąb! — poucza Hiob.

Więc trąbi.

— Kto tam? — słyhać głos z oparów mgły.

— Brat Hiob!

— Witaj!

Wjeżdżają. Parę metrów za bramą wita ich starszy mężczyzna spacerujący z psem. Widok Tima przy kierownicy niepokoi go.

— Gdzie Hiob? Nie znam pana.

— Z tyłu, jest ranny... Może ktoś pomógłby wynieść nosze?

— Oczywiście, natychmiast. Zofia! Fatima!

Z pobliskiego pawilonu wybiegają dwie wspaniałe zbudowane dziewczyny, o idealnych kształtach, choć zupełnie różnych typach urody. Zosia jest piękną, wysoką, bardzo słowiańską blondyną, Fatima ma w sobie tajemniczy urok Orientu.

Sprawnie, ruchami pełnymi gracji i siły, dziewczyny przenoszą rannego apokaliptyka na

łóżko na kółkach i podłączają do kropłówki.

— A on to kto? — gospodarz nieufnie spogląda na Tima.

— Brat Abakuk — szepce Hiob. — Niech podąża z nami... Przybyłem z posłaniem. Czas nadszedł, trzeba wszystkich zwołać.

— Czas nadszedł! — woła mężczyzna będący niewątpliwie samym Patricksonem. W jego głosie słychać ton tryumfu.

Idą. Inspektor z niepokojem myśli o pozostawionym radiotelefonie i z przyzwyczajenia maca się pod pachą. Jego pistolet zniknął!

Fundacja Patricksona. Niewiele było wiadomo o tej filantropijnej organizacji, od pięciu lat skupiającej grupę młodych ludzi z całego świata, kształcących się i pragnących założyć osadę przyszłości. Jej szef, Albert Patrickson, niechętnie udzielał wywiadów dla prasy. W broszurze propagandowej mówił o eksperymentalnej mini społeczności, która po ukończeniu nauki zamierzała stworzyć idealną gminę na jakiejś wysepce w sercu oceanu. Od czasów Owena i socjalistów utopijnych, po plany Sekty Księżyca czy program „Paleolit Oświecony” —

zrealizowany przez grupę Norwegów, która na wybrzeżu Spitzbergenu utworzyła osadę na wzór kultur epoki kamiennej i wytrzymała w niej całe czternaście miesięcy — pomysły idealnej wspólnoty pojawiają się na świecie nieustannie. Tym razem przedsięwzięcie wspierały okazałe fundusze. Jak głosiła wspomniana broszura, uczestników Studium zebrano z całego świata.

Był to ponoć „surowiec najwartościowszy moralnie i intelektualnie”.

Tim, maszerując deptakiem między domkami przywodzącymi na myśl elegancki camping, mógł skonfrontować reklamę z rzeczywistością. Rzeczywiście, zgromadzona tu młodzież przedstawiała się schludnie, kształtnie i aseptycznie: dziewczęta o twarzach nieskażonych erotyzmem, chłopcy przypominający przedwojenne reklamy pasty do zębów. Dookoła widać było ścieżki zdrowia, gazetki ściennie, stolówki pod gołym niebem. Daremnie szukałbyś tu niezdrowego klimatu dyskoteki, pełnej narkotyków czy wydawnictw porno. Wszyscy kursanci chodzili w tenisówkach i bawełnianych kombinezonach o kroju antymilitarnym i aseksownym.

Timowi, który ostatni rok spędził szlajając się po nocnych klubach, dyskotekach i komunach propagujących wolną miłość, zapachniało nudą.

— Co hedonistyczni apokaliptycy mają wspólnego z tym bezpłciowym skautingiem? — zastanawiał się.

Gazetki ściennie informowały o zajęciach, na które przybywali najwybitniejsi specjaliści rozmaitych dziedzin. Wisiały też zdjęcia wyróżniających się kursantów oraz fotos niejakiej Lucille (od tyłu), którą przyłapano na całowaniu się z dostawcą wędlin, co uznano za mieszanie się w wewnętrzne sprawy wspólnoty.

Wedle prospektu, po zakończeniu pięcioletniego studium, gromadka absolwentów stanowić miała zespół ludzi wszechstronnie wykształconych, samowystarczalnych, którzy potrafiliby obsługiwać zarówno skomplikowaną maszynę jak i koło garncarskie.

Łóżko Hioba skrzypi na żwirowej ścieżce, dziewczyny, Patrickson i Tim podążają za nim w milczeniu.

Zbiórka wyznaczona jest na placu apelowym, owalnej polance otoczonej gęstą zielenią. Hiob i Tim pozostają obok w cienistej altance, jedynie przysłuchując się imprezie. Trzeba przyznać, towarzystwo jest rzeczywiście wyselekcjonowane w sposób wyjątkowo staranny. Obok słowiańskiej Zofii stoi lewantyńska Fatima, za nią, drobna i żywa paryżanka Lucille. Dalej w

szeregu pręży się smukły Olaf, szeroki w barach Oleg, milcząca Sara o pokornych oczach i wąsaty Jorge... Jest ich czterdzieści czworo. A każde z innego zakątka globu. Każdy trzyma teczkę z własnymi danymi personalnymi, charakterystyką intelektualną i genetyczną, zobowiązaniem i życiorysem. Są tam też wspaniałe świadectwa lekarskie. Dla uproszczenia wszyscy wybrani mają grupę 0 RH+, a żaden nie jest krewnym drugiego aż do dziesiątego pokolenia.

Stoją piękni, szlachetni, skromni, wychowani w kulcie kolektywu i spartańskiej cnocie.

O pieniądzach zdążyli zapomnieć. Wszyscy kochają (i co ważniejsze muszą kochać!) gimnastykę i muzykę klasyczną, trygonometrię i śpiew chóralny. Nikt nie karmił ich zbędną wiedzą z takich dziedzin jak historia, filozofia, ekonomia. Specyficzne wychowanie zabiło w nich dążenie do konkurencji, egoizm czy żądzę władzy. Umieją tylko słuchać i cieszyć się wykonywaniem poleceń. A teraz wpatrują się w Patricksona, emanując owym wewnętrznym zadowoleniem ludzi pod każdym względem zdrowych.

— Dziś nadszedł wielki dzień, młodzi przyjaciele. Godzina waszego egzaminu... — powiedział szef placówki. — Wybrano was dla wielkiego celu i temu celowi posłuzycie. A zatem zbierajmy się!

— Dokąd jedziemy? — z szeregu wyrwał się czyjś nieśmiały głos.

— Chyba wiecie, że nie zadajemy pytań — huknął Bert. — Za pół godziny wyruszamy.

Ewakuację mamy przetrenowaną, a sterowiec czeka w hangarze.

— Sterowiec? — inspektor ruszył do przodu, jakby chciał powstrzymać akcję.

— Stój! — usłyszał szept rannego. Obejrzał się. Oczy Hioba gorzały, a ręka mocno ścisnęła colta...

— Moja broń... — syknął Tim. — Ukradłeś mi broń!

— Zaraz ci ją zwrócę... Ale najpierw chwilę porozmawiajmy. Docenisz kiedyś wagę tej rozmowy. Tylko stój, nie ruszaj się — powtórzył. — Która godzina?

— 4.30.

— A więc pozostało półtorej godziny. — Do czego?!!!

— Do końca świata. Nie, nie ruszaj się... Nic nie możesz zrobić. Nawet jeśli zawiadomisz swego szefa z Super Service... świat został skazany już parę tygodni temu. I nic nie zatrzyma zagłady.

— Nie wierzę!

— Błogosławieni, którzy nie wierzą. Przynajmniej umierają w nieświadomości — ale dość dygresji, muszę się streszczać. Mam mało czasu, a dużo spraw.

— Co to będzie za kataklizm? — pyta Tim. Gardło ma suche, a grdyka drga mu nerwowo.

— Zobaczysz! A więc proszę, nawet jeśli umrę, nie wszczynaj alarmu. Lepiej żeby świat dowiedział się jak najpóźniej. To oszczędzi cierpień, a kres przyjdzie bardzo szybko.

— Ależ to czysty obłęd, jakaś przerażająca zbrodnicza paranoja!

— Czy kiedy umiera ranne zwierzę, nie należy go dobić?! Podobnie jest z naszym światem. Toczył go nieuleczalny nowotwór złośliwy...

— Bzdura! Jednostronne spojrzenie!

Policjant chciał skoczyć ku umierającemu, ale w tym momencie rozległy się kroki i na zaplecze wszedł Patrickson.

— Wszystko gotowe, bracia. Sterowiec był już napełniony przedwczoraj, po waszym

**pierwszym sygnale. Kończymy załadunek, a za kilkadziesiąt minut osiągniemy cel!**

**— Ty zostaniesz!**

**Gospodarz stanął jak zamurowany. Szczeka mu opadła, a twarz zrobiła się kredowobiała.**

**Dopiero teraz zauważył na wprost siebie ciemny wylot lufy...**

**— Jak... jak to?**

**— W nowym lepszym świecie nie ma dla ciebie miejsca, Patryku O'Brien — powiedział Hiob.**

**Teraz zdumienie ogarnęło Tima... A więc ów filantrop Bert Patrickson był osławionym szefem apokaliptyków, który tak znakomicie ukrył się przed laty... Czyżby pieniądze, które posłużyły na fundację, stanowiły mienie samobójców?!!**

**— Ale... przecież... tyle dla was zrobiłem! — jęknął dyrektor Studium.**

**— To zaledwie część pokuty! Byłeś tylko paznokciem na palcu Opatrzności, lajdaku —**

**chrypi apokaliptyk. — Kiedy odnaleźliśmy twą kryjówkę, morderco swoich współbraci, miałeś już nasz wyrok. Jeremy pozwolił na odroczenie go. Uczynił cię swym narzędziem, najpewniejszym, bo ślepym. Pracując w Studium oddałeś nam pewne usługi, które oby choć w części zmasały tve lajdactwo. Teraz pozwolimy ci umrzeć.**

**— Nie... nie... jesteście takimi samymi zbrodniarzami jak ja... Większymi, w końcu wydaliście wyrok na sześć miliardów ludzi... Nie! — tu skoczył ku Hiobowi, ten był jednak szybszy.**

**Pierwszy strzał rzucił O'Briena w tył, drugi zgiął na dwoje, trzeci wyprostował, a czwarty dobił.**

**Tim wyrwał pistolet z dłoni Hioba... Ten nie opierał się wcale...**

**— Biegnij do sterowca... zabierz się z nimi... na Enklawę! — jęknął tylko.**

**— A ty?**

**— Ja tu zostanę, poczekam! Moja rola została zakończona — mimo bólu, na twarzy umierającego pojawił się zagadkowy uśmiech.**

**Inspektor nie pobiegł jednak do hangaru. Szybko odnalazł swój samochód. Wywołał centralę i poprosił o połączenie. Podał zastrzeżony numer szefa. Czekał.**

**— Wyjechał na weekend... wyjechał na weekend... wyjechał na weekend — odezwała się automatyczna sekretarka.**

**— Przekleństwo!**

**Tim nerwowo przypominał sobie wszystkie znane telefony. Policja? Nie, przecież z policji go wyrzucono. Gubernator — nawet go nie wysłucha. Wydzwonił wreszcie swego starego kumpla z „Depressian News”.**

**— Halo, tu Tim...**

**Rozespany dziennikarz sklął go jak szewc.**

**— O co chodzi? Budzisz ludzi w środku nocy...**

**— Słuchaj, Ralf, musisz mi pomóc! Nadchodzi koniec świata...**

**— Zadzwoń jutro...**

**— Kiedy to już dziś, za godzinę!**

**— Słuchaj Tim, nic mnie to nie obchodzi. Pracuję w dziale miejskim, dalbym ci telefon Stana z działu ciekawostek przyrodniczych, ale właśnie jest na urlopie...**

**— Hallo, brat nie leci z nami? — przed ciężarówką stała Maria, piękna Włoszka przypominająca swą urodą najlepsze czasy Giny Lollobrigidy...**

— Ja... ja... — nie potrafił wykrztusić nic rozsądnego.

— Wszyscy jesteście już w sterowcu. Brakuje tylko brata, ojca Berta i Hioba... Nie wie brat, gdzie oni mogą być?

Przez moment chciał powiedzieć prawdę, zmienił jednak zamiar. Popatrzył na biust niemal rozsadzający podkoszulek i wielkie, sarnie oczy Marii.

— Dolecą do was później, siostrze — rzekł spokojnie. — Zostało im parę spraw do załatwienia.

— W takim razie kto zadecyduje o odlocie... Może brat... jak bratu na imię?

— Abakuk!

— No więc?

— Odlatujemy!

— Czy jeszcze pana z kimś połączyć? — odezwał się głosik telefonistki w słuchawce, którą wciąż ścisnął w rękę.

— Nie, już nie!

**31. WALTER**

Jakże inaczej wyglądał Jeremiasz, gdy wypchnięty przez Nakayamę wypłynął pośrodku stawu, obok ziemianki. Prorok ubrany był w śnieżnobiałą jedwabną szatę. Wyglądał jak Stwórca po fajrancie. Tylko drżące ręce i półprzytomne oczy klóciły się z resztą dostojeństwa.

— Będziesz miał przyjemność być świadkiem, Walterze.

— Świadkiem czego? — ciągle wydawało mi się, że lada moment obudzę się i zniknie ten cały surrealizm. — Co chcesz zrobić?

— Już zrobiłem i nic nie może mi przeszkodzić, elektryczny impuls wprowadził w ruch dzieło zniszczenia, nawet ja nie mógłbym go powstrzymać.

Nic nie powiedziałem. Wątpię zresztą, czy cokolwiek by do niego dotarło.

— Ileż nocy i dni, Walterze, spędziłem na medytacji. Ile razy zadawałem sobie pytanie, czy powinienem. I zawsze w końcu dochodziłem do wniosku, że muszę. Nie mogąc ocalić świata, musiałem go zniszczyć w najmniej bolesny sposób, zniszczyć tak, by pozostało na nim życie, a człowiek odrodził się w swoim lepszym wydaniu.

Nie pojmowałem do czego zmierza.

— Mógłbym ci pokazać wykresy, dane, fakty, obliczenia, Walterze. Wynika z nich niezbitnie, że konflikt atomowy musi wybuchnąć w świecie w ciągu roku. Broń nuklearna znalazła się w rękach band terrorystów; rozbieżności między mocarstwami nabrzmiały do katastroficznych rozmiarów. A jeśli by nawet odwleczono wojnę, już rozpoczął się kryzys surowcowy, doszło do nie odwracalnej degrengolady moralnej. Stała się głowa sztuka, rozpadła się rodzina, ogłoszono śmierć Boga.

— Może to i prawda — zawołałem — ale pan nie ma prawa...

— Ja nie mam prawa? Owszem, mam. Moim prawem jest możliwość. Moja praktyczna wszechmoc, która sprawi, że jeszcze dziś ludzkość umrze! Chodź, popatrz.

Zbliżyliśmy się do krawędzi Enklawy... W dole, jak co dzień, miasto pulsowało na podobieństwo olbrzymiej wieloramiennej ośmiornicy. Zdawało mi się, że w jednym rozbłysku świadomości widzę tych wszystkich ludzi w dole, ludzi marnych, ludzi grzesznych, ludzi głupich, ale żywych...

— Nie wolno ci, Jeremy!

Wybuchnął śmiechem... Śmiał się histerycznie, stając na krawędzi okapu i rozpościerając dłonie nad potępionym światem. Skoczyłem ku niemu, pchnąłem. Nie krzyknął nawet, tylko jak wielki biały ptak poszybował ku ziemi...

Przepraszam! Skłamałem. Zobaczyłem to tylko oczami mojej wyobraźni. W istocie między mną a tym szatanem stanął Nakayama. Nakayama niczego nie odczuwający, a może tylko znakomicie skrywający swoje emocje pod maską etykiety. Parę metrów dalej przykucnął inny facet, którego nie znałem. Prawdopodobnie Daniel, o którym wspominał Bob.

— A wiesz, jak tego dokonałem? — krzyczał Jeremiasz. — Nie, nie musiałem rozłupywać skorupy ziemskiej czy przyciągać komety! Wzór wziąłem od naszego wspólnego przodka, Noego... Tylko zastosowałem go na opak...

— Nie powiesz chyba, że zamierzasz przywołać potop?

— Już go zrobiłem. Zaraz zejdziemy do ziemianki i tam z komunikatów radiowych i telewizyjnych, które za parę minut zaczną bombardować struchlałą ludzkość, dowiesz się o dwóch olbrzymich, ponad kilometrowej wysokości, wałach wodnych, które od Arktyki i Antarktyki, jak dwie wielkie gąbki zmazują ludzkość z powierzchni Ziemi.

— To jakiś absurd.

— Absurdy po ich udowodnieniu stają się prawami, drogi bracie. Mój ostatni wynalazek polegał na wykryciu pewnego rodzaju związków chemicznych przypominających żyjące organizmy, z tym, że o miliardy razy szybszych procesach życiowych. Związki te charakteryzują się błyskawicznym przekształceniem lodu w wodę bez zwiększania temperatury, i na długi czas uniemożliwiają jej ponowną krzepnięcie... Zresztą zobacz... Piętaszka, której dotąd nie zauważyłem, podała mi naczynie z kostką lodu, w lodzie tkwił termometr wskazujący — 4°C. Za pomocą pipetki profesor upuścił na kostkę niewidzialną kropelkę preparatu. Kostka w mgnieniu oka zmieniła się w ciecz, a temperatura nie wzrosła ani o pół stopnia.

— Do diabła!

— Rozumiesz już, że dzięki kilkunastu rozmieszczonym przez moich ludzi pojemnikom, które po nadanym przeze mnie sygnale wybuchły jednocześnie na terenach podbiegunowych, lodowe masy zmieniły się już w bezmiar wód...

— To straszne! — wręcz brakowało mi słów, czułem się zmiażdżony tymi megalitrami lodowatej H<sub>2</sub>O.

— Kiedy ten wał przetoczy się przez świat, nie ocaleje nic... Ani statki, ani miasta, ani bunkry... Może paru mieszkańców Himalajów lub Andów... Później lustro wód ustali się na wysokości zaledwie paruset metrów ponad poziomem dotychczasowym, rozumiesz jednak, że pierwsza fala zmiecie wszystko... — urwał i jeszcze raz rzucił okiem na metropolię. — Biedacy, jeszcze nic nie wiedzą! Cierpliwości, cierpliwości...

— Zaraz, ale w takim razie my również zginiemy... — powiedziałem głosem ochryplym.

— Wiem, co robię — roześmiał się Jeremiasz. — Nie bez powodu właśnie tu umieściłem moją Enklawę, moją arkę — zauważyłeś chyba, że mam w podziemiach komplet zwierząt domowych? Zbudowałem ją na dachu wieżowca w Wielkiej Depresji... Dookoła kotliny rozciągają się bardzo wysokie góry, jedyna droga prowadzi wąskim kanionem. Czoło fal rozbija się o te granitowe łańcuchy... A zatem poziom wody będzie wzrastał znacznie wolniej i w efekcie megablok się ostanie. I tak staniemy się wysepką. Taką samą wysepką, o jakiej ci

mówilem podczas naszego pierwszego spotkania... Woda zatrzyma się dwa metry poniżej dachu (wyliczyłem wszystko bardzo dokładnie), ale musiałem zostawić pewną tolerancję...

Mamy tu wszystko, aby przeżyć kilkanaście lat — ciągnął dalej jak w natchnieniu. — Potem, gdy woda z wolna opadnie, kiedy roślinność pokryje zniszczone miasta, pola i fabryki, kiedy rozłóż się ciała, a rzeki uformują nowe koryta, zejdziemy na dół tworzy wszystko na nowo...

Nakayama będzie mym Jafetem, Daniel Semem, a ten czarny, który szczęśliwie spadł mi z nieba.

— Bob! — podpowiedziałem.

— Niech mu będzie Bob — Chamem... Nie planowałem tej rasy, ale być może KTOŚ za mnie dokonał korekty...

— A ja jaki otrzymam przydział?

— Możesz być, kim zechcesz.

— Zaraz, zaraz, ale mamy tu samych ojców — zauważyłem.

— Wymyśliłeś ojcorództwo?

— A ja? — zapytała Piętaszka.

— Ty?

— Jest ustalone, że pierwsze dziecko będę miała z Nakayamą — drugim synem będzie Mulat z Bobem, trzecie może być z tobą...

— Tak czy siak, Trzeci Świat znowu będzie w przewadze — usiłowałem zażartować, chociaż wcale nie było mi do śmiechu.

— Chwileczkę, ja też założę nowe stadło — powiedział pustelnik. — Poznaj moją nową... Hej, kobietko!

— Na progu ziemianki stanęła kolejna postać.

— Walter!

— Zuzia!...

— Państwo się znają? — zdziwił się Jeremiasz. — Tak czy siak, są to sprawy drugorzędne.

Eksperyment jeszcze trwa. I przestań się martwić, Walterze. Śmierć jednego człowieka jest dramatem, śmierć miliardów tylko statystyką... Zamiast czekać, oprowadzę cię po mojej menażerii.. Stworzyłem wspaniałe krzyżówki, które staną się przodkami uszlachetnionych gatunków... Mówię ci — lwy jarosze, ryby bez ości, płazy, które zamiast oślizgłej skóry będą miały puszyste futerko... Hej, ty mnie w ogóle nie słuchasz!

Rzeczywiście, nie słuchałem drania... Patrzyłem na Zuzię. W samodziiałowej szacie, zgodnie z modą obowiązującą w Enklawie, i z zapłakaną twarzą wyglądała inaczej, niż kiedy widzieliśmy się ostatni raz. I wówczas ja, Walter, wielki Walter, niemy obserwator upadku tego wszystkiego, co było moim domem, moją treścią i moim opakowaniem, ja, cynik, hedonista i zaliczacz kobiet, zrozumiałem, że kocham tę małą, bezbronną dziewczynę, ten — co za głupie skojarzenia — mały kwiatek, ocalony w sercu pustyni po przejściu burzy piaskowej...

— Zuziu! — podbiegłem do niej... Cofnęła się. I gdy pokrywałem ją pocałunkami tak gorącymi, że mogłyby wypalić dziurę w tkaninie, poczułem, że nie przytula się do mej piersi jak dawniej, że pozostaje chłodna...

— Muszę ci coś powiedzieć, Walterze... Zdarzyła się pewna rzecz... Zmieniłam się. Bardzo proszę, nie gniewaj się na mnie, ale kiedy myślałam, że nie żyjesz, poznałam wspaniałego chłopaka, nazywa się Tim... jest policjantem.

— A żeby to szlag trafiał.

— Słowo już stało się ciałem! — powiedział pustelnik, spoglądając na zegarek.

— Amen — dorzucił Japończyk.

— Bandydzi! — wyrzuciłem z siebie. — Łotry! Nawet w Sodomie i Gomorze zadano sobie trud, by wyszukać sprawiedliwych.

— Ja ich znalazłem — przerwał miękko. — Popatrz! — Tu wskazał na podłużny kształt, podobny do cygara, unoszący się nad pasmem wzgórz — to mój sterowiec a w nim nasiona przyszłego ludu — ojcowie jutrzejszych Einsteinów i Koperników, Szekspirów i Molierów...

— Napoleonów i Hitlerów — dorzuciłem cierpko.

— Nie przewiduję. Nie będzie wojen, nie będzie broni... Tu na Enklawie będziemy się tak krzyżować, aby powstała kiedyś jedna rasa wywodząca się ze wszystkich. Potomstwo zaplanujemy genetycznie. A później będziemy rozmnażać się zgodnie z zapotrzebowaniem.

Według popytu będą rodzili się głupi bądź mądrzy, umysłowi lub fizyczni... Wyhodujemy takie gatunki roślin, które będą owocować bez uprawy, praca stanie się zbędna, zadbamy też, aby nasze dzieci nie poznały nigdy takich pojęć, jak dobro i zło, historia czy wolna wola.

— Nowy, wspaniały świat — powiedział z przekonaniem Daniel.

W duchu, mimo całego zdruzgotania, zacząłem się śmiać. Zacząłem się śmiać, ponieważ oczami wyobraźni widziałem już wszystko tak, jak niewątpliwie będzie... Widziałem, jak pokolenie dzieci obali kanony ojców, podepcze ustanowione reguły i normy, wymyśli własnych świętych i uparcie będzie popępiać stare błędy pod nowymi etykietkami. Jak prędko wnuki Jeremiasza i Daniela porzucą raj i jego zasady, zaczną szukać na własną rękę drzew Wiadomości Dobrego i Złego, jak pojawi się wśród nich pierwszy Kain, pierwszy Ezaw, pierwszy Złoty Cielec... Jak rozejdą się po kontynentach, pomieszają języki, zetkną się z niedobitkami ludzkości przetrwałej wśród szczytów i stworzą nowe cywilizacje, nowe systemy i religie. Jak wyrojeni z gór barbarzyńcy zniszczą stworzone w trudzie pałace i systemy irygacyjne. Jak zrodzi się ciemnota i nietolerancja. Jak wśród ogólnie brązowych znajdą się bardziej brązowi. Jak pojawią się pierwsi, którzy wymyślą maczugę, i pierwsi, którzy oddadzą życie za innych. Jak dzieci Nakayamy zetną się z dziećmi Daniela, a prawnuki Boba być może uczynią niewolnikami potomków Jeremiasza... I jak trwać to będzie znowu setki tysięcy lat, aż do chwili, kiedy w gigantycznej metropolii na szczycie jakiegoś wieżowca natchniony wariat, morderca i filantrop zarazem, wybuduje sobie nową Enklawę...

— Nie gniewaj się, Walter, ale... — przecina me myśli głos Zuzanny.

— Nie gniewam się. Zapomnisz o tym facecie, on wkrótce umrze...

— Nie, czuję mym sercem, że jest na tym sterowcu... Jest wśród wybranych... Znajdzie się wśród nowego ludu! — mówi dziewczyna.

Cholerny sterowiec. Jest już coraz bliżej... A gdyby tak nie czekać? Skoczyć w dół...

Z ziemianki cały czas dobiega jazgotliwy zgiełk radia. I nagle muzyka się urywa. Wszyscy nieruchomiejemy... Cisza... Sekunda, dwie... Jest! Z głośnika zaczyna dobywać się dramatyczny głos spikera:

— Uwaga, uwaga! Nadajemy komunikat specjalny...

## 32. ZAKOŃCZENIE, AUTOR

Drobne fale przyływu załamują się na skałach... Wiatr szemrze w koronach palm... Dwa ogromne żółwie zalecają się do siebie bezceremonialnie... Śpiewają ptaki... Wyspa jest



małeńka, ale znakomicie zorganizowana. Wśród bujnej roślinności pasą się zwierzęta domowe.

Jasnowłosa Olaf pochyla się nad kołem garncarskim, wyczarowując przepiękne dzbany, które następnie ozdabia wyciskając ornamenty palmową plecionką... Zosia, Maria i Fatima piorą w sadzawce. Parę kroków dalej Piętaszka zajmuje się dojeniem kozy.

W gromadzie kolorowych dzieci w „stary niedźwiedź mocno śpi” bawi się Bob. Daniel wyciska tłuszcz z orzechów kokosowych. Parę kroków dalej Tim i Zuzia przypatrują się pierwszym krokom małej Agaty... W jaskini Jeremiasz wykonuje kolejne doświadczenie mające na celu otrzymanie alkoholu z patatów...

Minęło już pięć lat.

Wśród kwiecica krążą pracowite pszczoły niczym symbol mieszkańców Enklawy. Każdy dzień jest podobny do drugiego, a przecież piękny. Może tylko jeden mieszkaniec zaniedbanego cypla jest dysonansem w tym budującym obrazie — zgorzkniały, milczący, przedwcześnie postarzały Walter, jedyny, który nie zaakceptował reguł gry. Walter to również stały temat satyr rytych na glinianych tabliczkach.

Wysoko, środkiem rozgrzanego nieba przesuwa się biała nitka spalin i podążający za nią spóźniony loskot jumbojeta...

Nikt nie zwraca na to uwagi.

### 33. WALTER, ZAKOŃCZENIE

Uważają mnie tu za dziwaka, niech uważają... Trudno... Piszę jak głupi tę moją bezsensowną relację. Co pewien czas dla urozmaicenia wcielam się w fikcyjną postać autora i dopisuję brakujące partie, tak jakby mógł je naszkicować ktoś patrzący z boku... Nie pogodziłem się z sytuacją, nie mogłem.

Ciągle wracam myślami do tamtego tragicznego dnia.

„Uwaga, uwaga. Nadajemy komunikat specjalny... W ostatnim ciągnięciu Wielkiej Depresyjnej Loterii Pieniężnej padły następujące liczby...”

Jeremiasz marszczy brwi:

— Co do cholery! Powinny już być wiadomości. Fala z pewnością dotarła przynajmniej do przylądka Horn!

Tymczasem ląduje sterowiec. Tim wylewnie wita się z Zuzanną. Odczuwam bolesny skurcz serca! Z gondoli dwójkami wychodzi dorodna, zdyscyplinowana młodzież płci obojga.

Protopłaści nowej ery...

— Powinny już być komunikaty! — denerwuje się Jeremiasz, przerzucający kolejne kanały telewizji. — Co to znaczy, Daniel? Czy dostarczyliście pojemniki w odpowiednie miejsca?

— Oczywiście! — Ostatni z apokaliptyków pręży się służyć.

— Może was rozszyfrowano?

— Skądże, przecież nawet żaden z nas nie wiedział, co zawierają i gdzie umieszczają swoje ładunki koledzy...

— Co to więc znaczy? Nakayama, do mnie... Zrobimy takie przesłuchanie...

— Nikogo nie przyciśniesz. Ręce do góry!

Wyznam, iż oniemiałem ze zdumienia. Są to słowa Piętaszki.

— So... Soniu — Jeremiasz z trudem wykrztusza słowa. — I ty przeciw mnie...

— Nie, Soniu, tylko kapitanie Super Secret Service Joanno Shell! Prawdziwa Sonia zmarła dzień przed swą fikcyjną ucieczką na skutek przedawkowania narkotyków. Jej ojciec, a nasz

szef, wykorzystał tę okazję, aby wprowadzić mnie do grona apokaliptyków, ku któremu ciążyła jego córka. Już wówczas obawiał się twoich pomysłów. Swoją drogą byłeś znakomitym konspiratorem, przez lata nie mogłam przejrzeć twej tajemnicy, dlatego nie udaremniłiśmy wcześniej całej akcji... Jedyne co mogłam zrobić, to zmieniłam częstotliwość fal w twoim nadajniku detonatorów... Reakcja nie została uruchomiona.. Końca świata nie będzie!

Twarz proroka sinieje. Potem purpurowieje, na koniec pokrywa się wysypką. Zaiste kameleon. Z jego ust wypada jedno słowo:

— Nakayama, zabij!

— Spokojnie, żółtku, jesteś na mojej muszce — słychać spokojny głos Tima. — A swoją drogą, szef SuSeSu mógł mnie wcześniej wtajemniczyć w całą sprawę. Nie krążyłbym po omacku.

— Musieliśmy zachować pełną konspirację — tłumaczy Piętaszka. — Sami wiecie, jak wysoka była stawka.

— Co stoicie jak pniaki! — wrzeszczy Jeremiasz do ogłupiałych absolwentów Studium O'Briena — brońcie mnie!

Nikt się nie rusza. Enklawę otacza tymczasem sznur policyjnych helikopterów. Z jednego z nich zeskakuje na wydnię szef SuSeSu. Wypoczęty i opalony po wczasach na Karaibach.

— Gratuluję, Joanno, brawo, Tim, moje uznanie dla Boba... Świat wiele wam zawdzięcza.

Kolejno ściska nam ręce, nie pomijając skamieniałego z rozpaczy pustelnika i ogłupiałego Nakayamy, a potem nagle gubi urzędowy uśmiech i mówi twardo:

— To dobra część informacji. Jest i zła. Stwarza ją konieczność zachowania tajemnicy.

Pojemniki z zabójczą substancją nadal spoczywają w lodach i są nie do odnalezienia. Zawsze można je uaktywnić, toteż musimy zachować największą ostrożność.

— Zachowamy — wrywa się Piętaszce.

— O to jestem spokojny. A my wam pomożemy — mówi szef. — Wszyscy, którzy znają sprawę, zostaną przetransportowani na odległy atol na środkowym Pacyfiku. Tam spędzą resztę życia... W pewnym stopniu powinno to pana usatysfakcjonować profesorze. Na pańską cześć wysepkę ochrzciliśmy mianem: Enklawa!

Minęło już pięć lat. Starzeję się. Tu we wspólnocie uważają mnie za dziwaka. A niech uważają. Czasami zastanawiam się, co jest prawdą, a co iluzją? Może świat rzeczywiście przestał istnieć. Poza rzadkimi przelotami odrzutowców nie mamy na jego istnienie żadnych dowodów.

Zresztą może i mnie już nie ma.

## BAŚNIE DLA BEZSENNYCH

*„Baśnie dla bezsennych” pojawiły się na antenie Programu Pierwszego Polskiego Radia jesienią 1989, jako kontynuacja moich słuchowisk z czasów „60 minut na godzinę”. Myślałem wówczas, że w Wolnej Polsce zrezygnuję z działalności satyrycznej, ergo one właśnie staną się główną formą mojej radiowej aktywności. Ale rychło Trzecia Najjaśniejsza okazała się Trzecią*

*Najśmieszniejszą, słuchowiska zdominował magazyn ZSYP, po dziesięciu latach zresztą je wchłonął, a ja przeżyłem paroletni epizod telewizyjny pod nazwą „Polskie Zoo”.*

*Baśni tych, najczęściej z tradycyjną baśnią ani nawet „Antybaśnią”, niemających nic wspólnego, powstało przez przeszło 10 lat ponad 300, niektóre seriale stały się powieściami —*

*np. „Śmieciarz” przeistoczył się w „Video pana Boga”, „Willa Transcendencja” w „Według św.*

*Malachiasza”, zaś „Alterland” czy „Pies w studni” zaczęły nowe życie książkowe, często dalekie od radiowych pierwocin.*

*Jeśli idzie o słuchowiska „singlowe” większość spoczywa w radiowych archiwach, czekając na literackie przeistoczenie. Parę ukazało się w zbiorze „Baśnie dla bezsennych” wydanym w 1993, dziś po lekkich korektach weszły do tej części „Shortów”. Gwoli prawdy znalazły się tu*

*także opowiadania oparte o słuchowiska dużo wcześniejsze: „Budka nr 7” i wydana jedynie na*

*kasecie dźwiękowej „Jedna z lepiej przeprowadzonych akcji”.*

## OMDLENIE

Hilary Grabiec przeklinał drogę na skróty. Przeklinał soczyście, po proletariacku, jak zwykli przeklinać budowniczo wielkich budów, wrzucając dla podkreślenia internacjonalistycznego charakteru tych klątw, wielkoruskie „*job twoju mat!*” Żar lał się z nieba, które kolorem upodobniło się do łąnów dojrzewających zbóż. A jednocześnie było naelektryzowane wielką energią, duszną i parną.

Oczywiście drogę tę pokazał mu wróg klasowy. Cała podróż była od początku najeżona trudnościami. Na stacji dowiedział się, że z miasteczka nie przyślą podwozy i żeby próbował zabrać się okazją. Później ciężarówka pełna rozśpiewanej młodzieży zetempowskiej podwiozła go wprawdzie, za co zrewanżował się gratisową pogadanką o Korei, szelkach Trumana i bezeceństwach „marszałka zdrajców” — Tity, ale czy młodzieży nie przypadła w smak gawęda, czy też kierowca, człek wystarczająco dorosły, żeby pamiętać okres przedwojenny, miał inne poglądy polityczne, dość, że wysadzono go na rozstaju, twierdząc, że do miasteczka jest ledwie pół kilometra z hakiem. Uszedł te pół kilometra i jeszcze ze dwa haki, a dookoła widział tylko pola faldziste, małe grzebyki lasów, przysiadłe jak gąsienice na wzniesieniach.

Przy krzyżu natknął się na babę. Baba, jak to baba. Na widok mężczyzny w garniturze z teczką poczęła ostentacyjnie zawiązywać sznurowadło u trzewika, żeby nawet najbardziej dociekliwy ateista nie mógł nic zarzucić jej pozycji klęczącej.

— Czy dobrze idę, towarzyszko? — rzucił Hilary z oszczędnym uśmiechem, aby nie zdradzać swych ubytków zębowych. Później żałował słowa „towarzyszko”. Mógł przecież zagaić naturalnym „dzień dobry” albo nawet prowokacyjnym „pochwalony”, na co miał dyspensę z komitetu.

Kobiecina wskazała mu dość gorliwie skróconą drogę: „Miedzą, miedzą, bez mostek, kole laska, potem ino smentarzyk i już miasteczko”. Dopiero po przemaszerowaniu następnego kilometra zorientował się, że padł ofiarą dezinformacji.

Miał rację genialny Józef Stalin — wróg czaił się wszędzie. Nawet wśród ludzi prostych, predysponowanych do roli surowca, z którego w marksistowskim tyglu miał wytopić się Nowy Człowiek.

— Ile jeszcze walki przed nami? — westchnął Grabiec. Otarł pot skraplający się na łysinie i mocniej ścisnął rączkę teczki wypełnionej najświeższymi broszurami agitacyjnymi.

Pegeerowskie pole wydawało się nie mieć końca. Próżno szukał jakiegoś punktu

orientacyjnego. Przez moment zachwiało się jego niezłomne poparcie dla idei kolektywizacji.

A potem dostrzegł drzewo. Wielkie, baobabiaste, usytuowane na niewielkim wzniesieniu, o konarach poskręcanych jak członki bohaterów barokowych rzeźb sakralnych (których zdecydowanie nie lubił).

— Stamtąd się rozejrzę. A może nawet odpocznę w cieniu? Jak każdy mieszcuch rodem z łódzkiego podwórka, Grabiec nie lubił plenerów. Kojarzyły się z paniczną ucieczką w 39 roku, potem z bezkresnymi rubieżami Kraju Rad, gdzie zanosło go aż do Karagandy. Miał zresztą szczęście w nieszczęściu. Wiek i stan zdrowia uniemożliwiły mu służbę wojskową, a rodzinne umiejętności (pochodził z wielodzietnej rodziny krawca Grabenmanna) pozwoliły znaleźć pracę w szwalni mundurów. A potem, już po powrocie do kraju, jakiś kuzyn, Wiśniewski, Kwaśniewski czy Nowak (miał wielu kuzynów i duże trudności z zapamiętaniem ich nowych nazwisk) wyciągnął go z odcinka „kroju i szycia” i przeniósł na odcinek pracy ideologicznej.

Grabiec miał tylko małą maturę i niejakie trudności z wypowiedzianiem się na piśmie, toteż po krótkim redagowaniu gazety (później skrytykowanej za odchylenia pravicowo–nacjonalistyczne) skierowano go w teren. Bo gadał świetnie. Jego kuzyn (Wiśniewski albo Kwiatkowski), który wpadł raz na szkolenie prowadzone przez Grabca i wysłuchał jego popisowego referatu pt. „Boga nie ma”, stwierdził żartobliwie, że gdyby Bóg to usłyszał, to sam straciłby wiarę w siebie.

Hilary nie lubił takich żartów i gdyby nie fakt, że mówił to jego kuzyn (Kwiatkowski a może Nowak) udałby się z doniesieniem do odpowiedniego Departamentu do spraw Anegdotczyków, zajmującego się rejestracją ochotników na budowę Bielomor Kanalu.

Grabiec uważał, że socjalistyczny system wartości musi być integralny. Zwątpienie w jeden z elementów: koncesja dla światopoglądowego relatywizmu lub choćby kolorowych skarpetek, stanowić mogło wyłom doprowadzający z czasem do pęknięcia całości.

— „Wątpliwości to kornik w ramie obrazu lepszego jutra — wyraził się kiedyś poetycko. — I dlatego ja ich nie mam”.

Drzewo było tuż, tuż. Ale i zmęczenie robiło swoje. Czuł pulsowanie w skroniach, przed oczyma przelatowały mu czerwone platy. Niebo pociemniało. Czyżby zbierało się na burzę?

Naraz potknął się. Ból w piersiach uderzył go jak toporem, a niebo przekreśliła krwawa błyskawica.

„Boga nie ma!” — przemknęło mu w ostatnim przeblasku świadomości.

\* \* \*

Najpierw uczył chłód, potem wilgoć. Żył. Uniósł głowę, oczekując kolejnego uderzenia bólu za mostkiem. Nic takiego nie nastąpiło. Podniósł się na kolana. Poszukał wzrokiem teczki.

Leżała opodal. Sucha! Padać musiało krótko, a chmurka, która była tego powodem, już odpływała ku skrajowi nieba.

Popatrzył na zegarek marki „Smiena”. Było dopiero wpół do trzeciej. Zatem przeleżał w omdleniu zaledwie dwie godziny. W porządku, zdąży jeszcze na wykład. Tylko w którą stronę powinien iść?

W pobliżu rozległ się warkot przejeżdżającego samochodu. A zatem droga musiała biec całkiem niedaleko. Poderwał się żywo, jakby ubyło mu kilka wiosen. Miedza zdawała się szersza, a jednolity łąn zbóż ustąpił miejsca szachownicy małych poletek. Dotarł do wąskiego pasma świeżego asfaltu.

— Nareszcie ktoś zabrał się za te poniemieckie dróżki — pomyślał.

Przeskoczył rów i wtedy stało się coś najgorszego. Nadwerżony zamek teczki puścił i syknęły się na jezdnię broszurki cenne, a niezastąpione: „Cyrk Trumenillo”, „Zapluty karzeł

reakcji”, „Upiory Watykanu”, „Myśli Józefa Stalina w walce z pryszczycą”.

Pochyliwszy się, zaczął zbierać swe precjoza z gorliwością zeloty, więc nie zauważył ani nie usłyszał nadjeżdżającego samochodu. Pisk hamulców dotarł do Hilarego z opóźnieniem.

Kątem oka zobaczył kierowcę walczącego z poślizgiem. Szczęśliwie, hamujące auto musnęło go tylko, odrzucając do rowu.

— Jezus Maria, czy myśmy go nie zabili? — zapiszczał głos kobiecy.

— Nie — chciał odpowiedzieć, ale kiedy otworzył oczy, gotów był zmienić zdanie.

Anioł miał długie blond włosy, spadające w splotach do połowy ramion, cerę bladą, a bladość jeszcze podkreślał karmin wymalowanych ust. Ubrany był w giezelko z nieznanej tkaniny i spódniczkę skórzaną, tak kusą, że stanowiącą jedynie szerszą wersję paska, nie ukrywającą nawet majtek, czarnych, półprzeźroczystych, przywodzących na myśl akwarium dla grzeszników. Wyżej przez rozcięcie giezła widać było piersi zgoła nie anielskie, dojrzałe, ciężkie o szerokich sutkach koloru ciemnego piwa. Mnogość pierścieni i tajemniczy zegarek na rękę dopełniały całości zjawiska.

— Żyjesz, stary, nic ci nie nawaliło? — pytał Anioł, a umalowane usta odsłaniały ząbki nierówne i troszkę dziurawe.

Nim Hilary zdołał coś wykszusić, obok Anioła pojawił się — niestety — również Diabeł.

Hebanowa głowa i kręcone włosy wyrastały z jasnej bawełnianej koszulki.

— Możesz mówić? — pytała dziewczyna.

Hilary kiwnął głową. Co wyraźnie ucieszyło parę. Pomogli mu się podnieść. Diabeł mamrotał coś łamaną polszczyzno–angielszczyzną.

Wóz stał krzywo, cokolwiek w poprzek drogi. Miał odkryty dach i czerwoną, lśniącą karoserię. Grabiec nie znał tej marki, ale być może na drogi trafił już najnowszy model „pobedy” z zakładów na Żeraniu.

— W porządku, dziadek jest z solidnego materiału! — zaśmiała się dziewczyna, widząc, że stanął na nogach.

Murzyn otworzył portfel. Grabiec zamachał rękami. To w końcu z własnej winy znalazł się na środku jezdni.

— Nic mi nie jest — dorzucił bez przekonania.

— Może moglibyśmy coś dla ciebie zrobić, wujaszku? — blondyna wyraźnie odczuwała potrzebę zadośćuczynienia.

— Szedłem w kierunku miasta, gdybyście państwo mogli mnie tam podrzucić?

— Szedł pan akurat w przeciwną stronę, ale oczywiście podrzucimy pana.

Idąc do gościnnie otwartego samochodu Hilary zachodził w głowę, kim może być owa dziwna para? Studenci? Murzyn był dość młody, więc może rzeczywiście pogłębiał marksistowską wiedzę na którejś z warszawskich uczelni. Czyżby był to postępowy syn kacyka z krajów walczących z kolonializmem?

Zanim ruszyli, Murzyn wyciągnął ze schowka płaską butelkę i zaproponował Hilaremu i Beatce (tak miała na imię blondyna) drinka.

— Z tonikiem czy colą? — zapytała anielica.

Wybrał tonik. Coca Colę znalazł od najgorszej strony i nie miał zamiaru pić owej cieczy z rozgniecionej stonki.

— A może to wszystko prowokacja? — zachodził w głowę, przechylając butelkę. — Może ktoś chce wypróbować moją odporność na pokusy imperializmu?

Alkohol, choć wrogi klasowo, miał przyjemny smak. Grabiec poprawił się obok teczki na tylnym siedzeniu. Ruszyli. Dziewczyna nie przestawała go taksować, rzucając spojrzenie to na garnitur, to na buty (jeszcze UNRRA), to na teczkę ze świńskiej skóry.

— Pan chyba nietutejszy? — zapytała w końcu.

— Pochodzę z Łodzi, ale ostatnio mieszkam w Stalinogrodzie\*. Po wyrazie twarzy dziewczyny widać było, że nigdy nie słyszała tej nazwy i z niczym się jej nie kojarzyła.

Ruszyli. Motor pracował podejrzanie cicho, ale Hilary postanowił na wszelki wypadek nie zadawać żadnych pytań. Po drodze minęli parę samochodów, nieznanymi bliżej marek, i maszyn rolniczych. Dziwne, a gadali w województwie, że w tutejszym PGR mają kłopoty z mechanizacją.

Widok miasteczka w dolinie, typowej osady na Ziemiach Odzyskanych, a może raczej dużej wsi z rynkiem, dwoma wieżami kościołów, jakąś fabryczką na boku, uspokoił Grabca.

— Dokąd konkretnie podrzucić? — zapytała Beata.

— Do świetlicy, róg Janka Krasickiego i Pawlika Morozowa. Dziewczyna zastanawiała się chwilę.

— Świetlicy?

— Mam wygłosić pogadankę dla miejscowego społeczeństwa.

— Ach to będzie na pewno w Domu Kultury. Skinął głową.

— Tylko że Dom Kultury jest teraz zamknięty, dzielą go i prywatyzują. Chociaż może jeszcze jakaś salka działa.

Nie zrozumiał tej wypowiedzi.

Wyjechali na rynek i Hilary zgłupiał. Znal takie senne ryneczki jak własną kieszeń, nieraz odwiedzał ich brudne knajpki, kontrolował podupadające warsztaty, sklepiki obrosłe kolejkami.

Rejestrował obowiązkowe obeliski ku czci Armii Czerwonej na środku... Ale tu?

Bruk, owszem, był swojsko nierówny, fasady odrapane. Ale poza tym — wszędzie błyszcząca feeria reklam — Thompson, Pepsi Cola, Otake. Na wystawach piętrzyły się stopy owoców widywanych normalnie jedynie z okazji ważniejszych świąt. Sklep mięsny przypominał

(co Hilary zdążył już zapomnieć), że kopytne składają się nie tylko z rogów, racic i mielonego, ale miewają niekiedy szynki i polędvice... Po pomniku wdzięczności straszyl już tylko cokół.

Ponad Domem Kultury (z wyrwanych liter pozostały tylko cienie na tynku) pysznił się neon „Disco”, a całą ślepą ścianę zajmowały malunki reklamujące filmy. I to nie „Opowieść o prawdziwym człowieku” czy „Młodą gwardię”, ale jakiegoś „Indianę Jonesa” i (wyglądające bardziej swojsko) „Polowanie na Czerwony Październik”.

Naraz wszystko stało się dla Hilarego jasne. W miasteczku kręcono film. Demaskatorski film o kapitalizmie. Stąd te zdumiewające auta zaparkowane wzdłuż placu, ci dziwnie poubierani ludzie...

Na ławeczce kilku obywateli w średnim wieku pokrzepiało się piwem. Wyglądali swojsko.

Dosiadł się do nich. Popatrzyli z ukosa na przybysza, ale nic nie powiedzieli. Ba, nawet poczęstowali papierosami.

— Jak się nazywa ten film? — zapytał ośmielony. Starszy pijaczek popatrzył czujnie.

— O czym pan mówi? Powiódł ręką dookoła.

— Myślę o tych dekoracjach.

— Dobrze pan powiedział — odezwał się młodszy — pieprzone dekoracje! Wielki kapitalizm.

A człowiekowi zasiłku już po tygodniu na browar nie starcza.

— A panowie...? — chciał zapytać „czy statyści”, ale przestraszył się, że może tym określeniem urazi proletariackich aktorów.

— Bezrobotni! Bezrobotni!

„Oczywiście, statyści do koszmarnej sanackiej rzeczywistości”, pomyślał z ulgą. Wszystko się zgadzało. Nawet coraz liczniejszy tłum gromadzący się przed kościołem.

W demaskatorskim obrazie nie mogło przecież zabraknąć opium dla mas. Zajrzał do dawnego Domu Kultury. Wszędzie straszły kartki „nieczynne”. Nigdzie za to nie było zawiadomienia o jego pogadance. Jednak adres się zgadzał. Tak przynajmniej potwierdził staruszek portier:

\* *Świadoma ahistoryczność. W istocie Katowice zostały Stalinogrodem rok później.*

róg Janka Krasickiego i Pawlika Morozowa. Tyle, że teraz tabliczki były inne: (niewątpliwie dla potrzeb filmu) biskupa Ignacego Krasickiego i Władysława Andersa.

— Moglibyście wskazać mi drogę do Komitetu? — zapytał zniecierpliwiony. Coś przecież musiało funkcjonować nawet podczas kręcenia filmu.

Portier wskazał budynek w głębi, z czerwonym napisem o dziwnym kroju liter. „Komitet Obywatelski Solidarność”. Prawdopodobnie chodziło o solidarność z uciemieżonymi narodami Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej. Ale nie o to przecież chodziło Hilaremu.

— Myślę o Komitecie naszej Partii — uzupełnił.

— Której? — zapytał portier.

Grabca zdenerwowała ta rozmowa. Portier był kretynem. Już samo to dowodziło, że w miasteczku działo się źle. Portierzy w kraju demokracji ludowej powinni być ludźmi sprawdzonymi, jakże inaczej spełnialiby funkcje płatnych informatorów...

Obok zauważył czynną knajpę. Chyba nie kręcono w niej żadnego filmu. Zasiadł przy stoliku i zamówił setę z piwem.

— Należy się pięćdziesiąt tysięcy — rzekł kelner. Hilarego ogarnęła złość.

— Jak to, nie było u was wymiany pieniędzy? Teraz z kolei kelner zmienił się na twarzy.

— A wie pan coś na ten temat?! — aż przysiadł przy Grabcu. — Wszyscy mówią o denominacji, ale rząd dementuje. No, mów pan i pij, ja stawiam!

Zaraz jednak ktoś odwołał kelnera. Grabiec został sam. Zaczął rozglądać się po sali. Pod oknem jakichś dwóch facetów ostentacyjnie liczyło pieniądze. Mimo wieku Hilary miał wzrok bystry i dojrzał, że były to dolary. Całe paczki dolarów. (Może falsyfikaty potrzebne do filmu).

W drugim kącie dwójka innych obywateli klóciła się głośno.

— Jak ja ci cysterne spirytusu, to ty dajesz mi tylko dwie cysterny benzyny?!

Naturalnie uczyli się roli.

Jednak w sercu Hilarego powoli budził się strach. Coś tu działo się nie tak. Za dużo

elementów nie pasowało. Nawet jak na anty — imperialistyczny film.

A potem kelner włączył pudło stojące w końcu sali. Grabiec początkowo wziął je za radio.

Potem okazało się, że był w błędzie. Na niedużym ekranie pojawił się obraz.

O telewizji, owszem słyszał, ale miała to być pieśń odległej przyszłości. Wtem myśl straszna, nierealna załęgła mu się pod czaszką. A jeśli on tam, pod drzewem, przespał więcej czasu, niż mu się zdawało?

Na sąsiednim krześle leżała gazeta. Chwilę bił się z myślami. Potem sięgnął. Czuł się dokładnie jak wówczas, gdy jako sztubak podglądał ciotkę Ester w kąpieli. Wziął dziennik delikatnie, dwoma palcami. Nikt na niego nie patrzył. Potem jak filujący pokerzysta wolniutko odwrócił pismo. „Życie Warszawy”. Nazwa była znajoma. A data? 25 sierpnia 1991 roku.

— O wszyscy klasycy Marksizmu! Przespałem prawie czterdzieści lat.

Czterdzieści lat! Hilary nie wytrzymał, zerwał się, pobiegł do toalety. Przejrzał się w lustrze.

Żadnej zmiany, ani jednej zmarszczki więcej, ani jednego siwego włosa wokół lysiny.

Materialistyczny cud.

No tak. Teraz wszystko stawało się jasne. To nie był film. Po prostu minęło czterdzieści lat.

Zbudowano komunizm i pojawił się upragniony dostatek dóbr. Sklepy, samochody. Tylko co znaczyły owe reklamy? Najwyraźniej padł imperializm. Znacjonalizowano te wszystkie Fordy, Coca Cole i Thompsony, a świątły lud pracujący zachował dawne nazwy z szacunku dla tradycji.

Na twarzy Grabca wystąpiły ceglaste wypieki.

— Dożyłem! Dożyłem!

Przez chwilę zastanawiał się, czy mieli tę szansę jego kuzyni (Wiśniewscy, Kwiatkowscy, Nowakowie). A co ze Stalinem? Na pewno był nieśmiertelny jak jego idee. Tylko czemu nie widział nigdzie jego portretów?

Może ze skromności „Józefa Słoneczko”.

Tymczasem w telewizji zaczął się dziennik. Uświadomienie musiało być w narodzie duże, bo na sali ucichły rozmowy. Jako pierwsza pojawiła się korespondencja z Rzymu. Spotkanie z robotnikami...

— Na pewno Włochy mają już rząd komunistyczny — ucieszył się Grabiec. Ale nie.

Rozmówcą proletariuszy był jakiś starszy mężczyzna w bieli.

Papież? W telewizji? Jak to możliwe.

— No tak — zganił się w duchu. — Dla celów turystycznych nie skasowali tej etnograficznej ciekawostki.

Potem odbyła się dyskusja na temat, czy Warszawską Fabrykę Samochodów na Żeraniu kupi koncern General Motors i agitator poczuł na plecach strumyczek potu. Naraz obraz zmienił się.

— Najświeższe wiadomości z Moskwy — nieomal zawołał spiker. Fala otuchy napłynęła do serca Grabca. Zobaczył Kreml i tłumy manifestujących ludzi. To go uspokoiło.

Wszystko w porządku, wszystko w porządku w ojczyźnie światowego komunizmu.

Tymczasem głos spikera zabrzmiał dziwnie wesoło.

— Prezydent Rosji, Borys Jelcyn, oficjalnie uznał niepodległość Litwy, Łotwy i Estonii.

Ukraina ogłosiła suwerenność. Mer Sankt Petersburga obiecuje szybką prywatyzację. Zachodni komentatorzy uznają, że nie ma już Związku Radzieckiego.



— Nie, nie! — ryknął Grabiec i ukrył twarz w dłoniach. Jego ciałem zaczął wstrząsać dygot.

— To kłamstwo, obrzydliwa prowokacja...

— Albo się pan uspokoi, albo opuści nasz lokal! — zawołał jakiś tęgawy gość, który zjawił się wraz z kelnerem.

— Poskarżę się na was waszym zwierzchnikom — wyszeptał Hilary. — Co wy tu puszczacie?

— Jakim zwierzchnikom? — obruszył się tęgawy. — Jestem właścicielem tego lokalu.

— Właś-ci-cie-lem?

Wyprowadzono go na rynecek. W głowie mu szumiało. Mijający go policjant z orzelkiem w koronie na czapce popatrzył podejrzliwie na Hilarego. Grabiec uznał, że najlepiej zrobi, wtapiając się w tłum wychodzący z kościoła. Biły dzwony. Może to czyjś pogrzeb albo procesja?

Tlum niósł go, całkowicie ogłupiałego, jak potok niesie na swych falach ciśnięty korek. Po chwili zorientował się, że ciągle trzyma w ręku tamtą gazetę. Machinalnie schował ją do teczki.

Później przeczyta. Zorientuje się, co jest grane.

Zatrzymano się na niedużym placyku obok budynku przypominającego szkołę.

— Co to będzie? — odważył się zapytać stojącego obok emeryta o drżących rękach i pobrużdżonej twarzy.

— Odsłonięcie tablicy pamiątkowej. O, na tym murze! — odparł emeryt.

Grabiec zbliżył się do ściany. Białoczerwony sztandar skrywał górę tablicy. Było widać tylko trzy ostatnie nazwiska. W tym... „Hilary Grabiec 1909–1952. Cześć ich pamięci!”

Znów poczuł uderzenie gromu.

\* \* \*

Pielęgniarka przypominała nieco Beatę, ale w odróżnieniu od niej miała szarą zmęczoną twarz.

— Nareszcie się obudziliście, obywatelu Grabiec — powiedziała.

— Gdzie ja jestem? — poruszył się nerwowo na łóżku.

— W naszym powiatowym szpitalu — odparł lekarz. — Straciliście przytomność na polu.

Udar słoneczny. Szczęśliwie znalazł was przechodzący tamtędy nasz ksiądz (słowo „nasz” powiedział wyraźnie ciszej). Teraz jest już z wami dobrze. Za parę dni będziecie mogli wrócić do swojego Stalinogrodu.

— Stalino... ach tak. A którego dziś mamy?

— 26 sierpnia. Byliście nieprzytomni dobę.

— A... czy mógłbym to zobaczyć w kalendarzu? — bał się wprost zapytać o rok. Spełnili jego prośbę. Odetchnął. Stało jak byk: 1952!

— Czy gadałem coś przez sen? — zapytał na wszelki wypadek.

— Spaliście jak zabity — oznajmiła pielęgniarka i dodała: — bardzo się tu wszyscy o was martwili, i Komitet, i... — urwała, ale cała trójka wiedziała, co ma na myśli.

Grabiec przymknął oczy. A więc to był tylko sen. Jakiś upiorny antypartyjny sen. Ale przecież sny nie biorą się z niczego! Czyżby w swej najgłębszej podświadomości on, Hilary Grabiec, był wrogiem ustroju? Marzył o restytucji kapitalizmu, upadku obozu pokoju i socjalizmu?

Dwa dni myślał o swoim majaku. Analizował każdy szczegół snu. Przez wychodzące na

rynieczek okno konfrontował obraz, przypominając sobie z fotograficzną dokładnością każdy szczegół, każdy element. Tę procesję, tę telewizję. Jak równie precyzyjnie mógł wyśnić rynieczek, który oglądał teraz pierwszy raz w życiu?

Idąc do toalety, podслуchał na korytarzu rozmowę dwóch kobiet...

— I wtedy, proszę pani — szeptała jedna drugiej — ta zakonnica powiedziała mi, że pół wieku nie minie, a zaczną się cuda. Polak zostanie papieżem, ruskie stąd odejdą, a rząd z Londynu przyjedzie oddać władzę wreszcie prawdziwemu w Warszawie.

— Cicho! O takich rzeczach nie wolno nawet myśleć. To niemożliwe. A zresztą my i tak tego nie dożyjemy.

— Co prawda, to prawda.

Następnego dnia zabrali go do miejscowej delegatury Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

— Przejmie was Warszawa — powiedział miejscowy podporucznik o smolistym wąsie. — To za duży kaliber dla nas. Ale prywatnie powiem, zaskoczyliście mnie Grabiec.

— Czym?

— Czym! — funkcjonariusz podniósł głos. — Tym! — Zamachał mu przed nosem egzemplarzem „Życia Warszawy” z 25 sierpnia 1991 roku.

— Skąd panowie to mają?

— My? Z twojej teczki, kanalio! Gadaj, skąd to masz? Przecież to mistrzowskie fałszerstwo.

I do tego wykonane za granicą.

— Za granicą...?

— Nie ma u nas maszyn, które potrafią tak drukować — dodał drugi, starszy, wyraźnie nie miejscowy.

— Ale będą! — za późno ugryzł się w język.

— Będą? Co chcecie powiedzieć? No! Gadaj — starszy potrząsnął nim jak workiem kartofli.

— Do jakiej siatki należysz?

— Ja nie należę... ja... — jękał się beznadziejnie, nieudolnie. — Ja tylko miałem sen.

— Sen? A cóż wam się śniło?

— Że jestem w 1991 roku... że... — Zaczął opowiadać. Zrazu zacinając się, nieskładnie, potem, gdy poddał się już narracji, coraz bardziej ekspresyjnie. Słuchali w milczeniu. Palili papierosy. Wreszcie starszy przerwał.

— Sen mówicie. Jak w takim razie wytłumaczycie, że gazeta, która się wam przyśniła została znaleziona w waszej teczce?

— Nie potrafię sobie tego wyobrazić, chyba...

— Chyba? Co?...

— Chyba, że to wcale nie był sen. Do pokoju zajrzała jakaś kobieta.

— Towarzyszu majorze, Warszawa.

Starszy wstał i wyszedł. Młodszy został sam na sam z Grabcem. Patrzył bardzo uważnie na zatrzymanego.

— Więc mówisz, że widziałeś na własne oczy to, co piszą w twojej antypaństwowej fantazji.

Skinał głową.

— To jesteś durniem, że o tym mówisz. Bo to jest najbardziej niebezpieczna rzecz, o jakiej słyszałem. Dla wszystkich. Jeśli tam na górze dowiedzą się, jak ma wyglądać jutro, to wiesz co

zrobią?...

Grabiec nie wiedział.

— Zrobią wszystko, aby uniemożliwić realizację tej wizji. Wszystko! I to dopiero będzie straszne.

\* \* \*

Znów jechali znajomą drogą, tyle, że w przeciwnym kierunku. Ubecki gazik, major, porucznik i kierowca. Nie skuli nawet Grabcowi rąk. Zresztą, jak miałby uciec. I dokąd?

Droga była piaszczysta, pełna wybojów.

— Za czterdzieści lat będzie tu asfalt — pomyślał Hilary, walcząc z rosnącym parciem na pęcherz. W oddali zamajaczyło wielkie drzewo. Wyglądało dokładnie tak samo jak tamtego dnia. Też był skwar i nadciągała burzowa chmura...

— Chyba nie wytrzymam — wyjąkał nagle.

— Co?

— Muszę się załatwić.

Wysiedli. Nie spuszczała z niego oka.

— Mogę pod tym drzewem? — zaskomlał błagalnie.

Wzruszyli ramionami. Chmura była tuż, tuż.

— Czy cud może zdarzyć się dwa razy?

I nagle Hilary ku swemu zdumieniu pomyślał o Bogu. O tym groźnym Jahwe swego ojca.

I tym drugim, jego synu...

— Jeśli jesteś, pomóż mi!

Za lasem przetoczył się grom.

— Rób to prędzej — warknął major. — Zaraz lunie.

— Chciałbym pod drzewem.

— Nie, tutaj. Ale już.

Hilary wiedział, że musi to zrobić. Czuł wręcz odliczane sekundy dzielące go od wylądowania. Myślał o tamtych czasach, o Beacie, wnuczce starej pielęgniarki, o telewizji...

Nagle wyrwał się i skoczył w zboże.

— Łap go! — wrzasnął major, ale sam pośliznął się i upadł. Porucznik nie gonił uciekiniera.

Odbezpieczył pistolet.

— Muszę — szepnął do siebie. Wystrzelił.

Kula trafiła Grabca między łopatki na ułamek sekundy wcześniej, zanim otoczyła go błękitna poświata.

Major dopadł trafionego. Hilary nie żył. Miał na twarzy dziwny spokój.

— Pójdiesz za to pod sąd, durniu! — wrzeszczał major. — Mógł nam powiedzieć bezcenne rzeczy...

— Uciekał. Mogło mu się udać. Straciłem głowę — tłumaczył porucznik.

Usłyszeli klakson. Wrócili do gazika. Śmiertelnie przerażony kierowca tłumaczył, że błyskawica musnęła gazik.

— Ale widzę, że nic się nie stało — zaśmiał się major. — Co panikujesz!

— Ale dowód rzeczowy, ta teczka... zniknęła.

\* \* \*

Tłum tłoczył się gęsty, odświętny. Słychać było już orkiestrę. Nadjeżdżali oficjele i

duchowieństwo. Ukryty w jednym z dalszych rzędów emerytowany porucznik Służby Bezpieczeństwa, o drżących rękach i pomarszczonej twarzy oczekiwał na ceremonię odsłonięcia tablicy pamiątkowej. Nikt nie wiedział o jego dawnych zasługach (wylano go jeszcze w 52 roku). Staruszek często wracał pamięcią czterdzieści lat wstecz. Do tego dnia, jak ten ciepłego i parnego.

— Co to będzie? — zapytał go nagle jakiś facecik w niemodnym, starym garniturze, przepychając się do pierwszych rzędów.

— Odsłonięcie tablicy pamiątkowej — odparł machinalnie.

Dopiero kiedy zobaczył te przygarbione plecy, poczuł dziwny skurcz. Na chwilę przymknął oczy, ale kiedy je otworzył, zjawa zniknęła. Wydało mu się jedynie, że poczuł nagły podmuch gorąca... parę minut później opadła flaga z tablicy.

*Polegli za Polskę*

*ofiary zbrodni stalinowskich...*

Dopiero kiedy tłum zaczął się rozchodzić, emerytowany ubek dostrzegł znajomy kształt leżący tuż pod samym murem. Zniszczoną teczkę ze świńskiej skóry z pękniętym zamkiem.

**BUDKA NR 7**

Tsunami przyszło nagle. Skłębiony wał wodny runął na plażę wyspy z rykiem i prędkością pędzącej lokomotywy. Zapewne, gdyby kataklizm zaskoczył nas nocą albo gdyby Meteorologiczna Służba Środkowego Pacyfiku działała mniej sprawnie, nie ocalałby nikt z parutysięcznej populacji wyspy Aloa.

Wielka fala zapoczątkowana została nieomal symultanicznymi wstrząsami w rejonie rowu Tonga i naszej, stosunkowo niedawno odkrytej głębi meranijskiej (dochodzącej do ośmiu tysięcy metrów, dotąd przypuszczano, że jest tu znacznie płycej). Ruchy tektoniczne w centralnej części Oceanu Spokojnego zdarzają się oczywiście rzadziej niż w rejonie Marianów, Aleutów czy Archipelagu Indonezyjskiego. Poza tym, gdy ich terenem są rozległe bezmiary wód, tylko z rzadka przebite punkcikami raf i pierścionkami atoli, spiętrzenia fal bywają mniejsze. Ale słabsza jest również świadomość zagrożenia mieszkańców.

Na szczęście na Aloa alarm potraktowano poważnie. W miarę upływających minut, chwytając jedynie podręczne i przypadkowe rzeczy, rzucono się ku terenom wyżej położonym.

Dzięki Bogu wyspa jest pochodzenia wulkanicznego i stożek góry wystaje dobre kilkadziesiąt metrów ponad poziom wody. Strach pomyśleć o naszym losie, gdyby Aloa leżała na płaskim jak flądra atolu. A i tak nie mieliśmy pewności, czy przeżyjemy. Anna wraz z grupką kobiet skupionych wokół ojca Andrzeja zaczęła odmawiać modlitwy. Dochodziła jedenasta, kiedy ujrzeliśmy walec wody rosnący na mieliznach na kształt lawiny. Hucząc przeraźliwie, runął na wybrzeże, niweczając w mgnieniu oka port, kościół i zabudowania miasteczka. Później cofnął się, jakby zawstydzony swoją niszczycielską działalnością. Następne uderzenia fal były słabsze, coraz słabsze.

Kiedy wreszcie odważyliśmy się zejść na dół, mogliśmy z bliska oglądać przerażający obraz dewastacji — połamane palmy, zniszczone zabudowania, ruinę portu. Z ulgą stwierdziłem, że nasze domostwo, dzięki położeniu wysoko na stoku, ocalało. Jakaś zagubiona fala wdarła się tylko na parter, nie naruszając kamiennej konstrukcji budynku. Ku rozpaczcy Anny żywiół

wyrządził duże spustoszenia w kurnikach i w ogrodzie. W porównaniu jednak z innymi wyspiarzami mogliśmy uważać się za szczęśliwców.

Nie przeszkadzało to Annie, wzorem tubylczych kobiet, zawodzić i narzekać. Jej ostry głos, przypominający zgrzyt noża o szkło, rozdrażnił mnie tak, że szybko wymknąłem się z domu pod pretekstem pomocy dla ojca Andrzeja. Nasz proboszcz, misjonarz polskiego pochodzenia, rzeczywiście zasługiwał na wsparcie. Z kościółka pozostała jedynie część podmurówki i przewrócony, żelazny krzyż. Jednak kapłan nie poddawał się rozpacz, tylko z innymi zbiegł na dół, ratować co się jeszcze da, szukać topielców z załóg kutrów wyrzuconych na brzeg oraz nieść pomoc potrzebującym.

Popołudnie i wieczór zszedł mi na naprawianiu szkód. Uruchomiłem agregat prądotwórczy, wylapałem trochę rozpierchniętego inwentarza, wysłuchałem w radiu wiadomości o wstępnym szacunku strat spowodowanych kataklizmem. Potem poszedłem spać. Od dawna sypiamy osobno. I to wcale nie dlatego, że dzisiaj moja żona tak mało przypomina czekoladową dziewczynę w wieńcu z hibiskusów, która powitała mnie, gdy schodziłem na ląd z wycieczkowego olbrzyma o nazwie „Magellan”. Czy pozazdrościłem wówczas Gauguinowi?

A może pociągnął mnie romantyzm ulubionego autora mej młodości Stevensona? Impuls, kaprys?! Kiedy w wieku czterdziestu lat stwierdzamy, że co najmniej połowa życia już za nami, a tymczasem nie wymyśliliśmy prochu, nie odkryliśmy nowych lądów, a co gorsza, nie spotkaliśmy na swej drodze prawdziwej miłości — stajemy się podatni na różnego rodzaju nieodpowiedzialne wariactwa.

Kiedyś miałem wspaniałe plany, ogromne ambicje, podobno nawet talenty. I co z nich wyszło? Prowincjonalne belfrowanie, kilka odrzuconych scenariuszy, nigdy nie wydana powieść i krótkie, nudne małżeństwo, zakończone równie banalnym rozwodem. Co się robi w takim momencie? Miałem trochę odłożonych pieniędzy i postanowiłem wypuścić się

„Magellanem” dookoła świata. Autopretekstu dostarczyła rekonwalescencja po niezbyt zresztą groźnej operacji. Popłynąłem. Sam! Pokład zaludniały staruchy, przy których biblijny Matuzalem mógłby uchodzić za młodzika. Wschody i zachody słońca okazały się dość podobne, kuchnia podła, partnerzy do brydża marni. Zaś baśniowe porty — Suez, Colombo, Singapur czy Hongkong zwiedzaliśmy zbyt krótko, aby naprawdę je poznać. W Aloa wypadła połowa drogi. Nie znalazłem w sobie siły na przebycie drugiej, przerwałem rejs, przebukowałem bilet na następny. Naturalnie, gdy zostałem z Anną na pierwszą noc — poznałem ją w tawernie, gdzie była kelnerką (urzekła mnie, bo nie chciała pieniędzy), nie przypuszczałem, że zostanę tu na zawsze. Potem przyjąłem zastępstwo w miejscowej szkole, otworzyłem bibliotekę.

Zapuściłem korzonki. Jak długo może trwać fascynacja? Mimo europejskiego imienia, moja żona stanowi mieszankę ras — jest córką Chińczyka i Polinezyjki. Okazała się partnerką wierną, w seksie uległą. Dopiero lata miały pokazać, jak bardzo się różnimy i jaką przeszkodę we wzajemnym zrozumieniu może stanowić parę tysięcy lat odmiennej cywilizacji. Obcy jest mi wszelki rasizm, ale czasami patrzę na Annę jak na swego ulubionego czworonoga. Jesteśmy sobie bliscy, potrzebni, ale nigdy nie zdołamy się porozumieć.

Nie mamy dzieci. Lekarz uświadomił nas, że mieć nie będziemy... Jeszcze jedna rzecz, która kładzie się cieniem na nasz związek. Co konkretnie nas dzieli? Pozornie nic. Anna rzadko robi wymówki. Cierpi, gdy czytam zbyt długo książkę, gdy zasiedzę się do późna u ojca Andrzeja, czy wreszcie, kiedy zbyt długo nie wracam z samotnej włóczęgi po wyspie. W jej biernym oporze kryje się sprawdzona metoda. Niby na wszystko się zgadza, ale... Nigdy już nie wrócę do Europy. Anna nie chce. Już Honolulu i Auckland, jedyne dwa większe ośrodki, które

odwiedzała, przeraziły ją swoją wielkomiejskością. Być może przypuszcza, że cywilizacja mogłaby zabrać mnie na zawsze. Nie potrafię zadawać jej bólu, więc nie forsuję swych pragnień. Jest, jak jest...

\* \* \*

Potrzebowałem tego spaceru. Zerwałem się przed świtem (zauważyłem ostatnio, jak zmniejsza się moja potrzeba snu — zapowiedź starości?). Znam na wyspie każdą ścieżkę, nie jest to zresztą trudne. Tego ranka poszedłem nad morze, daleko poza osadę, jak najdalej od ludzi... W pewnym stopniu wędrówka zastępowała mi modlitwę. Wyzwalała mnie na krótko z przyziemności, zbliżała do absolutu.

— Czy to herezja? — spytałem raz ojca Andrzeja.

— Pana Boga nie interesują twoje słowa, lecz dusza. Podejrzewam, że jest mocno znudzony, gdy zalewa Go ocean modlitewnych sloganów...

Najszerze plaże znajdują się w południowej części wyspy. Czyste, bezludne, stwarzają nadrealne wrażenie. Dziś szerokie pasmo piasku wyglądało jak śmietnik. Wszędzie piętrzyły się gałęzie, szczątki desek, mierzwa wodorostów, tu i ówdzie połyskiwały szybko schnące kałuże wody i śnięte ryby. Do padliny zlatywały się mewy, a spod nóg uciekały ogromne kraby.

Szedłem powoli skrajem wody, gdy w pewnym momencie dostrzegłem na rumowisku sztucznych skał, stanowiących pozostałość falochronu wzniesionego przez Amerykanów podczas II wojny światowej, zaklinowany, ciemny kształt przypominający cielsko martwego walenia. Wskoczyłem do wody, przebrodziłem kilkadziesiąt metrów i wspiałem się na pokryte glonami kamienie. Wznosiły się dokładnie w miejscu, w którym pływacz raptownie załamuje się, przechodząc w podwodne urwisko. Gdy byłem młodszy, z upodobaniem przychodziłem skakać i nurkować właśnie za starym falochronem.

Tymczasem rzekomy waleń okazał się budką telefoniczną, wykonaną z ciemnego metalu, bez drzwi, po których szczyrzyły się wyrwane zawiasy. Natomiast okien konstruktorzy najwyraźniej nie przewidzieli. Wewnątrz pachniało glonami, morską wodą, w rogu przycupnęła rozgwiazda. Nie było tarczy do wybierania numerów, ale na widelkach spoczywała masywna słuchawka. Odruchowo ją podniosłem.

— Słucham, jaki numer zamawiasz? — powiedział prawie natychmiast melodyjny głosik.

— To jest czynne? — wykrztusiłem zaskoczony.

— A dlaczego miałyby być nieczynne. Jaki numer zamawiasz?

Najwidoczniej właścicielka urokliwego głosu była telefonistką. Chyba jednak z Lahoe...

Wszystkie panienki z Aloa doskonale znałem po głosie i lubiłem czasami (ku niezadowoleniu Anny) podroczyć się z nimi przez telefon. Zresztą większość miejscowych dziewcząt znałem jeszcze ze szkoły, gdzie od lat, jak wspominałem, prowadziłem w niepełnym wymiarze kurs literatury francuskiej.

— Czy prosi pan o jakieś połączenie? — powtórzył głos, bez najmniejszego śladu zniecierpliwienia.

— Nie, dziękuję.

— W takim razie do usłyszenia.

Rozległ się miły dla ucha sygnał i głosik się wyłączył. Odłożyłem słuchawkę z pewnym żalem. Potem obejrzałem budkę od wewnątrz i zewnątrz. Zauważyłem kabel grubości tęgiego palca, który wił się po skałach i niknął w morzu. Podziwiałem jego wytrzymałość. Sądząc po śladach

na obudowie budki, żywiol musiał nieźle telepać telefonicznym pudełkiem. Skąd mogło ją tu przynieść? Z Aloa — wykluczone, wszystkie nasze budki miały standardowe kształty i nie przypominały tej znalezionej. Do Lahoe było ponad pięć kilometrów, a do sąsiedniej wyspy...

Podkusiło mnie, żeby wrócić. Telefonistka odezwała się prawie natychmiast.

— Czy mogłaby mnie pani poinformować, gdzie mieści się centrala?

— Oczywiście w Aloa! — odpowiedziała po ledwie dostrzegalnej pauzie.

— W takim razie powinniśmy się znać.

— Pracuję od niedawna.

Argumentacja nie trafiła mi do przekonania. Zresztą sędzę, że po wczorajszych zniszczeniach i powolności miejscowych majstrów, rekonstrukcja centrali powinna zająć co najmniej tydzień. Zapytałem więc:

— Jak poradziście sobie z uszkodzeniami?

— Jakimi uszkodzeniami?

Miałem dość tych odpowiedzi pytaniem na pytania. Właścicielka słodkiego głosu najwyraźniej robiła mnie w konia. A może tylko chciała mnie w ten sposób poderwać?

— Proszę pani — zacząłem ostro — stoję pośrodku plaży...

Przerwała mi:

— Dlaczego zacząłeś używać tak dziwnych słów? Co znaczy plaża?

Idiotka czy tylko taką udaje?

— Plaża, plaża? — powtórzyła jeszcze raz. — Czy jesteś obcokrajowcem?

— W pewnym sensie. Ale co to ma do rzeczy? Skoro ty mówisz biegle po francusku, jak możesz nie znać najprostszego słowa pod słońcem?

— Pod słońcem? Co to jest słońce?

Gdyby nie to, że zdziwienie telefonistki brzmiało jak najbardziej autentycznie, cisnąłbym słuchawkę. Rozmówczyni chyba intuicyjnie wyczuła moją irytację.

— Proszę, nie odkładaj słuchawki. Dla mnie ta rozmowa też jest dziwna. Czekał, a może to jest budka nr 7?

— Nie wiem, nigdzie nie ma napisu.

— Gładnij ścianę?

— Co takiego?

Wymówiła parę dziwacznych słów, zanim zorientowałem się, że chodzi jej o dotknięcie.

Rzeczywiście, pod opuszkami palców na pozornie gładkiej i pozbawionej napisów wykładzinie wymacałem siedem równych wgłębień.

— Tak to jest chyba budka nr 7 — potwierdziłem.

Przez chwilę panowała cisza, po czym srebrzysty głosik powiedział z niemalym wzruszeniem:

— O Boże!!! To znaczy, że mówisz z góry!

Przyznam się, zbaraniałem. Ale gdy dziewczyna powtórzyła jakby do siebie: „Muszę przerwać rozmowę, muszę przerwać rozmowę”, zaoponowałem:

— Po co przerywać. Przyznam, że rozmowa jest dziwna, ale w sumie sympatyczna. Założę się, że jest pani bardzo ładna?

— Nie wiem, co znaczy ładna? Jestem miękka. I nie mów do mnie „pani”, nazywam się Lucille. Jestem taka wzruszona. Nie słyszałem o nikim z żyjących, kto rozmawiałby z górą...

Myśleliśmy po tym trzęsieniu dna, że siódmą budkę trzeba spisać na straty. Tylko niektórzy

mówili, że kabel jest tak długi, że sięgał aż na powierzchnię.

— Proszę wyrażać się jaśniej! Kim pani jest... znaczy kim jesteś, Lucille?

— Muszę kończyć. Minęło dużo ponad sześćdziesiąt mgnień.

— Chwileczkę, co to są mgnienia?

— Miara czasu. Mgnienie odpowiada uderzeniu pulsu. Zadzwoń za dwie bytnice.

Gdy spytałem, co to jest bytnica, wyjaśniła, że sześćdziesiąt mgnień tworzy chwilnik, sześćdziesiąt chwilników przeciąg, a dwanaście przeciągów bytnice, czyli po naszymu pół doby. Wylączyła się, pozostawiając mnie w bezgranicznym osłupieniu. Jeśli dobrze pojąłem, uczestniczyłem w rozmowie dwóch światów, a Lucille była telefonistką rezydującą gdzieś na dnie rowu meranijskiego.

Powtórne oględziny budki potwierdziły, o dziwo, słowa Lucille. Urządzenie zbudowano niezgodnie z ziemskimi normami, z nieznanymi mi surowcami, stosując tajemnicze metody łączenia. Parokrotnie podnosiłem słuchawkę, ale nikt się nie zgłaszał. Wróciłem do domu.

Anna, która przyzwyczajona była do moich samotnych eskapad, bez słowa podała kolację.

Smażone banany z jajkiem. Potem poszliśmy spać. Osobno! Tak, jak to od pewnego czasu stało się regułą. Z tym, że po raz pierwszy od pięciu lat przyśniła mi się Joanna! Ale nie był to sen przykry. Joanna sprzed dwudziestu lat, taka, jaką zobaczyłem po raz pierwszy w uniwersyteckiej bibliotece... Perorowała swoim dobitnym, trochę przekornym głosem. Tylko dlaczego cały czas mówiłem do niej, Lucille?

\* \* \*

Rzadko się zdarza, abym z równym podnieceniem przedzierał się przez zarośniętą ścieżkę.

Plaża, telefon, Lucille? Czy nie były to wyłącznie rekwizyty zwariowanego snu? Jednak budka telefoniczna w ciągu nocy nie znikła, może jedynie bardziej przechyliła się na lewy bok i głębiej ugrzęzła w rozpadlinie. To dobrze, nie zabierze jej byle mocniejsza fala przyływu.

Tym razem, po podniesieniu słuchawki odezwał się głos również nie pozbawiony uroku, jednak zdecydowanie męski. Przez moment pomyślałem, że jest to jedynie żart wymyślony przez któregoś z moich uczniów. Mimo to postanowiłem rozmawiać, jakbym absolutnie wierzył we wszystko, co mi powiedzą.

— Budka nr 7? — zapytał nieznajomy, ledwie usłyszał mój głos. — Na pewno? Czy to pan rozmawiał z Lucille?

Lekko zirytowały mnie te pytania. Niemniej potwierdziłem.

— Jestem bratem Lucille, nazywam się Filip — padło w odpowiedzi. — Są pewne sprawy, o których może mówić tylko samiec z samcem... Od razu zacznę, że nie wszystko jest dziełem przypadku. Od dawna poszukiwaliśmy kontaktu z powierzchniakiem. Możesz coś powiedzieć o sobie?

Przedstawiłem się i nie przesadzając w szczegółach, opowiedziałem o swoim pochodzeniu, pracy w Aloa, wreszcie o tsunami. Filipa szczególnie ucieszyło moje uniwersyteckie wykształcenie. Sam, jak twierdził, należał do ekspertów humanologii.

— Cieszę się, że możemy rozmawiać jak naukowcy. Mam do pana tysiące pytań dotyczących waszego bytowania: oddychania płucnego, możliwości życia w tak minimalnym ciśnieniu, wreszcie na temat recepcji wzrokowej... Chciałem również prosić o jedno: niech nasze wzajemne relacje pozostaną tajemnicą.

— Dlaczego?



Zamilkł na chwilę. Następnie powiedział coś wykrętnie, a potem włączyła się Lucille i gadaliśmy kilka minut o różnych, zgoła nienaukowych, sprawach. Jej głos — do diabła — jaki ona miała głos!...

Zamaskowałem budkę wodorostami i kawałkami skał. Zresztą, podczas przyływu i tak była niewidoczna. Poza tym mało kto z zajętych odbudową Aloa tubylców miał czas na plażowe spacerki. Jeśli chodzi o mnie, przychodziłem tam codziennie. Rozmowy były krótkie, najwyżej dziesięciominutowe, prawie jednak zawsze naukowe dywagacje kończyły się oddaniem głosu Lucille. I to działało jak narkotyk.

\* \* \*

Czy Anna domyśliła się mej fascynacji? Chodziła po domu jak zwykle milcząca, z dnia na dzień bardziej naburmuszona. Coraz częściej łapałem się na chwilach roztargnienia podczas prowadzonych lekcji. Ojciec Andrzej parokrotnie zaszedł do nas z wymówkami, twierdząc, że go zaniedbuję... Przedłużające się spacerki wytłumaczyłem zaleceniami lekarza, który nakazał mi biegi na moje dolegliwości. Tyle, że ów jogging miał zawsze stałą trasę. I tę samą stację docelową — budkę zwierzeń. Wprawdzie rozmowy koncentrowały się głównie na moich odpowiedziach, jednak w rewanżu dowiedziałem się co nieco o charakterze i dziejach Istot z Dna. Byłem łatwowierny, czy może nazbyt nieufny? Cóż, bardzo długo uważałem, że rozmowy z Dnem są zabawą i jeśli ją kontynuowałem, to głównie ze względu na rozkosz rozmowy z Lucille.

To prawda, budka nr 7 nie pochodziła z żadnej wyspy centralnego Pacyfiku, a nasz nauczyciel fizyki, któremu dałem do zbadania kawałek tworzywa, z jakiego została wykonana, nie potrafił ustalić ani jego składu, ani metody wytwarzania. Ale z drugiej strony, jak uwierzyć bez zastrzeżeń w Denniaków i ich opowieści?

Według ich własnych słów należeli do ssaków jak my, choć nie udało mi się ustalić ich powinowactwa z delfinami, krowami morskimi czy waleniami. Przypuszczam raczej, że była to wymarła gałąź istot, bliska fokom, wyróżniająca się nad wyraz rozwiniętym mózgiem, bytująca ongiś w przybrzeżnych wodach oraz nadmorskich pieczarach Pacyfidy, kontynentu rozpościerającego się na znacznych obszarach dzisiejszego Oceanu Spokojnego. Kiedy przed milionami lat kontynent zaczął się zapadać, część dennickich praprzodków nie zdołała wydostać się z jaskiń. Znakomita większość wyginęła, ocalała grupka mutantów, u których wykształciły się skrzela. Legendy mówią, że stało się to za sprawą bogów. W każdym razie mutanty te stanowiły tylko pierwszy etap ewolucji. Kontynent zapadał się w dalszym ciągu.

W populacji następowała naturalna selekcja i przeżyły jedynie najbardziej przystosowane skrzelowce, zwłaszcza te, które potrafiły znosić rosnące w wyniku ciągłego opadania ciśnienie wody. Gdy po milionach lat udało się im opuścić jaskiniowe pułapki, Denniacy byli już przystosowani do poruszania się wyłącznie po dnie oceanicznych rowów. Wyzwolenie z jaskiń

— zupełnie nowe warunki bytowe, stworzyły możliwość całkiem innego wykorzystania ich pojemnego mózgu. Już w czasach jaskiniowych pletwy przednie uzyskały nadzwyczajną chwytność. Stąd tylko krok dzielił ich od wynalezienia pierwszych narzędzi. Szczupłość fauny dennej powodowała konieczność zorganizowania produkcji żywności. Oswojono pewne gatunki krabów. Wyzyskiwano drapieżne ryby, które wysyłano niczym sokoly po pożywienie do wyższych stref wód. Wieczna ciemność spowodowała praktyczną redukcję wzroku, chociaż później nauczono się wykonywać aparaty pozwalające rozróżnić kontury przy sztucznym

oświeceniu. Następne epoki przyniosły umiejętność produkcji syntetycznego pożywienia z organicznych szczątków docierających na dno Oceanu.

Podobnie jak u człowieka, walka o byt zdecydowała o intelektualnej ewolucji, natomiast monogamizm stał się podstawą rozwoju życia uczuciowego. Analogicznie jak w społeczeństwie ludzkim, gdy w miarę wzrostu populacji zaczęło robić się ciasno, na dnie rowów doszło do bratobójczych wojen. Doskonalily one technikę i wreszcie doprowadziły do wynalazku powłoki ciśnieniowej, umożliwiającej przemieszczanie się nawet na płycznach czy szelfach. Wcześniej wypłynięcie żywej Istoty Dennejskiej w te rejony musiałoby spowodować jej eksplozję na skutek różnicy ciśnień.

Postępy komunikacji i nadwyżki osobnicze doprowadziły do opanowania przez Denniaków większości głębi oceanicznych. Doszło również do paru wypraw na powierzchnię. Miało to miejsce około stu tysięcy lat przed naszą erą. Jednak badacze nie zaobserwowali istnienia istot inteligentnych ani na wodzie, ani na lądzie. Duże wahania temperatur i zmienne pory roku nie zachęcały do dalszych badań.

Tymczasem państwa denniackie, uformowane w dwa wrogie sojusze, rozpoczęły gwałtowną rywalizację. Nie przebierano w środkach. A jednym z nich miał być inteligentny krab wyhodowany przez denniackich genetyków. Krab-wojownik, praktycznie niezniszczalny skorupiak o dość rozwiniętym układzie nerwowym. Ponieważ równocześnie wyhodowały go obie federacje, walka pomiędzy nimi pozostała nierozegrana. Cywilizacje wyniszczały się wzajemnie, kultura stanęła w miejscu, a podróże na powierzchnię praktycznie ustały —

surowców było dość na dnie i pod dnem oceanu. Kilkanaście tysięcy lat przed naszą erą Federacja Pacyfiku jako pierwsza weszła w posiadanie broni nuklearnej i użyła jej. Przyniosło to zagładę atlantyckiej konkurentki. Przy okazji przestał istnieć cały kontynent Atlantyda, na którym nie dostrzeżono nawet pierwocin cywilizacji ludzkiej.

Sukces nie przyniósł szczęścia zwyciężcom Denniakom Pacyfiku. Ich dotychczasowa zwartość rozpadła się na wiele państw, nastąpiły dziesiątki starć lokalnych, kultura podupadła (na skutek wyniszczenia najaktywniejszych jednostek). Reszty dokonały inteligentne Kraby.

Wkrótce po eksplozjach nuklearnych na Pacyfiku pojawił się szczep mutantów, prawie nieśmiertelnych i diabelsko inteligentnych. W ciągu zaledwie kilku pokoleń Kraby nie tylko wyemancypowały się spod władzy Denniaków, ale wnet narzuciły im swoją dominację. Nie zaskoczył mnie ten fakt. Także w historii ludzkości zdarzały się przypadki, gdy niewolnik zmieniał się w hegemon.

Dziś ssaki denne egzystowały jako poddani skorupiaków. Pracowały dla nich, zmuszone były składać ofiary z własnych dzieci. A ścisła kontrola miała na celu nie dopuścić do nawiązania kontaktu z ludźmi. Nigdy!

— Nigdy? Przecież rozmawiamy!

Połączenie urwało się nagle. Dopiero następnego dnia Filip wyznał, że po prostu przestraszył się. Nie, nie krabów. Te pozwalały żyć Denniakom w swoich gettach, wystarczała im kontrola pośrednia, przez sieć informatorów.

— To bardzo ponętne zostać informatorem — tłumaczył mój rozmówca. — Dzieci etatowych donosicieli nie uczestniczą w losowaniu ofiarniaków...

— W takim razie, dlaczego wszyscy nie zostają donosicielami — zapytałem.

— A godność? — odparł Filip.

Potem opowiedział mi o epoce ciemnoty. Poprzejęciu władzy przez Kraby rozpoczęła się planowa degeneracja Denniaków. Na ofiary zabierano najzdolniejszych, pozostawiając przy życiu głównie kretynów... Do całkowitego wyniszczenia gatunku nie doszło tylko dlatego, że pewna liczba inteligentnych istot była Krabom potrzebna. Krab mógł walczyć, zarządzać, nie nadawał się natomiast na rzemieślnika, konstruktora. Poza tym nawet wśród „opancerzonych skorupiaków” zdarzały się jednostki posiadające skrupuły moralne. Dość stwierdzić: — „sito antyewolucyjne” okazało się nieszczelne. A potem, w trwającej całe pokolenia konspiracji, rozpoczęło się powolne odradzanie Denniaków — tajne nauczanie, chronienie najwartościowszych jednostek, wyrabianie „wariackich papierów” geniuszom. Istoty Denne pojęły, że jeśli chcą przetrwać jako gatunek, nie mogą pozwolić sobie na egoizm, partykularne interesy. Sabotowano zdrajców i kolaborantów, choć unikano samosądów.

W rezultacie, przed około pięćdziesięciu laty — według ziemskiej rachuby (Filip podał mi wyliczenie w kilobytnicach) podjęto program „Kontakt”. Skonstruowano radio i wytknięto nad powierzchnię pierwszą antenę. Potem drogą analiz rozpracowano język ludzki. Ponieważ najsilniejszą odbieraną stacją było Papetee, stolica francuskiej Oceanii, pierwszą mową, jaką opanowali Denniacy był język Wiktora Hugo. Rychło francuski stał się językiem przysiężonych. Oczywiście doniesiono o tym Krabom. Odkryto i zniszczono maszt, zgładzono inicjatorów (zginął wtedy dziadek Filipa i Lucille)...

Od niepamiętnych czasów Kraby, bardziej od wstrząsów dna, bały się ssaczej solidarności.

Istniały stare przepowiednie, o Dniu, kiedy Powierzchnia zjednoczy się z Dnem i skończy się Era Kraba. Stąd w ciemnych wiekach były wpajane Denniakom przez opancerzonych kuratorów rozmaite przesady. Jedne zaprzeczały w ogóle możliwość życia w warunkach słabych ciśnień, inne lokowały na powierzchni piekło dekompresji. A reportaże dźwiękowe o masakrach wielorybów i fok (zresztą prawdziwe) stanowiły podstawę antyludzkiej edukacji. Oczywiście skutek mógł być tylko przeciwny. Z wypowiedzi Lucille przebijała nadmierna idealizacja ludzi.

Denniacy kochali nas a priori — uważali ludzi za istoty bez grzechu, dobre, humanitarne i mądre. Odrzucali wszelkie wiadomości o wojnach toczonych między ludźmi, a opadające na dno wraki składali na karb przypadkowych katastrof i nieszczęśliwych wypadków...

Kiedy słuchałem, jak mówią o nas pełni sympatii i zachwytu, częściej od dumy ogarniał mnie wstyd. Ale czy miałem prawo prostować? Pozbawiać ich nadziei?

Po pierwszej wpadce na długo przestano marzyć o kontakcie z ludźmi. Natomiast język francuski odpowiadający, jak się okazało, organom głosowym Denniaków, zdobył ugruntowaną pozycję. Stał się językiem elity, naukowców i naturalnie konspiratorów. Mowa pod wodą to w ogóle fenomen — ale Filip wytłumaczył mi szczegóły przekształceń ucha Denniaków, które sprawiły, że ich wrażliwość na dźwięk mimo różnicy ciśnień była zbliżona do naszej.

— A resztę — dorzuciła Lucille — sprawa modyfikator przy naszej słuchawce...

Trochę mnie zabolala myśl, że uroczy głosik Denniaczki jest efektem modulacji elektronicznej. Od pierwszej rozmowy, czując jej ogromną wrażliwość i fascynując się jej duszą, instynktownie odrzucałem pytanie o wygląd. Woląłem się nie zastanawiać, czy ma skórę morsa, czy rogowe płytki, pancerną łuskę lub szyję jak plezjozaur? Zwłaszcza, że niepostrzeżenie, z dnia na dzień syreni głos w słuchawce stawał się coraz bardziej niezbędnym składnikiem mojej egzystencji. Nadawał jej sens... Nie mówię już o drugim aspekcie. Odkrycie

świata, którego istnienia nikt z Ziemiaków nie podejrzewał, stawiało mnie w szeregu Kolumbów i Einsteinów, choć między Bogiem a prawdą nie miałem pojęcia, w jakiej formie mógłbym przekazać swe odkrycie światu? Filip prosił o ostrożność. O zachowanie tajemnicy.

— Dlaczego? — pytałem. — Nie przypuszczasz chyba, że nasze małe kraby mogą być w zмовie z waszymi...

— Nie o to chodzi! Oni są świetnie poinformowani o waszym świecie, dużo lepiej niż my....

W głosie mojego rozmówcy zabrzmiała gorycz. Zresztą pojawiała się zawsze, gdy rozmowa schodziła na temat skorupiaków. Normalny żal gatunku, który był kiedyś wielki, a obecnie przychodzi mu żyć w upodleniu. Władza Krabów była bezlitosna, wszechmocna i niezmienna.

Silniejsi od Denniaków, pokryci praktycznie niezniszczalnymi pancerzami dysponowali bronią, której posiadanie było niewolnikom zakazane.

A co się tyczy wiedzy o świecie? Od ponad pięćdziesięciu lat liczne krabie ekspedycje wylatywały z głębin w hermetycznych krążkach, przypominających złożone ze sobą talerze.

Krążąc nad ziemią, skorupiaki zbierały informacje, kradły technologie... Czasami wysadzały na ląd swoje roboty, niewielkich wielkogłowych dwunogów, przypominających wyglądem ludzi, obdarzonych przeważnie jednym wizjerem. Filip nie potrafił (nie znał pojęcia kolorów) wytłumaczyć, dlaczego ludzie nazywali te roboty mianem Zielonych...

Idea porozumienia Ludzi i Denniaków nie zginęła jednak całkowicie. Nowe pokolenie konspiratorów czekało szansy. Dostarczyło jej trzęsienie dna. Podczas powszechnego chaosu wyciągnięto z ukrycia spreparowaną już dawniej budkę telefoniczną i wysłano ją na powierzchnię. Kabel ukryty tuż przy ścianie rowu meranijskiego pozostał jak dotąd nie odkryty...

— Czego oczekujecie sobie po tym kontakcie? — zapytałem wprost, chyba podczas naszej ósmej sesji telefonicznej.

Moment zakłopotania.

— Są różne zdania. Niektórzy się boją... — powiedział niewyraźnie.

— Czego u licha?

— Niektórzy mają wątpliwości, czy sojusz z ludźmi byłby możliwy.

— I słusznie.

— Jednak nie możemy dłużej czekać.

— Dlaczego?

— Powiedzmy, że otrzymalibyście wiadomość, że Kraby szykują inwazję na Ziemię. Czy waszą odpowiedzią nie byłoby zbombardowanie rowów oceanicznych i zniszczenie pospołu Krabów i Denniaków?

Nie potrafiłem odpowiedzieć, milczałem...

— Oczywiście to tylko taka hipoteza — Filip zaczął mówić szybko, jakby żalując poprzedniej wypowiedzi. — Żadna inwazja nie jest przygotowywana... Chwilowo!

Wyczułem nerwowość istoty, która chyba powiedziała zbyt wiele.

— Albo — do rozmowy włączyła się Lucille — gdybyśmy wysłali zamówienia na krabobójczą broń, wraz ze schematami. Czy wykonanoby nam ją na Ziemi, w tajemnicy, a potem opuszczono we wskazanym miejscu głębi...

— Nie mam pojęcia, musiałbym porozmawiać z przedstawicielami władz...

— Z nikim nie rozmawiaj — przerwał Filip. — Na razie poznajemy się dopiero. Dziś dość

tego tematu. Obiecywałeś, że opowiesz nam trochę o waszym Bogu...

\* \* \*

Może postąpiłem źle, zachowując całe odkrycie dla siebie. Ale czy w ogóle w tamtych dniach zachowywałem się rozsądnie? Chodziłem jak w transie. Przestałem rozmawiać z Anną. Nie poznawałem ludzi. Żyłem od seansu do seansu. Dwa uczucia, fascynacja Denniakami i narkotyk w postaci głosu Lucille, ovladnęły mną bez reszty. Ludzie z Aloa ustępowali mi z drogi. Ten i ów, z pełnym wyrazem współczucia, kreślił na czole kółeczko. Jednocześnie z dnia na dzień ogarniał mnie strach. Im więcej wiedziałem, tym częściej spoglądałem na niebo, szukając na nim metalicznych krążków. Na plażę biegałem drogą okrężną i jak Robinson szukałem na piasku śladów stóp, a raczej odnóży. Ale każdego ranka po przyplywie piasek był czysty, równy, dziewiczy...

Anna zaniepokojona zmianą w moim zachowaniu zaproponowała wizytę u doktora Charbonniera. Stary lekarz, nasz dobry znajomy, mieszkał dosłownie paręset metrów od naszego domu, w najwyższej części wyspy. Ale czy znakomity gawędziarz, który pół wieku spędził w podróży, na safari i podmorskich łowach mógł być dobrym powiernikiem mej tajemnicy? Cechowała go przede wszystkim gadatliwość, a zarazem kąśliwe poczucie humoru.

Gdyby mi uwierzył (w co wątpię), nazajutrz wiedziałaby o moich podwodnych kontaktach cała wyspa. A gdyby nie uwierzył? Pewnie kpinom nie byłoby końca.

— Nie mam ochoty na spotkanie z tym starym nudziarzem — odpowiedziałem Annie.

— Jak uważasz, kochany!

Od tsunami minęło pół miesiąca. Miasteczko podniosło się z ruin, zazieleniły się kwietniki, napłynęli turyści. Do mego bungalowu znowu doprowadzono światło i telefon.

Któregoś dnia opowiedziałem Lucille o świecie obrazów. Mówiłem o kolorach, o świetle słonecznym, usiłując przełożyć te wrażenia na szyfr zapachów, dotyku, smaku i dźwięku.

— Nie podobałabym się tobie — przerwała w pewnej chwili. — Wiesz, że ja mam...

— Nie chcę o tym słuchać!

— Ale kiedyś przecież się zobaczymy. Dzięki batyskafoom zejdziesz na dno i chciałabym, żebyś...

— Nie mów nic.

Wiesz — powiedziała po dłuższej pauzie — bardzo chciałabym, żebyś był szczęśliwy.

— Teraz jestem.

— Teraz tak, ale jutro?...

\* \* \*

Tajemnica męczyła mnie coraz bardziej. Musiałem się nią z kimś podzielić. Anna nie wchodziła w grę. Wyglądała na coraz bardzo podenerwowaną. Patrzyła na mnie dziwnie.

W nocy wykrzykiwała przez sen słowa, których nie mogłem zrozumieć. Pozostawał ojciec Andrzej. Odwiedziłem go wczesnym rankiem, kiedy w zakrystii rozbierał się po porannej mszy.

Ucieszył się moim widokiem.

— Anna martwi się twoją chorobą, Pierre — powiedział, zapraszając mnie na śniadanie.

— Jeśli fascynację można nazwać chorobą, to jestem chory, ale...

— Od fascynacji krok do szaleństwa — zauważył, przyglądając mi się uważnie.

I wtedy mu powiedziałem. Wszystko. W półgodzinnym monologu wyrzuciłem z siebie całą prawdę o porannych spacerach, mówiłem o Lucille, Filipie, budce, Krabach i Denniakach.

Mówiąc, nie patrzyłem na księdza. Bałem się niedowierzania w jego oczach.

Rzeczywiście, nie uwierzył mi. Kiedy skończyłem, uśmiechnął się ciepło, serdecznie.

— Masz wielki literacki talent, chłopcze. Nie mogę pojąć, dlaczego zerwałeś z pisaniem?

Jego niewiara rozwścieczyła mnie!

— Dobrze, a zatem przekonam ojca. Natychmiast!

Specjalnie się nie opierał. Wyciągnął z szopy stary rower i popedałował obok mnie. Biegając truchtem, rozkoszowałem się myślą o jego zdumieniu, gdy niewiarygodne okaże się faktem.

Plaża wyglądała normalnie. Wilgotny piasek po świeżym odpływie. Załamujące się fale, grzywy palm. Grzebień raf... Ale jedno się zmieniło. Nie było budki. Krzyknąłem i przebiegłem przez pływacznię. Przeskakiwałem ze skały na skałę. Ksiądz podkasał sutannę i brodził za mną.

— Może zabrał ją odpływ, albo osunęła się trochę niżej — podsunął spokojnie. Zrzuciłem ubranie i zanurkowałem. Dwa metry od falochronu zaczynało się urwisko i bezdenne głębia.

Budki ani śladu. Kabła też! Wypląnąłem. Jeszcze raz przeszukałem miejsce mych rozmów.

Woda zabrała nawet pudełka po papierosach, których każdorazowo wypalałem co najmniej paczkę.

Na twarzy ojca Andrzeja malowało się współczucie. Zapewne rozmyślał już o sposobie skierowania mnie na kurację psychiatryczną.

Jeszcze raz przypomniałem sobie ustawienie budki. Czy mogło zabrać ją morze?

Wykluczone. Ostatnia noc była bezwietrzna, fale słabiutkie... Nagle zauważyłem podłużny kształt błyskający w wodzie. Kawalek metalowej rurki. Coś, co mogło posłużyć jako lewar.

Anna? Nie widziałem jej tego ranka w obejściu... Anna?!!! Czulem, że ogarnia mnie szaleństwo.

Moje wzburzenie dostrzegł ksiądz.

— Spokojnie synu, ty naprawdę... Przerwałem mu ostro.

— Nie zwariowałem, proszę księdza, I mogę to udowodnić. Mniej więcej tydzień temu kupiłem dyktafon. Nagrywałem na nim prawie wszystkie rozmowy z Lucille...

Niestety dyktafon zostawiłem w domu. Ale czy to był wielki problem?

— Niech ksiądz tu na mnie poczeka, na rowerze obrócę błyskawicznie. Pomknąłem znów przez rozległe pasmo piasku. Wracalem po naszych śladach. Swoich i roweru. Zagłębiłem się w lasek. Rozpacz walczyła we mnie z wściekłością.

— Jak ona mogła mi to zrobić! Kretyńska czekolada! Gdzie się teraz może podziewać!?

Raptownie uderzyła mnie zupełnie inna myśl. Tak nagła, że aż się zatrzymałem. Ślady!!

Przecież, jeśli Anna zepchnęła budkę, na plaży winny pozostać ślady jej stóp i to w obie strony.

Zawróciłem. Przenikał mnie całego podmuch strachu. Nagle bezchmurne niebo i podnoszące się coraz wyżej słońce wydało się dziwnie zimne, nieludzkie.

— Ojcie Andrzeju! — wołałem, wierząc naiwnie, że mój głos może rywalizować z szumem przyboju. — Ojcie Andrzeju!

Nie odpowiadał.

Wreszcie dostrzegłem czubek jego głowy wystający zza skały. Podjechałem bliżej. Poza głową nie zostało z niego wiele więcej... Woda obmywała górną połowę korpusu przeciętego czymś ostrym, olbrzymim. Nie znalazłem śladów walki. Tylko pozostawione na skraju wody buty i kapelusz wskazywały, że ksiądz pragnął uciekać, nie myśląc o garderobie. Na jego

twarży malowało się bezgraniczne przerażenie. Ale kto mógł to zrobić? Śmierć nastąpiła nie dalej jak przed pięcioma minutami. Napastnik, czy raczej napastnicy, nie mogli się zbyt oddalić. Na piasku pozostały dziwne ślady. Nagle przestrzeń dzieląca mnie od zarośli wydała się olbrzymia. Wskoczyłem już na siodełko. Zakręciłem. Chrupnął zerwany łańcuch. Rzuciłem nieprzydatny welocyped. Puściłem się pędem.

Krab oczekiwał mnie na skraju zarośli. Był wielkości wołu, dziwnie szklisty i bezbarwny.

W porównaniu do swych karłowatych kuzynów zdumiewał rozwiniętą mózgowczą, na której chitynowe przeźroczyste płyty przykrywały ogromny mózg...

Nogi ugięły się pod mną. Byłem bezbronny i przerażony. Krab zdecydowanie ruszył mi na spotkanie. Jego śmiertelne szczypce przypominały ramiona koparki.

Nagle gruchnął strzał. Kula odbiła się od pancerza, nie sprawiając skorupiakowi najmniejszej krzywdy. Jednak zatrzymał się, obejrzał, zawrócił. Teraz i ja dostrzegłem w tumanie kurzu pędzący jeep doktora Charbonniera, a w nim lekarza ze strzelbą. Obok siedziała Anna. Lekarz strzelił po raz drugi... trzeci... Jednak żadna z kul nie wyrządziła potworowi najmniejszej szkody. Tymczasem samochód wtoczył się na plażę, ominął szerokim łukiem kraba i najwyraźniej zmierzał w moją stronę.

Skorupiak przejrzał plan. Odwrócił się i ruszył w moją stronę z rąchością geparda. Anna siedziała za kierownicą. Tymczasem doktor podniósł z siedzenia ręczną wyrzutnię, wycelował...

Harpun trafił dokładnie między płyty chitynowe pancerza i mózgowczą. Krab odczuł ten cios.

Zatrzymał się. Szarpnął liną, która omal nie przewróciła wozu. Doktor kazał Annie zatrzymać pojazd, po czym razem z moją żoną wyskoczyli na piasek. Krab zawrócił. Przestałem go interesować. Teraz jego głównym celem był samochód i harpunnik. Jednak Charbonnier ku mojemu zdumieniu nie uciekał, tylko manipulował coś przy wozie. Krab był tuż, tuż.

Majestatyczny, zręczny. Skoczył. Ale w tym samym momencie doktor cisnął zapalną.

Zrozumiałem pomysł. Doświadczony podróżnik zawczasu przedziurawił zbiornik z benzyną.

Masa paliwa i wyciekła na piasek. Krab już nie zdołał wyhamować. Oplatany; liną nagle znalazł

się w środku ognistej kuli... Wydał niemalże ludzki wrzask. Płomienie ogarnęły odnóża stawonoga. Bestia bezsilnie turlała się po plaży, wlokąc za sobą samochód. Płonął piasek.

Jeszcze sekunda, a detonował bak jeepa. Było po wszystkim.

— Anno!

Przytuliła się do mnie. Kochająca, ciepła, opiekuńcza.

— Skąd wzięliście się tutaj? Skąd przyszło wam do głowy wziąć ze sobą harpun, strzelby...

— Dzięki informacji, którą kazałeś przekazać.

— Ja kazałem?...

— Pół godziny temu zatelefonowała do mnie jakaś dziewczyna. Powiedziała, że jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Akurat przejeżdżał pan doktor...

— Na szczęście zobaczyłem tego Kraba przez lornetkę, jak wylazł z morza. Inaczej nigdy nie uwierzyłbym w jego istnienie — wyjaśnił Charbonnier.

— Ale kto mógł dzwonić? Jaka dziewczyna?

— Powiedziała tylko, że ma na imię Lucille...

— Lucille? — wypuściłem z ramion żonę i popatrzyłem na dopalające się szczątki wozu i Kraba. — Lucille?

A więc znaleźli sposób na włączenie się do ziemskiej sieci telefonicznej. Mają kontakt. Będę mógł słuchać jej głosu, gdy tylko zechcę.

Odwrociłem głowę, żeby Anna nie zobaczyła zmiany na mojej twarzy. Charbonnier ruszył w stronę zwłok księdza. A ja pomyślałem, że koniec tej historii może być dopiero jej początkiem.

## ETYKA ZAWODOWA

Ogromny jumbo-jet z dziecinną łatwością oderwał się od pasa startowego lotniska Heathrow, kierując swój garbaty dziób na zachód. Uśmiechnąłem się. Zawsze po starcie odczuwałem ulgę, że znowu się udało...

Niewielu rzeczy na tym świecie boję się, jednak loty samolotem do nich niewątpliwie należą.

Może to jakiś atawistyczny lęk potomka Ikara? Ciągłe nie mogę sobie z tym poradzić. Już samo wejście do lotniskowego terminalu powoduje nagły skok adrenaliny. Naturalnie potrafię to opanować, jednak nie rozumiem przyczyny obsesyjnej trwogi przed startem. Ciekawe, że nie odczuwam podobnego lęku podczas lądowania.

Zgasły napisy zakazujące palenia. Odpiąłem pas i szybko ruszyłem na pięterko, gdzie znajdował się barek. Prawdę powiedziawszy, alkohole interesowały mnie znacznie mniej niż rezydująca tam właścicielka wspaniałej pary nóg i blond grzywy (wypatrzyłem ją podczas wsiadania do samolotu).

Salonik spowijał dyskretny półmrok. Zamówiłem podwójną szkocką i usiadłem obok dziewczyny sączącej campari. Zdawała się mnie nie zauważać, wpatrzona w jakiś punkt nade mną.

— Bardzo przepraszam, ale wydaje mi się, że miałem już przyjemność spotkać panią...

Spojrzenie było czujne, taksujące, lecz nie pozbawione rozbawienia. Takim spojrzeniem kobiety zwykły obrzucać interesujących mężczyzn, którzy w niezbyt udolny sposób próbują nawiązać konwersację.

— Jeśli się nie mylę, w zeszłym roku na wyścigach w Ascot... — strzeliłem

— Nie bywam w Ascot — odpowiedziała blondynka. Głos miała niski, zapierający dech w równym stopniu, jak jej uroda. — To dobre dla snobów. Mogliśmy się jednak widzieć podczas prezentacji mojej kolekcji w Glasgow.

— Naturalnie, przypominam sobie, we wrześniu w Glasgow, panno...?

— W październiku — poprawiła. — Martha Aldridge.

Wyciągnęła do mnie rękę o nieprawdopodobnie szczupłych (co nie znaczy, chudych) palcach. Przedstawiłem się i ja:

— Graham Sowley.

— Sądząc po marynarce od Harrodsa zestawionej z džinsami, nie zajmuje się pan projektowaniem mody — powiedziała Martha.

Chyba się zaczerwieniłem. Bąknąłem, że jestem tylko biznesmenem i modą interesuję się wyłącznie od przypadku do przypadku, jako dziełem sztuki, natomiast na co dzień nie zwracam na nią większej uwagi. Panna Aldridge podobnie jak ja udawała się do Chicago. Tym razem, jak twierdziła, nie miała zamiaru prezentować swojej najnowszej kolekcji, tylko przeprowadzić



handlowy rekonesans, spotkać się z paroma ludźmi, wziąć udział w paru snobistycznych party.

— A mówiła pani, że gardzi snobizmem? — powiedziałem to tonem, jakbym przyłapał ją na najgorszym uczynku.

Roześmiała się.

— Czasem wymagają tego interesy. Powiedziałam przecież, że jadę w interesach.

— Zupełnie jak ja.

Oczywiście, nie mogłem tej pięknej dziewczynie powiedzieć prawdy. Spoglądając na burzę złocistych włosów i delikatnie rozchylone usta, zastanawiałem się, jaka byłaby jej reakcja, gdyby dowiedziała się, że ja, Graham Sowley, znany też jako Jimmy Moreno, Kurt Schumacher lub Dimitri Zacharenko — jestem jednym z najwybitniejszych i przy okazji najbardziej pracowitych zabójców do wynajęcia. W środowisku fachowców od mokrej roboty noszę australijski pseudonim Dingo.

\* \* \*

Z wysokości dziewięćdziesiątego piętra wieżowca Illinois Tower rozpościerała się szeroka panorama rozświetlonej metropolii. Mężczyzna, który przedstawił się jako Hansen, siedział vis-

à-vis mnie na hotelowej kanapie. Przypominał dużego szczura i najprawdopodobniej nim był. Zresztą, przeważnie tak wyglądają wyżsi rangą agenci tajnych służb, z upodobaniem udający niewinnych obywateli.

Klucz do apartamentu znalazłem w skrytce na lotnisku. Wszedłem do środka o 19.28. Hansen już czekał. Zapewnił, że mieszkanie jest czyste, nie ma podsłuchów, a niewinnie wyglądających szyb nie przebiłaby kula wystrzelona ze sztucera.

— Więc pan jest tym słynnym Dingo? — powiedział, wpatrując się we mnie małymi świdrującymi oczkami. — Najszlachetniejszy z zabójców. Niewolnik swych zasad.

— Prawdopodobnie wie pan o mnie wszystko — przerwałem ten potok komplementów. — Działam sam. Nie likwiduję dzieci, osób duchownych i przypadkowych zakładników. Służę wyłącznie prawu, w momentach, gdy okazuje się bezsilne lub zbyt słamazarne. Przystępuję do pracy natychmiast po otrzymaniu zlecenia i potwierdzeniu wpływu połowy umówionej kwoty na konto wyznaczonego banku w Genewie.

— Wspaniała etyka zawodowa. Napije się pan? — Hansen otworzył barek.

— Najpierw porozmawiajmy, kto i kiedy?

— Tego chwilowo nie potrafię panu powiedzieć.

Poczułem naraz ogromną chęć kopnięcia go w brzuch, strzelenia mu w twarz z wielokalibrowego magnum lub przynajmniej sprawdzenia nim rzeczywistej wytrzymałości pancernych szyb. Zleceniodawca nie wydawał się przerażony taką perspektywą, może nie brał jej pod uwagę?

— Najpierw muszę w skrócie nakreślić sytuację, Dingo. Jest ona cholernie skomplikowana.

— Gdyby nie była skomplikowana, nie ściągnęlibyście mnie, tylko zadowoliliby was jakiś miejscowy patalach.

Hansen otworzył płaską, czarną teczkę.

— Zna go pan?

Z fotografii spoglądała na mnie uśmiechnięta twarz jednego z najznakomitszych amerykańskich senatorów. Niektórzy mówili już o nim jako o następnym prezydencie USA.

— Jego? — zapytałem lakonicznie.

Hansen pokręcił głową.

— Zapewne pan wie, co dzieje się teraz w Moskwie. Rozpad imperium, bałagan, walki nowo wylaniających się frakcji. Ostatnio część tajnych dokumentów KGB dostała się w niepowołane ręce. Publikują je gazety, sprzedają sprywatyzowani generalowie. Mamy cynk z dobrego źródła, że za parę dni na łamach pewnego wysokonakładowego dziennika zostaną ujawnione akta operacji „Kukulka”. Czy wie pan, co w nich jest?

Pokręciłem przecząco głową. Jeśli nie miałem tam interesów, wolałem trzymać się z daleka od euroazjatyckiego kolosa i jego sprawek.

— „Kukulka” — tak, według owych przecieków, brzmiał kryptonim naszego senatora, od piętnastu lat pracującego dla radzieckiego — wywiadu.

— Cholera! — z wrażenia nalałem sobie pół szklanki whisky.

— Rozumie pan, co działoby się u nas po ujawnieniu takiej informacji. Oskarżenie i aresztowanie „Kukulki” byłoby kompromitacją całego naszego establishmentu. Naturalnie można by uprzedzić bieg wydarzeń, próbować skłonić go do dymisji, publicznej ekspiacji.

Niestety, nasi informatorzy z Moskwy donosili, że senator nawiązał już pewne kontakty z Pekinem. Z jego punktu widzenia byłoby to logiczne. Rosja przestaje się liczyć w geopolityce, bo nie ma czym płacić. A Pekin — to przyszłościowy patron. Wie pan, czym to może grozić?

Jako przewodniczący jednej z komisji senator ma dostęp do najnowszych planów strategicznych. Sam pan rozumie, że decyzja może być tylko jedna.

— Rozumiem. Ale skoro zaprzeczył pan, że to ja miałbym być jego egzekutorem, to nie bardzo rozumiem...

— Moi szefowie wybrali kogoś innego. Zgodził się. W najbliższych dniach, tu w Chicago, ma zrealizować kontrakt.

— I ja mam być dodatkowym zabezpieczeniem?

— Nie! Sytuacja niestety uległa dramatycznej zmianie. Proszę sobie wyobrazić, iż odezwał się jeden z emerytowanych szefów CIA i od niego dowiedzieliśmy się, że „Kukulka” to był nasz stary plan dezinformacyjny. Senator już od czasów studenckich udając współpracę z KGB, w istocie pracował dla Centrali w Langley, oddając bezcenne usługi Wolnemu Światu. Pięć lat temu, po rozpadzie ZSRR program zakończono, dokumenty uległy zniszczeniu.

— Czyli wszystko w porządku. Odwołajcie egzekutora.

— To nie takie proste. Okazuje się, że nie mamy sposobu odwołania wynajętego zabójcy. Od momentu wystawienia zlecenia brak z nim łączności. Odliczanie ruszyło i jeśli go nie powstrzymamy, zginie wielki amerykański patriota...

— Reasumując, mam wytropić i zabić kolegę po fachu?

— Sądzę, że nie sprawi to panu szczególnej przykrości. — Hansen wyszczerzył swoje szczurze ząbki. — Zabójca jest diametralnym przeciwieństwem pana: żadnej etyki, hamulców, głęboka konspiracja i duże pieniądze. Kontakt utrzymuje wyłącznie przez pośredników eliminowanych po zawarciu kontraktu. Mimo kilku zleceń nie wiemy nawet, czy mamy do czynienia z mężczyzną, czy kobietą.

— Do diabła, zaciekawia mnie pan, Hansen. Cóż to za typ?

— Orka. — Zaniemówił pan?

Rzeczywiście zaniemówilem. Tymczasem Hansen wygrzebał z teczki nowe materiały.

— Na temat Orki praktycznie brak jakichkolwiek informacji. Jeśli nie liczyć dossier przypisywanych mu „robótek” i tych paru spraw, które załatwił dla nas.

Są dwa typy ludzi od mokrej roboty: arystokraci i wyrobnicy. Arystokraci to artyści, przyjmują jedynie niektóre zlecenia, dbają nie tylko o wykonanie zadania, ale i o styl. Często bardziej od pieniędzy cenią sobie opinię w środowisku, co po jakimś czasie wychodzi na jedno.

Starają się też nie postępować głupio. Nie zabijają policjantów, bo to potrafi obrócić się przeciwko zawodowcowi. Oszczędzają postronnych obywateli. Nie zadają ofierze niepotrzebnych cierpień. Natomiast partacze idą na wszystko. Zabijanie to dla nich przyjemność. Robią wiele huk, nie wahają się przed przyjęciem najbardziej brudnych ofert — tego samego dnia mogą działać dla dwóch stron.

Z tego, co mówił Hansen, Orka łączyła w sobie cechy obydwu typów. Nie cofała się przed żadnym lajdactwem. Jedyne, o co dbała naprawdę, to własne bezpieczeństwo. Żaden wywiad świata nie miał pewnych informacji o tym zabójcy, nie posiadał odcisków palców lub choćby domniemanego rysopisu.

— A jednak jestem przekonany, że powstrzymasz ten zamach, Dingo. Bo jeśli nie ty, to kto?

W normalnej sytuacji roześmiałbym się z komplementu szytego grubymi nićmi. Teraz byłem zbyt zajęty swoimi myślami.

— Przyjmiesz to zlecenie? Cena nie gra roli! — naciskał agent.

— A przy okazji spełnisz aż dwa dobre uczynki — ocalisz wielkiego człowieka i oczyścisz świat z kreatury.

— Tak, to rzeczywiście interesujące — powiedziałem powoli.

— A wolno wiedzieć, jak się skontaktowaliście z Orką?

— Ogłoszenie! Nasz agent w Paryżu dał w „Paris Match” anons: *„Potrzebny partner dla Orki. Hodowla prywatna. Warunki do uzgodnienia.”* Mieliśmy cynk, że w ten sposób można złapać kontakt.

— No i?

— Po trzech dniach odezwał się telefonicznie pośrednik z Bazylei. Potem nadszedł mail z Wiednia zawierający szczegóły poprzedniego zamachu. Szczegóły, które mógł znać tylko wykonawca. Załączył nawet drobne „portfolio” z ofiarą w tle. Wreszcie zatelefonowała jakaś kobieta. Podała numer faksu oraz klucz szyfrowy, według którego mieliśmy nadać treść zamówienia. Przekazała również numer konta banku w Genewie, na które mieliśmy przelać zaliczkę. Potem przyszło krótkie „zgoda” i kontakt się urwał.

— A pozostawione ślady?

— Nie było żadnych. Pośrednik zniknął. Zleceniodawczyni, którą udało się nam namierzyć

— młoda emigrantka ze Wschodniej Europy — wypadła z pociągu na wysokości Lozanny.

Orka przystąpiła do zadania, a my nie jesteśmy w stanie jej powstrzymać.

\* \* \*

Kończąc rozmowę z Hansenem, zapragnąłem na chwilę oderwać się od tego wszystkiego.

Odprężyć. A przede wszystkim — oddalić się od działającego na nerwy agenta. Miałem przed sobą bezsenną noc. Czekало mnie analizowanie wycinków dotyczących osiągnięć Orki i jej nieszablonowych metod działania. Druga teczka zawierała dane o tarczy strzelniczej, to znaczy o senatorze „Kukulce”: jego nawykach, reakcjach, pragmatyce ochrony osobistej,

miałem też precyzyjny, wręcz minutowy program jego pobytu w Chicago.

— Pojadę zameldować się do mojego hotelu, a potem biorę się do roboty — rzekłem, wstając.

— Przecież zarezerwowaliśmy dla pana apartament w... — zaczął Hansen, ale mu przerwałem.

— Zamówilem sobie z lotniska pokój w Sheraton Plazza.

— Tego nie było w umowie.

— Ma sporo zalet. Jest w centrum miasta, ma dobry dojazd i miłe towarzystwo.

Nie zamierzałem tłumaczyć Hansenowi, że głównym argumentem przemawiającym na rzecz Plazzy były zgrabne nogi Marthy Aldridge, która właśnie tam się zatrzymała. Nie miałem jednak szczęścia tego wieczoru. Nie zastałem pięknej projektantki mody ani w hotelowej restauracji, ani w żadnym z barków. Telefon w jej pokoju milczał. Klucz wisiał w recepcji. Pozostała mi praca. Zabrałem się do wertowania wycinków z prasy, odpisów protokołów, tajnych raportów.

Ciekaw byłem, co urzędy federalne wiedzą o najemnym mordercy.

Niestety, na temat Orki nie zgromadzono zbyt wielu danych. Trzy duże sprawy, których realizacja przez Orkę nie budziła wątpliwości oraz osiem jej przypisywanych. A więc zabójstwo irlandzkiego terrorysty ukrywającego się w Szkocji. Zuchwałe i bezwzględne. Wraz z Patrykiem O'Rurke zgładziła również jego żonę, jedenastoletniego syna i dwójkę starszuchów, którzy udzielili im gościny. Druga sprawa — likwidacja ministra jednej z bananowych republik, bawiącego incognito w Europie. Śmierć poniosły jeszcze dwie postronne osoby, mimo że bomba była z gatunku „kieszonkowych”. Wreszcie otrucie szejka Ayuba Massaniego, szefa grupy fundamentalistów dorabiających handlem narkotykami. To były bez wątpienia akcje Orki.

W żadnym z tych przypadków nie znaleziono ani świadków, ani współników, ani podejrzanych.

Orka atakowała z dystansu, skutecznie i natychmiast znikwała, nie pozwalając sobie na najmniejsze ryzyko. Ochroniarz szejka zginął tylko dlatego, że poprzedniego dnia przed zamachem mógł spotkać Orkę podczas, jak przypuszczano, rekonesansu.

Jeśli chodzi o sprawy przypisywane tajemniczemu zabójcy, to najbardziej spektakularna była katastrofa samolotu multimilionera Androutulosa Juniora. Maszyna roztrzaskała się o skalisty grzbiet wyspy Andros. Na podstawie przedśmiertelnych majaczeń kochanki przyrodniego brata Androutulosa, który zagarnął całą schedę po greckim miliarderze, za sprawcę wypadku uznano Orkę. Oczywiście nie było nawet śledztwa. Także przypuszczenia o udziale Orki w przyspieszeniu zgonu magnata prasowego Owensa opierały się głównie na opiniach fachowców od mokrej roboty. Owens zmarł, rzekomo wskutek wylewu, na pokładzie swojego jachtu. Ciało wpadło do wody i zostało wyłowione po dwóch dniach. Zwłoki nie zawierały rzecz jasna szybko rozkładającego się alkaloidu. Świadczenia lekarzy, u których magnat prasowy dzień wcześniej poddał się rutynowym badaniom, wykluczały jednak możliwości apopleksji. Założono, iż morderca przybył z morza, wykonał swoje zadanie i morzem odpłynął. Jak orka. Podobnie było we wszystkich ośmiu pozostałych przypadkach.

Doskonała, precyzyjna robota.

\* \* \*

Pannę Aldridge spotkałem następnego dnia, podczas śniadania. Najwyraźniej należała do rannych ptaszków i wolała zejść do kawiarni, niż jeść w pokoju. Dość bezceremonialnie przysiadłem się do niej.

— Czy pan mnie śledzi, mister Sowley? — zapytała z udanym oburzeniem.

— Raczej los mi sprzyja, bo natrafiam na tych, których gorąco pragnąłem spotkać — roześmiałem się. — A poza tym proszę mi mówić, Graham.

Była śliczna. Dawno nie widziałem równie pięknej kobiety. Od czasu śmierci Katherine żadna kobieta nie zrobiła na mnie takiego wrażenia. Maud miała może bardziej zmysłowe usta (szelmowskie, zapamiętałem je doskonale z igraszek w wielkiej wannie w pensjonacie pod Monachium), ale to jednak nie ta klasa. Nagle wszystko przestało być ważne. Zapragnąłem mieć Marthę. Szybko i tylko dla siebie... Zastanawiałem się, jak jej to powiedzieć, by nie spłoszyć. Tymczasem prowadziliśmy lekką rozmowę właściwie o niczym. W pewnej chwili Martha spojrzała na zegarek.

— O jedenastej jestem umówiona. Potem mam ważny lunch.

— Może zjedlibyśmy razem kolację?

Uśmiechnęła się.

— Nie wiem, czy znasz obyczaje tego kontynentu, Graham?

— Zależy, o którym myślisz.

— Przyjęcie od mężczyzny zaproszenia na kolację oznacza, że jednocześnie akceptuję propozycję wspólnego spędzenia nocy.

— Tylko wtedy, gdy mężczyzna płaci za posiłek — uzupełniłem, może nazbyt pośpiesznie.

— Dlatego tym razem ja zapłacę — potrząsnęła burzą blond włosów i dodała, patrząc mi bezczelnie prosto w oczy. — Za nas oboje!

\* \* \*

Nie można powiedzieć, że Hansen pozbawiony jest jakichkolwiek zalet. Posłusznie dostarczył wszystko, o co go prosiłem.

Dostałem zamówione komputerowe analizy: przepuszczono przez maszyny listy wszystkich podróżnych przybyłych w ostatnich dniach samolotami do Chicago, na podstawie rezerwacji nie wcześniejszej niż sprzed pięciu dni i nie późniejszej niż przedwczoraj. Priorytet mieli naturalnie przybysze zza oceanu. Z list odrzucono stałych mieszkańców miasta, ludzi przylatujących do Chicago wielokrotnie (w naszym fachu do tego rodzaju zadań używa się jednorazowego paszportu i takiej samej osobowości), dzieci i Azjatów. Zsumowano raporty detektywów hotelowych i meldunki z biur wynajmu samochodów. Oczywiście, było to szukanie igły w stogu siana. Nadto zarzucona sieć miała tak szerokie oka, że prześliznęłyby się nie tylko orka, ale i pletwal błękitny. Inna sprawa — zdaniem Hansena Orka nie miała pojęcia, że ktokolwiek na nią poluje, nie powinna więc podjąć dodatkowych środków ostrożności.

Osobiście uważałem, że naszą największą szansą mogło być wczucie się w psychikę zabójcy, w jego przyzwyczajenia i uprzedzenia.

— Prawie każdy z zawodowców opiera się na pewnych standardach. Niestety, Orka programowo jest nieszablonowa — mruczał Hansen.

— Sądzę jednak, że wybierze sytuację optymalną...

— Czyli czas po konwencji, kiedy będzie wiedziała, że „Kukulka” został już oficjalnie kandydatem w wyborach prezydenckich.

— Wręcz przeciwnie. Według sondaży opinii publicznej trzydzieści procent ma kontrkandydat ze stanu Maine. Może więc się zdarzyć, że „Kukulka” nie przejdzie. Wtedy „Orka” stanęłaby przed dylematem: czy warto zabijać kogoś, kto jest przegrany.

— Rzeczywiście — zgodził się agent.

— A z tego, co już wiemy o tym człowieku, to lubi zabijać. Cieszy się z tej roboty i nie zrezygnuje z emocji związanych z rozgrywką. Toteż uderzy albo przed konwencją, albo w jej trakcie.

Hansen popatrzył na mnie z podziwem.

— Nie wpadłbym na to. A takie założenie redukuje bardzo poważnie liczbę miejsc, w których można dokonać zamachu.

\* \* \*

Cały dzień poprzedzający krytyczną dobę poświęciłem wizje lokalne. Najpierw odwiedziłem stanowe centrum kongresowe — ogromny biurowiec w kształcie wydrążonego ula z krytymi windami i okrągłym patio poniżej poziomu ulicy. Tutaj zwyczajowo odbywały się konwencje.

Czy jednak było to wygodne miejsce dla zamachowca? Już teraz zauważyłem aktywność służb ochrony i wszechobecność kamer. Bomba nie wchodziła w grę, a atak bezpośredni nie dawał szansy odwrotu. Podobnie nienagannie działało zabezpieczenie obu hoteli, które senator miał odwiedzić. Zbliżony stopień trudności prezentowało lotnisko O’Hare. Michigan Avenue odrzuciłem: kandydat na prezydenta podróżował opancerzonym cadillakiem i miał asystę helikopterów, wykluczającą strzał z bazooki. W zasadzie należało skoncentrować się na dwóch punktach programu. Po pierwsze, na starym cmentarzu, gdzie w drodze z lotniska senator miał pomodlić się nad grobami przodków — tyle, że ten przystanek do końca nie był pewny. Po drugie, na długim Cyplu, między oceanarium a obserwatorium astronomicznym, gdzie przewidziano spotkanie z młodzieżą stanu Illinois. Teren z trzech stron otoczony morzem był niby trudny, a zarazem, dzięki łodziom patrolowym, łatwy do upilnowania. Senator miał tam otworzyć kwiatowe korso.

Po południu jeszcze raz spotkałem się z Hansenem. Agent zdradzał pewne podenerwowanie.

— Mam wszystko, o co pan prosił. Przepustkę, odznakę policji stanowej i federalnej, broń.

Domyśla się pan, gdzie to nastąpi?

— Tak.

— Gdzie?

— Powiedziałem, że robotę odwalę sam. Awaryjnie w trzech wskazanych miejscach proszę o podstawienie trzech samochodów. Z kluczykami przyklejonymi taśmą pod lewym progiem.

To na wypadek, gdybym musiał zmienić plan. I improwizować.

— Jest pan bardzo pewny siebie.

— Założyłem określony wariant i mam nadzieję, że się nie mylę. Chciałbym jeszcze pomówić o warunkach.

Hansen zmieszal się.

— Przecież honorarium zostało ustalone.

— Honorarium tak, ale ponieważ sprawa jest wyjątkowo trudna, chciałbym jeszcze...

— Do rokowań finansowych nie mam upoważnienia — wypalił agent.

— Nie chodzi mi o pieniądze. Podczas ostatniej bezsennej nocy powziąłem poważne postanowienie. Wycofuję się.

— Co takiego? — Hansen patrzył na mnie, jakbym nagle okazał się następcą carskiego tronu.

— Jeśli mi się uda, będzie to ostatnia robota Dinga. Mocny akord przedemerytalny. Dość mam prowokowania losu. Chcę osiąść gdzieś w spokoju, założyć rodzinę. Nosilem się z tym zamiarem od lat. Sądzę, że teraz będę mógł sobie na to pozwolić. Oczywiście, jeśli zapewnicie mi nowy życiorys, papiery, ochronę przed zbyt natarczywymi tropicielami.

— Byłaby to wielka strata dla sił niekonwencjonalnego wymiaru sprawiedliwości — stwierdził Hansen.

— Czy mogę liczyć na waszą pomoc? — naciskałem.

— Porozumiem się z szefami. Ale sądzą, że tak. Chociaż uważam, że dla takiego znakomitego fachowca myślenie o przejściu w stan spoczynku jest zdecydowanie przedwcześnie.

— Chciałbym umrzeć we własnym łóżku obok młodej i możliwie pięknej żony, panie Hansen.  
\* \* \*

Zapach mleka i miodu z odrobiną piołunu... Martha pachniała jak nastolatka. Ale poza tym miała wszelkie cechy kobiety dojrzałej. Uprawiała miłość z kontrolowanym entuzjazmem.

Chyba chciała czegoś więcej. Ja osiągnąłem wszystko. Była maksymalizacją mych marzeń. Spełnieniem chęci posiadania. Realizacją snu.

A potem leżeliśmy wśród ciszy i paliliśmy papierosy.

— Jesteś dobry, Graham. Powiem więcej — świetny. A tak przy okazji, jesteś żonaty?

— Jeszcze nie. A ty mężatka?

— Przelotnie. Ale jeśli chcesz mi złożyć jakieś propozycje, z góry uprzedzam, że nie mam zamiaru się z nikim wiązać.

Poczułem przykry skurcz zawodu.

— Ale nie przejmuj się, traktuję tak wszystkich mężczyzn.

Jeśli miało to być pocieszenie, wywarło dokładnie odwrotny skutek. Chyba zauważyła to, bo mnie pocałowała. Potem lekko ugryzła. Znów wziąłem ją w ramiona, mając wrażenie, że wbijam się w ciało luksusowego androida stworzonego do miłości...

Potem znów rozmawialiśmy. Zapaliłem nocną lampkę. Potargana i rozluźniona Martha przypominała dzikie zwierzątko. Znów odniosłem wrażenie, że znamy się dużo dłużej i lepiej, niż mogłoby się wydawać. Tylko ten koktajl w Glasgow? Przelotna rozmowa? Chyba wówczas mieliśmy się jeszcze raz spotkać, ale oboje utknęliśmy w korkach, które powstały podczas gigantycznej oblawy zabójców irlandzkiego terrorysty, który zginął tego dnia w mieście.

— A nie byłaś półtora roku temu w Egipcie? — zapytałem, bawiąc się jej koniuszkiem ucha.

— Przysięgłbym, że spotkałem cię na statku płynącym do Abu Simbel. Tylko, przysięgłbym, że byłaś wtedy brunetką.

— Co pewien czas zmieniam upierzenie, jak każda szanująca się kobieta, mister Sowley.

— Mam nadzieję, że nie zmienisz go do jutrzejszego lunchu i uda mi się ciebie rozpoznać.

— Niestety, nie mogę ci obiecać, że zjemy razem lunch. Mam zaproszenie na korso kwiatowe na Northerly Island. Obowiązki towarzyskie.

— Znasz może senatora...? — tu rzuciłem nazwisko rodu od stu lat obecnego w historii USA.

— Mam nadzieję poznać go osobiście. Ale możemy przecież zobaczyć się wieczorem...

— Tu, w hotelu?

— Tak. Ale pod jednym warunkiem. Żadnych głupstw, zakochiwań. Jesteśmy dorosłymi, wolnymi ludźmi. Mamy swoje interesy i swoje rozrywki. Nasz flirt potraktujmy jak jedną z nich.

A teraz chodź już do mnie.

Przygarnąłem ją, ale tym razem nie czułem już pożądania. Bardziej uczucie zawodu.

Dlaczego, Martho, nie chcesz iść na całość?

Przed świtem opuściłem jej pokój. Spała jak dziecko. Ufna i bezbronna. Czy tak samo miała wyglądać u boku innych facetów, szukając nowych wrażeń, a może nanosząc nowe punkty na skali porównawczej? Z zawodowego nawyku przetrząsałem jej torebkę. Obejrzałem dokumenty, zanurzyłem się w świat babskich drobiażdżków. Wychodząc po gzymsie z apartamentu, odczuwałem bezbrzeżny smutek. Na tę drogę zdecydowałem się nie tyle w ramach porannej gimnastyki, ale nie chciałem, żeby ktoś z ludzi Hansena wiedział zbyt wiele o moich związkach z panną Aldridge. Sądzę, że wieczorem, kiedy podążałem na spotkanie, udało mi się zmylić ich czujność.

Z agentem szcurkiem spotkałem się wpół do dziewiątej rano. Miał minę człowieka cierpiącego na niestrawność. Za godzinę senator o kryptonimie „Kukulka” miał wylądować na lotnisku O’Hare.

— Gdzie pan się podziewał przez całą noc, Dingo? Dlaczego uciekał pan moim ludziom?

— Z zawodowego nawyku, Hansen, dla treningu. A pan z jakiego powodu zamierzał mnie budzić po nocy?

— Sytuacja się skomplikowała. Dostaliśmy meldunek ze Szwajcarii od jednego z naszych najlepszych agentów.

— Gratuluję.

— Dzisiejszej nocy (w Europie było to popołudnie), jakaś kobieta złożyła zlecenie na pewien depozyt, który — jak podejrzewamy — należał do Orki. Pieniądze zabójcy przelano na inne, zakspirowane konto na Kajmanach. Usiłujemy teraz ustalić jakie.

— Co z tą kobietą?

— Jakaś niemieckojęzyczna staruszka, mamy jej rysopis. Ale nasz człowiek dowiedział się o wizycie w banku z godzinnym opóźnieniem. Po staruszce na Bahnhofstrasse nie został nawet ślad.

Gwizdnąłem przez zęby.

— Jak to interpretujecie?

Hansen podrapał się w głowę.

— Może Orka zorientowała się, że coś zagraża jej planom. Może się zabezpiecza.

— W jaki sposób mogłaby się zorientować?

— Badamy to. O naszej akcji, wliczając w to pana, wiedzą tylko cztery osoby. Trudno założyć jakiś przeciek.

— Mówi pan nielogicznie, Hansen. Jeśli byłby przeciek, to Orka, znając sytuację, zaniechałaby akcji i z pewnością skontaktowałaby się z wami.

— Sam pan podziela nasze opinie o schizoidalnej osobowości zabójcy, Dingo. W swoich myślach już zabił „Kukulkę”. Jest jak drapieżnik na tropie. Poczul zapach krwi i zapewne za nic nie zrezygnuje z zabawy.

Milczałem. Argumenty Hansena były nie do odparcia. Agent uśmiechnął się



— I jeszcze jedno, mister Sowley. Czy wie pan, że jest śledzony?

— Tak, wiem. Przez czterech pańskich nieudaczników. Zauważyłem ich bez trudu. Nie są to chyba najlepsi pracownicy waszej sekcji.

— Nie mówię o naszych praktykantach. Interesuje się panem ktoś jeszcze, wewnątrz hotelu.

— Zaciekawia mnie pan. Widziano tego kogoś?

— Nie. Ale na godzinę przed wspomnianymi manipulacjami bankowymi w Zurychu, ktoś z aparatu telefonicznego na pierwszym piętrze pańskiego hotelu połączył się ze Szwajcarią. To był zawodowiec, nie zostawił odcisków palców i mówił falsetem tak zniekształconym, że nasi fachowcy nie są w stanie nawet ustalić jego płci.

— I co powiedział?

— „Zebrać plony. Owoc spada. Bardzo ciężka orka”. Zacisnąłem usta. Rzeczywiście, sprawa wyglądała coraz ciekawiej.

Tymczasem Hansen usiłował dowiedzieć się czegoś o moich planach. Czy będę na lotnisku?

Na cmentarzu, na korso? Nie miałem zamiaru ułatwiać mu zadania. Żywilem nadzieję, że intuicja i tym razem mnie nie zawiedzie.

\* \* \*

Udało mi się zaparkować wóz w pobliżu Muzeum Historii Naturalnej. Do przyjazdu senatora została mi ponad godzina. Jednym uchem nasłuchiwałem radiowej transmisji. Przerzucałem też materiały dostarczone przez Hansena. Listy pasażerów przybyłych przedwczoraj na O'Hare.

Z moim własnym. Uśmiechnąłem się. Zresztą obok znalazłem Marthę Aldridge. Zamieszkała w Waszyngtonie. Chyba pomyłka? Moja Martha przedstawiła się jako Angielka, zamieszkała we francuskim Lyonie...

Dawno już nie przystępowałem do roboty z równą niechęcią. Niestety nie miałem wyboru.

A jeśli nawet miałem, to nie był on zbyt ciekawy. Przechodząc na teren wystawy rozłożonej po dwóch stronach Solidarity Avenue, między pomnikami Kościuszki a Kopernika, przeszedłem przez pobieżną kontrolę osobistą. Wykrywacz metali ani pisnął. A niby dlaczego miał pisnąć.

To, co było mi potrzebne, znajdowało się od pewnego czasu wewnątrz zamkniętej strefy, w donicy pięknej astromerii, przy której klęknąłem, zawiązując sznurowadło. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Tłum gęstniał wzdłuż alei, na której miał pojawić się kandydat.

Marthę dostrzegłem w grupie aktorów i prezenterów telewizyjnych. Trudno było ją przeoczyć. Nad większością z nich górowała o pół głowy. Wiatr unosił jej włosy jak u Botticellowskiej Wenus, wynurzającej się z kąpieli. Idąc równoległe do promenady, zapleczem kwiatnych ekspozycji, zmierzałem w jej kierunku. Zainteresował się mną jakiś ochroniarz, ale machnąłem tylko plaketką otrzymaną od Hansena i zrezygnował. Dobięły mnie brawa.

Senator wysiadł już z kulo odpornej limuzyny. Dostrzegłem go w prześwicie tłumu. Mimo sześćdziesiątki na karku trzymał się wyjątkowo młodzieńczo. Zapewne to, co mówiono o jego romansach, było zaledwie częścią prawdy. Szpakowaty, zdecydowany, przypominał nieco Carringtona z „Dynastii”. No, może w nieco lepszym wydaniu. Uosabiał amerykański mit o silnym człowieku sukcesu.

Dzielilo nas jeszcze kilkanaście metrów. Parokrotnie napotkałem argusowe oczka otaczających go goryli. Znajdowałem się prawie tuż za Marthą. Tłum bił brawo i skandował.

Martha stała na palcach, krzyczała jak inni i wymachiwała torebką. Musiałem to zrobić.

Poczuła ukłucie. Odwróciła głowę. W jednej sekundzie dostrzegłem i zdziwienie, i sympatię, i

**ból, i przerażenie.**

**— Graham...?**

**Cofnąłem się o krok. Dobrą chwilę napierający tłum nie pozwolił jej upaść. Kiedy osunęła się na ziemię, padając twarzą w trawnik, byłem już w bezpiecznej odległości.**

**Usłyszałem czyjś okrzyk. Potem wrzawę. Po dobrej minucie nadjechała karetka. Nie śpiesząc się przekroczyłem kordon. Do centrum poszedłem pieszo. Kolejny wóz miałem zaparkowany w podziemnym parkingu trzy przecznice dalej. Wszystko toczyło się według planu. Zanim stwierdzą zgon Aldridge, zanim w szpitalu zorientują się, że nie było to zwyczajne zasląbnienie w ścisku... nim wypatrzą ślad po ukłuciu...**

**— Doskonale się spisaleś, Dingo! Tylko włos dzielił nas od nieszczęścia — skomentował operację Hansen. Tuż przed twoim uderzeniem kamera uchwyciła zamach torebką. Wiesz co w niej było? Porcja plastiku ukryta w denku wystarczyła, żeby wysłać do nieba „Kukulkę” wraz z całą obstawą. Do kroćset, jak na to wpadłeś, chłopie?**

**Ściszyłem głos:**

**— Niech to zostanie moją tajemnicą. Zadanie wykonane, bilans korzystny — tylko dwóch fachowców od zabijania mniej. Orka w piekle, a ja na emeryturze...**

**— Nadal trwa pan w zamiarze wycofania się?**

**— Już się wycofałem. Hansen uśmiechnął się krzywo:**

**— A swoją drogą, ciekawa osóbka ta Aldridge. Jej amerykański paszport okazał się fałszywy. Ludziom przedstawiała się jako projektantka mody renomowanej firmy Martha Aldridge–Duvalier z Lyonu...**

**— Pod takim właśnie nazwiskiem poznałem ją w samolocie.**

**— Sęk w tym, że panna, a właściwie wdowa Aldridge–Duvalier jest korpulentną czterdziestolatką i w ciągu ostatniego tygodnia nie opuszczała Lyonu... Chyba naprawdę nigdy nie dowiemy się, kim była Orka.**

**Dojeżdżaliśmy już do lotniska O’Hare. Miałem wykupiony lot do Meksyku. A tam z nowymi dokumentami i furą pieniędzy mogłem zacząć naprawdę nowe życie. Szkoda, że bez Marthy.**

**Kobiety naprawdę nie mają wyobraźni. Przecież można było wszystko załatwić inaczej.**

**— Ech, Martho! Gdybyś zechciała być moją na zawsze, gdybym oczyma wyobraźni nie widział cię już w ramionach następnego mężczyzny...**

**Każdy mógłby zginąć jako Orka. Najwyżej kosztowałyby mnie to trochę więcej zachodu. Że też wygrana musi mieć zawsze domieszkę gorczy.**

**A wygrałem dużo. Skończyłem z coraz bardziej nużącym i niebezpiecznym fachem, mogłem rzucić oba moje zawodowe wcielenia, zarówno poczciwego Dingo, jak i moją drugą, gorszą wersję — Orkę. Pozbyłem się obu. Sprytnie, prawda? FBI zapewni mi ochronę. Echa dawnej działalności nie będą mi dokuczać. A rentier nie musi mieć żadnej etyki zawodowej ani dwóch.**

**Ciekawe, co byś na ten temat powiedział, Hansen?**

**P.S. agenta federalnego Jima Hansena.**

**Jeszcze raz odwiedziłem Sowleya w hotelu, przywiozłem mu dokumenty drugiej a może trzydziestej tożsamości. Nie chciał, abym odwoził go na lotnisko. Zresztą zamówił już taksówkę. Jednak postanowiłem poczekać, aż odjedzie. Na wszelki wypadek. Ze swego punktu obserwacyjnego widziałem, jak siedział w hotelowym barku i skrobał coś w notesie. A potem zobaczyłem recepcjonistę, który zbliżył się do Sowleya. Dialog (później go odtworzyłem na**

podstawie zeznań) brzmiał następująco:

— Mister Sowley, mam list od panny Marthy Aldridge, zostawiła go rano, ale prosiła, żebym wręczył go panu dopiero przed odjazdem.

— Od Marthy? — Sowley wyciągnął rękę. Naraz zapomniał o zawodowych nawykach, o czujności, i o tym, że nie uprzedzał Aldridge o zamiarze odjazdu. Zareagował jak zakochany facet, który otrzymał przesyłkę zza grobu. Może liczył, że jest tam propozycja wspólnego spędzenia wieczności.

I była. List był dość gruby, ale nawet ten fakt nie obudził jego czujności.

Kiedy Sowley rozerwał papier, nastąpiła detonacja. Żył jeszcze, kiedy do niego dobiegłem.

W belkocie słów powtarzało się imię Marthy i pytanie. Kim ona była, kim ona była?

Czyżby w przedśmiertnym szoku zapomniał, że była osławioną Orką. W każdym razie jej prawdziwych personaliów nie udało się wyjaśnić nigdy.

**JEDNA Z LEPIEJ PRZEPROWADZONYCH AKCJI**

**ŚRODA 1.28**

Raul Martinez spał. Spał ciężkim, pijackim snem człowieka, który chleje piąty dzień z rzędu.

Cały jego organizm przesiąknięty był alkoholem na wskroś, a krew stanowiła jedynie rzadki roztwór hemoglobiny w etanolu. Snów nie miał. Koszmary nachodziły go później, zazwyczaj nad ranem. Podrywał się wówczas, daremnie szukając pod poduszką spluwy, którą zabrano mu, wywalając go z policji. Bo wywalono go wreszcie. Przed pięcioma dniami. Jego — asa Szkoły Policyjnej. Jego — nadzieję Służby Metropolitalnej.

To było zaraz po tym, jak Luca Pini, sławny Luca Pini, sadystyczny zabójca młodych chłopców, powiesił się w karetku więziennej. Przebywał wtedy pod opieką Martineza. Martinez go rozpracował, wytropił i ujął. Ale kiedy pozostała formalność — konwojowanie, zatrzymał się przy barze na piwo. Jedno piwo! Cóż dałoby zaprzeczanie, że nie ściągnęło go tam żadne piwo tylko awizowany przez radio telefon informatora, który miał rzekomo arcyważną wiadomość dla niego. A po wzięciu słuchawki przez Raula nikt się nie zgłosił. Centrala wyparła się jakiegokolwiek meldunku. Czy ktoś pomógł Piniemu? Niektórym ważniakom bardzo zależało, żeby ten nie zeznał.

W samochodzie, w którym powiesił się bandyta, przebywał kierowca i sierżant Buddy. Obaj następnego dnia nie żyli — przypadkowe zderzenie ambulansu z ciężarówką. A Martinez został zawieszony.

Z pićem oczywiście kłopoty zaczęły się wcześniej. Może był za wrażliwy do tej roboty?

Może nie mógł się pogodzić z ustawiczną fuszerką kolegów — partaczy i z korupcją „góry”.

Może chodziło o to, że rzuciła go Joan. A może po prostu się z tym urodził. Bo choć wszyscy rodzą się trzeźwi, to w dużym odsetku umierają pijani.

W każdym razie pogrążony był w głębokiej nirwanie, kiedy ze snu wyrwał go przenikliwy dźwięk dzwonka, a potem tych dwóch weszło do środka i zajęło się Raulem.

**1.29**

Zgrzytnął mechanizm i elektryczny zawór zwolnił kratę. Legrand uniósł głowę. Jak każdy więzień nie lubił być budzony, nawet jeśli budzącym był sam dyrektor więzienia.

— O co chodzi? — wymamrotał niechętnie.

— Ubieraj się! — rzucił wysoki funkcjonariusz służby penitencjarnej. — Wychodzisz. Urlop.

A może..? — w głosie zabrzmiało to trochę za mało jak na gwarancję, za dużo jak na

obietnicę.

Pierre Legrand nie wierzył ani w jedno, ani w drugie. Uważał, że został wrobiony. Owszem, docisnął „Turka” trochę za mocno. Ale prokurator domagał się, żeby handlarz mówił. Tylko dlaczego twierdzono, że „Turek” to wyjątkowy twardziel? Drobnym dociskiem i już trup? Fakt, Legrand należał do ludzi silnych, nawet bardzo silnych. Ale tamten miał być przecież „twardzielem”!

„Nadużycie władzy”, „Sadysta w mundurze!” — rozpisywały się gazety, później wyciągnięto jeszcze parę drobiazgów i zamiast medalu czekał go ultranowoczesny zakład karny. Na całe lata.

W podwórzu dostrzegł prywatny samochód na prowincjonalnej rejestracji. Dyrektor pożegnał go bez podawania ręki. O co tu chodziło, do jasnej cholery?!

1.43

Detektyw hotelowy Mark Ronson wszedł do kasyna głównie po to, żeby przeplukać gardło.

Nie brandy! Colą. Ronson należał do funkcjonariuszy niepijących w pracy. Zwłaszcza, gdy nie musiał. Owszem, w dawnych dobrych czasach pociągał z kumplami, później jednak, gdy ktoś wpadł na pomysł, aby z Wydziału Zabójstw przesunąć go do Przepisów Podatkowych, do reszty stracił ochotę. Przerzucił się na jogurt i tenis. Zawdzięczał temu sportową sylwetkę, tak cenioną przez kobiety, niezależnie od wieku i stanu cywilnego. Śniadą cerę odziedziczył po jakimś rodzinnym megalomaniaku. W „Podatkowym” nudził się przeraźliwie, a gdy poderwał

ostatnią podobną do człowieka urzędniczkę z archiwum, podziękował za służbę. Uczynił to tym chętniej, że w duchu solidaryzował się z tymi wszystkimi cwaniaczkami, którzy kantowali, nieraz bardzo pomysłowo, wielkich bezkarnych cwaniaków. Poza tym miał miękkie serce.

Tu w Sheratonie znalazł właściwe miejsce. Dobre towarzystwo, piękne kobiety, sporadyczne mordobicia.

Zastanawiał się, czy Platynowa zajrzy dziś do kasyna? Zauważył ją tam już dwukrotnie.

Zachowywała się powściągliwie, grała o niewysokie stawki i nie zauważył, żeby opuszczała lokal z jakimkolwiek mężczyzną. Jej regularną twarz rozświetlała wewnętrzna inteligencja, oczy zaś, zawsze rozszerzone jak po atropinie, nasuwały myśl o jakiejś towarzyszącej jej tajemnicy.

Oczywiście! Była i dziś. Siedziała przy barze, rozmawiając z osobnikiem znanym z ksywy „Lee–Szprycer”. Ronson domyślał się, że Lee jest „dostawcą”, ale szef hotelu kazał stosować wobec „Szprycera” taryfę ulgową. Mark nie pytał dlaczego. Nieznajoma rozmawiała z Lee, wykazując duże ożywienie. Czyżby klientka? Ronson zamierzał przysunąć się bliżej, ale wszystko popsuł sierżant Mike z Jedenastki, który wtargnął ze swymi ludźmi, wzywając zebranych do podniesienia rąk do góry. Powstało niemałe zamieszanie, zwłaszcza, że lubujący się w filmowych efektach Mike przewrócił stół, zastawiony butelkami jak kręgielnia. Lee–Szprycer niechętnie uniósł ręce.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby Mike zamiast pewności siebie wykazał więcej spostrzegawczości. Absolutnie przegapił faceta, który stał ukryty za wieszakiem i miał czas złożyć się z automatu. Na szczęście Ronson strzelił, zanim tamten pociągnął cyngiel. Seria z „kałasza” poszła w podłogę, a goryl Szprycera runął razem z wieszakiem, obficie bluzgając krwią. Jego szef zamierzał przesadzić bar, ale nagle zmienił zamiar. Wbijając lufę pistoletu w szyję swojej rozmówczyni, wrzasnął:

— Spokój, jeśli nie chcecie, bym uszkodził tę lalunię! Ronson nie czekał, zanim tępawy umysł Mike'a wykoncypuje coś nieodpowiedzialnego. Wysunął się z cienia i rzucając na podłogę broń, zawołał do policjanta:

— Zrób to samo, Mike!

Jest coś takiego, że podwładni mają respekt dla swych byłych szefów. Mike upuścił lugera, który spadł na podłogę gdzieś w okolicach stopy Ronsona. Ten kopnął spluwę z wprawą wyniesioną z czasów, kiedy jako chłopak udzielał się w „Granatowych Koszulach”. Broń z impetem trafiła dostawcę w łydkę. Moment rozproszenia i nieuwagi wystarczył, aby Mark strzelił mu między oczy z maleńkiego damskiego pistoleciku zwanego „małą piątką”, tak skutecznie, że Szprycer w mgnieniu oka zamienił się w to, czym zawsze był, czyli (wybaczcie, panie) kupą lajna.

Wszystko nastąpiło tak szybko, że dwaj pomagierzy Mike'a nie zdążyli nawet pomyśleć, a nieznajoma platynowa piękność na dobre się przestraszyć.

Mike wybelkotał chmurne „dziękuję”, bo w końcu Ronson był teraz dla niego jedynie współpracującym cywilem, i zajął się przeszukiwaniem lokalu. Konsumenci poczęli wylazić spod mebli, a niedoszła ofiara, odrobinę pobladła, poprosiła o koniak.

— Właściwie dwa! Drugi dla pana inspektora.

Ronson sprostował, że nie jest już żadnym inspektorem i prawdopodobnie nigdy nie będzie.

A jeśli idzie o koniak, nie pije.

— Mam jednak nadzieję, że nie odmówi pan kobiecie?

— Kobiecie nigdy nie odmawiam, nawet, jeśli zawiera czasami niezbyt odpowiedzialne znajomości.

Popatrzyła na niego kpiąco.

— Poznaliśmy się dopiero dzisiaj. Jestem dziennikarką i piszę reportaż o marginesie społecznym.

— Ryzykowne zajęcie, teraz będzie pani musiała opowiedzieć o tym wszystkim naszemu kochanemu Mike'owi.

— Proszę mówić do mnie Irene — odparła, ignorując zbliżającego się funkcjonariusza.

— Mark — powiedział, ściskając jej drobną, lecz zaskakująco silną dłoń. — Muszę niestety zostawić panią na chwilę sam na sam ze stróżem prawa. On uzyska informacje, pani — materiał do reportażu. Korzyść będzie obopólna.

— Kandydatów do moich wywiadów wybieram sama. — Jej źrenice zwęziły się. — Ostatnio szukam kogoś, kto pasowałby do reportażu pod tytułem „Byłem gliną”.

Kiedy tak stała nonszalancka, lekceważąca wobec martwego ciała u swych stóp i krwi, która ochlapała jej żakiet, Mark zrozumiał, że powinien uciekać. Podobala mu się. Za bardzo. A kiedy jakaś babka podobala mu się za bardzo, w mózgu zaprzysięgłego kawalera i wytrawnego podrywacza zapalało się ostrzegawcze światełko — niebezpieczeństwo!

Mike chrząknął, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Irene nie spuszczała wzroku z Ronsona.

— Co z moim wywiadem, Mark? Będę czekała jutro o dziewiątej w „Czarnym Kocie”.

Oczywiście możesz nie przychodzić. Podobno — tu po raz pierwszy zaszczyciła uwagą trupa Szprycera — przynoszę nieszczęście.

— Nieszczęścia to moja specjalność — odpowiedział Mark, parafrazując Marlowe'a i już chciał wyjść, kiedy zobaczył na progu — jeszcze jednego policjanta, który uśmiechając się,

kiwał do niego zachęcająco.

## 2.20

Doktor Loser był szczupłym, nerwowym krótkowidzem. Wielkie wypukłe szkła nadawały jego twarzy wygląd lemura. Dodajmy do tego wyschnięte wargi i długie żylaste ręce, aby dopełnić całości obrazu. Komisarz nie cierpiał takich typów, tym bardziej, że reprezentowały same szczyty Władz Bezpieczeństwa. Loser jeszcze raz przyglądał się wybranym ze sterty fotografiom, ułożonym przez komisarza na skraju biurka.

— Martinez, Legrand, Ronson, piękna wieloetniczna mozaika — powiedział i wykonując piruet, skierował swój wskazujący paluszek prosto w brzuch komisarza. Dlaczego właściwie pan ich wybrał?

— Skoro domagacie się najlepszych i w dodatku niezwiązanych z aktualnym aparatem, to lepszych nie widzę.

— Zastanawiałem się nad kimś z prowincji — zaczął Loser.

— Do akcji w metropolii? — Komisarz z trudem pohamował się, aby nie rzec doktorowi, co myśli o jego legendarnej inteligencji. — Prowincjusze odpadają. Zgubiliby się, a poza tym wioskowa rutyna potrafi ogłupić nawet geniusza, a my mamy za mało czasu, aby uczyć ich od zera.

— Racja — przyznał sucho Loser. — Chciałbym jednak wiedzieć o nich trochę więcej.

Komisarz podał mu trzy gęsto zapisane fiszki. Delegat ministerstwa wziął je niechętnie.

— Z faktami zapoznam się później. Chcę wiedzieć, jacy to ludzie. Alkoholik, sadysta, erotoman?

— To jedna strona medalu. Martinez, gdy nie pije, działa jak komputer — nieszablonowe rozwiązania, trafne koncepcje, wytrwałość...

— A Legrand?

— Przez lata zajmował się rozpracowywaniem gangów. Ma psi węch! Czasem siódmy zmysł.

— A Ronson, też geniusz?

— Nie, natomiast jest z nich najsprawniejszy w akcji. Inteligentny, o rozległych kontaktach w rozmaitych środowiskach. Czasem tylko zbyt niezależny w sądach. No i nie cierpi regulaminu.

Doktor Loser przerwał tę wypowiedź skinieniem ręki, podszedł do okna i lekko uchylił firankę. Latarnia słabo oświetlała podjazd otoczony zdziczałym parkingiem. Wystarczająco jednak, aby dojrzeć trzy nadjeżdżające samochody. Zajechały prawie równocześnie.

— Już są — rzekł do Komisarza.

## 2.30

Jeżeli nawet którykolwiek z byłych policjantów zdumiał się, spotykając na podjeździe swoich dawnych kolegów, żaden nie pokazał po sobie ani radości, ani zdziwienia. W milczeniu uściśli sobie ręce. Komisarz pełnił honory pana domu z pewnym zakłopotaniem, czuło się, że zapuszczona rezydencja nie podlega w pełni jego władzy.

— Chłopcy — powiedział. — Jest sprawa, którą moglibyście się zająć. Doktor Loser reprezentujący... hm... władze naszego państwa, zapozna was bliżej ze szczegółami. Muszę jedynie zapytać, czy podejmiecie się ciekawej, trudnej, choć chyba niezbyt ryzykownej roboty?

Pytanie zawisło w powietrzu. Martinez siedział apatycznie w miejscu, które mu wskazano.

Legrand oglądał własne paznokcie. Ronson doszedł do wniosku, że jeżeli on nie zabierze głosu, to nikt inny tego nie zrobi.

— Czy to znaczy... Czy mamy wrócić do czynnej służby?

— Nie — odparł szybko komisarz. — To jedynie prywatne zlecenie dla państwowej instytucji, ale jestem upoważniony do obiecania wam — zerknął spod oka na Losera — że powodzenie akcji może oznaczać dla wszystkich radykalną zmianę ich sytuacji.

— Rozumiem, że nie wrócę już do pierdła — zapytał Legrand.

Loser tylko się uśmiechnął.

— Cieszy mnie oferta dla Pierre'a — powiedział Ronson.

— Zrehabilitujecie pewnie Martineza. Ale powiedzcie, jaki sens ma dla mnie pakowanie się w ten interes?

— Pieniądze — odezwał się spokojnie Loser. — Poza tym jesteś podobno wielkim poszukiwaczem przygód, a my chcemy ci zafundować wspaniałą przygodę...

— Jeszcze jedno — niespodziewanie ożywił się Martinez, najwyraźniej kawa i zastrzyki z glukozy zaczęły działać. — Dlaczego my? Dlaczego nie ktoś z oddziałów specjalnych lub ze stałych komórek?

Komisarz poszukał wzrokiem wsparcia u Losera.

— Sprawa jest dość złożona — odparł bardzo wolno doktor.

— Z jednej strony nasze działanie nie ma podstaw prawnych, bo jak dotąd nie zostało popełnione, przynajmniej w świetle naszego liberalnego prawodawstwa, żadne przestępstwo.

Po drugie, ujawnienie afery grozi wybuchem paniki na nieprawdopodobną skalę. Po trzecie zaś

— zawahał się na moment — nasze państwo znajduje się w trudnym momencie, opozycja wciska się wszędzie, sytuacja międzynarodowa się zaostrza... Niedawno zdemaskowaliśmy kilku agentów przeciwnika w samym ministerstwie. Nie możemy wykluczyć, że chodzi o poważną polityczną prowokację...

— Ale w czym rzecz? — przerwał mu Ronson.

Loser otworzył swoją teczkę. Na pierwszy rzut oka wyciągnięte przezeń zdjęcia nie różniły od katastroficznych fotosów, jakich dziesiątki co dzień pojawiały się na łamach prasy. Odbitki formatu pocztówkowego zostały wykonane na średniej jakości papierze. Gdyby nie osobliwa tematyka, zapewne nie zasługiwałyby na większą uwagę. Rumowisko gruzów, w którym nawet londyńczykowi trudno byłoby rozpoznać fasadę Opactwa Westminsterskiego, przewrócona jak dziecinna zabawka wieża Eiffla, przerażające stosy zwłok na schodach hiszpańskich w Rzymie.

— Dwa tygodnie temu te zdjęcia zostały rozrzucone na jednej ze stacji metra — poinformował Loser.

— Znakomite fotomontaże — mruknął Legrand.

— Nasza komórka po zbadaniu faktury, oświetlenia i tym podobnych wykluczyła możliwość fotomontażu. Nie jest to również hiperrealistyczne malarstwo. Pod zdjęciami znajdował się komputerowo wkopiowany napis „Koniec świata 5 grudnia 20...”.

— Za półtora roku — mruknął Legrand.

— Na zdjęciu londyńskim śnieg oraz kąt padania promieni słonecznych wskazuje, że jest to rzeczywiście fotografia z początków grudnia — poinformował Loser.

— A może są to kadry z jakiegoś filmu? — zapytał Ronson.

— Zbadaliśmy wszystko, co znajduje się na warsztatach światowych wytwórni — powiedział Loser. — Zresztą, zwróćcie uwagę na ten drobiazg. Widzicie nasz zniszczony terminal

lotniczy.

Zdjęcie B... A obok, to owalne, to resztką piętrowego parkingu.

— Takiego parkingu tam nie ma — ożywił się Legrand.

— Ale za półtora roku będzie. Wczoraj właśnie, po burzliwej dyskusji rozstrzygnięto konkurs architektoniczny, a prace mają ruszyć za parę miesięcy. Ktokolwiek rozrzucił te fotografie przed dwoma tygodniami, nie mógł mieć o tym zielonego pojęcia.

2.55

We wchodzącej z kawą dziewczynie Ronson rozpoznał Marię. Zaskoczeni przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pani sierżant była swego czasu kandydatką do pierwszorzędnego romansu. Szczupła, inteligentna, bardziej przypominała doktorantkę historii sztuki lub innego snobistycznego wydziału niż glinę-samiczkę. Maria należała do bardzo niewielu niezrealizowanych wypadków miłosnych w życiu Marka. Pech! Ledwo zdążyli się poznać, wypadła mu akcja na Południu, a kiedy wrócił z długiej podróży służbowej i jeszcze dłuższego leczenia po brzydkim postrzale, okazało się, że zdmuchnął mu ją ktoś z policyjnej „góry”.

Dopiero później wy badał, że to sam komisarz. Maria krótko pracowała w centrali, potem zniknęła. Ronsonowi wydawało się, że w ogóle rzuciła pracę w policji. Czyżby pozostawała utrzymanką komisarza, a może łącznikiem między nim a Loserem?

W oczach dziewczyny, poza zaskoczeniem, nie dostrzegł jednak dawnego porozumiewawczego błysku. A kiedy podał jej rękę, którą uściśniła jak mężczyzna, zrozumiał, że nie mowy o dawnym porozumieniu. Mieli pozostać dwojgiem obcych sobie ludzi. Szkoda.

W porównaniu z drobnym, choć żyłastym jak stary indor inspektorem, komisarz przypominał zwalistego, powolnego w ruchach niedźwiedzia. W kręgach maszynistek, programistek i tajniczek miał opinię streszczającą się do eufemizmu: „Walec drogowy”. Widocznie Maria wolała „walce”.

Tymczasem Legrand i Martinez przeglądali materiał przygotowany przez Losera.

Ekspertyzy zdjęć, dokumentację sporządzoną na miejscu ich rozrzucenia. Do tej pory incydenty zdarzyły się czterokrotnie. Zawsze w punktach sporego natężenia ruchu, zawsze w sposób uniemożliwiający wykrycie sprawców. Na szczęście większość przypadkowych przechodniów brała te wydarzenia za chwyt reklamowy i do wybuchu paniki nie doszło.

Loser przedstawił dotychczasowe hipotezy dotyczące celów, mogących przyświecać nieznanym sprawcom. Jego ludzie roboczo rozpatrywali trzy: wariant Herostratesa — maniaka lub grupy maniaków szukających za wszelką cenę popularności; możliwość działania którejś z frakcji ekologów pragnących poruszyć „sumienie świata”, ewentualność prowokacji politycznej jakichś ekstremistów, których celem byłoby, jak zwykle, wzbudzenie społecznego niepokoju. Doktor nie stawiał kropek nad „i”, ale odczuwało się, że ostatni wariant jest mu najbliższy. Ronson uśmiechnął się — znał takich ludzi. Loser też na swój sposób był ekstremistą — tyle że prawa i porządku.

— Który z odłamów ekstremistów pan podejrzewa? Czarnych, czerwonych, zielonych czy żółtych — zapytał Mark.

— Nie mamy żadnych dowodów, żadnych powiązań, nawet żadnych podejrzeń. I to dziwi.

Większość znanych nam ugrupowań jest inwigilowana i spenetrowana, mamy licznych informatorów za granicą... Ale stamtąd też nic. Albo perfekcyjnie się konspirują, albo to całkiem nowa inicjatywa.



Nagle do rozmowy włączył się Martinez. Zupelnie oprzytomniał. Tylko na jego nabrzmiałej, bladej twarzy perliły się grube krople potu.

— Jakie są opinie ekspertów o ewentualnych przyczynach sfotografowanych katastrof? — zapytał całkiem logicznie. — Nie jestem specjalistą militarnym, jednak nie wygląda mi to na wybuch bomby atomowej czy efekt konwencjonalnego bombardowania.

— Taak — głos Losera stracił na moment zwykłą apodyktyczność. — Badaliśmy rzecz i pod tym kątem. Niestety, nie da się jasno określić powodów. Nie znamy energii zdolnej wyrwać z korzeniami wieżę Eiffla, nie uszkadzając jej konstrukcji. Ruina Westminsteru sugeruje, że nagle przestało funkcjonować budowlane spoiwo. A tu, proszę, powiększenie twarzy martwych ludzi, różne ujęcia. Co widzicie?

— Grymas bólu, lęku...? — zaryzykował swą opinię Legrand.

— Moi lekarze nie mieli wątpliwości. Nie znajdując żadnych obrażeń zewnętrznych, za przyczynę zgonu tych nieszczęśników uznali paniczny, bezgraniczny strach.

Zapadła cisza. Maria nalewała następną porcję kawy.

— Jedno pytanie, panie doktorze — odezwał się Ronson. — Z pańskich słów wynika, że jakaś ekipa zajmowała się już tą sprawą. Czemu jej nie kontynuuje?

— Tak, miałem roboczy zespół śledczy, szóstkę znakomitych fachowców: dwóch lekarzy, fizyka, dwóch specjalistów od spraw terroryzmu... Miałem... Przedwczoraj, jadąc do mnie, nie zmieścili się na łuku drogi przy Czarnym Urwisku. Drogówka, która pierwsza znalazła się na miejscu, znalazła na asfalcie dużą kałużę oleju... Wszyscy zginęli. Nie mam żadnych dowodów, pozwalających podważyć wersję miejscowej policji, że był to nieszczęśliwy wypadek. Chociaż prywatnie...

11.25

Pierwsze zebranie zespołu ustalono na wpół do dwunastej. Do tego czasu mieli się wyspać, odpocząć, zapoznać z materiałami i przedstawić własne koncepcje. W dziennym świetle willa przeznaczona na kwaterę akcji „Foto” straciła wiele ze swojej tajemniczości. Wyglądała dokładnie na to, czym była — starą rudera. To, co w nocy mogło uchodzić za park, teraz okazało się niewielkim rachitycznym ogrodem.

Martinez zabrał się już do roboty. Siedział obok Marii i analizował sprawozdanie z incydentu w magazynie Howarda. Przed trzema dniami na antresoli budynku eksplodował mały detonator, rozrzucając fotosy na niemal cały parter domu towarowego. Z zabezpieczonych resztek wynikało, że detonator znajdował się w plastikowej siateczce, pozostawionej za jednym z filarów. Zarówno siatka, jak i jej właściciel nie wzbudziły i nie mogły wzbudzić niczyjego zainteresowania aż do momentu eksplozji.

Na biurku Marii znajdowały się trzy telefony: miejski oraz dwa bezpośrednie — do komisarza i Losera. Na razie wszystkie trzy aparaty milczały.

Ronson poprowadził zebranie. Nie krył trudności przedsięwzięcia. Musieli ruszać z martwego punktu. Zebrane dotąd materiały nie dawały najmniejszych wskazówek do dalszych poszukiwań. Oczywiście trzej byli policjanci zdawali sobie sprawę, że jeśli

„fotograficzni żartownisie” byli ludźmi, nie duchami czy kosmitami, nie mogli też działać w próżni. Musieli mieć współpracowników, pieniądze, urządzenia techniczne.

Przy podziale zadań Legrand wziął na siebie tropienie sprzętu — analiza zdjęć, ich format, a także oryginalny sposób wmontowania napisów, sugerowała pewien rodzaj automatycznej

kopiarki produkowanej przez ekskluzywną firmę w Zurychu.

Martinez, wspólnie z Marią, chcieli zająć się podobnymi precedensami w przeszłości, tak od strony technicznej, jak i ideologicznej. Niejedna z grupek czy sekt miała w swym programie apokaliptyczne memento. Ronson liczył na swoją siatkę informatorów. Wydawało się niemożliwe, aby coś działo się w mieście bez wiedzy tych, którzy stanowili jego podziemną infrastrukturę.

15.42

Monotonnie jazgotała karuzela. Jej właściciel chudy, wyblakły Tim, unikając wzroku Ronsona, w zamyśleniu skubał swoją rzadką brodę.

— Ja się nie bawię w politykę, szefie — mruzczał półgłosem.

— A skąd wiesz, że chodzi o politykę? Jacyś kawalarze rozrzucają fotomontaże i tyle...

— Nic o tym nie wiem. I nie chcę wiedzieć. Wyłącz mnie z tego szefie.

Twarz Marka nabrzmiała krwią.

— Przeholowałeś, Tim! — wrzasnął, chwytając go za klapy i ciskając o drewniane przepierzenie. — Już zapomniałeś o aferze z lolitkami? Za dziecięce porno można trafić do pudła na piętnaście lat.

— Ale ja naprawdę nie wiem — zaskowyczał Tim.

— To się dowiedz. Pytaj o nielegalne studia fotograficzne, specjalistów od małej pirotechniki... Miałeś też kiedyś dobre rozeznanie w kręgach Zielonych.

— A co będzie z Teddym? — zapytał nagle kapuś. — Nie chcę, żeby kiblował jeszcze pięć lat.

— Jestem teraz tylko detektywem hotelowym — wyjaśnił Ronson. — Wyciągnięcie twojego kumpla z pierdła przekracza moje... — urwał, widząc szyderczy uśmiech Tima. Zmienił ton. —

No dobrze. Zdobądź te informacje, a ja zobaczę, co da się zrobić z twoim Teddym. Zdaje się, że jesteś do niego bardzo przywiązany.

Oczy Tima przybrały wyraz rozmarzenia, ale nie powiedział nic więcej.

15.50

Na suchym kacu Raul bywał nieznośny, upierdliwy, ale miał również przebliski genialności. Dziś, z zapamiętałością mrówki, przedzierał się przez kilometry danych, tysiące informacji, które Maria po wstępnej analizie przerzucała na jego komputer.

— Gdybym miał rzeczywiste, kompletne akta wszystkich mieszkańców naszej metropolii i zastosował do nich klucz eliminacyjny, po godzinie mielibyśmy całkiem wyraźną grupkę podejrzanych — westchnął w pewnej chwili.

— Loser pewnie ma taką kartotekę — podsunęła Maria.

— Mówię o prawdziwych danych obywateli, którzy nigdy dotąd nie weszli w konflikt z prawem — odburknął Martinez. — Aha... Czy nie zwróciłaś uwagi, że ciągle poza naszą analizą pozostaje cel owych akcji? Pytamy, kto to robi i jak, a nie zastanawiamy się dlaczego?

— Są trzy hipotezy doktora.

— Wiem, ale na zdrowy chłopski rozum, kiedy ktokolwiek występuje z przestrożą, zwykle towarzyszy jej informacja, jak zapobiec grożącemu nieszczęściu. Tak postępują ekolodzy, prorocy i wróżbiarze... Szantażyści dorzucają jeszcze cenę zaniechania. A tu nic. To zupełnie nie ma sensu.

— Chyba że jest to zagrożenie, którego nie można uniknąć — powiedziała Maria.

22.00

Ciężki dzień miał się ku końcowi. Mark Ronson po kolei odwiedził piętnastkę swoich czołowych informatorów. Wynik był zniechęcający.

Czy ludzie nabrali wody w usta? Czy naprawdę nic nie wiedzieli? Nie mógł się zorientować.

Jak zakłęty milczał bukinista Arnold, zawsze służący szeroką informacją o nielegalnych operacjach pieniężnych. Nie miał nic do powiedzenia czarnoskóry Willy, u którego pół podziemia zaopatrywało się w lewe dokumenty i Claretta, przez którą można było złapać kontakt z mordercami do wynajęcia, a nawet Max, kontrolujący sex-shopy. Zawiódł dystyngowany Rene, bon vivant obracający się w kręgach starej arystokracji, a także wieloletni konfident ze środowiska hippisów, a później punków — Zielony Joe, który prowadził nadržeczną dyskotekę.

Wszyscy byli zdziwieni powrotem Ronsona do służby. A gdy tłumaczył, że zajmuje się prywatnym zleceniem, deklarowali werbalnie swoją współpracę, tyle, że nie potrafili powiedzieć. Owszem, niektórzy słyszeli o katastroficznych zdjęciach, ale wszyscy je zlekceważyli.

Wreszcie wieczorem spotkał się z Luizą — słynną ongiś call-girl; przez jej buduar przewinął się niejeden z szybko zmieniających się gabinetów rządowych. Dziś Luiza, osobiście cokolwiek zużyta, prowadziła dyskretny pensjonacik w stylu późnego rokoka, gdzie obsługę klienta zapewniała młodzież rodem z Trzeciego Świata i Europy Wschodniej. Nadal jednak dysponowała świetnymi informacjami i znakomitą kawą z firmową amaretto na czele. A jej ciało ciągle potrafiło doskonale relaksować. Zresztą, Ronson nie był zbyt wymagający. Zwłaszcza w godzinach pracy.

— Zestarzałam się — westchnęła, gdy skończyli. — Czasu nie można oszukać, rozstępy, skóra już nie ta, co kiedyś. Czasem wydaje mi się, drogi inspektorze, że dokonujesz wobec mnie jedynie aktu łaski.

Mark zaprzeczył. Powiedział Luizie parę komplementów i przeszedł do sprawy fotografii. Zaskoczyła.

— A wiesz, parę dni temu, jeden mój klient, taki mały ze sztuczną szczęką i grubymi okularami, też próbował mnie o to wypytywać. Biedaczyna...

Opis Luizy pasował do Losera, ale Mark dyskretnie nie pytał, czy przymiotnik biedaczyna dotyczył niepowodzeń doktora w pracy, czy w przyjemnościach.

— I co mu powiedziałaś?

— Nic. Moim zdaniem to jakiś kawał albo początek akcji reklamowej. Zaciekawić, a potem z czymś wyskoczyć...

Czas w towarzystwie bajzel mamy szybko płynął, i dopiero na kwadrans przed dziesiątą Mark przypomniał sobie, że od czterdziestu minut jest umówiony w „Czarnym Kocie” z młodą, poznaną poprzedniej nocy, dziennikarką. Zasłużył sobie na odrobinę prywatnego życia.

Przy restauracji miał jak zwykle trudności z zaparkowaniem, toteż w sali znalazł się z wybiciem dziesiątej. Ani śladu platynowej blondynki. Szef lokalu zapytany o dziewczynę wzruszył ramionami. „Nie było takiej”. Zrezygnowany Ronson wrócił do wozu, ale w chwili, gdy usiłował trafić kluczykami do stacyjki, poczuł delikatne trącenie w ramię.

— Należy się mandat za złe parkowanie — powiedziała Irene.

23.59

Garsoniera Ronsona mierzyła dokładnie trzydzieści cztery i pół metra kwadratowego, co w normalnej sytuacji wystarczało. Ściany gęsto pokrywały regały z książkami, a złożenie stolika umożliwiało opuszczenie łóżka. Nie licząc wyposażenia mikroskopijnej kuchni i łazienki, innych sprzętów nie było.

Mark, lekko zakłopotany, zaproponował drinka. Irene przystała z ochotą. Akcja rozwijała się szybko. Bardzo szybko! Kiedy po godzinie spędzonej w „Czarnym Kocie” zaproponował zmianę lokalu, dziennikarka zaaprobowала pomysł, a gdy mimochodem wtrącił, że mogliby na chwilę wpaść do niego, nie spotkał się ze sprzeciwem. Przymrużone oczy Irene stały się tylko trochę bardziej kpiące. Teraz stała na środku mieszkania i mieszała lód w otrzymanym drinku.

— Czy zawsze w ten sposób przeprowadzasz wywiady z inspektorami policji? — zapytał Ronson.

— Tylko wtedy, kiedy mi się cholernie podobają.

— Zdziwiasz mnie.

— Taka już jestem. Wariatka, prawda? — ostatnie słowa wypowiedziała gardłowo, odrzucając przy tym platynowe włosy. Jej twarz oblał delikatny rumieniec. Mark podsunął krzesło i sięgnął po album z wycinkami swoich ciekawych spraw. Odwróciła go delikatnie.

— Sprawy służbowe załatwimy później — powiedziała zdecydowanie.

— A teraz?

— Będziemy się kochać — powiedziała i pocałowała go drapieżnie.

Nie zastosował żadnej samoobrony. Potem chciał ją przygarnąć, ale cofnęła się o krok.

— Spokojnie, Mark. Dzisiaj ja dowodzę akcją. Najpierw chciałabym się wykapać.

Otworzył drzwi do łazienki, zastanawiając się, co bardziej; go oszalał — alkohol czy Irene.

— Nie lubię tracić czasu — wyjaśniła, robiąc przeproszącą minę. — Nigdy nie wiadomo, ile go mamy. Zresztą, prędzej czy później i tak by do tego doszło. Poza tym lubię zdobywać.

Powiedz, będziesz się bronił?

— Nie będę.

### CZWARTEK 3.17

Raul Martinez nie mógł zasnąć. Mimo kilkunastu godzin spędzonych nad materiałami nie odczuwał potrzeby snu. Popatrzył na Marię zwiniętą w kłębek na dwóch zsuniętych fotelach. Na milczące telefony. Potem zgasił światło i podszedł do okna. Było uchylone, a wiatr delikatnie wydymał firankę. Wyjrzał. Ogród pozostawał wilgotny i ciemny. Wtem Raul drgnął. Mógłby przysiąc, że za rozległym platanem na moment błysnęło małe światełko, coś jak ogarek papierosa. Może Loser albo komisarz wbrew zapewnieniom przysłali im jakąś ochronę?

A może...

Były inspektor nie tracił czasu. Wrócił do pokoju i włączył monitor komputera. Dla kogoś podglądającego z zewnątrz mogło to wyglądać na kontynuowanie pracy. Topografię budynku rozpracował już poprzedniego dnia. Szybko przemierzył korytarz i znalazł się przy wąskim oknie toalety z drugiej strony willi. Uchylił je, a następnie wykorzystując załamanie muru i rynny, pokonał dystans między pierwszym piętrzem a parterem. Potem odbezpieczył broń.

Butów pozbył się wcześniej. Bezszelestnie, szerokim łukiem okrążył dom i w cieniu muru oddzielającego go od ulicy, dotarł do rozłożystego platanu. Oczywiście, po ewentualnym gościu ani śladu. Nigdzie nie drgnęła ani gałązka, nie zaskrzypiał żwir. Raul przyklęknął, szukając

śladu tytoniu lub niedopalka. Zaświecił latarkę. Stanowił teraz znakomity cel, ale nie dbał o to. Anioł lub diabeł stróż musiał się już ulotnić. Coś błysnęło. Uniósł się z kolan, czując odrazę. W rozwidleniu konarów dostrzegł szkliste oko martwego gołębia, który zaklinał się w dość nieprawdopodobnej pozycji. Martwy gołąb? Jakiś symbol? Przestroga?

Martinez poderwał się i w paru susach dopadł bramy. Zamknięta. Podobnie furтка.

Zamknięte były również obydwa wejścia do willi. Także okiennice parteru. Raul wyciągnął klucz i wrócił do wnętrza.

7.55

Chciał wyjść niepostrzeżenie. Nie docenił Irene. Śniade ciało obróciło się na łóżku. Może zresztą nie spała od kwadransa, od chwili, kiedy służbowy instynkt asa policji obudził go, nakazał umyć się, ogolić i ubrać. Dziewczyna przeciągnęła się rozkosznie. Jakże żałował, że nie jest na urlopie.

— Wyśpij się do woli — rzucił. — Drzwi mają zatrask. Wyjdiesz, kiedy tylko zechcesz.

W lodówce jest dużo napojów i coś do przegryzienia... Możesz zresztą nie wychodzić.

W odpowiedzi posłała mu uśmiech.

— Jesteś cudowna.

Drugi uśmiech.

— Zadzwonisz do mnie?

Skinienie głową.

Cholera! Jak mu się w tej chwili podobała! Wrócił i chciał ją objąć. W końcu pięć minut wcześniej czy później... Cofnęła się.

— Nie mogę odciągać cię od odpowiedzialnego tropienia złoczyńców, Mark — powiedziała.

Ale gdy cofnął się, poderwała się na równe nogi i naga wtuliła w niego gorącym pocałunkiem.

Na schodach otworzył teczkę i wyjął przezroczysty skoroszyt z materiałami akcji „Foto”.

Jeszcze wieczorem, kiedy Irene brała prysznic, z zawodowego nawyku wsunął między kartki włos. Teraz sprawdził. Włos był na swoim miejscu. W ciągu nocy nikt nie interesował się zawartością jego teczki. Co za ulga!

9.22

Z Zurychu zatelefonował Legrand. Nie miał wiele do powiedzenia. Dotarł wprawdzie do firmy produkującej kopiarki i zdołał dowiedzieć się to i owo o nabywcach interesującego go sprzętu.

Szczególnie jedna z transakcji przedstawiała się tajemniczo. Przed trzema miesiącami dwa zestawy maszyn nabył niejaki Ernst Weismüller dla wydawnictwa „Pluton” z Düsseldorfu.

Rzecz znamienna — płacił gotówką. Co ciekawsze, okazało się, że ani w Düsseldorfie, ani w całych Niemczech nie istniała oficyna o takiej nazwie. Sprzęt odbierano osobiście, furgonetką na francuskiej rejestracji. W magazynie jednak nie zapamiętano rysopisu odbiorców. Zresztą upłynęły już trzy miesiące od tej transakcji.

Pierre miał powrotny lot za godzinę i obiecywał po południu stawić się w centrali.

Tymczasem wkrótce zjawił się Loser, a pięć minut po nim Martinez, który o świcie zabrał wóz i zmieniony na posterunku przez Ronsona, wyjechał na miasto. Doktor przywitał go z nieukrywaną wściekłością:

— Martinez, do jasnej cholery, dlaczego mnie pan śledzi? I to tak nieudolnie, że natychmiast to zauważyłem?

Raul uśmiechnął się przepaszająco.

— Ja nie śledziłem, a jedynie sprawdzałem...

— Co pan sprawdzał?

— Sprawdzałem, czy pan nie jest śledzony.

— Bzdura! I jaki wynik?

— Dziś, poza mną nikt za panem nie jechał.

14.19

Grad sypiących się kartoników na moment przysłonił niebo ponad ruchliwym deptakiem.

Mogło się wydawać, że to spłaszczone ptactwo poderwało się po huk detonacji. Jednak tylko na chwilę zapanował wśród przechodniów niepokój. Zaciekawieni ludzie podnosili zdjęcia, komentowali katastroficzne obrazki, ktoś rzucił coś na temat planów reżyserskich Spielberga.

Tim pogratulował sobie szczęścia. Czy to przypadek? Dopiero wczoraj tłumaczył Ronsonowi, że nie ma pojęcia, jak dowiedzieć się czegoś o fotograficznych incydentach. Teraz sam był świadkiem. Umysł cwaniaczka pracował nad wyraz szybko. Nie zbierał fotografii, nie wdawał się w rozmowy jak inni. Czujnym wzrokiem omiół najbliższą okolicę. Jednego był pewien, gdzieś w pobliżu musiał znajdować się ktoś z Tamtych. Ktoś sprawdzający efekt detonacji.

Tylko kto? Staruszka? Policjant? Drzemiący punk z fioletowym czubem, pomylenie, który przerwał popisy chodzenia na rękach, widząc, że grupka ciekawskich odwróciła się od niego?

A może ta grająca cały czas na rogu orkiestra „Głos pokuty”?

Lata pracy w wesołym miasteczku wyrobiły w Timie ogromną spostrzegawczość. Kiedyś mistrz strzelecki, do dziś zachował sokoli wzrok. Dlatego też zobaczył to, czego pewnie nie powinien. Twarz z lornetką przy oczach na jedenastym piętrze hotelu „Palace”. Narożne okno.

Błękitne firanki. Lornetka skierowała się w jego stronę. Odwrócił głowę. Może za prędko.

Skręcił w bramę, po chwili był już przy wejściu do podziemnych garaży. Czuł na całym ciele gęsią skórę. Ale jeśli to mogło przynieść wolność Teddy’emu...?

16.40

Podsumowanie dotychczasowych prac nie wypadło dobrze. Nie posunęli się ani o krok natomiast niewidzialny przeciwnik rozzuchwalał się coraz bardziej. Wieczorne rozrzucenie w foyer Opery widoczków z jej zagładą nie wywarło najlepszego wrażenia na publiczności.

A dziś ten pasaż! Mocodawcom Losera z największym trudem udawało się utrzymać na uwieży media. Ze Szwajcarii wrócił Legrand, ale nie miał żadnych interesujących wiadomości. Ronson wspomniał tylko o zarzuceniu wędek, bez gwarancji, że coś na nie złowi. Martinez sugerował

dyskretny wywiad wśród zawodowych fotografów, a zwłaszcza tych, którzy wycofali się z zawodu. Analogicznie radził postępować w przypadku pirotechników, chociaż katapulty mógł domowym sposobem spreparować praktycznie każdy. Zakończył konkluzją pod adresem Losera.

— Jest nas za mało! Wybierając metody ekstensywne potrzebujemy wsparcia setek, jeśli nie tysięcy agentów.

— To nie wchodzi w grę — uciął doktor. — Musi wystarczyć wam pelen dostęp do wszelkich istniejących materiałów, a w konkretnych wypadkach możecie żądać rozpracowania jakiegoś problemu przez dowolne komórki policji, oczywiście bez zdradzania, o co chodzi.

— Moim zdaniem — zabrał głos Legrand — mamy do czynienia z wyjątkowej klasy specjalistami — sześciokrotne akcje bez wpadki, pełna precyzja wykonania. Takich ludzi nie

ma na pęczki i nie wyskakują jak diabeł z pudełka. Raul z Marią badają przeszłość, być może tam znajduje się klucz do sprawy. Poza tym powinniśmy spróbować działać z wyprzedzeniem.

— Co pan przez to rozumie?

— Nie pojawiać się w miejscu detonacji po fakcie, lecz zacząć przewidywać kolejne miejsca, w których nasz przeciwnik zechce zainstalować swoje katapulty.

— Ależ, kolego — zaoponował milczący dotąd komisarz — to oznaczałoby przetrząśnięcie dzień i noc wszystkich dworców, kin, supermarketów.

— Możemy działać wyrywkowo. Na węch!

— Tego wam nikt nie zabrania.

— Właściwie — filozofował Martinez — najlepiej byłoby odwołać się do pomocy społeczeństwa, uczulić obywateli...

— Nie, nie! — doktor Loser nerwowo zamachał rękami. — Przecież — o to chodzi „fotografom”. O panikę, o anarchię! Poza tym, cóż takiego moglibyśmy powiedzieć społeczeństwu? „I wy przygotujcie się do końca świata!”

Po dłuższej chwili milczenia, odezwała się Maria:

— Ciągłe nie mówimy o meritum. O zdjęciach! Czy wiemy już, jak zostały wykonane?

— Nie — odparł komisarz.

— Zatem musimy przyjąć wersję roboczą, że są to jednak fotografie przyszłości. Wiem, że to czysta fantastyka, ale czy nie warto byłoby zająć się tym tematem. Spróbować wyjaśnić...

— Najprostszym wyjaśnieniem będzie złapanie sprawców — rzekł komisarz.

— Mimo wszystko zamówiłam materiały dotyczące literatury s.f. — Maria nie dawała się zbić z tropu. — Robota będzie żmudna, ale chciałabym sprawdzić, czy ktoś nie wymyślił czegoś na ten temat.

Loser skrzywił się brzydtko. A potem zwięźle poinformował o ustaleniach kontrwywiadu, który wykluczał zagraniczne korzenie akcji. Służby sekretne ościennych państw zauważyły sprawę i też wychodziły ze skóry, żeby czegokolwiek się o niej dowiedzieć.

— A ty co tak milczysz, Mark? — na zakończenie narady Komisarz spojrział na Ronsona.

— Milczę, bo jeszcze nic nie wiem.

— Ale czuję, że czegoś się spodziewasz?

— Może. Miałem sygnał od jednego z informatorów, przypadkowo przebywał podczas detonacji w pasażu. Prawdopodobnie widział jednego ze sprawców...

— Co takiego? — wszyscy poderwali się na równe nogi.

— Chyba zauważył coś niezwykle istotnego, ale szczegółów dowiem się dopiero podczas spotkania w cztery oczy. Jesteśmy umówieni przed siódmą...

17.35

Na ten telefon Ronson czekał cały dzień. Jego serce parokrotnie przeżywało skurcz nadziei.

Kwadrans wcześniej zatelefonował nawet do Sheratona, interesując się, czy nikt o niego nie pytał.

— Ależ oczywiście — odparła panienska z centrali. — Było sześć telefonów, wszystkie od tej samej milej pani, która jednak nie podała swego nazwiska.

— Jeśli zadzwoni po raz siódmy, proszę przekazać jej ten numer — tu podyktował — ale tylko jej.

Zrozumiała i po piętnastu minutach rozmawiał z Irene.

— To ja — zabrzmiało niepewnie z drugiej strony. — Jeszcze mnie pamiętasz?

— Ja? Zupelnie zapomniałem. Aha, przypominam sobie, to ty nosisz takie rude anglezy? — zażartował.

— Tak, i habit mniszki — zrewanżowała mu się.

— Już się wyspałaś, siostrzo?

— Tak, i krążę po mieście od sześciu godzin. Mam niestety dla ciebie przykrą informację.

— Jeśli musisz, mów!

— Nie będziemy mogli dziś kontynuować naszego „wywiadu”.

— Długopis ci się wypisał?

— Gorzej! Dziś w Ratuszu odbywa się wielki Bal Prasy. Największy w roku spęd marnych dziennikarzy. Nie może mnie tam zabraknąć. Ale gdybyś i ty zechciał wpaść?

— Wiesz, że z jednym wyjątkiem, nie cierpią żurnalistów. Ale... może kiedy to się skończy, zatelefonujesz do mnie?

— Nie licz na to. Zabawa potrwa do rana. Ale jak chcesz, zatelefonuję, Sherlocku!

— Dziękuję, Watsonie z platyny.

Odłożył słuchawkę. Przez moment w skupieniu wpatrywał się w blat biurka. Potem wstał i zajrzał do Legranda.

— Mówiłeś coś o wyprzedzeniu przeciwnika, o intuicji.

— No!

— Dowiedziałem się o wprost wymarzonym miejscu na splatanie nam kolejnego figla.

Opowiedział o Balu Prasy, nie wspominając rzecz jasna o swojej informatorce. Pierre przyznał mu rację. Nie było lepszego forum dla apokaliptycznej autoreklamy niż spęd mediów.

— Możemy pójść tam razem — zaproponował. — Wpadniemy tam wcześniej, rozejrzymy się...

— W tym sęk, że teraz nie mogę. Za trzy kwadranse spotykam się z bardzo ważnym informatorem. Weź Raula. Jak tylko skończę, natychmiast zjawię się w Ratuszu.

18.39

W drodze do wesołego miasteczka Ronson zajrzał jeszcze na moment do Arnolda. Bukinista wprowadził go na zaplecze antykwariatu, a następnie ściszym głosem poinformował

o pewnej transakcji. Przed miesiącem w Brukseli, ktoś spoza kręgu znanych organizacji, nabył

dużo broni. Istniały podejrzenia, że później przesz muglowano ją tu, do metropolii.

— Dam znać, jak dowiem się więcej.

Tim czekał na niego w swojej budzie. Wydawał się niesłychanie podniecony. Jego delikatne, niemal kobiece ręce drżały. Z niedomkniętej szufladki nowego stolika wystawała kolba sporego gnata.

— Załatwisz zwolnienie Teddy’ego? — zabrzmiało błagalnie.

— Zrobię, co będę mógł — odpowiedział Mark. — Co tak pusto u ciebie?

— Remontują dziś karuzelę, technicy rozbabrali mechanizm i poszli. Dopiero jutro mają skończyć.

— No, ale do rzeczy! Mów, co widziałeś.

Krótkimi szarpanymi zdaniem informator wyszeptywał swoje spostrzeżenia. Opowiedział o wydarzeniu w pasażu i o tym, jak za suty napiwek boy (śliczny chłopak o migdałowych



oczach) zobowiązał się wszystkiego dowiedzieć. Rzeczywiście, wrócił po chwili z informacjami.

Narożny pokój nie był tego dnia wynajęty, ale... przez wewnętrzne drzwi miał połączenie z sąsiednim apartamentem, a ten został zapłacony przez...

Przerwało mu stukanie do drzwi.

— Pan Ronson proszony do telefonu, jest pilny telefon od pana Losera — powiedziała, zaglądając do środka śliczna, uczesana na pazia blondyneczka z kasy przy bramie.

— Pójdiesz ze mną — rzucił Mark do Tima. Pobiegli. By dojść do kasy należało jedynie wyminąć nieczynną karuzelę i niewielki pawilon strachów. Po paru krokach Tim został lekko w tyle.

— Cholera — usłyszał nagle jego klątwę Ronson — Mało, że nie kończą, to nie zamykają nawet za sobą drzwi. — Zaraz pana dogonię!

Mark przyspieszył kroku. Dobiegł do kasy i chwycił słuchawkę. Już w tym momencie miał dziwne przeczucie kłopotów. Przecież nikt z kolegów nie wiedział, dokąd się wybiera. Jego konfidenti nie figurowali na żadnej liście, a kontakty z Timem...

— Słucham, Ronson!

W odpowiedzi usłyszał jedynie jednostajny szum. Pułapka! Krzyknął głośno. „Tim, Tim!” i zawrócił. Nim jednak minął „Tunel Grozy”, dobiegła go muzyczka, wesola muzyczka nie zmieniająca się od stulecia. Nieczynna karuzela ruszyła.

Dobiegł na miejsce. Wagoniki już nabierały pędu, błyskały lampki, natomiast w obnażonym, pozbawionym osłon mechanizmie dostrzegł miazgę ludzkiego mięsa, które parę sekund wcześniej było Timem. Ktoś sterroryzował informatora i wepchnął go pod koło zamachowe.

Morderca nie mógł zdążyć się oddalić, istniała więc jeszcze szansa... Na nieszczęście za Ronsonem nadbiegła paziowłosa blondyneczka. Jej krzyk zagłuszył wszystkie inne efekty wesolego miasteczka. W parę sekund karuzelę otoczył zwarty tłum. Nadbiegający zatarasowali drogi we wszystkich kierunkach. Mark wiedział, jak wyglądać będzie oficjalny raport.

„Nieszczęśliwy wypadek wskutek niezachowania dostatecznej ostrożności w obchodzeniu się z niesprawnym mechanizmem”.

19.02

Na godzinę przed początkiem balu plac przed Ratuszem świecił pustkami. Legrand zostawił w wozie Raya (swego starego pomagiera, którego dziś za zgodą komisarza włączył do akcji), a sam zadzwonił do stylowych drzwi ze złocistymi okuciami. Trochę żałował, że nie ma z nim Martinezę, ale Raul po kilkudziesięciu godzinach nieprzerwanej pracy i z powodu alkoholowego głodu przeżywał kryzys i nie nadawał się do akcji.

Portier przywitał go niechętnie i wpuścił dopiero po obejrzeniu odznaki. W całym gmachu dopiero kończono sprzątanie, a w głównej sali naprawiano usterki nagłośnienia.

— Jakie usterki? — zainteresował się Pierre.

— Nie wiem, ale przysłali dwóch mechaników, majstrują coś na górze.

Legrand przypomniał sobie żółtą furgonetkę zaparkowaną w bocznej uliczce, którą zauważył, wysiadając przed Ratuszem. Przez moment zastanawiał się, czy nie wrócić po Raya, ale obawiał się straty czasu. Poprosił portiera, aby sprowadził czekającego w wozie funkcjonariusza, a sam podbiegł do telefonu. Wykręcił dwie cyfry i znieruchomiał. Na schodach pojawił się barczysty mężczyzna w błękitnej bluzie montera. Szedł spokojnie ze skrzynką pełną narzędzi. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Legrand dostrzegł jakby minimalne zawahanie,

ale mechanik schodził dalej. Pierre odłożył telefon, szybko dobył pistoletu i jednym susem stanął

przed schodzącym.

— Pańskie dokumenty i żadnych gwałtownych ruchów! — doskonale pamiętając, że na górze znajduje się współnik, na wszelki wypadek ustawił się tak, aby błękitnobluzy stanowił naturalną tarczę.

— Zaszło jakieś nieporozumienie... Jestem zwyczajnym instalatorem — tłumaczył mężczyzna.

— A katapulta już gotowa?

— Jaka katapulta?

Za plecami Legranda skrzypnęły drzwi, obejrzał się. To wystarczyło — instalator skoczył w bok. Z góry zagrała seria z automatu. Oberwali wszyscy trzej — Legrand, monter i portier.

Ten z góry, chudy facet o płomiennie rudej czuprynie, nie dbał o strzelecką finezję, a raczej o opróżnienie magazynku. Nim Ray uporał się z drzwiami, które zatarasowało ciało rannego portiera, snajper przerwał ogień i zniknął.

Policjant pochylił się nad kolegą. Twarz Legranda pokrywała śmiertelna bladość.

— Nie pozwól... mu uciec... żółta furgonetka... zapisz numer!

Legrandowi nic nie mogło pomóc, a rzut oka na rannego przestępcę upewnił Raya, że ten nie ucieknie, pobiegł więc za strzelającym bandytą po schodach. Poniewczasie pojął, iż popełnił błąd. Gdyby wypadł na zewnątrz gmachu, prawdopodobnie dostałby mordercę w swoje ręce.

Tak stracił tylko czas. Strzelec przez okno pierwszego piętra wyskoczył na dach samochodu dostawczego. Gdy ścigający go funkcjonariusz dopadł do framugi, mógł zobaczyć jedynie tył startującej z piskiem opon furgonetki.

22.05

Na kolejnej naradzie panowała przygnębiająca atmosfera. Śmierć Legranda kładła się mrocznym cieniem na całej akcji „Foto”. Maria miała zaczerwienione oczy. Niespokojny był również komisarz, którego czekało długie tłumaczenie, w jaki sposób więzień Stołecznego Zakładu Penitencjarnego znalazł się w Ratuszu ze służbową bronią w ręku. Jeden Loser nadal emanował wigorem.

— Mamy wreszcie punkt zaczepienia, panowie! — perorował. — To już nie jest kolejny, nieszczęśliwy wypadek, zabito policjanta. Możemy rozwinąć naszą akcję. Od tej chwili cały aparat państwa będzie ścigał nie jakichś tam „fotografów”, ale morderców funkcjonariusza.

Oczywiście bez szerszego wprowadzenia w istotę sprawy. Optymizm doktora co do postępów śledztwa nie znajdował pokrycia w faktach. Zraniony przez kumpla instalator zmarł w drodze do szpitala. Żółtą furgonetkę znaleziono po dwóch godzinach porzuconą nad rzeką opodal stacji metra. Jej kierowca oczywiście zniknął. Rysopis zabójcy niczego nie dawał — rude włosy i długa broda stanowiły niewątpliwą charakteryzację. Podobnie postrzelony — miał doklejone wąsiki i nosił ciemną perukę. Z informacji otrzymanej w firmie przewozowej wynikało, że furgonetkę wczesnym rankiem wynajął niejaki Green. Jego rysopis pasował do ucharakteryzowanego truposza. Tyle, że adres podany przez wynajmującego okazał się fałszywy. Furgonetka musiała zostać przemalowana przed akcją, natomiast zapis licznika wskazywał, że od chwili wynajęcia przejechała dokładnie sto pięćdziesiąt dwa kilometry. Przy

rannym bandycie nie znaleziono żadnych dokumentów. Jedyne stary bilet z metra, na którym zanotowano jakiś numer telefonu.

— Sprawdziliście ten numer? — zainteresował się komisarz.

— Tak. Należy do aparatu w małym bistro w Zachodniej Dzielnicy — powiedział Martinez.

Jeszcze dziś złożymy tam wizytę.

— Tylko bądźcie ostrożni — radził komisarz.

Ronson miał na końcu języka jeszcze jedno ostrzeżenie. Od chwili śmierci Tima nie mógł pozbyć się przeświadczenia, że w ich małym gronie znajduje się ktoś trzymający z przeciwnikiem. Ktoś, kto śledził Ronsona, kiedy jechał do wesołego miasteczka. Następnie po upewnieniu się, kto jest informatorem, odciągnął Marka i załatwił Tima. Ronson znalazł miejsce, skąd mogli być obserwowani, budkę telefoniczną po drugiej stronie karuzeli. Jednego był pewien — o ważnej informacji, na którą liczył, wiedzieli tylko: Maria, Loser, Komisarz Legrand i Martinez. Z tym, że Legrand już nie żył.

23.35

W drodze do Zachodniej Dzielnicy Ronson zastanawiał się czy wtajemniczyć Martineza w swoje podejrzenia. Znal go nie od dzisiaj. I jeszcze wczoraj zaufałby bez wahań. Dziś miał wątpliwości i zadawał sobie pytanie, czy alkoholik z zachwianą siłą woli nie mógłby być podatny na przekupstwo...?

W małym bistro indagowany kelner rozpoznał Greena na fotografii.

— Tak, Luis wpadał tu co jakiś czas — zeznał. — Siedział tam, w kącie. Specjalnie z nikim nie gadał, tylko czekał. Zwykle o siedemnastej był do niego telefon. Nie mam pojęcia od kogo.

— Może zanotowany numer na bilecie był przeznaczony dla kogoś, kto nie zdążył go odebrać? — pomyślał Mark.

— Bliższych informacji o nim może udzielić Kitty, druga barmanka... — ciągnął kelner. — Ale ona wpadnie dopiero jutro koło południa. Chyba trochę kręcili ze sobą. Zresztą — dodał konfidencko — każdy od czasu do czasu kręcił z Kitty.

PIĄTEK PO PÓŁNOCY

Tym razem dyżur objął na ochotnika Ronson. Maria i Raul Martinez wyczerpani grzebaniem w archiwaliach zasnęli w sąsiednich pokojach. A Mark czekał. Wiedział, że Irene zna numer.

Wierzył, że zatelefonuje. Nie dzwoniła. Im bliżej świtu, czuł się coraz marniej. Jeszcze raz wykręcił numer do Sheratona. Od czasu strzelaniny Irene nie pojawiła się ani w kasynie, ani dyskotece. Nikt z obsługi nie wiedział o niej nic konkretnego. Do Sheratona zaczęła wpadać przed tygodniem. Z nikim nie zawarła bliższej znajomości.

Głupia sprawa. Jak miał ją odszukać? Nazwiska ani nawet jej macierzystej redakcji nie znał. A może po prostu Irene nie życzyła sobie dalszych kontaktów?

12.00

Koło południa Ronson wziął Raya, którego po śmierci Legranda komisarz na stałe przydzielił do operacji i ruszył na poszukiwanie Kitty. Ledwo wyszli, do willi wpadła Maria, która cały rano spędziła w bibliotece i na rozmowie z przyjaciółką, krytykiem powieści s.f.

— Mam coś — zawołała od progu do Martineza. — Coś, co przypomina figle naszych fotografów. Powieść „Luneta w Przyszłość”.

— Dawaj! Masz egzemplarz?

— Zaraz, zaraz. Sprawa jest skomplikowana i tajemnicza. Wyobraź sobie, że nikt nie posiada tej książki. Jedyne maszynopisy, jego autor występujący pod pseudonimem Rodix, wycofał

z wydawnictwa. Na szczęście pozostała wewnętrzna recenzja, a w niej jakby streszczenie. Dla nas istotna jest sama idea. Bohater-wynalazca twierdzi, że możliwe jest przyspieszenie wiązki światła tak, aby na ziemi osiągnęła jakiś obiekt w przyszłości i odbijając się, wróciła z jego wizerunkiem do teraźniejszości.

— Einstein przewróciłby się w grobie.

— Recenzent wydawniczy też krytykował zbyt dużą fantastyczność dzieła. I chyba właśnie z tego powodu autor się obraził. Mimo wszystko uważam, że należy spróbować i odszukać pana Rodixa i jego maszynopisy.

12.59

Dzwoni telefon. Odbiera Maria.

— Cześć! — poznaje głos Ronsona. — Tu Mark. Jestem w mieszkaniu tego Greena. Ta barmanka rzeczywiście znalazła go bliżej, chociaż nie wtajemniczał jej w żadne sprawy zawodowe.

Normalnie spotykali się w hotelu, ale raz była u niego w domu. Mieszkanie wygląda, jakby spustoszył je tajfun. Nasi wrogowie wpadli tu przede mną. Na szczęście nie znaleźli skrytki.

— Moje gratulacje!

— W środku znalazłem paszport, pistolet i paczkę tych katastroficznych zdjęć, po jednym z każdego obiektu. Pewnie na pamiątkę. Nasz ptaszek nazywał się w istocie Patryk O'Connor.

— Rozumiem, że mam poszukać jego dossier?

— Jesteś genialnie domyślna. Kończę przeszukiwanie i wracam. Aha, jeszcze jedno pytanie.

Nie było do mnie telefonu?

— Nie.

— Bo widzisz... gdyby dzwoniła dziewczyna o imieniu Irene, dowiedz się pod jakim numerem będę mógł ją złapać.

PO POŁUDNIU

Życiorys O'Connora mógłby spokojnie posłużyć za kanwę kilku opowieści.

Czterdziestolatek, w młodości sympatyk Irlandzkiej Armii Republikańskiej, w wieku dwudziestu paru lat wyemigrował do USA. Później walczył w oddziałach najemników w Afryce. Wrócił

przed trzema laty jako ludzki wrak — alkoholik, narkoman. Można powiedzieć — człowiek skończony. Jednak rok temu poddał się leczeniu. Po wyjściu z zakładu dla uzależnionych podjął pracę w przedsiębiorstwie spedycyjnym jako kierowca. Przed trzema miesiącami rzucił

tę pracę i przepadł jak kamień w wodę. Rozwiedziony, jedno dziecko. Z rodziną nie utrzymywał

kontaktów.

Dostarczone dane ożywiły grupkę. Maria wzięła na siebie wizytę u byłej pani O'Connor; Ronson postanowił dowiedzieć się coś o kontaktach Patryka w czasie, kiedy walczył jako najemnik; Martinez obiecał wpaść do Kliniki Antynarkotycznej. Najbardziej intrygowało go, kto, jeśli nie rodzina, płacił za leczenie ćpuna w tak drogim ośrodku?

Zanim rozdzielono zadania, cała trójka pochylili się nad planem miasta, na którym

zaznaczono obszar, po którym mogła poruszać się wynajęta furgonetka. Znalaziono ją na jedenastym kilometrze od Ratusza — było to zaledwie o dziewięć kilometrów od hali stacji wynajmu. W pozostałych stu trzydziestu kilometrach musiał mieścić się dystans przebiegu tam i z powrotem, do miejsca, w którym najprawdopodobniej została przemalowana. Ronson wziął dwa cyrkle. Najpierw zatoczył koło o promieniu sześćdziesięciu pięciu kilometrów, potem drugie mniejsze koło o promieniu pięćdziesięciu pięciu. Otrzymano w ten sposób pas szerokości dziesięciu kilometrów opasujący metropolię, w którym musiała mieścić się melina — olbrzymi obszar, nawet po odrzuceniu parków, ogrodów i zbiorników wodnych.

## SOBOTA 11.00

Na kolejnej naradzie, dokonano aktualizacji nowych informacji. Nie było ich zbyt wiele.

Śledztwo Marii nie przyniosło żadnych rewelacji — pani O'Connor zerwała wszystkie kontakty ze swoim byłym mężem dziesięć lat temu. Wyszła ponownie za mąż za maklera giełdowego i zrezygnowała nawet z alimentów. Wszystko wskazywało, że mówi prawdę.

Ronson również nie miał się czym się pochwalić. Owszem, dotarł nawet do jednego z afrykańskich kolegów O'Connora, obecnie pracującego jako instruktor strzelecki w kółku sportowym, ten jednak wystawił Irlandczykowi opinię nietowarzyskiego mruka, lubiącego wyłącznie walkę, a później wódkę i prochy. Jedynym podobno, który w oddziale trzymał z nim bliżej, był niejaki Martin Sorel.

— Sorel? — Martinez nie wytrzymał i wpadł w słowo Markowi. — Słuchajcie, to zaczyna się wiązać! Według moich informacji Sorel był jednym z pacjentów w klinice, gdzie leczył się O'Connor. I za obu płaciła ta sama firma.

— Kto? — zapytali równocześnie komisarz i Loser.

— Koszty zostały uregulowane gotówką przez kobietę występującą jako przedstawicielka Towarzystwa Zwalczenia Narkomanii u Byłych Żołnierzy. Sprawdziłem — towarzystwo jest fikcyjne. Natomiast dopiero jutro uzyskam rysopis tamtej kobiety. Sekretarka, która załatwiała z nią tę sprawę, ma dziś wolny dzień. Natomiast rysopis Sorela pasuje z grubsza do tego oprycha w rudej peruce, który zastrzelił Legranda!

Ronson z pewną zazdrością patrzył na Raula. Martinez szybko wracał do formy. Już lekko schudł, z twarzy zaczęło schodzić alkoholowe obrzmienie, oczy lśniły.

— To jeszcze nie koniec — kontynuował. — Odszukałem matkę tego Sorela. Mieszkał u niej przed leczeniem. Stara, zniszczona życiem pijaczka. Twierdzi, że po kuracji jej syn w ogóle nie wrócił do domu. Napisał tylko kartkę, że czuje się świetnie i ma nową robotę. Rzeczywiście, regularnie co miesiąc przysyłał staruszce szmal. Mamy przekazy.

— Zapytał pan, kto finansował leczenie? — wtrącił Loser.

— Mówiła, że koledzy, ale nie знаła żadnego z nich. Jeden raz, tuż przed leczeniem, widziała O'Connora. Nie znała jego nazwiska, ale rozpoznała go na mojej fotografii...

— To coś jest — komisarz pokiwał głową.

— Ronson natomiast zainteresował się przekazami. Wszystkie zostały wysłane z rejonu Żółtych Wzgórz — mrucał. Ciekawe, to przedmieście jest ulokowane dokładnie pięćdziesiąt kilometrów od centrum.

Po krótkiej dyskusji stanęło na tym, że Ronson weźmie Raya i pojedzie rozejrzeć się w tamtej okolicy, popytać ludzi. W terenie przeważała parterowa zabudowa: szeregowce, wille, słowem okolica, w którym sąsiedzi zwykle się znają, łatwo zauważa się obcych lub

automatycznie rejestruje wydarzenia wyłamujące się z codziennej rutyny. Wychodząc, Mark zamienił jeszcze parę słów z Marią. Nie miała dla niego pocieszających informacji. Od wczoraj nikt o niego nie pytał. Natomiast swoimi kanałami udało się policjantce sprawdzić, że kobieta o podanym rysopisie i imieniu Irene nie pracuje w żadnym z ważniejszych pism. Nie było jej też na liście gości zaproszonych na Bal Prasy.

— Może „Irene” to tylko pseudonim? Będę jeszcze szukać — zapewniała, szczerze zmartwiona żalem malującym się na twarzy Ronsona.

14.10

Przyjaciółka Marii — Ewa, nie zawiodła. Zatelefonowała natychmiast po zdobyciu potrzebnych informacji. Rodix został rozszyfrowany jako Rene Odiz. Tak, ten laureat prestiżowych nagród Akademii, wymieniany jako kandydat do Nobla. Autor snobistycznych antypowieści, który raz w życiu zabawił się w fantastykę. Któż nie znał Odiza? Jego samobójstwo przed pół rokiem wywołało wstrząs w literackim świecie. Szokująca była zwłaszcza metoda rozstania się z życiem. Pod pociąg nie wskakiwało się od czasów Anny Kareniny. W obecnej epoce, stanowczo zakrawało to na zły gust.

— A co z maszynopisem? — dopytywała się policjantka.

— Przepadł. Podobnie zresztą jak pamiętniki... W ogóle, końcówka życia Odiza przedstawia się dość tajemniczo. Ostatnie tygodnie przed śmiercią spędził w swojej samotni na Korsyce.

Podobno przez pewien czas towarzyszyła mu tam jakaś kobieta. Nikt nie zna jej nazwiska.

Podobno była piękna. Zniknęła na parę dni przed śmiercią pisarza. Wkrótce potem sam poleciał

z Ajaccio do Marsylii i tam w pobliżu małego podmiejskiego dworca rzucił się pod przejeżdżający ekspres... Niektóre gazety podawały rysopis tej kobiety — wysoka, szczupła, dystygowana, o platynowych włosach, na imię miała Irene...

Słuchawka zadrżała w ręku Marii. Przeprosila fantastyczkę i natychmiast zawołała Raula.

Towarzyszka Odiza zbyt zaskakująco przypominała niedawną fascynację Ronsona!

— Trzeba go będzie zawiadomić — zgodził się Martinez. Ale nim dosięgnął słuchawki, znów zadzwonił telefon. Zdyszany, pełen niepokoju głos kobiety. Dwa wyrzucone zdania:

— Niech Ronson nie jedzie na Żółte Wzgórza. Niech Ronson tam nie jedzie...

— Halo, czy to pani Irene, halo...?

Stuknęła odłożona słuchawka. Martinez poczuł, jak zasycha mu w gardle. Szybko wykręcił numer centrali i poprosił o radiotelefoniczne połączenie z wozem Raya. Chwila oczekiwania przedłużała się w nieskończoność. Wreszcie włączył się sam komisarz:

— Głupia sprawa. Od kwadransa nie możemy złapać z nimi łączności.

**KWADRANS WCZEŚNIEJ**

Żółte Wzgórza wzięły swoją nazwę od łąnów dojrzewającej pszenicy, które jeszcze kilkanaście lat temu pokrywały łagodne wzniesienia. Obecnie przeważał tam gęsto zabudowany teren willowy. Rzędy równych, bliźniaczo podobnych (mimo drugorzędnych różnic wykończenia) domków, umiarkowanie kręte uliczki i zawieszista cisza wczesnego popołudnia.

Ray zatrzymał wóz na placyku, przy którym zbiegało się kilka alejek, a Mark zajrzał do wielobranżowego sklepiku.

Czwarty raz próbowali szczęścia. Tym razem sprzedawca okazał się bardzo rozmowny.

W ostatni czwartek, żółtawa ciężarówka? Ależ naturalnie. Przypomina ją sobie. Wyjeżdżała

z tamtej uliczki, chyba z trzeciej posesji. Trudno było zresztą jej nie zauważyć. Wpadła z takim impetem, a potem zahamowała z piskiem, ba, omal nie doszło do kolizji z jakimś osobowym samochodem.

— Ale wie pan co — dodał. — Zupełnie przegapiłem, kiedy tu przyjechała, a cały czas mam wszystko na oku.

— Może miała wcześniej inny kolor? — podsunął Ronson.

— To możliwe, rano coś podobnego skręcało w tamtym kierunku. Musiała jednak wjechać do garażu, bo żaden samochód nie stał przy chodniku.

— Mówi pan, trzecia posesja?

— Tak, w drugiej mieszkają moi znajomi, a czwarta jest opuszczona, nie ma nawet bramy.

Mark poczuł dreszcz podniecenia. Czyżby trafił?

— Nie orientuje się pan, do kogo należy ta posiadłość? — zapytał.

— Od kilku miesięcy była do wynajęcia i chyba jest nadal, bo wciąż kręcą się tu różni reflektanci.

Ronson i Ray zaparkowali wóz przed sklepikiem. Dalej poszli pieszo. Na płocie ciągle wisiała tablica — „Do sprzedania lub wynajęcia”. Brama była jednak uchylona. Za to we wszystkich frontowych oknach ciemniały opuszczone żaluzje. Ogród robił wrażenie opuszczonego. Gęste żywopłoty odgradzały go od sąsiadów. Na podjeździe pod garażem zauważyli parę zaschniętych kropli żółtej farby. Ronson profilaktycznie odbezpieczył broń.

Garaż był zamknięty, drzwi frontowe również i wyraźnie od dawna nikt ich nie otwierał.

— Co o tym wszystkim myślisz? — rzucił półgłosem do Raya.

— Dziwnie to wygląda. Otwieramy ten garaż?

Okazało się to trudne, bramę garażową musiano zaryglować sztabą od wewnątrz. Trzeba było spróbować z drugiej strony. Obeszli ścieżką niski parterowy bungalow. Z tyłu wszystkie okna były również zasłonięte, jedynie drzwi werandy zastali lekko uchylone.

— Wejść pierwszy, ubezpieczaj mnie — powiedział Ray.

15.05

Kiedy Martinez i Maria przybyli na Żółte Wzgórza, komisarz znajdował się już na miejscu.

Loser miał dotrzeć dopiero po kwadransie. Uliczkę wypełniały pulsujące światłami wozy policyjne. Przybyły natychmiast po sygnale przekazanym przez Raula komisarzowi, który wydał

odpowiednie polecenie miejscowym jednostkom.

— Zostań, Mario, w wozie — zatrzymał policjantkę szef. — A ty, Raul, chodź ze mną.

Wnętrze bungalowu było prawie puste i co ciekawe, starannie odkurzone. Nigdzie, na klamkach czy futrynach nie znaleziono ani jednego odcisku palców. Ciało sierżanta Raya znajdowało się tuż przy schodkach prowadzących do garażu. Szkliste oczy, usta wykrzywione w grymasie przerażenia i całkowity brak obrażeń. Jak na zdjęciach...

— Mark też? — wykrztusił Raul.

— Już drugi raz przetrząsamy cały dom. Ronsona ani śladu — rzekł komisarz. — Na werandzie znaleźliśmy jego kapelusz. Nic więcej.

W piwnicy, obok pustych puszek po farbie, znaleźli natomiast Sorela. Martin Sorel vel Albert Gross leżał spokojnie z niewielką dziurką pośrodku głowy. Na martwej twarzy zastygł wyraz niepojętego zdumienia, jakby śmierć nadeszła z najbardziej nieoczekiwanej strony.

— Robota Marka? — zapytał Martinez.

— Nie, Sorel nie żyje już ponad dobę — stwierdził krzątający się lekarz. — Musieli załatwić go zaraz po akcji.

— Cóż za sprytni dranie, zlikwidowali nam wszystkie możliwe punkty zaczepienia — jęknął Loser. — I jeszcze porwali Ronsona!

**NIEDZIELA 8.05**

Maria odłożyła słuchawkę pełna wzburzenia. Podbiegła i tarmosząc, obudziła Martineza.

— Co się stało, czyżby Ronson wrócił? — wybelkotał półprzytomnie.

— Nie, podziękowano nam. Nie mamy tu nic do roboty.

Kto wydał takie polecenie, Loser czy komisarz?

— Decyzję podobno podjął sam minister. Za dużo ofiar, za mało rezultatów. Mamy stawić się w poniedziałek rano u podkomisarza Clarke'a po gratyfikacje. Grupa „Foto” została rozwiązana. Śledztwo przejmą oficjalne agendy bezpieczeństwa.

— Ale dlaczego? — przekazywane informacje zdawały się nie docierać do byłego policjanta.

— I co będzie z tobą?

Do tej pory nikt ani razu nie zapytał o status Marii. Jak wszyscy nie wiedział, jaką rolę miała naprawdę do spełnienia. Czy była człowiekiem Losera, czy „uchem” komisarza?

— Jestem wolnym człowiekiem. Zostałam zwerbowana do akcji tak jak wy — wyjaśniła sama. — Od roku nie pracowałam w policji. Siedziałam na wsi i przygotowywałam się do końcowych egzaminów na prawie.

— A ja myślałem...

— Że jestem ciągle dupą szefa? Dawno i nieprawda. Zbyt wiele rzeczy nas różniło. Nawet zdziwiłam się, że mnie zaangażował... Ale potrzebowałam pieniędzy.

— I co teraz zamierzasz?

Maria milcząco, segregowała papiery.

— Kiedy przekażę cały dotychczas zgromadzony materiał, wyjeżdżam na wieś, a ty?

Raul wzruszył ramionami.

— Nie wiem, nie chce mi się tak tego zostawić. Może powinniśmy zbadać dalej wątek Odiza, poszukać platynowej Irene.

— I skończyć jak Pierre, Ray, Mark...?

— Może Ronson jeszcze żyje. Nie znaleziono ciała...

Maria nie dała mu skończyć.

— Ja mam dosyć. To wszystko dziwnie śmierdzi. Im szybciej damy temu spokój, tym lepiej dla nas. To jest jakaś wyjątkowo parszywa sprawa.

— Mark był moim przyjacielem... — Nie ustępował Martinez.

— A moim nie?

Zamilkli i dalej bez słowa porządkowali dokumenty. Musieli się spieszyć. O 9.30 miał przybyć inspektor Valmiere, by przejąć całą masę spadkową.

**17.46**

Stadion szalał. Wynik 1:0 dla gospodarzy stanowił znakomitą zaliczkę na drugą połowę meczu. Sędzia jednak nie miał najmniejszego zamiaru skracać rozgrywki. Skrupulatnie doliczał czas za przerwy w grze, które były wynikiem złośliwych fauli. Z kilkudziesięciu tysięcy gardel



wyrywał się jeden ogłuszający ryk, wspomagany przez niezliczoną rzeszę gwizdków i syren.

Wężowo wily się serpentyny, wirowały kurtki, fruwały części garderoby. Wysoko ponad zieloną murawą krążył helikopter. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nawet wtedy, kiedy otworzyły się drzwiczki i sypnęła z góry manna ulotek.

Z wolna opadły na trybuny. Dopiero po odgwizdaniu przerwy zaczęto je podnosić. Tu i ówdzie z ust poczęły dobywać się okrzyki zdumienia. Na fotografiach zarejestrowano ten sam stadion, tyle, że wypełniało go jedno wielkie zbiorowisko zwłok.

18.30

Raul miał wszystkiego dość. Rozmowa z inspektorem Valmiere, małym, głupim funkcjonariuszem o horyzontach żaby, zmęczyła go bardziej niż cztery dni harówki. Valmiere był pedantem, służbistą i na dodatek miał ogromnie wysokie mniemanie o sobie. Stanowiło to pełną gwarancję, że akcja „Foto” nigdy nie przyniesie rezultatu. Czyżby komuś na tym zależało? Martinez nie poddawał się łatwo. Próbował jeszcze interweniować u Losera i komisarza. Ale Loser nagle stał się nieobecny, a szef ciepłym ojcowskim basem prosił o zachowanie spokoju.

— Popelnilem błąd, Raul, ulegając propozycji doktora i mieszając was do tej sprawy.

Powinienem wiedzieć, że tego nie da się rozwiązać chałupniczo. Teraz wszystko się zmieni. Są powołane nowe specjalne grupy. Uderzymy z całą mocą.

— To dobry pomysł, ale my także moglibyśmy się przydać. Mamy już pewne doświadczenie i nowe koncepcje.

— Prześlij mi je, Raul, z przyjemnością przeczytam i na pewno nie zlekceważę. Ale zapamiętaj, nie możemy więcej ryzykować życiem najlepszych. Teraz wypocznij.

Martinez niczego z tego nie rozumiał. Przecież nowo powołane grupy ryzykowały tyle samo co oni. Poza tym musiały zaczynać od zera... Dla niego osobiście znikala szansa zawodowej rehabilitacji. Dość! Dość! Odczuwał niemal fizyczny ból i głęboką gorycz.

Dlaczego? Wracał obsesyjnie wątek zdrady, po raz pierwszy przyszło mu to do głowy, kiedy Ronson zamilkł w pół słowa i popatrzył na niego jakoś tak dziwnie. Tylko kto mógł być zdrajcą: Maria, komisarz, Loser? A może Ronson? Nie! Taka hipoteza była zbyt bolesna.

W mieszkaniu powitał go zaduch nie wietrzonego od dawna wnętrza. Otworzył okna, zrobił przeciąg i naraz ogarnęła go neodparta chętka napicia się. Jeden mały szybki drink nikomu jeszcze nie zaszkodził. Otworzył lodówkę i zaklął. Oczywiście, kiedy zabrał się do działania, już podczas pierwszego pobytu w domu, wylał cały alkohol. Żeby nie kusił samą swoją obecnością. Przelknął ślinę. Może lepiej robi, jeżeli pójdzie spać. Ależ nie! W kredensie zawsze miał żelazną rezerwę, dla gości. Sto gram whisky na dwie butelki. Otworzył szafkę i zdziwił się.

Ukryta w kącie butelczyna była pełna i fabrycznie zamknięta. Obejrzał pod światło, absolutny ful. Naraz, jak błyskawica przeszła go myśl, że najwyraźniej komuś bardzo zależy, aby poszedł

w tango. Tknięty przecuciem uniósł butelkę nad zlewem i obrócił ją do góry dnem.

Dwie godziny później z klatki schodowej domu, w którym mieszkał Raul, wytoczył się cuchnący wódą i targany czkawką Martinez. Machnięciem ręki zatrzymał taksówkę i czkając, wybelkotał:

— Do Ca... Casanovy.....

## Z NIEDZIELI NA PONIEDZIAŁEK. PÓLNOC.

Dla swoich specjalnych, wybranych gości lokal rozrywkowy „Casanova” miał liczne dodatkowe atrakcje. Małe, intymne pokoiki, w których można było robić wszystko w zależności od upodobań.

Jeśli jednak właściciel lokalu pokusiłby się o podglądanie klientów, to alkowa numer trzynastcie rozczarowałaby go. Trzeźwemu do obrzydliwości Martinezowi nie towarzyszył żaden szalowy kociak, tylko brzuchaty staruszek, przywodzący na myśl Doktora Doolittle. Ich spotkanie nie miało jednak nic wspólnego z gerontofilią. Profesor Carducci należał do najwybitniejszych ekspertów od spraw terroryzmu i tajnych organizacji.

— Sytuacja się zmieniła — powiedział Raul. — Kiedy parę dni temu zamawiałem u pana ekspertyzę, działałem w imieniu...

— To nieważne, chłopcze. Nieważne. Sprawa jest tak ciekawa, że pomogę ci chętnie, gdybyś nawet reprezentował samego siebie.

— Zatem zechce mi pan pomóc?

— Ostrożnie, ostrożnie ze sformułowaniami. „Pomóc” to duże słowo. Mogę z tobą chwilę podyskutować. Zacznijmy od analogii. Jeśli porównać społeczeństwo do żywego organizmu, to taka tajna organizacja przypomina nowotwór.

— Złośliwy?

— Nie, jeśli operacja zostanie dokonana możliwie wcześniej, a to zależy od rozpoznania i zdefiniowania.

— Cholernie mało wiemy — westchnął Raul.

— Nie tak mało — uśmiechnął się Carducci. — Pismo powiada „po czynach ich poznać”.

Załóżmy roboczo, że istnieje organizacja i ma określony cel — chęć przekazania ludziom pewnego memento...

— Że za półtora roku...?

— Tak!

— Memento bez szans ratunku?

— Może to na razie tylko przygotowanie, doprowadzenie ludzkiej świadomości do takiego stanu, kiedy człowiek będzie gotów na przyjęcie zaproponowanego gorzkiego lekarstwa.

— Zaraz, a zatem mamy do czynienia z rakiem czyjego diagnostykami?

— Gdyby rak miał samowiedzę, zapewne starałby się znaleźć jakieś modus vivendi z organizmem, który trawi. Jego pełne zwycięstwo jest zarazem śmiercią obydwu. Ale do rzeczy

— dotąd wszystkie działania tych, jak wy ich nazywacie „fotografów”, zmierzają do nadania swemu przesłaniu maksymalnego rozgłosu. Czynią to metodycznie i unikają dekonspiracji.

Gdy zagraża im rozszyfrowanie, nie cofają się przed żadną zbrodnią. Czego to dowodzi?

— Determinacji.

— Tak, i dlatego, gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym im głosić tę „złą nowinę”. Świat się przerazi? Cóż, nasz glob i tak siedzi struchlały od chwili wynalezienia broni jądrowej, i co z tego? Toteż dziwię się reakcji policji czy tajnym służbom, że nie wzięły pod uwagę możliwości takiego celu akcji. Może zamiast ruszać z nagonką, należałoby najpierw wsłuchać się w przesłanie?

— Wolalbym, żeby mi pomagał ktoś, kogo znam osobiście. Zresztą, jeśli ma się czyste zamiary, po cóż działać konspiracyjnie? Nie lepiej zwołać konferencję prasową,

zademonstrować wynalazek i powiedzieć: „Ludzie, grozi nam niebezpieczeństwo, ratujmy się wspólnie”.

— O ile stoją za tym ludzie?

— Pan uważa?

— Nic jeszcze nie uważam. Myślę. Proponuje pan dekonspirację? A jeśli ujawnienie sposobu fotografowania jutra, wywołałoby więcej zamieszania niż pożytku? Wiedza o przyszłości? Na miły Bóg! To największa władza, jaką można sobie wyobrazić...

A jednocześnie ogromne zamieszanie, szaleństwo ludzkich losów, pokusa manipulacji. Trudno ogarnąć wszelkie możliwe konsekwencje. Przecież jeśli znalazłbyśmy niekorzystne elementy przyszłości, to próbowałbym je zmienić, a wtedy moje spojrzenie w przyszłość nie odpowiadałoby prawdzie. I co wtedy? Katastrofa. Tak przynajmniej podpowiada klasyczna logika. Może jednak przyszłość zawsze jest wielowariantowa i tak jak wiązka światła rozszczepia się w pryzmacie, tak nasze jutro może być takie albo inne. A wtedy „zdjęcie jutra” to jedynie ewentualność, nie konieczność!

— Jeśli to wszystko prawda, to nigdy nie złapiemy „fotografów”, profesorze. Skoro oni znają przyszłość, znają również nasze działania.

— Spokojnie, spokojnie. Nie przypuszczam, żeby mogli robić transmisje przyszłości w każdej sytuacji. Aparatura musi być duża... Na tej fotografii z Westminsterem, a także Dworcem Lotniczym, fragment zdjęcia był pokryty identycznym cieniem, zauważyłeś?

— Chyba tak! Czyżby obiekt był z przyszłości, a cień współczesny?

— Tego nie potrafię wyjaśnić. Atoli w obu wypadkach jest to cień dużej, jakby wojskowej ciężarówce. Możemy przypuszczać, że ich technika nie osiągnęła jeszcze stadium miniaturyzacji.

— Rzeczywiście. Jest pan genialny, profesorze!

— Może jutro opowiem ci coś więcej. Obiecuj mi jedno, nie będziesz działał pochopnie.

Wiem, że pragniesz zemsty. Ale zemsta to rozrywka maluczkich. Odbiera rozum i nie daje ukojenia. Zatem zachowaj zimną krew i bądź ostrożny. Po przeanalizowaniu całej historii podzielam twój niepokój, że gdzieś w pobliżu waszej grupy kręcił się zdrajca. Ale niekoniecznie zupełnie blisko. Ktoś władający „foturofotem” może dysponować równie dobrze tradycyjną aparaturą podsłuchową. Oczywiście, jej umieszczenie też wymaga współników w policji lub tajnych służbach. A teraz postaw mi kieliszek. Poprosimy panienki...

## PONIEDZIAŁEK RANO

Raul wyczołgał się z taksówki i na parę chwil zawisł na latarni.

— Schlał się jak bydlę — mruknął taksjarsz i odjechał. Martinez rozejrzał się nieprzytomnie, puścił latarnię i paroma sinusoidalnymi krokami dotarł do drzwi. Obmacywał zamek, usiłując trafić kluczem. Zawsze tak się zachowywał wracając z nocnej eskapady. Gdyby ktoś postronny obserwował go tej nocy, mógłby stwierdzić z pełnym przekonaniem — inspektor znowu był na fazie!

Teraz pozostawało jedynie dowleczenie się do drzwi na drugim piętrze, wtoczenie do środka i obowiązkowe zapalenie papierosa. Taki był rytuał. Przez tego „papieroska” już raz mało się nie spalił, kiedy w ogniu stanęła cała pościel.

Już w progu mieszkania uderzył go charakterystyczny zapach. Pijany być może nie zwróciłby na to uwagi, ale przecież Raul był trzeźwy jak noworodek. Jego mózg działał

precyzyjnie niczym zegarek. Nie zapalając światła, paroma ruchami zgarnął do kieszeni trochę pamiątek i notatek. Zamienił ubranie na dres, wyciągnął swój ulubiony nóż, potem już na klatce zmiął kartkę papieru, zapalił ją i cisnął do wnętrza, zatrzasnąwszy za sobą solidne dębowe drzwi, padając na ziemię.

Ułamek sekundy, a całe pirotechnicznie spreparowane mieszkanie stanęło w ogniu, wyleciały szyby... Martinez nawet się nie obejrzał, zbiegł do piwnicy, a następnie małym okienkiem wyczołgał się na podwórze. Potem prześliznął się dziurą obok śmietnika na sąsiednie podwórko, skąd już bez większych przeszkód dotarł na sąsiednią ulicę. Tam przeszedł w spokojny bieg maniak sportowca, który zwalcza bezsenność za pomocą biegania.

Niebo zarumieniło się od luny. Gdzieś zawyła syrena. Martinez równym truchtem oddalał się coraz bardziej.

## NAZAJUTRZ 12.15

— Jednak pan żyje? — zdziwił się Carducci, podnosząc głowę znad gazety, w której artykuł o katastroficznych ulotkach na stadionie sąsiadował z wiadomością o pożarze w dzielnicy nadrzecznej, w którym poniósł śmierć były as policji metropolitalnej, aktualnie urlopowany, Raul Martinez.

— Jak pan widzi! — Raul opuścił ogrodowe zarośla i szybko wskoczył na werandę willi profesora. — Mam nadzieję, że nie jest pan pod obserwacją.

— Nie sądzę. Zresztą wraz z pana śmiercią nie mają już powodu obawiać się czegokolwiek.

Widzi pan zresztą te tytuły — rzucił mu plik gazet. — „Ekstremiści sprytnymi fotomontażami pragną wywołać niepokój społeczny”, „Polityczny faul na stołecznym stadionie”, „Nasze stanowcze nie dla nieodpowiedzialnych prowokacji”.

— Niezłe! Stylistyka godna doktora Losera — uśmiechnął się Martinez.

— Jak pan myśli, co to oznacza? — zapytał Carducci. — Moim zdaniem, chyba tylko jedno: władze pogodziły się z myślą, iż sprawcy nieprędko zostaną złapani.

— Ja się nie pogodziłem — Martinez patrzył hardo na profesora. — Ma pan coś dla mnie?

— Troszeczkę. Na przykład naszkicowałem modelowy schemat przypuszczalnej organizacji „Fotografów” w trzech wariantach: minimalnym, maksymalnym i optymalnym. Wyliczyłem przybliżone koszty poniesione w czasie dotychczasowych operacji, prześledziłem opcje światopoglądowe, a także upodobania kierującego tą zabawą. Szczegóły są w tej teczce. Dają do myślenia. Ale zacznę od wniosków. Najpierw finanse. Jeśli nie jest to stara grupa przestępcza czy agenda finansowana przez obcy wywiad, to dysponuje ona zaskakująco dużym wolnym kapitałem, ograniczającym liczbę potencjalnych sponsorów do tysiąca nazwisk w kraju. Po drugie, z analizy technologicznej wynika, że ekipa produkcyjna łącznie z kierownictwem liczy około czterech osób, ze trzy zajmują się logistyką, drugie tyle stanowią łącznicy z kolporterami, wreszcie istnieją minimum dwie niezależnie działające grupy operacyjne (jak wiemy, dwuosobowe), tyle też musi liczyć ochrona, która zapewne spełnia również funkcje egzekucyjne. Rekapitulując: według niskiego wariantu — „fotografów” jest dwunastu, według wysokiego — dwudziestu paru.

— Skąd ta pewność? Czy ochroniarz nie może być technikiem?

— Ze względu na ścisłą konspirację jest to wykluczone. Poszczególne grupy są odseparowane od siebie, mają ograniczone kontakty. Z podobnego względu nie może być ich więcej. Każdy dodatkowy człowiek potęguje ryzyko...

— Racja! Ale modele to nie wszystko. Nasz przeciwnik potrafi zmieniać metody, czego dowodzi choćby wynajęcie helikoptera.

Carducci znów uśmiechnął się.

— Czytał pan gazety. To tylko potwierdza, jak mocno jest asekurowana ta akcja. Pilot rozrzucający ulotki był przekonany, że został oficjalnie wynajęty przez koncern Coca Coli, a lecące fiszki są zachętą do konsumpcji tego popularnego napoju.

— Dobrze rozegrane!

— A przecież nie jest to ich ostatnie słowo. Ludność nie wpadła w panikę. Nie ma też poważnej reakcji rządu i społeczeństwa. Boję się, czy „fotografowie” nie zechcą pokusić się o jeszcze mocniejsze efekty, aby uwiarygodnić swoje przesłanie.

— Na przykład jakie?

— Chciałbym się mylić — westchnął profesor — ale z probabilistycznego wizerunku przywódców wynika, że stać ich jeszcze na bardzo wiele.

21.25

Maria należała do kobiet odważnych. Nie bała się ciemnych ulic i podejrzanych lokali.

Gwarancję dawał jej odpowiedni pas kung fu. Nie przerażały jej również trudności ani ludzka nieżyczliwość. Ba, nie przestraszyła się nawet swego czasu komisarza, potrafiła z nim definitywnie zerwać i przekreślić tym samym własną, dobrze zapowiadającą się karierę w policji. Nawet zdziwiła się, że do akcji „Foto” ściągnięto właśnie ją. Ale może nie było innych pod ręką?

Teraz jednak bała się. Mały wiejski domek na odludziu, normalnie jasny i przytulny, obecnie wydawał się jej pułapką. Po kilku nerwowych dniach odizolowanie się od świata denerwowało ją, zamiast uspokajać. Telefon milczał, zresztą był uszkodzony. Nowych sąsiadów nie знаła, starzy dawno powyjeżdżali lub poumierali. W takich chwilach przypominało się jej dzieciństwo — rodzice, wujek Franciszek — mizantrop na samotnym poddaszu, rodzeństwo, gosposia.

A teraz... Matka w pensjonacie dla starców, brat w Nowej Zelandii, siostra nie wiadomo gdzie, wuj odludek umarł trzy lata temu. Dom też umierał. Na ścianach pojawiły się zacieki, wiało przez spaczne, niedomykające się okna.

Kiedyś Maria miała wiele zapału — zamierzała wszystko odremontować. Wydawało się jej, że potrafi dokonać tego sama. Na mężczyzn nigdy nie liczyła. Owszem, przelotnie durzyła się

— jak wszystkie — w Ronsonie, ale przecież Mark mógł być co najwyżej kandydatem na pełen emocji weekend, a nie długą, wspólną egzystencję. A komisarz? Westchnęła.

Śmierć Martineza załamała ją i przeraziła. Nie ulegało wątpliwości, że pozostawała ostatnim żyjącym uczestnikiem akcji „Foto”. Czyżby przyszedł czas na nią?

Ta myśl uderzyła ją z brutalną otwartością. Zaraz po wysłuchaniu radiowego komunikatu była na krawędzi paniki. Pomyślała o ucieczce, sprawdziła i naoliwiła starą dubeltówkę wuja.

Swoją broń, którą otrzymała na czas akcji, musiała zdać Valmiere’owi. Potem dopadła ją apatia.

Jeśli wyrok został wydany, szansę przeżycia miała znikome.

Wypiła kawę i rozpakowała bagaże przywiezione z metropolii. Obok stosu notatek znajdowały się tam jeszcze nie zwrócono do biblioteki trzy roczniki „Dziennika Południowego”, stos sensacyjnych informacji, skandali, zbrodni, ciekawostek. Maria zamierzała je kiedyś

przejrzeć, szukając inspiracji w akcji „Foto”, parę dni temu nie zdążyła tego zrobić. Teraz miała aż za dużo czasu. Zagłębiła się w czytaniu gęstej zupy niegodziwości, brudów i pomówień.

Była pewna, że gdzieś w tej piramidzie papieru znajdują się te dwie, trzy informacje, mogące stanowić nowy trop, rzucający światło na akcję. Lektura wciągnęła ją tak, że wkrótce zapomniała o niebezpieczeństwie. Nawet nadchodzący zmierzch nie oderwał jej od rocznika.

Każdy może doczekać swojej małej „Eureki”. Dla Marii przełom przyniosła wiadomość, jaką przeczytała na ostatniej stronie gazety sprzed roku. Artykuł pod tytułem „Co się stanie z legendarnym majątkiem Ala Charmontiera” dotyczył spekulacji na temat losów fortuny jednego z najbogatszych ludzi Europy, który dwa tygodnie wcześniej zmarł na atak serca, na własnym jachcie u wybrzeża Korsyki. „Kto zgarnie pulę? — zastanawiał się dziennikarz —

Rozwiedziona przed wielu laty wdowa czy pasierb zmarłej drugiej żony, Jacques Willer-Ledontier, ekscentryk, wizjoner, aktywista Zielonej Ligi? Na co pójdą pieniądze gromadzone przez cztery pokolenia kapitalistów?”

Oczywiście Marią kierowała w tej chwili wyłącznie intuicja. Nie istniały żadne przesłanki potwierdzające trafność podejrzenia. Kilkadziesiąt numerów dalej trafiła na wiadomość o przyznaniu przez sąd całości spadku właśnie Willerowi. Pięć numerów dalej był z nim wywiad ze zdjęciami. Jacques w swojej posiadłości, w otoczeniu przyjaciół, doradców... Jedna twarz z tego grona wydała jej się znana. Ależ naturalnie — Arnold Grove, kiedyś jeden z najobrotniejszych menedżerów pornobiznesu — od dłuższego czasu nie widziany na rynku.

Zaraz, zaraz...

Dziewczyna sięgnęła do torebki. Obok najzwyczajniejszych damskich akcesoriów wypełniały ją jeszcze dyskietki — pięć standardowych flopów. Któż by pomyślał, że znajduje się na nich cała kartoteka zgromadzona podczas akcji „Foto”. Przed opuszczeniem willi Maria zabrała ze sobą skopiowany komplet. Teraz zasiadła przed domowym komputerem... Grove... Grove. Wśród kilku tysięcy nazwisk „ludzi czynu” związanych zarówno z elitą finansową, jak i obeznanych z techniką fotografii i reklamy, był także on. Pod względem przydatności do akcji „Foto” —

czternasty na liście. Gdyby śledztwo potrwało dłużej, pewnie zabraliby się w końcu za niego.

W posiadanym biogramie nie było wprawdzie mowy o związku z Ledontierem, natomiast obok krótkiego zapisu — „wycofał się z interesu po ulokowaniu kapitału w papierach wartościowych” — znajdowała się jeszcze informacja, że osiadł w pobliżu miejscowości T., gdzie nabył dużą posiadłość. Rzut oka wystarczył, by dostrzec, że do T. jechało się opodal Żółtych Wzgórz. Naturalnie wszystko razem stanowiło jedynie słabą poszlakę — aliści obserwacja Grove’a i rewizja na miejscu mogłyby niejedno wyświecić. Kto miał jednak tego dokonać? Komu miała zaufać, a kogo się bać?

Maria wstała i poczęła chodzić po mieszkaniu. Komisarz czy Loser? A może jeszcze ktoś inny?

Po śmierci Martineza nie miała wątpliwości, że jeden z dwóch mocodawców zdradził. Od początku współpracował z przeciwnikiem. Fizycznie likwidował funkcjonariuszy i wreszcie...

Rozwiązanie przyszło niespodziewanie i było oczywiste. Szybkie jak powiew wiatru przez nagle otwarte drzwi. Odwróciła się i zamarła z rozchyłonymi ustami. Jeden rzut oka niespodziewanego gościa na ekran z nie wymazanym jeszcze biogramem Grove’a wystarczył.

— A więc już wiesz. Szkoda!

Otwór lufy wymierzonej prosto w nią nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Wiedziała, że

umrze, a jakkolwiek cud jest wykluczony.

— Dlaczego? — zapytała głucho.

— Nie wiem. Muszę!

— A te zdjęcia, ten koniec świata?

— Sam nie wiem, co o tym sądzić. Żądali, abym im pomógł w eskalacji rozgłosu, a zarazem kontrolował śledztwo osobiście. Twierdzili, że to konieczne. Nie wtajemniczyli mnie, dlaczego.

— Więc czemu dla nich pracujesz?

— Długo by mówić, Mario. Najważniejsze, że mają mnie w ręku. Kiedyś popełniłem parę błędów. Teraz za nie płacę.

— To nie ty płacisz! — wybuchnęła. — Płacą inni. Mark, Pierre, Raul...

— Nic nie wiem o Marku. Oni zresztą chyba też nic o nim nie wiedzą — mruknął. — Życzę mu jak najlepiej.

— Jesteś sprytny — powiedziała, choć zdawała sobie sprawę, że na próżno usiłuje zyskać na czasie. — To niesłuchanie pomysłów, aby zmontować grupę „antyfoto” ze wszystkich tych, których nienawidziłeś...

— Nienawiść nie jest właściwym terminem. Przeszkadzali mi. Martinez był zbyt dociekliwy, Legrand zabił kiedyś mojego współpracownika...

— A Ronson zabierał ci wszystkie kobiety, czyż nie tak, komisarzu?

Szef sapnął. Wyglądał tego wieczoru starzej niż zwykle.

— Dlaczego ode mnie odeszłaś?

— Bo odkryłam w tobie kanałię. I nie mów mi, że nawet teraz chcesz mnie ocalić w zamian za uległość i zachowanie dyskrecji. Nie wierzę ci.

— Nie masz pojęcia, jak mi jest przykro, Mario. To się niej musiało tak skończyć — powiedział komisarz i pociągnął za spust.

23.05

Maria ocknęła się, czując objawy charakterystyczne dla ogłuszenia gazem paraliżującym.

Było ciemno, ale już po chwili zorientowała się, że jest we własnej kuchni. Nogi i ręce miała zabandażowane i unieruchomione. Oczywiście, kiedy znajdą ciało, nie będzie śladów żadnych więzów. Syk z palników dowodził, jaki rodzaj śmierci dla niej wybrano. Malutki domowy Oświęcim! Zza zamkniętych drzwi dolatywał bas komisarza rozmawiającego przez telefon (a więc defekt aparatu został już usunięty). Jak to wszystko zostało ładnie zaaranżowane.

Eksperci na pewno stwierdzą, że popełniła samobójstwo w przyływie przygnębienia.

— Wszystko załatwione, niedługo wrócę — mówił komisarz. — Na razie.

Delikatnie drgnęło kuchenne okno podważone jakimś narzędziem. Na moment zrobiło się jeszcze ciemniej. Potem ktoś wszedł do wnętrza. Potknął się. Nie dotykał Marii, ale nie tracąc czasu, pozakręcał wszystkie kurki. Dopiero potem podniósł dziewczynę.

— Raul! — Maria dziękowała losowi, że jest zakneblowana, inaczej nie potrafiłaby powstrzymać krzyku.

Bezszelestnie przecinał bandażę i uwolnił jej twarz.

— To komisarz — szepnęła.

— Wiem, krążę tu już pół godziny. Nie mam broni. Wspomniała mu o dubeltówce wiszącej w salonie. Trzeba tylko wywabić komisarza.

— To proste. Biegnij do mojego wozu i naciśnij klakson. Gdzie są naboje?

— W górnej szufladzie komody.

Poszło łatwiej, niż przypuszczali. Sześć minut później były szef wydziału leżał w kałuży krwi na schodach wiejskiego domku. Martinez nie chciał go zabijać. Ranić, wytrącić broń, potem przesłuchać. Komisarz jednak zachowywał się jak dzikie zwierzę. Raniony jeszcze próbował wydobyć zapasowy pistolet. Raul nie miał wyboru.

Urywającymi zdaniami Maria powiedziała o swoich domysłach, wnioskach, wreszcie o wizycie zwierzchnika.

— Co zrobimy? — zapytała na koniec.

— Pojedziemy do T.

— A Loser?

— Wolalbym jeszcze poczekać z wtajemniczeniem doktora... Może dużo popsuć.

Okazało się to niewykonalne. Nie minęło trzydzieści sekund, a przed domem zahamował wóz doktora.

23.20

— Szczerze się cieszę, naprawdę szczerze — powtarzał Loser, ściskając ręce Raula i Marii.

— Nawiasem mówiąc, mogliście poczekać. Miałem na oku komisarza już od pewnego czasu.

Nie tylko wy go podejrzewaliście. Oczywiście, wszystko zostanie dogłębnie wyjaśnione i mogę zapewnić, że krzywdy zostaną naprawione. Od tej chwili, aż do zakończenia akcji „Foto” pozostaniecie pod moim bezpośrednim dowództwem. A teraz przekażcie mi wszystko, do czego doszliście.

Nie było sposobu ukrycia czegokolwiek. Notatki Marii leżały na wierzchu, a biogram Grove’a ciągle widniał na monitorze. Zresztą nie pozostawało im nic innego, jak zdać się na Losera i jego ludzi. Raul czuł, że mimo wszystko cała afera zmierza do szczęśliwego końca.

— Uważam, że powinniśmy jak najszybciej złożyć wizytę w T. — powiedział.

— Tak. Zrobimy to jutro, za dnia — odparł doktor. — Oczywiście weźmiemy was ze sobą. Jesteście fantastyczni, naprawdę fantastyczni.

1.15

— Nareszcie sami — powiedział Martinez, kiedy zniknął ostatni wóz ekipy śledczej. — Dziękuję za kawę, Mario, wypiję i będę leciał.

— Dokąd?

— Musi tu być jakiś hotel w pobliżu.



— Nie trzeba szukać hotelu — stwierdziła Maria. — Pościelę ci w pokoju wuja Franciszka. Chyba nie boisz się duchów?

Kiedy stała tak na pierwszym stopniu schodów wiodących na pięterko, Martinez zauważył z pewnym zaskoczeniem, że jest bardzo zgrabna. Konstatacja ta tym większą sprawiła mu przyjemność, że po raz pierwszy od dłuższego czasu jakaś dziewczyna odniosła się do niego tak miło, a on spoglądał na nią inaczej, niż na przystawkę do maszyny biurowej. Coś się w nim zmieniało. Może ta walka była potrzebna. Odnosił zwycięstwo. Poczul się po raz pierwszy normalnie. Tak jak przed laty, gdy miał Joan i razem byli szczęśliwi.

Maria też zauważyła zmianę w Raulu. Ten pijaczyna i abnegat był na swój sposób fascynujący... Jednak nie amory były mu w głowie.

— Czy twój wóz jest sprawny? — zapytał.

— Owszem, ale... Naprawdę możesz zostać.

— Uważam, że powinienem zajrzeć natychmiast do T., zanim doktor Loser tam się zjawi. Nie bardzo ufam jego metodom.

— Pojadę z tobą.

— Nie mogę odmówić koleżance z pracy.

**WTOREK. NOC.**

Gdyby nie przebite koło, którego zmienianie zajęło im kwadrans, pewnie by zdążyli. Inna sprawa, że zaraz za T. zatrzymał ich posterunek policji.

— Droga zamknięta — powiedział młody żołnierz, prawie dziecko.

— Jestem z policji — Martinez machnął swoją starą legitymacją.

— Do akcji wprowadzono jednostkę specjalną — padła odpowiedź. — Wstęp wzbroniony.

Raul zaklął w duchu. A zatem Loser skłamał. Ledwo otrzymał potrzebne informacje, a już za ich plecami uruchomił swoje oddziały. Zapewne nie chciał z nikim dzielić się sukcesem. Nie zważając na protesty żołnierzyka, Martinez wcisnął gaz do dechy. Był ciekaw, czy chłopak będzie za nim strzelać. Nie strzelał.

Od starego browaru, który pół roku temu wynajął Grove, dzieliły ich nie więcej niż dwa kilometry — kiedy rozpoczęła się gwałtowna strzelanina. Loser najwidoczniej przypuścił otwarty szturm. Może zresztą został sprowokowany. Po intensywności kanonady można było wnioskować, że toczy się regularna bitwa. Jeszcze pół kilometra... Gwałtowna eksplozja targnęła wzgórzami. Martinez omal nie stracił panowania nad kierownicą...

**3.01**

Kurz opadał. Skwierczała dopalająca się trawa. W miejscu starego browaru rozpościerał się jeden wielki dymiący krater. Z bastionu „fotografów”, ich ciał, urządzeń, pozostały jedynie mizerne ślady.

— Musieliśmy przypadkowo trafić w ich arsenał. — Doktor Loser z niesłychanie ważną miną kręcił się na skraju pogorzeliska. Ledwie tolerował obecność Marii i Martineza.

— Czy Mark mógł być tam? — zapytała w końcu dziewczyna.

— A skąd mam wiedzieć? — burknął Loser. — Nasi ludzie nie zdążyli nawet zająć pozycji, kiedy ci rozpoczęli strzelaninę. Musieliśmy odpowiedzieć ogniem. Najważniejsze, że wszyscy zginęli. Z tego co ustaliłem, Grove i pasierb Charmontiera również. Cała ekipa załatwiona.

— Ale tajemnicę zdjęć zabrali ze sobą — zauważył Martinez.

— Najważniejsze, że zostali unieszkodliwieni i nie zagrażają więcej porządkowi publicznemu,

a ja już zadbam... Co to za światła...

Drogą od lasku pędziła w stronę ruin kilkudziesięcioosobowa wataha ludzi. Błyskały flesze fotoaparatów, kręciły się kamery.

— Pieprzeni dziennikarze — krzyczał jakiś podoficer. — Podjechali od nie zabezpieczonej strony.

— Skąd się tu wzięli dziennikarze? — doktor spojrział groźnie na Raula i Marię. Ci tylko wzruszyli ramionami.

Komandosi grupy specjalnej byli bezradni wobec nadciągających przedstawicieli agencji prasowych. Martinez pochylił się do Losera i wspominając zdanie profesora Carducciego, rzekł:

— A nie zastanawiał się pan, doktorze, że swoją akcją dopomógł pan w sfinalizowaniu scenariusza „fotografów”? Teraz już się nie uda zatuszować ich działań. Ich memento pozna cały świat.

— Bzdura! — zachnął się zapytany. — Dać się zabić dla jakiejś idiotycznej wizji.

Wykluczone.

Do ich stanowiska dobiegł tymczasem najszybszy z prasowej szarańczy Rex Thompson z „Washington Post”.

— Gratuluję zmiany stosunku do mass–mediów, doktorze! Tym razem miło nas pan zaskoczył. Te telefony do nas wszystkich w środku nocy z dokładnym wskazaniem drogi. Nie pojmuję tylko, w jaki sposób już pół godziny temu dziewczyna, która zatrzymała mnie przy skrzyżowaniu, posiadała to zdjęcie, skoro do detonacji doszło dopiero pięć minut temu.

Maria wiedziała, co zobaczy na fotografii. Zgliszcza i lej po detonacji w samym środku. Nie wiedziała tylko, że na skraju będzie również uwieczniona grupka widzów lustrujących miejsce dramatu — a w niej ona, Martinez, Loser i redaktor Thompson. Pod spodem widniał tradycyjny napis:

„Jeszcze tylko półtora roku”.

Niczego więcej nie wyjaśniono. Nie odkryto ani metod, jakimi dokonywano owych zdjęć, ani celu, jaki im przyświecał. Nie natrafiono również na nic, co by wskazywało, że ktokolwiek inny poza Ledontierem i Grove’em mógł być inspiratorem makabrycznego happeningu.

Dwa dni później w alpejskim pustkowiu odnaleziono parę nieprzytomnych osobników — nagich i pogrążonych w głębokiej amnezji. Mężczyznę zidentyfikowano jako Marka Ronsona

— ongiś inspektora policji, dziewczyna natomiast — piękna, platynowa blondynka — nie została rozpoznana. Dokładne badania mówią o nieodwracalnych zmianach w ich mózgach i braku szans na odzyskanie pamięci. Jedno wydaje się bezdyskusyjne. Kiedy na spacerze w zakładzie spotykają się razem, wyglądają na szczęśliwych. Jak dwie, splecione w wiosennym słońcu rośliny.

## EPILOG

1 lutego 1991 roku Raul Martinez nie pił. Nie pił, mimo że półtora roku wcześniej, wracając z Marią do metropolii, obiecał sobie, że robi to, gdy nadejdzie dzień zagłady. Przez siedemnaście miesięcy, w tajemnicy przed żoną, śnił o tym dniu. Marzył, tak jak tylko potrafią marzyć zaleczeni alkoholicy. A jednak, gdy nadszedł Dzień Zero, postanowił czekać na trzeźwo.

Martynika w lutym jest przepiękna. Zresztą piękna jest podobno o każdej porze roku.

Ostatnie dwa tygodnie spędzili ze sobą tu w Saint Pierre jak najwspanialszy kochankowie.

Czy była to tylko świadomość nieuchronnego? W końcu cały ten czas przeżyli razem i był to okres naprawdę piękny. Zawsze we dwoje... Wiedząc o nadchodzącym końcu świata, nie zdecydowali się na dzieci.

Opuszczając Europę nie odczuwali lęku. Najwyżej bezbrzeżny smutek. Za dwa tygodnie miała ustać ta mrówcza krzątanina, opustoszeć bulwary i magazyny. Wszystko miało się skończyć.

Na Martynice zapomnieli o zagładzie, wygonili ją gdzieś poza świadomość podczas wesółych dni zabaw, plażowania, nocnych spacerów wśród oszalamiających zapachów i miłości pod kwiatami hibiskusa.

Było jeszcze dość wcześnie. Na opustoszałej brunatnej wulkanicznej plaży leżeli sami.

Sami, jeśli nie liczyć ponurej sylwetki wulkanu — mordercy wznoszącej się nad miejsciną Saint Pierre. Patrzyli w łamiące się fale i czekali.

Koło południa, daleko na plaży pojawił się drobny przecinek. Przecinek ten rósł i rósł, aby przekształcić się w starszego, utykającego mężczyznę...

— Ależ wybrali sobie państwo miejsce na urlop — powiedział doktor Loser, gdy stanął przy policjantach. — Prawdziwy koniec świata.

— Ma pan jakieś informacje, że Martynika ocaleje? — zapytała Maria.

— Ach ta zapowiadana apokalipsa! — zaśmiał się Loser. — Właściwie powinienem was poinformować od razu. Odwołana!

— Co pan chce przez to powiedzieć? — Martinez zmienił się na twarzy.

— Że na razie jej nie będzie! Można usiąść koło państwa? — nie czekając na pozwolenie, przykucnął obok nich i wydobyl z teczki kanapkę. — Jesteście pewnie ciekawi, skąd to wiem?

Ze źródła!

Opowieść Losera była dość długa. A sprowadzała się do paru istotnych faktów.

Wynalazku futurofotografii dokonano w USA pod koniec lat osiemdziesiątych, ale bardzo prędko polski agent wywiadu na usługach KGB, za równowartość ceny willi w Bel Air i jachtu na przystani w Santa Monica, wykradł całą dokumentację i przekazał do ojczyzny światowego komunizmu. Tam zbudowano prototyp i zaczęto fotografować przyszłość. Okazało się to interesujące, ale całkowicie nieprzydatne. Przyszłość bowiem dawała się fotografować tylko wariantowo. To znaczy, fotografując przyszłość faceta stojącego przed drzwiami z wyprzedzeniem minuty można było otrzymać fotkę, na której otwiera lub nie otwiera drzwi, potem jak idzie w prawo, w lewo, czy prosto. Każda sytuacja miała swe warianty. Futurofot co prawda fotografował przyszłość, ale we wszystkich możliwych wersjach. Milion któraś przynosiła wizję totalnej zagłady. Ale to był tylko jeden z wariantów i to mało prawdopodobny.

Zresztą ta apokaliptyczna wersja doprowadziła do zainteresowania się wywiadów pewnym laboratorium na Bliskim Wschodzie, gdzie bawiono się antymaterią. Sprawę nadano komu trzeba i grupka fachowców z Mossadu wyeliminowała tę alternatywę bardzo szybko.

Tymczasem radzieccy analitycy dusili się nadmiarem zdjęć. Eksperyment kosztował miliony dolarów, a praktycznie przydatny był tyle co wróżka. Co gorsza, przedstawiając wszystkie możliwości (niemożliwe do racjonalnego zanalizowania), w istocie nie wybierał żadnej. Nie mylił się, ale cóż począć z futurofotem, który na jedno pytanie o kres Michaiła Gorbaczowa dawał ponad miliard wariantów? A tylko jeden mógł być prawdziwy. Futurofot nie nadawał się nawet

przy ruletce. Fotografia wyniku gry dawała dokładnie pięćdziesiąt wariantów. Żeby wycofać choć trochę środków, KGB postanowiło spożytkować zdjęcia w inny sposób. Do badania reakcji ludzi na apokaliptyczne zapowiedzi. Taki był główny sens programu „Foto”, realizowanego przez niezależny zespół w obcym kraju. Miał on odpowiedzieć na pytanie, na ile pokazanie zagrożeń może zmienić postępowanie społeczeństwa? Niektórzy z szefów podupadającej firmy żywili spore nadzieje, że zamęt wywołany fotografiami przyczyni się do uratowania resztek dawnej potęgi mocarstwa. Nadaremnie. Ludzie okazali się odporni. Nie uwierzyli. Zlekceważyli sygnały.

— Dziś Abraham nie znalazłby nawet ćwierć sprawiedliwego we współczesnej Sodomie — zaśmiał się Loser. Nie wybuchła panika ani nie nastąpiły masowe nawrócenia. — A na wyznaczony termin końca świata czekacie tylko wy dwoje.

Martinez uśmiechnął się głupio.

— I dlatego zlikwidowano ten eksperyment naszymi rękami — ciągnął Loser. — A potem imperium zaczęło się kruszyć. Czy ktoś dalej prowadzi program „futorofoto”, czy próbuje go udoskonalić? Nie wiem. Może w USA, może w Chinach? W Rosji i w Europie brak pieniędzy.

A swoja drogą, wszystko jest możliwe. Ten wulkan — wskazał głową — jest nieczynny blisko wiek. Ale widziałem zdjęcia z jego świeżym, wybuchem...

Anna i Raul popatrzyli w kierunku stożka... Przez moment zastanawiali się, czy siwy dymek to zapowiedź erupcji, czy praca komina jednej z nielegalnych destylarni rumu usytuowanych na zboczu.

Loser wyciągnął drugą kanapkę. Z tuńczykiem.

## NAJWIĘKSZE ZDARZENIE OD CZASÓW ADAMA

Można zapytać: kiedy zwariowałem? Kiedy naukowa ciekawość przemieniła się w szaleństwo? Kiedy puściły wszelkie hamulce, znikło poczucie przyzwoitości, normy moralne, czy wreszcie głęboko zakodowany w każdym człowieku lęk przed przekroczeniem bariery ryzyka? Czy mogę złożyć wszystko jedynie na karb emocji, chwilowej desperacji lub też ekshibicjonistycznie wyznać: zawsze o tym marzyłem?

Instytut Nowej Technologii mieścił się wbrew nazwie w bardzo starym gmachu. Niska, wkopana w ziemię budowla musiała pamiętać czasy profesora Freuda lub Alzheimera, choć w jej wieku o pamięć raczej trudno. Inna sprawa, że dla takiego zapaleńca jak ja, warunki nie odgrywały większej roli. Liczył się program, koncepcja, przyszła sława. Nie można tego powiedzieć o personelu pomocniczym, laborantach, sprzętaczkach. Ci młodzi ludzie, pracujący tu tymczasowo lub odbębniający zastępczą służbę wojskową, leserowali za dnia, nocami zaś oddawali występny orgiom, których ślady były aż nazbyt widoczne nazajutrz. A to chomik zadusił się nałożoną na głowę prezerwatywą albo kompletnie pijane białe myszy pogryzły doświadczonego kota. Fatalnego piątku, naszym młodym przyjaciółom zabrakło snadź

laboratoryjnego szkła (trzymałem je pod kluczem) i użyli próbek umieszczonych na noc w dojrzwarcie. Zrobili to po swojemu, tak przynajmniej zeznali. Najpierw przelali roztwór G-6b-

23 i C-8-11 do wspólnej zlewki, następnie raczyli się wysokoprocentowym spirytusem z dodatkiem seven-up, wreszcie — nie umywszy próbek — rozlali na powrót zmieszany preparat, a ponieważ mikstura wyglądała zbyt blado i nieco jej się wylało, szef ochrony dosikał do pełna. Rano, nie podejrzewająca niczego Evvi podała płyn naszym chomikom.

— Al, chodź tu szybko — zawołała mniej więcej w godzinę później. — To po prostu niesamowite...

— Co jest niesamowite?

— Reakcja na odczynnik. Trzy samczyki padły, natomiast samiczka, Ketty... Zresztą, sam zobacz.

Wszedłem do wiwarium i wzięwszy chomika do ręki, zgłupiałem. Ketty, wczoraj dorodna samica, zamieniła się w jeszcze dorodniejszego samca.

Pięciokrotne przesłuchanie personelu pozwoliło mi z grubsza ustalić przebieg wydarzeń.

Nawiasem mówiąc, wypłaciłem im premie za pracę w nadgodzinach, ale na wszelki wypadek zwolniłem. Cóż, przypadkiem dokonali odkrycia, nad którym głowiłem się od lat, a doktor Schilling chyba nawet nie wierzył w możliwość powodzenia.

Od pewnego czasu pracowaliśmy nad sposobami regulacji płci u ludzkiego embriona.

Oczywiście, metody profilaktyczne są już znane od dłuższego czasu. Nas pasjonowała możliwość terapii hormonalnej, która mogłaby zmieniać płeć płodu (na wymarzoną przez rodziców) jeszcze przed urodzeniem oseska. Naturalnie badania prowadziliśmy w tajemnicy.

Organizacje religijne, kościoły, mogłyby nazwać nasze prace niegodziwymi, wbrew naturze, a władze cofnąć fundusze... Władze! Od dłuższego czasu uważałem, że każda władza w całości jest przeważnie głupsza od najgłupszego obywatela, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Na dobitkę, ostatnio, śmiertelne zagrożenie dla naukowych eksperymentów pojawiło się ze strony rozmaitych Towarzystw Opieki nad Zwierzętami, Ligi Ochrony Królików Doświadczalnych czy Anonimowej Asocjacji Ochrony Białych Myszek. Organizacje te żądały coraz głośniejszych poprawek w konstytucji, które zabroniłyby doświadczeń nawet na szczurach laboratoryjnych.

Demokracja, cholera!

Oczywiście to, czego przypadkiem dokonał nasz personel pomocniczy, zostało przeze mnie wkrótce powtórzone, na szczęście analiza spektralna pozwoliła ustalić właściwe proporcje użytych komponentów.

Nie zanudzając czytelnika szczegółami, powiem, że powstał w ten sposób transformator z izotopowym przyspieszaczem. Reakcja, która według moich najśmielszych planów miała zachodzić tygodniami, teraz dokonywała się prawie natychmiast.

Wypróbowaliśmy działanie odczynnika na chomikach, na myszkach, szczurach, królikach, kaczkach. Za każdym razem w oka mgnieniu samiec stawał się samicą, a przy odwróconych proporcjach — samica samcem.

— Możesz sobie pogratulować, władco seksu! — powiedziała do mnie Evvi.

Evvi była szatynką, drobną, smukłą, o nieprawdopodobnie sterczących piersiach i pupce, która wręcz prosiła się o klapsa. Evvi była moją wielką skrywaną miłością, i asystentką doktora Schillinga.

Niestety, traktowała mnie jak kolegę. Jak bardzo dobrego kolegę, nic więcej. Mimo że spędzaliśmy ze sobą godziny, nie potrafiłem wytworzyć między nami owego szczególnego klimatu porozumienia, stanowiącego wstęp do czegoś więcej. Każdy komplement obracała w żart. Wymykała się pieszczocie. Rękę podawała jak kumpel z wojska. Do pocałunku ustawiała się policzkiem. A gdy parę razy próbowałem napomknąć jej o swych uczuciach, śmiała się, mówiąc, bym się nie wygłupiał.

— Masz kogoś, Evvi? — pytałem niekiedy.

— Oczywiście, białe myszki, odczynniki i ulubionych kolegów, takich jak ty — odpowiadała.

Czy mówiła prawdę? Nie miałem powodu, by jej nie wierzyć. Mieszkała z ciotką, kobietą zasad tak surowych, że królowa Wiktoria mogłaby przy niej uchodzić za gejszę.

— Evvi, a może ty jesteś cyborgiem, androidem bez grama popędów?

— Może — odpowiadała tak filuternie, że potniały mi okulary. Do samoczynnego odkrycia doszło 12 października. Pod koniec miesiąca miałem zamiar przedstawić raport i wnioski Schillingowi... Niestety zdarzyło się 22-go. Jak co piątek miałem zaplanowane seminarium w Eastwood. Wyjechałem o drugiej po południu, nieco już spóźniony, ale nie przebyłem nawet pięciu mil, kiedy zdezelowana pompa paliwowa odmówiła posłuszeństwa. Opodal żółciła się budka telefoniczna. Zadzwońłem do college'u, odwołując zajęcia, wozem zaopiekował się pobliski warsztat, sam zaś, koło czwartej wróciłem taksówką do laboratorium. Budynek zdążył już opustoszeć. Nie napotkawszy nikogo, dotarłem do naszego skrzydła i już chciałem zawołać Evvi, która uwielbiała przesiadywać w pracy po godzinach, gdy dziwne odgłosy z gabinetu szefa zwróciły moją uwagę. Skrzyp, skrzyp — cisza. Skrzyp, skrzyp — cisza, stłumiony okrzyk...

Drzwi nie były zamknięte. Uchyliłem je i stanąłem jak wryty.

Na olbrzymim fotelu dyrektora klęczała tyłem kompletnie goła Evvi, a na niej spocony i owłosiony jak satyr doktor Schilling, z zapalem wykonywał owe śmieszne ruchy, niegodne dżentelmena.

Cofnąłem się. Zakręciło mi się w głowie tak, że naraz zaatakowały mnie szafy, a zielony chodnik stanął dęba. Myślałem, że zemdleję.

Gdybym nie był tchórzem, a przynajmniej sądził, że to coś pomoże, wróciłbym ze skalpelem i zabił oboje. Niestety, my, intelektualiści, jesteśmy przeważnie introwertykami. Gniew kierujemy do wewnątrz. Poszedłem więc do mojego pokoju, z oczyma pełnymi łez. Nie tamowałem ich. Po drodze spadły mi okulary, zdeptałem je... Świat naraz uczynił się nieostry, pełen przemieszanych plam światła i ciemności.

Jakoś otworzyłem szafę i wyjąłem butlę ze spirytusem. Nalałem sobie pięćdziesiątkę.

Wychyliłem. Zapiekło. Ogień przeleciał jak przez komin przez mój przewód pokarmowy.

Popilem wodą z kranu i nalałem następną pięćdziesiątkę. Niewiele pamiętam, ale chyba jeszcze pilem. A czym popijałem? Co było pod ręką. I naraz zrobiło mi się dziwnie. Uderzyła mnie fala gorąca i zimna. Wywinąłem koziolka, światło zgasło i zapadłem się w głąb nirwany...

\* \* \*

— Ale sobie dogodziła, malusia pijaczka — z oddali dotarł do mnie głos. Tak się zapaskudzić, dziewczyno, jak można, jak można...

Głos i ciepła woda. Znałem skądś ten głos. Tylko skąd? Usiłowałem otworzyć oczy, ale światło mnie poraziło. Byłem kapany. Jak niemowlę. Spływał po mym ciele ciepły, rozkoszny tusz. Czulem, jak czyjaś silna ręka myje mnie pieszczotliwie, poufale...

— Dobrze ci tak, maleńka? Już jesteś czyściutka.

— Gdzie jestem? — mój znajomy głos zabrzmiał piskliwie.

— W instytutu — zadudnił bas. — Jesteś pewnie tą nową praktykantką, o której mi wspominała Evvi.

— Schilling!

— Mów mi, Davidzie. Wspólna kąpiel zbliża ludzi. — Poczulem delikatne klepięcie w pośladek.

Przemogłem się, otworzyłem oczy. Zdrętwiałem. Z całościennego lustra patrzyła na mnie bynajmniej nie brodata twarz dwudziestodwuletniego Alberta Turnera, lecz okrągła, dziewczęca buzia rudawej kobietki o niezłym biuście, szerokich biodrach i płomiennym zaróżwieconym.

— Odczynnik z przyspieszaczem zamiast popitki... — przemknęło mi przez głowę jak błyskawica.

Usta Schillinga wycisnęły mi na szyi gorący pocałunek.

— Pan przestanie, ja przecież... — pisałem.

— Co przecież? — chwycił mnie mocno, jakby był imadłem. — Zaręczam, to nie będzie bolało... Jak ci na imię?

— Puszczaj.

— Nie puszczę, dopóki się nie dowiem, jak ślicznotka ma na imię.

— Berta! — odezwała się prawdomówna część mej natury.

— Bertusia. — Obrócił mnie jak frygę. Był nagi i bardzo podniecony. Ogarnął mnie strach.

— Ależ panie doktorze!

— Daj spokój z tytułami. Łóżko jest najstarszym forum demokracji. Zobaczysz! Chodź! — tu porwał mnie w ramiona i ruszył w stronę służbowej kozetki.

Byłem zbyt zaskoczony i skacowany, aby stawić poważniej opór. W gabinecie nie zauważyłem nawet śladu Evvi.

— Będę krzyczeć — ostrzegałem.

— A krzycz, krzycz sobie, o tej porze nawet psy śpią.

— Poskarżę się szefowi.

— Ja tu jestem szefem.

Jego małpia łapa przesuwała się po najbardziej intymnych zakamarkach mego ciała.

Odczuwałem wstręt... ale i ciekawość. Który z mężczyzn mógł doznawać takich wrażeń jak ja?

I nagle patrząc na brodatą twarz Karola Darwina na ścianie gabinetu, pomyślałem sobie, że dla dobra nauki Empedokles wskoczył do Etny, a Ikar zgubił skrzydła. Schilling pieścił moje uda, brzuch... Czulem narastające drżenie wszystkich mięśni. Wewnętrzna wilgoć. Podniecenie?

Tak, mimo wszystko, chyba było to podniecenie.

— Tak, tak — sapał utytułowany satyr. — Zaraz będzie nam tak dobrze, jak się filozofom nie śniło.

Przeturlaliśmy się na kozetce. Z myślą o moim aniele stróżu szukałem kontaktu, żeby przynajmniej wyłączyć światło. Kątem oka dostrzegłem jeszcze raz portret Darwina.

Przysięgłbym, że twórca teorii ewolucji zaczerwienił się.

\* \* \*

Jako naukowiec nade wszystko cenię sobie obiektywizm i muszę powiedzieć, że wszelkie legendy na temat seksualnych możliwości doktora Schillinga nie były w najmniejszym stopniu przesadzone. Olbrzymi samiec znęcał się nade mną do białego świtu, wyczyniając bezeceństwa na miarę najgorszych opowieści swawolnych pań i panów. W międzyczasie zapadaliśmy w

przelotne drzemki, ale nie trwały one długo.

Wszystko jednak ma swój kres. Mocniejszy sen chwycił nas gdzieś o szóstej nad ranem i z jego głębin wyrwał mnie dopiero histeryczny głos Evvi.

— Davidzie, jak możesz!

Ocknąłem się w mgnieniu oka. Schilling zresztą też. Ale nie zdążył powiedzieć ani słowa, gdy smagnęło go uderzenie w policzek.

— Ty świnió! Świnió! — dyszała Evvi. — I to gdzie, w tym gabinecie, na naszej kozetce. Nie przebaczę ci nigdy. Nigdy!

Trzasnęły drzwi.

W głowie mi się kręciło. Ale Schilling już był na nogach.

— Ubierz się, co się gapisz, dziwko! — warknął, rzucając mi jakiś kitel. — I jazda stąd!

Nie było to zbyt sympatyczne podziękowanie za upojną noc. Zniknąłem w głębi laboratorium. Na szczęście, było jeszcze pusto. Znalazłem moje ubranie, którego najwyraźniej pozbyłem się w czasie transformacji, uprzątnąłem ślady libacji i torsji. A potem bocznym wejściem pobiegłem do mego pawilonu mieszkalnego położonego za parkiem. Nikt mnie nie widział. W rękę trzymałem sporządzony parę dni wcześniej antypreparat.

Zamknąłem drzwi i stanąwszy przed lustrem, pociągnąłem dobry łyk. Nie bawiłem się w dawki. W nocy przecież też nie musiałem się nim przejmować.

Preparat był obrzydliwy i cuchnął jak kocie siki. Ale nie mogłem się wahać! Przez moment nie działo się nic, potem poczęły pulsować znajome już fale zimna i gorąca. Poczulem dojmujące bóle, jakby miażdżono mi kości, uderzył zimny pot. Półprzytomny starałem się jednak nie stracić żadnego z wrażeń. Piersi zaczęły mi się kurczyć jak baloniki, z których spuszczone powietrze. W potwornych bólach przemieszczały się kości miednicy. Upadłem na dywan. Całym mym jestestwem odczuwałem swędzenie, wewnątrz i zewnątrz. Zacząłem krzyczeć. Odczuwałem coś jak orgazm do szczęścia, jak przypalenie żywym ogniem. A potem przez minutę zaczęła mną targać febra, dzwoniły mi zęby, dygotały wszystkie nerwy... Boże, Boże! Daj umrzeć!

Wszystko skończyło się, jakby nożem uciął. Ból znikł, dygot też. Pozostał pot jak po kąpieli w parafinie. Spojrzałem w lustro. Poza brodą, która nie odrosła, byłem sobą. Stuprocentowym mężczyzną, Albertem Turnerem. Poza tym chciało mi się spać i tylko spać.

Obudził mnie dzwonek. Musiało być dobrze koło południa. Czując jeszcze otumanienie, otworzyłem drzwi.

— Evvi?

— Co ci się stało, Al? Nie przyszedłeś do pracy. Nie odpowiadasz na telefony?

Asystentka Schillinga wyglądała jak zwykle prześlicznie. Tylko intensywniejszy niż zwykle makijaż mógł sugerować, że jest blada i płakała.

— Trochę źle się czuję — mruknąłem. — Znaczący... czulem. Ale chyba jest już dobrze.

Stała na progu i rozglądała się niepewnie.

— Mogę wejść?

— Oczywiście.

Zrobiła parę kroków, poprawiła włosy przed lustrem, potem zaczerpnęła powietrza, odwróciła się i popatrzyła mi w oczy. Zacerwieniłem się.

— Parę dni temu pytałeś mnie, Al, czy kogoś mam?



**Skinąłem głową i chyba zarumienilem się.**

**— Wtedy wykręciłam się jakimiś głupotami. Ale dziś wiem, że powinnam odpowiedzieć zupełnie inaczej. Nie mam, ale chcę mieć. Kogoś uczciwego, stałego w uczuciach i naukowego pasjonata, jak ja.**

**Objęła mnie i pocałowała.**

**Nie był to pocałunek wymuszony. Przeciwnie, zawarta w nim była szaleńcza desperacja, chęć rekompensaty (domyślałem się powodu) i smak miętowej gumy do żucia.**

**— Kocham cię, Al — powiedziała. — Bardzo cię kocham!**

**\* \* \***

**Nastał chyba najpiękniejszy okres mego życia. Miłości i pasji. Miłością była Evvi, pasją (ściśle naukową) docent Schilling.**

**Używałem swej cielesnej substancji jako materiału doświadczalnego z coraz mniejszymi oporami. Czyniłem to wszak dla dobra nauki. Nie przeczę, żal mi było trochę Schillinga. Przeżył mocno rozstanie (jak się okazało definitywne) z Evvi. Choć, dzięki mnie, mówię to bez fałszywej skromności, bardzo szybko doszedł do siebie. W jego mniemaniu byłem młodą zadurzoną w nim praktykantką, która odwiedzała go w jego apartamencie i podobnie jak Evvi nie miał**

**pojęcia, że nasz wynalazek został wypróbowany na ludziach. I to ze znakomitym skutkiem.**

**Byłem z siebie dumny, gdyż wśród erotycznych uniesień nie zapomniałem ani na chwilę o naukowym posłannictwie — sporządzałem notatki, a jeśli tylko mogłem, dokonywałem odpowiednich pomiarów.**

**Niestety. Sprawy nigdy nie idą aż tak dobrze, żeby nie mogły pójść źle. Moje doświadczenia były już na ukończeniu i dzień, w którym transformator płci mogłem przedstawić światu w kwartalniku „Male and Female”, zbliżał się wielkimi krokami. Ponieważ chciałem przedstawić dzieło gotowe, wszechstronnie sprawdzone, nie zaniedbywałem niczego.**

**Nie wziąłem jednak pod uwagę zlej woli ludzi i potencjalnych komplikacji związanych z moim podwójnym życiem.**

**Czy sprawcą przecieku był ktoś ze zwolnionych laborantów, czy zawistny, podglądający nas naukowiec? W każdym razie wieść o eksperymentach zmiany płci u zwierząt, w zwulgaryzowanej formie dostała się do prasy, miejscowa telewizja zaatakowała Schillinga, a po kazaniu w tutejszym kościele tłumy ludzi obiegły Instytut. Doktor, na swoje szczęście, uciekł. Ja wraz z Evvi przebywałem akurat daleko, u jej rodziców i tylko z popołudniowych dzienników mogłem dowiedzieć się o prawdziwej katastrofie. Atak na instytut, dewastacja, pożar...**

**Kiedy przybyłem na miejsce, zastałem jedynie okopcone zgliszcza. Wszystko przepadło, odczynniki, notatki, dyski komputerowe z wzorami i reakcjami...**

**Nagle znaleźliśmy się w punkcie wyjścia. Oczywiście, znając teoretyczne podstawy i pamiętając z grubsza zasady doboru komponentów mógłbym pokusić się o odtworzenie obu odczynników, potrzebowalbym jednak na to laboratorium, czasu i pieniędzy.**

**Władze niestety cofnęły wszelkie dotacje dla naszego ośrodka, Schilling wyparł się wszystkiego, mnie zwolnił. W środowisku byłem skończony. I to wyłącznie za samą teorię oraz za doświadczenia ze zwierzętami. Mój Boże, gdyby domyślono się całej prawdy! W tych czarnych dniach jedyną osłodą była mi Evvi. Wierna, kochająca, czuła, znalazła pracę w jakiejś**

provincialnej szkole i nadal była gotowa mnie poślubić. Czy zapomniała o Schillingu?

Którejś nocy miałem dziwny sen. Śniło mi się, że jestem lampartem trenującym wysoko na cyrkowym trapezie, smaganym co jakiś czas przez tresera. Kołysałem się coraz szerzej, wyżej...

— Co ci jest, kochany!

Obudziłem się zlany potem. Nade mną pochylała się twarzyczka Evvi. Nieba za oknem różowiało.

— Nic, nic, jakiś głupi sen — wymamrotałem. Pocałowała mnie i musnęła nóżką pod kolderką. Szelma, bardzo lubiła kochać się o brzasku. Obróciłem się do niej...

— Albercie. Co się dzieje z twoimi piersiami?

— Zapaliła światło i odrzuciła koldrę. Jej twarz skurczyło przerażenie.

— Albercie, co się stało, jesteś kobietą!? A może to twoja siostra?

Popatrzyłem po sobie ogłupiały. Miała rację. Uciekłem. Uciekłem tak jak stałem, narzuciwszy na siebie płaszcz i schwyciwszy teczkę. Za dużo musiałbym tłumaczyć, o sobie, o Schillingu.

Nie miałem dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Znikąd pomocy. Za resztki gotówki nabyłem jakieś babskie fatalaszki. I błąkałem się po mieście, z przerażeniem myśląc o przyszłości. Najwyraźniej częste transformacje zakłóciły działanie mego organizmu i teraz zmiana nastąpiła samoczynnie.

Po drugiej nocy spędzonej na dworcu, nieustannie nagabywany przez facetów, pomyślałem o Davidzie Schillingu. Jeśli zachował resztki dawnego sentymentu, mógłby mnie przyjąć do pracy w swoim nowym laboratorium. Może po godzinach udałoby mi się odtworzyć preparat...

— Bertuniu! Jak się cieszę, że wróciłaś? Gdzie moje maleństwo podziewało się przez tak długi czas — doktor przywitał mnie z otwartymi ramionami.

Niestety, nie był to dobry pomysł.

Już trzeciej doby w środku nocy, samoczynnie rozpoczął się proces odwrotny. Schilling najpierw wpadł w osłupienie, potem wymyślając mi od homoseksualistów i hermafrodytów, pobil i wygonił...

Zaczął się jeszcze gorszy okres mojego życia. Egzystencja włóczęgi. Zmieniałem miasta i dworce, doraźnie próbowałem pracować. Bez przerwy musiałem się kontrolować, a i tak pewnego razu transformacja chwyciła mnie nad pisuarem w męskiej toalecie...

Jednak, gdzieś po trzech miesiącach uspokoiło się. Organizm powrócił do normy. Znów byłem mężczyzną. I chyba miało już tak zostać. Oczekałem jeszcze dwa tygodnie i dałem się odnaleźć prywatnemu detektywowi Evvi. Potem wszystko jej wytłumaczyłem. Zrozumiała.

Wybaczyła. A nawet była dumna.

Inna sprawa, że chyba wróciła do swych paskudnych kontaktów z Schillingiem. Dostałem ponownie pracę w dziale przekształcania ssaków drapieżnych w trawożerne.

I tak żyliśmy w trójkącie przez następny miesiąc. Nadszedł jednak dzień próby. Bardzo trudny dla mnie dzień. Akurat wróciłem do domu trochę później i zastałem Evvi przy prasowaniu bielizny Schillinga (a przy okazji mojej).

— Musimy porozmawiać — rzekłem, siląc się na spokój. — Właśnie wracam od doktora Hoffmana.

— Ty też do niego chodzisz? — zdziwiła się

— Tak! Powiedział mi bardzo ważną rzecz. Ale wpierv usiądź.

— Coś niedobrego?

— Nie wiem, będziemy mieli dziecko.

— Co ty mówisz? To cudowne — rozpromieniła się. — Tylko dlaczego Hoffman nie powiedział tego mnie, gdy byłam u niego na badaniu kontrolnym w zeszłym tygodniu?

— Bo to nie ty będziesz je miała, tylko ja!

I co powiecie, drodzy państwo, na to? Czy nie jest to pełne wariactwo? Plód ma już ósmy miesiąc. Niby jestem stuprocentowym mężczyzną, ale wyglądam, jakbym połknął czoląg.

Podobno nie obejdzie się bez cesarskiego.

Schilling, kiedy się mu się żalę, powtarza:

— To ty miałaś uważać, Berto, nie ja!

Zaś Evvi zapewnia, że będzie kochać maleństwo jak swoje. Tak to się mówi. Jak swoje? Ale piersią nie nakarmi.

Z dnia na dzień odczuwam coraz większy strach. Wszelako nie bez domieszki ciekawości.

W końcu będzie to przecież największe zdarzenie na Ziemi od czasów Adama.

**HOBBYSTA**

— Masz go?

— Na czwórcę. Chwytnak gotów?

— Gotów. Uważaj tylko, żeby nie zrobił żadnej sztuczki.

— Nic nie zrobi!

— Zostało nam 59 sekund.

— Wystarczy...

Nośnik wykonał półobrót, od celu polowania dzieliło go nie więcej niż piętnaście metrów.

Pościg trwał już około kwadransa, ale dopiero teraz udało im się podejść tak blisko. Ścigany, mężczyzna koło trzydziestki, o ogorzalej twarzy, w mocno znoszonym skafandrze i elektromagnetycznych butach, przywarł u dolnego wspornika szesnastej gałęzi. Gdyby przed chwilą skręcił w prawo, mógłby zanurkować w kanał wentylacyjny, poszedł jednak w lewo i praktycznie stracił ostatnią możliwość ucieczki. Zresztą, i kanał okazałby się pułapką. Trzech komandosów — gałęźnych z drugiej jednostki, którzy przed pięcioma minutami wylądowali na szesnastce, czekało na niego cierpliwie przy komunikadzie.

— Uwaga, przelączam na program!

— Jest program!

Dowodzący TUP–er postępował rutyniarsko. Mając przestępcę jak na widelcu i mogąc rąbnąć go „z rękawa”, wołał jednak powierzyć rozgrywkę automatowi. Wiadomo, komputer w walce jest szybszy, wyprzedza ludzkie reakcje, a więc praktycznie nie można przed nim uciec. Ścigany chyba pojął beznadziejność swojej sytuacji, splótł bowiem ręce na piersiach w geście rezygnacji. Jasność i mrok! Paroksyzm destabilizacji wstrząsnął nośnikiem, a tablica kontrolna oszalała od sprzecznych impulsów. Wytracony z kursu statek powietrzny wykonał

zdumiewającą beczkę i jak kamień zaczął spadać w dół, wymijając cudem piętnastą i czternastą gałąź. Na szczęście młodszy TUP–er nie stracił zimnej krwi i po paru sekundach przerzucił na program sterowania ręcznego. Po kolejnej sekundzie wyprostował maszynę i znów przyjął kurs do góry.

— Bydłę użyło cyberłomu! — warknął dowódca.

— Czego? — zapytała posiniąła ze strachu panienka z Konwentu Miejskiego, towarzysząca ekipie. (Po co, u licha, wsadzają do załóg takie dupeczki, zaraz pewnie zaczną wymiotować?).

— Cyberłomu — wyjaśnił w miarę spokojnie. — To małe, proste, przyjemne urządzenie, powodujące parosekundowy paraliż systemu komputerowego, a także bezapelacyjne zniszczenie ostatnich zapisów.

— Przecież takie urządzenia są zakazane. Dowódca zdusił śmiech.

— I owszem, dlatego ścigamy takich typów jak ten... „Hobbysta”! — dorzucił z pogardą. — Wróg publiczny numer jeden.

— Dochodzę do szesnastki — powiedział młodszy TUP-er.

— To bez znaczenia, wiesz przecież...

Na pulpicie zapłonęło trójbarwne światelko.

— Służba skończona, służba skończona... Over! Przejmujemy wasze zadanie, ERS przekaże program — powiedział głos z centrum.

— Weźcie zapis z matki, ścigany dysponuje cyberłomem, zniszczył naszą pamięć...

— Sporządźcie w tej sprawie faktogram.

— Okay. Wychodzę.

Zmienili kurs i ruszyli w górę pnia. Po chwili minęli snobistyczną siedemnastkę z jej tarasami i lokalami, następnie osiemnastkę „parkową”, dziewiętnastkę plaż, basenów i wreszcie dwudziestkę — gałąź wyłącznie dla największych szych i multiprofitowców. Wyżej rozciągało się już tylko niebo. Na wysokości dziewiętnastki minął ich nośnik ERT pilotowany przez starego Grooda, który przez najbliższą godzinę miał strzec spokoju i porządku Górnego pnia Numer 11. Natomiast ERS po skończonej służbie ochoczo pomknął w stronę głównej bazy TUP-u. Trade-Union-Police. Nieustraszonej policji związków zawodowych.

— A co się stanie z tym człowiekiem?! — zapytała panienka z KOM-u.

— Zajmie się nim ERT, jeśli wcześniej nasi piesi komandosi go nie dorwą. A to są chłopaki kompletnie bez poczucia humoru.

— Kiedy mają zmianę?

— Za kwadrans. Ale to im powinno wystarczyć. Była godzina 18.30, 5 maja 2188 roku.

\* \* \*

Mart uśmiechnął się, widząc, co się stało z nośnikiem. Nie zamierzał jednak czekać na następny atak. Błyskawicznie zwolnił elektromagnesy butów i ześlizgnął się ze wspornika.

Poleciał głową w dół. Gwałtownie zbliżyła się i zgęstniała gigantyczna pajęczyna miasta. Pnie pionowych alei, z których wyrastały obrotowe gałęzie ulic, obrośnięte owocami, czy jak kto woli listowiem mieszkań i punktów produkcji. A wszystko skąpane w słońcu i ciepłe. Nie opodał dalej, na wysokości czternastki rzucił magnetkotwę, która przyssała się do tworzywa pokrycia. (Oczywiście słowa elektromagnes używamy umownie; był to kompletnie nowy rodzaj tego urządzenia, przyciągający najrozmaitsze, ongiś rzekomo niemagnetyczne tworzywa).

Gwałtownie poczęła wysuwać się linka przeciągnięta przez karabińczyk, z opóźniaczem wyhamowującym tempo spadania. Po dwustu metrach Mart znieruchomiał. Teraz mógł

wyłączyć silniczek, który zwijając linę, wyciągnął go na dach czternastki. Uniwersnożem przeciął tworzywo pokrycia i warstwy izolacyjne. Potem rozchylił je tak, jak gdyby chciał

wypatroszyć wieloryba. Wskoczył do wnętrza. Puszczone tworzywo opadło z lekkim plaśnięciem, po czym masa zablizniła się sama. O metr obok znajdował się czujnik

antyżłodzijski, Mart leciuteńko przygluszył go cyberłomem. Potem szybko zdjął kombinezon, który po wywróceniu na drugą stronę dał się bez trudu przekształcić w torbę podróżną.

Następnie uciekinier zdjął z szyi cyberłom, zzuł ciężkie elektromagnetyczne kalosze i wrzucił

wszystko do środka torby, którą zapiął. Niespiesznie wyszedł na komunikadę. Bystrotrotem sunęli nieliczni pasażerowie. Dołączył do nich. Po pięciu minutach znalazł się przy alei pionowej. Podeszedł do najbliższego pneumostu. Wybrał numer przechowalni z jedenastej gałęzi piątego pnia i wystukał indywidualny kod bagażu. Po minucie jego zdeponowana walizka zjawiała się na miejscu, a zbędna torba podążyła do przechowalni. Z kieszeni wyciągnął jedną z doskonale podrobionych plakiet identyfikacyjnych. (Oj, trzeba chyba będzie sporządzić parę nowych), po czym wszedł do windobusu podążającego w górę. Każdy uciekinier pragnąc się ukryć, pojechałby do Korzeni lub Kretowisk. Ale nie Mart. Z rozmysłem wybrał siedemnastkę.

Miał tam zresztą pewną sprawę do załatwienia.

\* \* \*

W garderobie cumowniczej Liba spojrzała w lustro. Lustro w rewanżu spojrzało na nią.

„Matka Boska Egipcjanka” — tak ochrzczono ją podczas pierwszego dnia pracy w KOM-ie.

I przylgnęło. Rzeczywiście, miała urodę trochę cygańską. Podobała się mężczyznom. Mniej sobie samej. Puściwszy cześniki — cztery podobne do chrabąszczy grzebienio-wibratory —

w swoje niezwykle bujne włosy, przymknęła, oczy i wróciła myślami do ostatniego rejsu. Jej pierwszego lotu akcyjnego.

Liba były niesłychanie dumna ze swojej pracy w KOM-ie. Załatwiła ją przez duże znajomości, nie bez pomocy Ewy, dla której nie było rzeczy niemożliwych. Kochana Eva, nie uwierzy, kiedy jej opowie. To było straszne, ale jakże zajmujące. Naprawdę Libie się udało! Mieć pracę i to tak ciekawą, jak asystowanie operacyjnym grupom TUP-u. Zazdrościły jej tego wszystkie koleżanki. Ileż z nich byłoby szczęśliwymi mogąc tu pracować, choćby raz w miesiącu. Liba, z dwoma godzinami tygodniowo, należała do wyjątkowych szczęściar. Inna sprawa — wiele kobiet godziło się z bezrobociem. Mężczyźni znosili je gorzej. Na szczęście łatwiej też znajdowali zajęcie. Czy to w TUP-ie, czy w którejś ze służb nadzoru, w polityce lub showbiznesie.

Wyjątkowi farciarze znajdowali pracę w Programach Kosmicznych lub w służbie granicznej.

— Oto sukces tej cholernej ekonomii! — Libie ciągle przypominał się głos ojca, który zdenerwowany czymkolwiek, wsiadał na swego ulubionego konika i uspokajała go dopiero puszka solidnego syntetycznego piwa o niepowtarzalnym aromacie Pilsnera. Wyratowali go dwadzieścia lat temu, gdy automaty zastąpiły ostatnich barmanów. — I komu to przeszkadzało? — darł się stary Rynn.

Ano, przeszkadzało. Automatyczny barman był tańszy i sprawniejszy, bardziej nowoczesny.

A społeczeństwo hołdujące zasadzie optymalizacji nie miało już wyboru. Kolejne rządy dochodziły do władzy pod hasłem skracania czasu pracy. Następnie je przelicytowały. Na każdym kroku automaty okazywały się lepsze, tańsze, wydajniejsze. Oplacało się dawać ludziom zasiłki, byle tylko nic nie robili, nie utrudniali, nie psuli.

Jeżeli w ogóle zostało coś do roboty, należało to zawdzięczać politykom z ugrupowania

„Bordowych”. Zorientowali się w porę, że całkowite pozbawienie człowieka zajęcia wpędza go w permanentny stres, wywołuje głębokie frustracje, zwiększa przestępczość bez powodu i

choroby psychiczne. Toteż ustalono pewne robocze minimum, aby większość mogła być raz w tygodniu, miesiącu lub kwartale przydatna społecznie. I choć było z tym więcej kłopotu niż pożytku, konflikty zelżały. Ba, pozwolono również starym jajogłowcom bawić się w naukę, twórcom tworzyć, kompozytorom komponować, chociaż wiadomo, że osobniki nawet o talencie Rembrandta czy Mozarta przegrywają z byle maszyną typu GENIO.

Nie wszyscy się z tym godzili. Ale posiadacze pracy skrzętnie bronili jej ze wszystkich sił.

Związki Zawodowe, chroniąc swych członków, powołały nawet policję (TUP), której zdaniem było tropienie wszystkich podejrzanych o pracę „na czarno” i surowe karanie sprawców.

Oczywiście „na czarno” mogli pracować tylko maniacy, ponieważ konkurencja automatów czyniła taką działalność wręcz charytatywną.

Ale kryminaliści żerowali na snobach. I mimo, że pedikiurzystka — człowiek, pod względem sprawności miała się do automatu jak maczuga do lasera, wiele elegantek za cel stawiało sobie obchodzenie przepisów i korzystanie z usług tych niekonwencjonalnych amatek.

Konwencjonalnych też żyło parę (choćby dla KONWENTU KONWENTÓW), ale te znów były tak pioruńsko drogie, że nawet w rodzinie Miliardników portfel pocił się na samą myśl o takim wydatku.

Tymczasem do garderoby zajrzał Mennarr.

— Hej, maleństwo! — zawołał i wszedł bezceremonialnie. Liba poczuła gęsią skórkę. Nigdy nie potrafiła zrozumieć takich obleśnych typów, jak ten wiecznie spocony albinos. Jak można było być erotomanem w dobie rozkwitu technik holo i biowizji, gdzie cielesne obcowanie z fantomami mogło zadowolić najbardziej wyrafinowane gusty seksualne. Ponadto, jako dobrze sytuowany urzędnik TUP-u, Mennarr miał dość środków zarówno na wiwki, jak i dziwki.

Kiedy bezceremonialnie złapał ją za biust, wykonała półobrót i rzuciła lubieżnikiem o elastyczną ścianę.

— No, no, co tak mocno dzisiaj? — powiedział zaskoczony.

Kopnęła go w twarz, potem w podbrzusze, a kiedy zawył, wywalila za drzwi.

— Czyś ty naprawdę zwariowała? — zawołał, umykając. Mennarr, rzecz jasna, należał do masochistów. Lubił brać w skórę. Istnieją jednak jakieś granice. W trakcie zadawania ciosów cześniki pospadały z głowy Liby i — ku największemu zdziwieniu dziewczyny — opadły na fotel, masowały same siebie. Zboczenie automatów, do tego już doszło?!

— Narry — zawołała po chwili — chodź tu!

Wszedł przygarbiony, gotowy do odparcia następnego ciosu.

— Słyszałeś o naszej dzisiejszej akcji?

— Śledziłem na monitorze.

— Co to był za człowiek? Ten, którego ścigaliśmy? Wzruszenie ramionami.

— Wybierz informogram, znasz przecież klucz do archiwum. To akurat nie podlega utajnieniu.

Wydruk nieco ją rozczarował. Niewiarygodne, że w dobie pełnej informacji można było równie mało dowiedzieć się o człowieku.

Mart (nazwisko nieznane) urodził się gdzieś na Pograniczu. Za Pograniczem przemawiała również sprawność fizyczna, nie do pomyślenia u ludzi z miasta. Wskazywały na to jego rysy i lekko śpiewny akcent. Musiał mieć około trzydziestu lat. Od pięciu lat poszukiwany był za rozmaite przestępstwa przeciw prawu pracy. Nie istniały żadne dane o jego dzieciństwie,

wykształceniu. Po raz pierwszy niepokojące sygnały dotarły z czwartej metropolii przed pięcioma laty. Mart prowadził wówczas domokrażny warsztacik naprawczy wszystkiego.

Reperował wiekowe budziki z XX-wieku i stare elektroniczne biowizory. Było to absolutnie zabronione. Stary sprzęt, z wyjątkiem egzemplarzy uznanych za muzealne, ulegał niszczeniu po określonym czasie użytkowania, niezależnie od tego, czy był w pełni sprawny, czy nie.

Zatrzymywanie gratów było „przestępstwem przeciwko produkcji”. Tworzyło sytuacje kryzysogenne. Mart zerował na psychicznej ułomności ludzi, którzy mimo odpowiedniej edukacji przyzwyczajali się do starych sprzętów, nawet jeśli były już przestarzałe, zawodne i estetycznie obrzydliwe.

Szczególnie wredni bywali starcy, którzy ukrywali podczas dorocznych kontroli dawne wyroby, tłumacząc, że się zgubiły lub zniszczyły. A potem czekali na Marta lub jemu podobnych wyrzutek. Majsterkowicz był początkowo jedynie ostrzegany. Potem parokrotnie konfiskowano mu warsztacik. Wreszcie miarka się przebrała. Został ujęty i odstawiony do Ośrodka Reeducacji.

Liba miała niewielkie pojęcie o tym osnutym grozą obiekcie, na jego temat krążyły najfantastyczniejsze legendy. Często sprzeczne. Jedno było pewne; nikt po zabiegach nie wychodził z niego sobą. Patologiczni mordercy mogli potem niańczyć niemowlęta, wrogowie systemu występować w charakterze społecznych agitatorów.

Mart przetrzymał pierwszą serię. Co więcej, w trakcie terapii wykonał bliżej nieznaną zabieg, który sprawił, że zaaplikowany program jeszcze go wzmocnił. Zamiast konformistą został

zdeklarowanym buntownikiem. Potem uciekł i przez trzy lata nie zarejestrował go żaden czujnik. I dopiero teraz...

Liba zadawała sobie pytanie, dlaczego tak zainteresował ją ten człowiek? Widziała go przez krótką chwilę, on nawet nie mógł jej zobaczyć. A przecież interesował ją stokroć bardziej niż mdła zgraja funkcjonariuszy KOM-u czy nieokrzesani TUP-erzy. Dlaczego Mart się buntował?

Czego naprawdę poszukiwał? Na wideogramach miała odtworzoną sylwetkę zbiega — nieruchomą i w ruchu, ubraną i nagą... Nie drażniła jej ani szrama na twarzy, ani niemodna dziś muskulatura. To był ktoś ciekawy.

— Jaka szkoda, że nigdy z nim nie porozmawiam! — westchnęła.

\* \* \*

Grood nie krył wściekłości. Uciekinierz przepadł. Wszystkie czujniki ERT-a przeszukujące przestrzeń wokół pnia milczały. A przecież policyjne autorytety zgodnie stwierdziły, że sztucznym zmysłem TUP-u nie można uciec. Podczas pościgu automaty zebrały całą gamę informacyjną Marta — w programie przekazanym „matce” zakodowano jego wideogram, ruchy, falę bioenergetyczną, zapach, częstotliwość oddechu. Przed nośnikiem, wyposażonym w taki program nie było ucieczki. Czujniki istniały praktycznie wszędzie. A jednak złoczyńca zniknął.

Czyżby jego elektroniczny wizerunek został sfalszowany?

Gorycz przepełniła serce funkcjonariusza, ci z ERS-u już go prawie mieli. Gdyby nie rygorystyczne regulaminy domagające się nieprzedłużania czasu pracy, pościg mogliby

kontynuować ci, co zaczęli, a tak... Grood zaklął:

— Jesteśmy więźniami własnych przepisów!

Oczywiście wierzył, że prędzej czy później któraś z załóg dostanie Marta; kolejne porażki (w ciągu trzech dni zdarzyło się ich już parę) powiększały zasób informacji na temat zbiega. ERS

na własnej aparaturze przekonał się, że zbrodzień dysponuje cyberłomem, następnym razem jednak ścigający nie popełnią błędu automatyzacji pościgu. A centrala obiecywała nowe rozwiązania.

Dopiero po dziesięciu minutach dostrzeżono bliźnę w powłoce zewnętrznej gałęzi.

Uniwersnóż był zatem kolejnym sprzętem, jaki miał na wyposażeniu ścigany.

Komputery, które otrzymały problem do rozwiązania — podobnie jak ludzie — postawiły jedynie kilka znaków zapytania. Dlaczego Mart wyszedł z ukrycia właśnie teraz, czego szukał w arbopolis nr 11 i co jeszcze mogło ich spotkać z jego strony?

Grood miał wrażenie, że Centrala może wiedzieć coś więcej na jego temat, ale nie kwapił się z zadawaniem pytań.

— Najchętniej kropnąłbym sukinsyna! — asystent Berri zwerbalizował marzenie dowódcy.

— Co pan mówi?! — obruszyła się milcząca dotąd asystentka z KOM-u.

— Żartuje i tyle — usprawiedliwił go Grood. — Prędzej czy później Ośrodek Reeducacji dostanie go całego i zdrowego.

\* \* \*

Pułkownik Virder Boddox wyszedł z kabiny odświeżającej.

Stał przed sferolustrem i z zadowoleniem obserwował ze wszystkich stron swoje osiemdziesiąt pięć kilogramów dorodnego samczego mięsiwa. Patrzył na brodatą twarz, herkulesowe ramiona — wynik po części stosowania odpowiednich odżywek, po części dzieło genetyków — na skołtunione włosy na piersi, w które lubiły nurkować lekkie, łatwe i chętne panienki rozrywkodajne. Pułkownik wolał wprawdzie amatorki od profesjonalistek, ale surowe zasady Kosmicznego Zakonu nie zezwalały na mieszanie się z pospółstwem. Od najmłodszych lat kandydaci Programu hodowani byli wedle innych od powszechnie obowiązujących reguł.

Ich celem było nie przetrwanie w królestwie konsumpcji, ale otwieranie nowych horyzontów.

Tam w kosmosie, a nie na zagęszczonej i ciągle podzielonej Ziemi, czekało JUTRO. A ci, którzy mieli je zdobyć, musieli się do tego należycie przygotować.

Co tu jednak mówić o jutrze? Dziś, przed wylotem musiał się odprężyć. Ostatni kawalerski wieczór. Coś jednak mu się od życia należało!

— Idziesz, malutki? — zabrzmiał głos Ewy. — Czekam!

Boddox uniósł impulsator, wyrafinowane narzędzie sadomasochistów i wszedł do sypialni.

\* \* \*

Cokolwiek by się nie rzekło, schyłek XXII wieku należał do okresów niebywałego wręcz rozrostu wolności i demokracji. Człowiek, dzięki postępowi nauk, stał się nie tylko pełnym panem natury, ale również siebie. Rodzina — jako twór sztuczny i niefunkcjonalny — rozpadła się. Istniała oczywiście w sensie prawnym, jednakże poza nazwą nie istniały właściwie zobowiązania rodziców wobec dzieci czy dzieci wobec rodziców. Wszystko zapewniały agencje ubezpieczeniowe, a Karta Praw Dziecka pozwalała, praktycznie od dwunastego roku życia, na pełną samodzielność. Naturalnie, jeśli ktoś nie gustował w terminowym konkubinacie i chciał



mieć stałą żonę, mógł ją posiadać, a nawet kilka — istniało wszak wielożeństwo, poligamia, poliandria, nikogo też nie dziwiły związki homoseksualistów. Ani to, że miewali dzieci. (U partnera biernego potrafiło już pobierać geny żeńskie i tworzyć homunkulusów posiadających cechy obu partnerów). Naturalnie kwitła dobrowolna eutanazja — życie trwało teraz dość długo (do stu pięćdziesięciu lat albo dłużej), więc każdy mógł je dobrowolnie skracać. Istniała też eutanazja przymusowa, ale wymagała stuprocentowej zgody całej rodziny pacjenta do czwartego stopnia pokrewieństwa i — jak twierdziły mass media — nie była nigdy stosowana pochopnie.

Za to Akt Intymności z 2105 roku zapewniał nienaruszalność mieszkań, toteż aparatura podsłuchowa i podglądowa instalowana była wyłącznie na żądanie właścicieli. Jedni instalowali ją z lęku przed złodziejami, inni dla perwersji. Głównym problemem Marta było rozróżnienie na pierwszy rzut oka rezydencji będącej — lub nie będącej — pod kontrolą.

Wspomniane wolności oczywiście ograniczały pewne fundamentalne prawa. Prawo do Pracy, Prawo Własności Rzeczy Nowych — które pozostawało trwałym fundamentem systemu i Kodeks Miłości. Pod tą eufemistyczną nazwą krył się dawny kodeks karny, chociaż poza grzywnami (symbolicznymi, żadna bowiem kara nie mogła naruszyć standardu ekonomicznego skazanego) istniał tam właściwie jeden rodzaj wyroku. Wychodząc z założenia, iż przestępstwo jest chorobą — schwytani mordercy, gwałciciele, włamywacze lub anarchiści kierowani byli do Ośrodków i wychodzili stamtąd całkowicie odmienieni. To prawda, wielu z nich po krótkim czasie sięgało po luksus dobrowolnego samobójstwa — ale i tu Usługi szły na rękę swym klientom. Autolikwidatornie zapewniały szeroki wachlarz bezbolesnych sposobów usunięcia się ze świata, od samotniczej eliminacji, po harakiri, mało kłopotliwe dzięki współpracy wykwalifikowanych robotów–anestezjologów, dysponujących szerokimi możliwościami miejscowych znieczuleń. Staranne planowanie urodzin i kontrola nad płodem sprawiała, że większość dzieci rodziła się dokładnie takimi, jakimi zaplanowali je rodzice; stanowiły ich repliki albo odwrotnie — przeciwieństwa.

Jeśli w tym wszystkim istniały jakieś wylomy, winowajcą była ciągle niedoskonałość natury ludzkiej, która nie do końca poddawała się inżynierii genowej oraz tradycjonalizm niektórych obywateli, wychowywanie dzieci w domu lub co gorsza, edukowanie ich na konserwatywnych wzorcach. Były też dwa marginesy ultrapostępowego życia: Korzenie i Pogranicze.

Od czasu zwycięstwa oszczędnych technik i powstrzymania ekologicznego regresu, nowy wspaniały świat oderwał się od tradycyjnych naziemnych struktur. Poszedł wzwyż. Ogromne miasta w formie gałęzi, czasem przypominające strukturalne modele cząsteczek, sięgnęły wysoko w niebo, korzystając hojnie z energii słonecznej. Wszystkie segmenty obdzielane były nią równo, dzięki obrotowości struktur. Światło to nie gasło nigdy — nocą zawieszono w kosmosie lustra przejmowały funkcje słońca.

Dwudziestowieczne miasta praktycznie nie istniały, niewielka ich część tworzyła żywe skanseny zamieszkałe przez zbikowanych tradycjonalistów, większość zniwelowano, splantowano i pokryto roślinnością, to znaczy najróżniejszymi koloniami upraw — glonów, planktonu, grzybów i tym podobnych świństw dostarczających wysokokalorycznego pożywienia.

Atoli w wielu miejscach pozostało swoiste inferno — świat Korzeni i Kretowisk, częściowo przeznaczonych na magazyny, częściowo zapomnianych. W tych enklawach gnieździł się

rozmaici lotrzykowie, wyrzutki społeczne, które uszły przed reedukacją, dewianty i imbecyle, których miłość rodzicielska uchroniła przed eutanazją. Świat ten zapewne z łatwością można by wykorzeńić, aliści Władze (Konwent Konwentów) tolerowały go z paru powodów. Po pierwsze, demokratycznych, po drugie, manipulacyjnych (trzeba było czymś straszyć społeczeństwo), po trzecie beletrystycznych. Gdyby nie podziemie, twórczość sensacyjno-rozrywkowa nie miałaby prawie żadnej pożytki.

Inna sprawa, że o ile dostanie się na sam dół nie nastęczało specjalnych trudności (była przecież wolność), o tyle powrót, dzięki systemowi wentyli, graniczył

z nieprawdopodobieństwem. Bariera czujności biologicznej wykluczała przecięnięcie się wirusa, a co dopiero człowieka (choć w roku 2176 w szóstym pniu pojawiła się nieoczekiwane horda szczurów). Nawet oficjalne ekspedycje z upoważnienia Konwentu penetrujące Kretowiska miały kłopoty z powrotem. Jedna — dzięki pomyłce komputera, który wykasował informacje na jej temat — przez trzy lata kołatała u podnóża, zanim ktoś na górze sobie o niej przypomniał. A Pogranicza? Tu trzeba sięgnąć do historii. Dwudziesty pierwszy wiek nazwano erą „ziemskiej konfrontacji”, przy czym nie była ona prostą kontynuacją rywalizacji dwudziestowiecznej. Świat w efekcie lokalnych konfliktów rozpadł się na dwie części. (Dwie nierówne połowy — jak pisali ówczesni kpiarze). W pewnym stopniu Północ i Południe stanowiły ciąg dalszy dawnego podziału na biednych i bogatych — na kraje surowcowe i wysoko — technologiczne. Wielki kryzys surowcowy dekady 2015–2025 miał

w zamyśle wielkich karteli producentów ropy, uranu, miedzi, cynku i aluminium zdusić Bogatych. W istocie zapoczątkował, czy raczej przyspieszył rewolucję antysurowcową.

Przełom w energetyce, przestawionej na energię naturalne — słoneczną, ciepło wewnątrzziemskie, wiatry, pływy i w mniejszym stopniu atom — zadał cios eksporterom ropy.

A Konwencja z 2024 roku wzniosła barierę handlową między tymi dwoma światami. Bogaci zrezygnowali z Biednych. Surowce coraz częściej pochodziły z odzysku, z nowo przetworzonych zasobów, z Księżyca, potem z Marsa. Biedni bronili się — jak to biedni —

eksportem anarchii, kradzieżą technologii, infiltracją, penetracją, sabotażem. Doprowadziło to w końcu XXI wieku do pełnej separacji. Między dwoma światami jednego globu zapadła elektroniczna kurtyna. Znikła jakakolwiek współpraca kulturalna i turystyczna. Bogaci zapomnieli o Biednych, Biedni wykleli Bogatych. Przepaść technologiczna pogłębiała się.

Zapóźnienie Biednych wykluczało jakąkolwiek możliwość dogonienia Bogatych, którzy skutecznie bronili stanu posiadania. Prymitywna broń zapóźnionych wystarczała jednak, aby i Bogaci nie próbowali żadnego misjonarstwa drugiej półkuli.

Bo i owszem, co pewien czas różne Humanitarne Ruchy występowały z inicjatywą Otwarcia, Pomocy, Wyrównania. Cóż z tego? Biedni robili się coraz bardziej nieufni. Gdy wybuchła wielka epidemia w afrykańskim interiorze, nastąpiła aktywizacja humanitarystów i zrzuty lekarstw.

Niestety, adresaci niszczyli przesyłki, obawiając się dywersji. Wszelkie inne próby nawiązywania łączności odrzucali, a perspektywa ekspedycji otwierających była niemożliwa, albowiem władze Biednych zapowiadały wysadzenie całej Ziemi, jeśli ktokolwiek z Bogatych pogwałci niezbywalną suwerenność Biednych.

Od piątej dekady XXII wieku nie było więc żadnych inicjatyw. Obie półkuli zajęte swymi sprawami przestały się sobą interesować. Ustalała nawet wojna w eterze, coraz rzadziej

zdarzały się afery szpiegowskie.

Pozostało Pogranicze.

Początków tego dziwnego tworu należy szukać w okresie dekady bojkotu, kiedy Samodzielne Terytorium ogłosiło neutralność wobec obu stron. Neutralność ta była szanowana po dziś dzień. W efekcie powstała kraina–hybryda, ni bogata, ni biedna, kontaktująca się ostrożnie z obiema sferami. Pogranicze nie było nigdy specjalnie ludne, większość społeczeństwa wyemigrowała do Krajów Wyższej Technologii, pozostali trudnili się przemysłem, łowiectwem, handlem żywym towarem lub pośredniczyli w szpiegostwie.

Właściwie kobiety, na które Bogaci zawsze mieli zapotrzebowanie, stanowiły najpewniejszą monetę, którą dysponowali Ubodzy. Toteż nawet w okresie, nazywanym hermetycznym, poprzez Pogranicze nieprzerwanie płynął strumyczek panienek urodziwych i powabnych, których naturalna prostota ceniona była ponad uroki genetycznej hodowli i chirurgii plastycznej. Chociaż proceder ten był zakazany, ulgi w prawodawstwie Pogranicza pozwalały szybko zdobywać dziewczynom tamtejsze obywatelstwo, a następnie, już bez przeszkód, emigrować do ultracywilizowanych pni i zaludniać tamtejsze dzielnice rozrywek i rozkoszy.

Eva, przyjaciółka Liby, należała do najpiękniejszych z imigrantek.

\* \* \*

Gałąź siedemnasta wyróżniała się szeroką komunikadą, pokrytą całkowicie przezroczystym dachem, na którego powierzchni próżno szukałbyś śladu wsporników lub połączeń. Otaczały ją nieregularne bulwy luksusowych willi, porośnięte wewnątrz i zewnątrz bujną roślinnością.

Soczysta zieleń, oszalamiające kwiaty, niezmiennie dobry klimat! Rozkoszna siedemnastka!

Mart zeskoczył z bystrotrotu przy numerze 1011, wykutym na ścianie imitującej granit. Oto i cel podróży. To właśnie stąd przed trzema dniami popłynęło zaszyfrowane wezwanie do skrzynki kontaktowej. Wzywał go Gorre, dobry stary Ditt Gorre — jeden z niewielu ludzi, dla których „Majsterkowicz” uczyniłby wszystko. Z wiadomości wynikało, że Ditt znajduje się w nielichych opalach, a jego synowi grozi Ośrodek Reeducacji. Tylko wpływom w otoczeniu Miliardnika zawdzięczali odroczenie aresztowania. Jedynej skutecznej pomocy mógł udzielić naturalnie Mart. Toteż przybywał. Przecież parę lat temu, na Pograniczu, Gorre ocalił mu życie.

Komunikada toczyła się pusta, a w zaroślach ćwierkały imitowane ptaki. Elektrokamerdyner musiał być uprzedzony, ponieważ drzwi wejściowe otworzyły się samoczynnie, a ruchome schodki uniosły gościa do obszernego atrium. Cios przyszedł nagle. Na progu niewidzialna sieć oplotła i sparaliżowała gościa. Pułapka! Każdy mięsień został porażony biopolarnie, toteż Mart znieruchomiał niczym szalencie uwięziony w niewidzialnym kaftanie, bagaże wysunęły się z rąk na wewnątrzdomowy trawnik z najdelikatniejszych mchów. Ten trawnik wszystko popsuł.

Majsterkowicz był przygotowany na ewentualność zasadzki z udziałem środków paraliżujących. W jego walizce znajdował się mechanizm eksplodujący po wstrząsie żrącym dymem, na który odporne były (wskutek treningu) jedynie przewody oddechowe Marta.

Niestety, wstrząsu nie było. Bagaże opadły miękko, łagodnie. „Przegrałem!” — przemknęło buntownikowi. Z wnętrza mieszkania wyszło parę osób. Wśród nich mocno posiwiały Gorre, z twarzą zapadniętą, pomarszczoną niczym jabłuszko, które przezimowało w śmietniku.

— To dla twego dobra, chłopie — powiedział z uśmiechem, w którym nie sposób było dojrzeć cienia fałszu. — Ktoś musiał ci pomóc. Męczyłeś się! — jego oczy patrzyły jasno, przyjaźnie.

Zwyczaj, szczerzy wzrok człowieka zredukowanego. — Pamiętasz nasze wspinaczki po górach? To były czasy...

Szef komandosów otworzył pojemnik z „sokolikami”. Małe lotne roboty uwinęły się gracko z Martem. Rozebrały go, obmacały, pozbawiły supernoża, cyberłomu, dwóch cennych drobiazgów ukrytych w szczęce i paru dodatkowych rozmieszczonych w intymnych szczelinach. Kiedy automaty zakończyły robotę, najmniejszy wysunął kolec iniekcyjny...

— Stop! — powstrzymał go szef. — Potrzebujemy go przytomnego do zeznań.

— A jeśli ucieknie? — zaniepokoił się Gorre.

— Nagi, bez sprzętu, pilnowany przez „sokoliki”? — zaśmiał się komandos. Zwrócił się do dyspofonu: — ERT, gdzie jesteś...?

— Podchodzimy do cumowni XVII-1011 — zabrzmiała odpowiedź Grooda. — Zostało nam na akcję dwanaście minut.

— Wystarczy — zdecydował szef. Jego ludzie wyłączyli biopolary i Mart osunął się na miękką, żywą wykładzinę.

\* \* \*

— Co ty tu jeszcze robisz. Liba? — irytował się Mennarr.

— Chcesz się narazić nadgodzinami?

— O ile wiem, kibicowanie akcjom naszych dzielnych chłopców nie jest zabronione — odpaliła dziewczyna. — Spłyni mi z oczu!

Nawet nie raczyła go uderzyć. Zgasiła monitor i wyszła na taras przy cumowni.

Nie ona jedna została dziś po pracy. Wieść o pojmaniu Marta ściągnęła prawie wszystkie zmiany TUP-erów, które uganiały się za nim w ostatnich dniach. Liba nie poznawała swych kolegów. Ileż nienawiści wyzwolił w nich ten buntownik. Ileż podziwu zamienionego w pogardę!

Ledwo przycumował nośnik, Grood wymanewrował zwinnie do relaksowni panienkę z KOM-u. Teraz niepotrzebny był im świadek. Profilaktycznie wyłączono całą elektronikę. Żadnych dowodów, przekazów, utrwał.

— Dajcie mu wycisk, chłopcy — rzucił zgromadzonym.

— Wicemiliardnik przybędzie po niego za kwadrans. A ja swoją służbę skończyłem. Panna Velli też.

Liba domyślała się, do czego to wszystko zmierza, poszukała wzrokiem kogoś starszego rangą. Ale wszyscy oficerowie zniknęli, a może woleli się nie pokazywać. Pomyślała o wideofonie... Na próżno... Ktoś wyłączył aparat na tarasie. Natomiast dla wysiadającego Marta urządzono prawdziwą ścieżkę zdrowia. Osłabiony, chwiejący się na nogach, kopany i popychany, posuwał się między dwoma szeregami TUP-erów wśród gradu ciosów. Zupełnie się nie bronił. Nie miał sił? A może został już czymś naszprycowany? Wreszcie walnięty silnie przez ryżego podoficera z TUP-u runął i znieruchomiał. Liba zamknęła oczy. Na szczęście, nikt nie zwracał na nią uwagi. Tłum rozstąpił się. Na trotuarze pozostało zakrwawione ciało jeńca.

— Zabili go, dranie! — bolesny skurcz targnął sercem Liby. Nie poznawała siebie. A może po raz pierwszy poznawała całe okrucieństwo zaprogramowanego świata. Sprawcy śmiali się i lżyli leżącego. Niewiarygodne, ale Mart podźwignął się, klęknął. Robił wrażenie półprzytomnego. Z rozciętego w paru miejscach czoła spływały strumyczki krwi, nadając bladej twarzy wstrząsający wygląd.

„Ecce homo!” — pomyślała Liba. Była wstrząśnięta. Jeżeli nawet mogła podejrzeć, że ten i

ów z jej schludnych, wysoko kwalifikowanych kolegów jest bydlakiem, nie dopuszczała myśli, że tacy mogą być wszyscy.

— Weźcie i umyjcie go — zawołał ktoś ze starszych funkcją. — Wścibskim dupkom z KOM-u powiedzcie, że sam się podrapał.

Tłumek rozchodził się. Niektórzy sarkali na przedwczesny koniec zabawy. Wśród trójki facetów, którzy podnieśli pobitego niczym worek, Liba rozpoznała Mennarra. Wciągnięto bezwładnego zbiega do garderób. Poza bezgranicznym żalem dziewczyna czuła też pewną pretensję do Marta — dlaczego on, taki heros, równie łatwo pogodził się z losem?

\* \* \*

Odoczywali w łagodnym powiewie dozodorantola, zdejmującego z ich ciał kropelki potu.

— Jadę na kurewsko długo — mruzczał pułkownik Virder Boddox, wpatrując się w rozszerzone narkotykiem i seksem oczy Evy.

— Ostatnio nie było cię trzy lata.

— Teraz w najlepszym razie będzie to trzydzieści.

— Tajny program „Siódme niebo”?

Popatrzył na kurtyzanę z uznaniem. Chyba plotki, że żyje z samym Miliardnikiem, nie były pozbawione podstaw.

— Dlaczego trzymacie to w takiej tajemnicy? — zapytała.

— Na wszelki wypadek. Wiesz, że lobby TUP-u jest przeciwne kolonizacji kosmosu. A i wróg nie śpi.

— Wróg! — zdziwiła się — Przecież oni żyją w ziemiankach albo powrócili na drzewa.

— Ale co pewien czas wystrzelują z procy statek kosmiczny i potem odkrywamy ich stacje na Tytanie...

— Trzydzieści lat... — w jej gardłowym pomruku wyczuł odrobinę żalu. — Po piętnaście w jedną stronę. Nie ma czegoś bliżej?

Roześmiał się.

— Niestety, Nea jest pierwszą planetą odkrytą w kosmosie, która ma zbliżone warunki do ziemskich. Posiada nawet życie roślinne i zwierzęce.

— A są tam ludzie?

— Na razie nie. Według ocen zwiadu trwa tam epoka podobna do naszej jurajskiej: wielkie jaszczury, łuskowate gadoptaki, a z ssaczych przodków człowieka — myszy, krety, torbacze...

— Był tam już ktoś?

— Jedna z sond zebrała dość solidny materiał. Wysłano ją w czasach, gdy twój dziadek jeszcze raczkował. Dopiero od pięciu lat opanowaliśmy prędkości przyświatlne. A od dwóch lat trwa na Księżycu budowa ARGO.

— Skąd taki pośpiech?

— Czy masz pojęcie, co oznaczałoby dla ludzi, gdyby plany ARGO trafiły na Południe?

— Przy ich technologicznym zapóźnieniu?

— Mimo wszystko, koncentrując środki, mogliby za parę lat zmajstrować coś takiego, a potem przy odrobinie szczęścia dotrzeć tam przed nami. A wówczas, kto wie, jak potoczyłyby się losy Wszechświata. Są biedni, zapóźnieni, ale zdesperowani. Jeden dawny pisarz stwierdził: „Czyż syte brytany potrafią oprzeć się zgrai głodnych wilków...?”

— Mój ty brytanie! — Ugryzła go, ale delikatnie. Zachichotał.

— Tylko mnie przypadkiem nie kontuzjij, jestem już po wszystkich kontrolach, za dwie godziny wylatuję na Księżyc, a tam tylko zaokrętowanie i w gwiazdy!

Dwa bicze wodne siekły nieruchome ciało Marta. Liba śledziła te ablucje przez małe okienko z relaksowni. Pojmany ciągle pozostawał bierny. Mennarr najwyraźniej uznał, że klientowi przydałoby się trochę gorącej pary. Podszedł do ręcznych wyłączników (elektronika nadal pozostawała wyłączona) i wtedy „Majsterkowicz” uderzył. Nagle bezwładna kupka skóry i kości stała się prawdziwym młotem. Uderzony bykiem rudzielec z ERG-u poleciał na terakotową ścianę. Cios w splot słoneczny unieszkodliwił krępego łyska...

— Nie, nie — zapiszczał przerażony Mennarr. — Daruj!

Mart nie zwrócił na to uwagi. Cios, prawie niezauważalny, odwrócił masochistę wprost na wylot otworu z parą.

Nieludzkie wycie musiało być słyszalne również na zewnątrz przemysłowej myjni.

Uprzedzając możliwość nadejścia posiłków, Mart zaryglował drzwi zewnętrzne. Potem rozejrzał

się. Liba wiedziona nie do końca kontrolowanym impulsem otworzyła drzwi do garderoby.

— Tędy — szepnęła.

Nie wahał się ani chwili. Przy zewnętrznych drzwiach powstał już tumult. Okrzyki.

Łomotania.

Pobiegli wąskim, pustym korytarzykiem pomiędzy garderobami.

— Jesteś desperatem — rzuciła w biegu. — Szaleńcem. Atakować trzech przeciwników na raz.

— Nie jestem szaleńcem. Po prostu zauważyłem panią w tamtym okienku.

— Skąd wiedziałeś, że zechcę ci pomóc, skoro ja sama tego nie wiedziałam?

— Na coś trzeba postawić. Gdzie wasz najbliższy pneumopost towarowy?

Znaleźli punkt po przebiegnięciu stu metrów. Nadal nikt nie włączył automatyki, nie podniósł alarmu. Widocznie TUP-erzy sądzili, że i tak dopadną zbiega, unikając zarazem kłopotliwych pytań na temat swych sadystycznych, nieregulaminowych poczynań.

— Masz jakiś pewny adres? — zapytał Mart. — Muszę zyskać choćby pół godziny.

— Moje mieszkanie?

— Odpada. Nie będę cię narażać. Powiesz, że cię sterroryzowałem. Nie masz jakiejś starej ciotki albo kuzyna, który wyjechał?

— Mam przyjaciółkę... Ona jest bardzo miła i dużo może.

— Adres?

— XX-244.

— Ho, ho! Najwyższe sfery. Teraz pozwól, że się skoncentruję. Zamkniesz za mną klapę.

Otworzył pojemnik bagażowy, zaprogramował adres i wszedł do środka kapsuły. Liba zaoponowała:

— Oszalałeś! Nie zmieścisz się tam, a poza tym zaraz zabraknie ci powietrza. Nie mówię już o przyspieszeniu.

— Trenowałem kiedyś bobsleje. I nurkowanie na bezdechu — uśmiechnął się szelmowsko.

— Poza tym znam parę hinduskich numerów z regulacją oddechu. Pięć minut to nie tak długo.

Teraz pochył się. Przepraszam, ale będę cię musiał uderzyć. Potem zamkniesz za mną klapę i włączysz start. Adres jest zakodowany. Następnie policzysz do trzech i rozbijesz butem

programator tak, żeby nie mogli ustalić, dokąd się udałem. Pamiętaj, nie później! W piątej sekundzie impuls idzie do banku danych. Potem przewrócisz się i udasz omdlenie. Potrafisz zrobić to wszystko?

— Potrafię... a zobaczymy się kiedyś?

— Da Bóg!

Zamknął się, ale nim uderzył dziewczynę, ucałował jej rozchyłone w zdziwieniu usta.

\* \* \*

Nie miał żadnej pewności, że mu się uda. Owszem, znał fakirskie sztuki, uprawiał kiedyś jogę, nurkował. Potrafił też zwolnić uderzenie pulsu, a nawet zapadać w sztuczny letarg, ale to wymagało czasu, którego teraz nie miał. Skurczony w dusznym pojemniku, przekonany, że ma jedną szansę na sto, leciał pneumatycznymi tunelami poczty ku samej koronie urbanistycznego drzewa.

Biedna Liba. Jej tłumaczenia przed Komisją nie wypadną przekonywująco. Zresztą wykrywacze kłamstw rozpracują ją szybko. Jeśli skończy się jedynie na wywaleniu z KOM-u i bardzo krótkim pobycie w Ośrodku Reeducacji, będzie to zawdzięczać sporemu szczęściu i pobłażliwości Wicemiliardnika, który doskonale znał ułomności kobiecego charakteru.

Później wszystko się ułoży. Po paru latach Liba dostanie nawet pracę, pozwolą jej urodzić dziecko. Ale nie zabiorą jej jednego: snów, kolorowych snów o tych dwóch niezwykłych godzinach jej życia i o mężczyźnie, którego po raz pierwszy spostrzegła na wsporniku gałęzi, a po raz ostatni w kapsule pneumopostu. I który obiecał wrócić. Ale będą to tylko sny, których nie będzie pamiętała na jawie, nie wywabione do końca rojenia z najgłębszych rewirów jej mózgu. Ani ona, ani najbliżsi nie potrafią wytłumaczyć sobie, dlaczego w niektóre dni będzie budzić się szczęśliwsza?

\* \* \*

Charakterystyczny sygnał dźwiękowy, zwiastujący nadejście poczty, dobiegł Evę w momencie, gdy sięgała po tacę z owocami. Nie zaskoczył jej. Często otrzymywała niezapowiedziane przesyłki od licznych wielbicieli. Wyszła z sypialni do perystylu i zwolniła klapy pneumopostu.

Właściwie powinna krzyknąć. Nie krzyknęła. W pojemniku leżało ludzkie ciało. Ugniecione i posiniałe. Cofnęła się, by wezwać na pomoc Boddoxa, ten jednak akurat zniknął w toalecie.

— A może to kawał? — pomyślała sekundę później. — Może któryś z żartownisiów, jakich wielu przewinęło się przez jej sypialnię, przysłał jej wiwka?

Uniosła głowę mężczyzny zaklinowaną między kolanami. Człowiek z paczki nie był wiwkiem! Zamiast tworzywa dotykała realnego ciała. Co ciekawsze, zaczynał właśnie odzyskiwać przytomność. Na policzki wrócił rumieniec. Drgnęły mięśnie. Wreszcie potrząsnął głową, westchnął i otworzył oczy.

Eva stała jak sparaliżowana. Mężczyzna tymczasem uniósł nieco drżącą rękę i przytknął ją do ust.

— Ciii... Przysłała mnie Liba — szepnął.

Skinęła głową, choć wersja wydała jej się nieprawdopodobna. Liba i goły, umięśniony mężczyzna? Jej przyjaciółka była osobą tak porządną, że nie domyślała się nawet, że Eva to najbardziej renomowana kurtyzana pnia. Ich dziwaczna przyjaźń trwała już lata, a hetera kontynuowała ją trochę dla żartu, a trochę dlatego, że nudziło ją „zawodowe” towarzystwo.

Przybysz nie zostawił jej wiele czasu na zastanowienie. Wolno, każdy ruch sprawiał mu najwyraźniej ból, był zresztą pokaleczony na całym ciele, wylazł z pojemnika.

— Jesteś sama? — zapytał Evę.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pułkownik Virder Boddox wyszedł z toalety w kosmatym białym szlafroku. Widząc golca dyskutującego z równie nie ubraną kochanką spurpurowiał z gniewu.

— Kto to jest?! — wrzasnął.

— To wiwek — zaczęła Evvi — przysłała mi go...

Trzasnął policzek, Boddox odepchnął kurtyzanę i kocim susem dopadł do Marta.

— Wiwek — dyszał. — Ty dziwko, zaraz ci go zdemontuję!

Majsterkowicz uchylił się i morderczy cios kosmonauty strzaskał jedynie piękną orientalną wazę. Również uderzenie stopą chybiło celu. Marta uskokczył.

— Pan wybaczy, zaszła pomyłka... Ja wszystko wytłumaczę — zaczął łagodnie.

Virder czuł się ośmieszony. A na to nie mógł sobie pozwolić. Zawsze uwielbiał imponować kobietom, teraz nie marzył o niczym bardziej niż o zmiżdżeniu intruza na oczach dziewczyny.

Zerwał ze ściany wąski nóż (sztuka ludowa, przemyt z Południa) i zaatakował ponownie. Parada obcego okazała się skuteczna. Wyraźnie jednak unikał zwarcia. Może był niepewny swych sił?

Boddox od razu zmiarkował, że nie ma do czynienia z nowicjuszem. Zrzucił szlafrok i nagi zaczął okrażać Marta, który wycofywał się wśród palm i wazonów wypełniających wewnętrzny ogród.

— Wezwę pomoc — zaofiarowała się Eva.

— Siedź cicho! Wiesz, że nielegalnie opuściłem bazę. Jestem już po badaniach.

— Ale spóźnisz się na odlot ARGO!

— Załatwienie tego szczura nie zabierze mi więcej niż minutę!

Nie zwrócili uwagi na zmianę w twarzy Marta. Na jego wzrok, który z postaci Virdera przesunął się na wiszący mundur...

W programie szkoleń kosmonautów znajdowała się walka wręcz, boks, karate, toteż w zderzeniu z normalnymi zniewieścicielcami, czy nawet TUP-erami, bracia Kosmicznego Zakonu uchodzili za nadludzi. Inna sprawa, że rzadko sprawdzali swe umiejętności w rzeczywistej walce. Boddox po paru minutach pojął, że ring czy mata a prawdziwa walka, to są zupełnie różne sprawy. Intruz wyślizgiwał mu się, parował ataki, oddawał ciosy. Bił jednak słabo.

— Zmęcę go — postanowił pułkownik.

Final nastąpił wcześniej. W pewnym momencie udało mu się zapędzić Marta do sypialni.

Pomieszczenie nie miało dodatkowego wyjścia i stanowiło oczywistą pułapkę. Wówczas wzrok ściganego padł na leżący wśród miłosnych akcesoriów impulastor sadomaso. Majsterkowicz chwycił go w prawą rękę, przesunął potencjometry aż do końca skali, daleko poza czerwoną linię i wymierzył aparat w Virdera.

— Nie! — krzyknął Boddox. Wiedział, że użycie maksymalnej dawki było groźne dla zdrowia i życia. Marta ścisnął rączki. Targnięty megaorgazmem pułkownik wyskoczył w górę jak wyszarpnięta z wody ryba i padł martwy.

\* \* \*

Dla obserwatorów z wahadłowców księżycowych wisząca ponad powierzchnią Srebrnego Globu ARGO, przypominała olbrzymiego wieloryba, w momencie zbliżania się do statku



przysłała całe niebo. Ostatnia partia załogantów weszła sprężystym krokiem przez rękaw trapu do Wielkiej Śluzowni. Na małym, pokrytym czerwoną wykładziną podeście stał Admiral

Lodder, obok niego Miliardnik Rutto, delegowany przez Konwent Konwentów i Starszy z Agencji „Kosmos”. Ściskali dłonie wchodzącym, a SzeF Programu, siwy kurdupłowaty profesorek liczący już ponad sto trzydzieści pięć lat, półgłosem przedstawiał wchodzących.

Padaly nazwiska — male, duze i srednie — weteranów lotów załogowych, jak i szanowanych ekspertów, przy czym nawet weterani nie przekraczali czterdziestu lat. Z całą pewnością w składzie ekspedycji nie było amatorów. Komputery wybrały najlepszych fachowców, ekspertów i praktyków — ludzi zdrowych, sprawnych, zahartowanych w niejednej ekspedycji i na dodatek niekonfliktowych, co zważywszy na długotrwały czas lotu, należało do warunków

*sine qua non*. Jeden utajony schizofrenik w wyprawie na piąty księżyc Jowisza przed stu laty doprowadził do takiej psychozy na statku, że skończyła się ona wzajemnym wymordowaniem się załogi ekspedycji.

W puli, z której wybierano załogę, znajdowało się parę tysięcy „włóczęgów kosmosu”, toteż nie ulegało wątpliwości, że wyłoniony skład musiał być optymalny. Admiral Lodder znalazł osobiście jedynie dwójkę z załogantów. Ekipa również przeważnie nie znała się nawzajem.

Przed startem ani razu się nie spotkali. Cel wyprawy znali nieliczni, i to tylko z przecieków.

Dopiero podczas teleodprawy w przeddzień odlotu poinformowano ich, że tym razem wycieczka w gwiazdy potrwa minimum trzydzieści lat. Trudno nie mówić o szoku. Paru ekspertów nie wytrzymało psychicznie i trzeba było powołać do składu dwójkę załogantów z listy rezerwowej...

Lodder wpatrywał się uważnie w twarze swych podwładnych. Ileż wzruszenia musiało kryć się pod kamiennymi marsami czy sztucznymi uśmiechami. Dla tych, którzy odbili z Księżyca, by wylądować na pokładzie ARGO, klamka zapadła. Ostatnim wahadłowcem miał wrócić tylko SzeF Programu i Starszy Agencji. Mało prawdopodobne, żeby staruszek Luggini miał doczekać powrotu wyprawy, nad czym zresztą nieustannie bolał.

Mocne uściski rąk. Śmiałe wejrzenia inteligentnych oczu. Lekarzy i astrofizyków, nawigatorów i nauczycieli. Szkoda, że ludzkość Ziemi i okolicznych planet dowie się o starcie dopiero za tydzień, gdy ARGO osiągnie prędkość podświetlną i stanie się nieosiągalnym celem dla potencjalnych konkurentów. Lodder chrząknął, opanowując wzruszenie.

— Panie i panowie — rzekł. — Witam was. Szanownych uczestników największego przedsięwzięcia ludzkości od czasu budowy wieży Babel...

Później przemawiać będzie profesor Luggini, który z właściwą sobie próżnością opowie o programie jako swym ukochanym, cudownym dziecku, oraz Starszy Agencji, który nie zapomni powiedzieć o kosztach i nadziejach. Potem załoga rozejdzie się na stanowiska, a Lodder rozpocznie oficjalną wycieczkę po Jednostce.

\* \* \*

Miliardnik Rutto został zaszokowany jej ogromem. Z programem związany był wprawdzie od roku, nadzorował całą ekspedycję z ramienia Konwentu Konwentów, został także delegowany na jej kuratora (co wywołało histeryczne reakcje żony i dzieci), a jednak musiał przyznać, że do tej pory nie miał pojęcia, czym naprawdę była montowana na orbicie wokółksiężycowej ARGO.

Część „mieszkalna” statku liczyła około dwóch kilometrów długości i blisko jeden szerokości.

Ponadto należało dodać jeszcze dwa kilometry kwadratowe składów oraz wydzielone bloki silowni i generatora pola ochronnego, zabezpieczającego statek przed bombardowaniem kosmicznym pyłem, co przy prędkości podświetlanej musiałoby się skończyć katastrofą.

Wspomniane dwa kilometry kwadratowe biosfery wypełniało miniaturowe miasteczko: ogrody, lasek i łąka, a nawet małe jezioro bogate w ryby. Wewnętrzna grawitacja zapewniała pełną stabilność, z ciążeniem zbliżonym do ziemskiego, a sztuczne słońce upodabniało całość do malowniczej, prowincjonalnej osady z epoki przedindustrialnej. Na łące pasły się zwierzęta, w zaroślach śpiewało ptactwo. Nic nie zdradzało wszechobecnej elektroniki, która stanowiła układ nerwowy tego pęcherzyka życia wysyłanego w bezmiar Wszechświata.

Osada stanowiła kompromis między ideałem samowystarczalnej gminy, a superzaprogramowanym światem XXII wieku. Naturalny obieg białka wspomagać miały syntetyki, a procesom asymilacji i fotosyntezy towarzyszyć miały mechanizmy uzupełniające, na przykład kontrolujące proporcje gazów w atmosferze. Oczywiście, można było ulokować ekspedycję w bardziej funkcjonalnych kapsułach i zrezygnować z rustykalnego zakątka, jednak zaprotestowali przeciw temu psychologowie. Twierdzili zgodnie, że tylko takie otoczenie da możliwość bezkonfliktowego przeżycia piętnastu lat podróży, a także właściwy rozwój kolonistów.

Na ryneczku delegację opadł tłum dzieci. Jasnych i brązowych, płowowłosych lub skośnookich. Rutto wiedział, że wybrano ich dwieście pięćdziesiąt, choć optycznie wyglądało, że jest ich dwa razy tyle. Na pokładzie (czy właściwiej byłoby rzec w miasteczku) przebywały od paru dni i wyglądały na zachwycone swoją rolą. Wszystkie w wieku od siedmiu do dwunastu lat traktowały wyprawę raczej jako przygodę niż historyczną misję, przecież właśnie one miały stanowić Ojców Pielgrzymów (i Matki) przyszłej cywilizacji, Patriarchów Nowej Ziemi.

Dwudziestu pięciu dorosłych załogantów stanowiło jedynie ekipę przewoźników.

Dzieci wyselekcjonowano równie starannie jak załogę. Były to najzdrowsze i najinteligentniejsze sieroty z wyoskorozwiniętych pni. Podrzutki i rezygnaty (kategoria dzieci oddanych przez rodziców na wychowanie KOM-owi). W trakcie piętnastu lat podróży miały nauczyć się wszystkiego potrzebnego dla ich misji, obsługiwania wspaniałej aparatury ukrytej w ładowniach ARGO, a nade wszystko zachowania tradycji Starej Planety.

Dlaczego zdecydowano się na dzieci? Psychologowie twierdzili, że starsi koloniści przynieśliby ze sobą nieuleczalną nostalgię za Ziemią, rozmaite nawyki i obciążenia psychiczne. Młodemu łatwiej przyjdzie się zaadaptować. Zwłaszcza tym, którzy urodzą się już w trakcie podróży.

Godzinę później odbyła się ceremonia pożegnania ostatniego wahadłowca. „Argonauta” gotowy był do drogi. Znów wszyscy zgromadzili się przy podium. Brawa żegnały tych, co mieli pozostać.

— ...A przede wszystkim kochajcie się — kończył swe wystąpienie Starszy Agencji. —

Wierzmy, że pod przewodem Admirała Loddera i Miliardnika Rutto nie zabraknie wam ani wzajemnej życzliwości, ani wszelkiego komfortu. Osobiście jestem przekonany, że nie zdołacie się przez te lata wzajemnie zanudzić. Każdy z was jest entuzjastą swej pracy, miłośnikiem gier oraz doskonałym sportowcem. Jeśli idzie o seks, również powinniście tworzyć jedną wielką rodzinę. Lapidarnie zaś mówiąc, Admirał będzie waszym ojcem, ale ma również szansę stać się dla wielu teściem, zięciem, a przede wszystkim szwagrem...

Rozległy się śmiechy. Pękł dotychczasowy, sztywny dwusereg załogi. Smukła Adda Tsi wykorzystwała ten moment, aby znaleźć się jak najbliżej pułkownika Boddoxa. Stał w środku grupki sześciu specjalistów bezpieczeństwa wewnątrzstatkowego, która zegnała się z Szefem Programu. Już na pierwszy rzut oka wydał jej się drobniejszy i szczuplejszy niż wówczas, gdy spędzali swój rozkoszny tydzień na Fobosie. No, ale od tamtej wyprawy upłynęło pięć lat.

— Ciekawe, czy mnie jeszcze pamięta?

\* \* \*

Fakt, że poszło mu tak gładko, stanowił zaskoczenie dla samego Marta.

Jego szaleńczy plan dojrzał, zanim jeszcze ciało Virdera Boddoxa sięgnęło dywanu. Byli mniej więcej podobnego wzrostu, obaj jasnoocy, nadto poważną część twarzy pułkownika zajmowała broda. Kosmonauta odznaczał się wprawdzie potężniejszą muskulaturą, ale umiejętnie wypychając mundur, można było skorygować te różnice.

W tych dramatycznych chwilach Eva zachowywała się imponująco spokojnie. Nie żywiła do Boddoxa żadnych głębszych uczuć i jedyne, na czym jej zależało, to szybkie wyplątanie się z nieprzyjemnej afery. Mart przysiągł, że nie zostanie w nic zamieszana. Ciało Virdera musiało zostać usunięte — tłumaczył. — On zaś spróbuje wejść w jego rolę. Szczęściem Boddox był specjalistą od bezpieczeństwa, a nie kosmicznej nawigacji. Majsterkowicz wiedział cokolwiek o kompletowaniu załóg i bezustannym tasowaniu składów, toteż żywił nadzieję, że uda mu się zaokrętować bez przeszkód. A kiedy już z prędkością podświetlną wypłyną na bezmiar kosmosu, wszystko się jakoś ułoży.

Od dzieciństwa marzył o kosmosie. Czuł, że tam może znaleźć wolność. Tej pożądał najbardziej. Właściwie wszystkie jego działania, które z niegroźnego majsterkowicza uczyniły zeń hobbystę buntu, wynikały z mniej lub bardziej uświadomionego pragnienia wolności i nieustannego głodu wiedzy. Mart należał do nielicznych osobników nie fascynujących się protezami cybernetycznej pamięci. Kochał literaturę dawnych wieków — potrafił recytować z pamięci Homera i Szekspira, Rimbauda i Rilkego. Znał całą Biblię i niezliczoną ilość innych książek. W końcu przez trzy lata ukrywał się w nieczynnej bibliotece...

Nade wszystko jednak wierzył w Boga i przeznaczenie. Kiedy jako mały chłopiec bawił się na wysypiskach mechanicznych odpadów, w które obfitowało Pogranicze, i w samotności konstruował pierwsze zabawki, nieraz miał wrażenie, że towarzyszy mu jakiś niewidzialny przyjaciel, który w chwilach zwątpienia szepce mu do ucha: — Jesteś wybrany. Jesteś wybrany. Nie upadaj! W czasie swych pierwszych wędrówek spotkał też proroków. Byli to zazwyczaj nieprzystosowani, starzy ludzie sprzed epoki reglamentacji pracy, głoszący wizję rychłej zagłady zniewieścialej, gnuśnej cywilizacji. Ale mało kto traktował tych maniaków poważnie, nawet władze nie śpieszyły się z ich reedukowaniem. Cóż, nieprzystosowani głosili tylko słowo i nie próbowali czynu. Tuż obok oranżerii Evy znajdował się zakotwiczony nośnik wynajęty przez Boddoxa, przypuszczalnie na fałszywy identyfikator (zresztą znaleźli taki w kieszeni jego munduru). Eva pomogła wtaszczyć zwłoki do nośnika, zdziwiła się, gdy Mart odmówił gratisowej miłości (czas przecież opłacił jeszcze Virder). Przynęcała za to zachować milczenie. Zresztą nie miała wyboru. Wyspa groziła jej uznaniem za współwinną śmierci kosmonauty.

Na programatorze nośnika znajdowała się dokładna trasa przebyta przez Boddoxa, od wynajęcia statku do tajnej cumowni przy kwaterach kosmonautów, i do buduaru Evy. Należało

tylko tam wrócić, zabrać bagaż i stawić się na piątym nadbrzeżu Kosmodromu Nr 2, skąd rejsowy prom wyruszał na Księżyc.

No i udało się. Po przybyciu do cumowni zamknięte grodzie otwarły się na impuls pochodzący z wszczepionego pod skórę mikrochipa, który Mart wydlubał spod skóry kosmonauty, a następnie połknął. Później posadził trupa za sterami, wymazał z pamięci maszyny dotychczasowy program i wyznaczył kurs prosto nad Atlantyk. Po trzystu kilometrach powinno zabraknąć paliwa... Majsterkowicz odłączył też zabezpieczenia, które samoczynnie, po włączeniu rezerwy, winny wezwać na pomoc tankowaczki, dokonał jeszcze paru korekt w działalności innych urządzeń i pożegnał ciało Boddoxa krótkim, ale szczerym westchnieniem. W pół godziny potem dotarł na kosmodrom. Identyfikator kategorii KB

eliminował jakiegokolwiek kontrole. Równie łatwo poszło na Księżycu. Nikt nie zauważył podmiiany. A nadzwyczajnych kontroli (siatkówka, odciski palców) nie zastosowano.

Gładząc brodę — blizny zniknęły pod bujnym zarostem — efekt parogodzinnego działania porostowych szybkomaści — dotarł wahadłowcem do śluzowni ARGO. Lodder uściśnął mu dłoń na powitanie — schudłeś bracie! Inni potraktowali go uprzejmie, ale naturalnie. A potem rozpoczął się stały rytuał — rodem z zamierzchłej ery kosmicznych debiutów — odliczanie.

\* \* \*

Adda Tsi z niemalą ulgą zakończyła lekcje. Dzieci zachowywały się dzisiaj dziwnie nieswojo, były poddenerwowane, niektóre zaś zachowywały się apatycznie. Może dlatego, że skończyła się pierwsza fascynacja lotem, pojawiła tęsknota za dawnym otoczeniem. W paru oczach dostrzegła nawet strach. Ale może było to mylne wrażenie.

Siódmy dzień lotu przebiegał dla niej bliźniaczo podobnie do innych. Rano zajęcia szkolne, potem rekreacja sportowa, wieczorem gry i tańce. Zapewne Miliardnik znów ponowi szturm.

A ona da mu kosza, jak w poprzednie wieczory. Rutto rozpuszczony przez kobiety wściekał się oporem młodej Azjatki. Brał to zresztą za babskie droczenie się, celem urozmaicenia nieuchronnej nudy. Adda tymczasem nie miała ochoty na amory. Zastrzyk wyzwajający, który brała przed snem, zaspokajał jej zmysły lepiej, niż mógł to uczynić podstarzały ogier. Poza tym denerwował ją Virder. Co właściwie sobie myślał? Nie poznawał jej przez tydzień.

Tsi nienawidziła nawet najmniejszych pozorów narzucania się, toteż za nic nie podeszłaby do pułkownika z tekstem: „Słuchaj Boddox, wtedy na Fobosie obiecywałeś, że jak się znowu spotkamy...”. Na to nie pozwoliłaby jej duma. Natomiast, kiedy parokrotnie przecięły się ich szlaki — trudno nie spotkać się dwojgu ludziom wśród zaledwie dwudziestu pięciu dorosłych załogantów, nawet jeśli pracują w różnych sekcjach — Boddox traktował ją normalnie, uprzejmie, sympatycznie, nie zdradzał jednak nawet mrugnięciem oka, że kiedykolwiek się poznali. Trzeciego dnia przyszło Addzie do głowy, że być może pułkownik miał w swym życiorysie krótki pobyt w Ośrodku Reedukacyjnym, toteż sprawdziła jego elektrokartotekę, ale nie znalazła nic na ten temat, ani nawet wzmianki o pobycie w Ośrodku. Czas pułkownika dzień po dniu wypełniały rozmaite ważne akcje, wprowadzanie figurujące pod kryptonimami, ale przeważnie rozgrywały się poza Starą Ziemią.

Szóstego dnia spotkali się na brydżu. Hobbysta grał z dużym plotem, w parze z Tsi dosłownie roznieśli przeciwników, kiedy jednak po zakończeniu rozgrywek zostali sami, nie wykazywał żadnej inicjatywy na kontynuowanie rozmowy. Uśmiechnęła się, patrząc na niego wyzywająco. Nie odwrócił swego spojrzenia, przeciwnie, przyglądał się Addzie z normalnym, męskim

zainteresowaniem.

— A może jeszcze spróbowaliśmy garibaldki? — powiedziała.

— Nie cierpię garibaldki, Addo.

Spasowała. Elektro-garibaldka była ich ulubioną grą na Fobosie — grając, odpoczywali w intermediach miłosnych uniesień. Słowa Virdera zabrzmiały nieomal jak odrzucenie zalotów.

Boddox musiał dojrzeć jej reakcję. Błyskawicznie zmitygował się:

— Ale oczywiście, chętnie zagram.

— Nie trzeba — odpowiedziała, i odwróciła się na pięcie.

Rano znalazła w osobistym pneumatyku piękną orchideę bez nadawcy. Na Fobosie Virder co rano przysyłał jej orchideę...

Nie mogła wiedzieć jednego; Mart zorientował się wreszcie, że coś musiało wcześniej łączyć Tsi z Boddoxem i porównał życiorysy obojga. Bez trudu znalazł informacje o pobycie w tym samym czasie na Fobosie. W elektrodossier pułkownika znalazł też zapis jego wydatków. Stale przelewy szły w owym czasie na konto kwaciarni na satelicie Marsa. Po cenie zorientował się, że codziennie kupowany był kosmiczny storczyk.

Cała sprawa Addy Tsi była Majsterkowiczowi bardzo nie na rękę. Burzyła jego spokój.

Wymagała dodatkowego udawania. W grupie specjalistów od bezpieczeństwa zaaklimatyzował

się doskonale. Zresztą ich służba ograniczała się do intensywnych ćwiczeń i przeglądów sprzętu co dwa dni. Nikt, a zwłaszcza Lodder, który znał Boddoxa z widzenia, ale chyba niezbyt dobrze, nie poznał przemiany.

Tymczasem już pierwszego dnia zdarzyło się coś, co zastanowiło Marta.

Po kolacji wrócił do swej kabiny. Przytulnego pomieszczenia, którego jedną ścianę vis-à-vis łóżka wypełniało sferokino. Był to rodzaj ekranu, który na żądanie mieszkańca upodabniał

się bądź do normalnej firanki, bądź przekształcał w dowolny pejzaż — łąkę, park, wielkowiejską ulicę, dziewiętnastowieczne podwórko — studnię, a nawet uciekający krajobraz, widziany z okien tradycyjnego ekspresu. Mart najchętniej przełączał na widok „zewnątrz” i wtedy między storami utkanymi z iluzji widać było wielkie rozgwieżdżone niebo. Nie trzeba dodawać, że w sferokinie można było oglądać również filmy, a także rozgrywać automatyczne gry.

Przez pierwsze dni podróży Hobbysta odczuwał piekielne zmęczenie. Zbyt wiele godzin żył na stymulatorach, a w międzyczasie przeżył kilka pościgów, jedną masakrę, prawie uduszenie w ciasnej kapsule pneumopostu i walkę z rycerzem kosmosu. Zmęczenie jednak nie było aż tak wielkie, aby nie zauważył małego niebieskiego guzika leżącego obok łóżka. Nie miał takich guzików w swym rynsztunku, był też pewien, że niczego takiego jego wzrok nie zarejestrował

podczas pierwszej bytności w kabinie. Jak należało to zinterpretować? Majsterkowicz rzucił guzik na popielniczkę i zasnął. Rano niebieski paciorek znajdował się na swoim miejscu. Po śniadaniu jednak zniknął.

Czy miał to być jakiś znak dla Boddoxa, czy może dla niego? Od kogo? Przez następne dni niecierpliwie czekał kolejnego sygnału. Ten nie nadchodził. Szóstego dnia poważnie zaczął zastanawiać się, czy autorką sygnału nie była przypadkiem Adda Tsi. Ale siódmego

poranka...

Jak wielu, posługiwał się na co dzień memuarnikiem. Był to dyktafoniczny brulion spisujący, a czasem nawet porządkujący różne werbalne sformułowania, sprawy na jutro czy złote myśli.

Często, rzucane bezładnie wieczorem, można było odtworzyć następnego ranka w formie wyciągu.

Aliści tego ranka, po przebudzeniu, już pierwszy rzut oka na memuarnik zaskoczył Marta.

Wśród paru zanotowanych poprzedniego wieczora problemów pojawiły się cyfry, a właściwie liczba 72245.

Nic więcej.

Jedno było pewne. Numer ów nie został podyktowany przez niego. Beznadziejne okazały się próby odgadnięcia znaczenia. Nie była to ani pozycja katalogowa, ani program, ani zakodowany wzór... Na Warkocz Bereniki! Ktoś szukał z nim kontaktu, a on nie znalazł

właściwego odzewu. Kto to mógł być?

Od rozszyfrowania nadawcy sygnału istotniejszą kwestią wydawała mu się — dlaczego?

Czy ktoś rozpoznał, że nie jest Virderem? No i co z tego? W takim razie, dlaczego go nie zdemaskował? Szantaż w kręgu dwudziestu pięciu ludzi nie miał większego sensu? A może to jakiś rodzaj sprawdzianu? Przez moment rozważał nawet, czy nie wyznaczyć swych rozterek Lodderowi...

Komputerowo sprawdził kosmiczne dossier wszystkich załogantów. Poza Addą, przelotnie Admiralem i jednym z psychologów nazwiskiem Habbu, nikt nie miał większych szans zetknąć się z Virderem. Pochodzili z różnych pni, pracowali na różnych szlakach. No, może poza Miliardnikiem, komputer nie posiadał dziennych zapisów poczynań Rutto.

Postanowił zanalizować działania tej trójki — Adda owszem, zachowywała się trochę dziwnie, natomiast Habbu już drugiego dnia rzucił coś na temat jakiejś wspólnej ekspedycji, ale Mart szybko wywnioskował, że psycholog miał z pułkownikiem bardzo ograniczony kontakt.

Więc może należało szukać od innej strony. Na przykład, w rzekomym Boddoxie ktoś rozpoznał

inkryminowanego Hobbystę? Albo na pokładzie przybywał jeszcze ktoś, kto nie był tym, za kogo się podawał.

W południowej części jeziora (terminy północ czy południe na pokładzie statku kosmicznego były absolutnie umowne) znajdował się niezwykle romantyczny zakątek.

Z kamiennym mostkiem, płaczącymi wierzbami i malowniczym wiatrakiem. Tam właśnie Mart napotkał Addę, gdy przechylona przez balustradę rzucała okruchy bułki kaczkom, kołyszącym się na wodzie.

— Chciałem porozmawiać — rzekł wprost.

Zmieszła się.

— Wiem, że to brzmi głupio, ale chwilami wydaje mi się, jakbym znał cię dobrze, a czasami w ogóle... Popatrzyła na niego uważniej.

— Co czasami?

— Nie ma tego w moim biogramie, ale dwa lata temu przeżyłem awarię psychotronu i mam skasowaną sporą partię pamięci...

Nagle rozluźniła się.

— Virri...

— Byliśmy sobie bliscy, prawda? — strzelił na pewniaka.

Przywarła do niego swym szczupłym ciałem.

— Wybacz moją głupotę, to ja powinnam zacząć... Ale myślałam...

— Co myślałaś?

— Że po prostu mnie nie chcesz.

— A ten guziczek miał być próbą.

— Jaki guziczek?

— 72245.

— Nic nie rozumiem, mówisz okropnymi zagadkami! Zamiast brnąć dalej w grupie przesłuchanie, zamknął jej usta pocałunkiem. Dużo wysiłku kosztowało go opanowanie pokusy natychmiastowego pójścia z Addą do łóżka. Niestety, ryzyko przekraczało ewentualną satysfakcję. Musiałaby go zdemaskować. Zresztą, kwestia kto szuka z nim kontaktu, pasjonowała go w tym momencie o wiele bardziej niż śniade ciało Azjatki.

W ciągu popołudnia obszedł wszystkie stanowiska kolegów. Jeszcze raz porozmawiał z Habbu, ale psycholog nie powiedział mu nic szczególnego. Wpadł do zakątka gier i zabaw, obszedł rekreatorium. Rozmawiał oczywiście na różne tematy, starając się, aby możliwie neutralnie zabrzmiało wśród zdań słowo niebieski i guzik... Np. „Szukanie inteligencji cywilizacji w kosmosie to jak maleńki guzik wśród niebieskich ciał”. U nikogo nie dostrzegł reakcji. Może jedna z medyczek na moment uciekła wzrokiem, może ledwie dostrzegalnie drgnął mięsień muskularnego Gomi z oddziału bezpieczeństwa.

Dobrze po ósmej zaszedł do Loddera. Admiral siedział w kabinie nawigacyjnej, której olbrzymie sferokina dawały złudzenie, że od kosmosu oddzielają ich nie potężne płyty, grodzie, izolacje, sztuczne pole energetyczne — a jedynie cieniuteńkie tafle szkła.

Dowódca przyjął go skupiony, cichy. Jego sucha twarz wydawała się jeszcze bardziej wydłużona. Wyglądał na cierpiącego.

— Czy coś się stało, panie admirale? — zapytał Mart.

— Nie wiem, ale nie lekceważę swego organizmu...

— Jakieś dolegliwości?

— Nie, raczej stary „impuls szczura”. — Mart nie znał terminu, choć Virder powinien bezsprzecznie go znać, ale admiral chyba nie zwrócił na to uwagi, ponieważ ciągnął dalej): —

To biologicznie niewytłumaczalna zdolność przewidywania nadchodzących nieszczęść, połączona z nieomal paniczną chęcią ucieczki z pokładu. Tak właśnie dziś się czuję.

— Ale dlaczego?

— Nie wiem. Aparatura działa normalnie, odnotowaliśmy tylko jedno małe uszkodzenie, roboty już je usuwają...

— Gdzie?

W trzydziestym czwartym magazynie „Karma dla drobiu i maszyny ogrodnicze”. Dziś rano zepsuło się tam zasilanie i czujniki. Takie drobiazgi zdarzają się niekiedy. Ale nie tę usterkę miałem na myśli, mówiąc o mych obawach. Podobnie nie chodzi mi o jakiekolwiek zagrożenie z zewnątrz. Kosmos jest spokojny, pusty. Żadnych niepożądanych obiektów.

— Więc o co?

— Nie wiem. Ale... jeśli mógłbyś, zajrzyj tu do mnie po dziesiątej...

\* \* \*

Adda wpadła na prosty sposób zwalczanie chandry — drobne porcje narkotyku. Choć rozszyfrowanie zagadki Boddoxa powinno ją uspokoić — to fakt, iż wykazał tak umiarkowane zainteresowanie jej ciałem, zdenerwował ją. Już przez tydzień żyła na pokładzie w obrzydliwej wstrzemięźliwości.

Kiedy całe towarzystwo parzyło się, wymieniało partnerów lub stawiało na trwalsze związki — ona, głupia, czekała na Virdera. Kiedy całowali się — mogła przysiąc, że wyczuwa jego pożądanie — potem jednak gwałtownie ochłódl. Czyżby jego amnezja dotknęła również ośrodki emocjonalne?

Wściekłość, w miarę jak narkotyk rozchodził się po organizmie, bynajmniej nie malała.

— Zrobię mu numer, z byle kim, z pierwszym lepszym! Niech nie myśli, że trafił na idiotkę!

Wzięła dla kurażu jeszcze jedną dawkę. Otaczały ją teraz rozkoszne wizje, a rzeczywistość mieszała się z marzeniem. Włączyła videofon i połączyła się z Miliardnikiem...

— Czy wpadłbyś na chwilę do mnie, Rutto?

Dokładnie o pół do siódmej leżała na posłaniu rozciągnięta w kuszącej pozie, otoczona chmurkami zwidów, zapachów, upojeń. Na chwilę wizje zmącił obrazek ciasnej, starej kapsuły mieszkalnej ze stacji na Fobosie. Przegnała go czym prędzej.

Zwłaszcza że otworzyły się drzwi. Wybuchnęła śmiechem. Wchodząca postać dygnitarza zdeformowała się jak w krzywym lustrze, miała świński ryjek, rozdęty brzuch i nóżki upodobnione do kopytek. Śmiała się, zapominając o dawnym wstręcie. Śmiała się nadal, gdy Miliardnik zrzuciwszy ubranie, począł ją pośpiesznie całować, penetrować, brać!

\* \* \*

Mart oczywiście nie miał pojęcia o sukcesie Rutto. Około dziesiątej kierował się do apartamentu admirała, kiedy odebrał wezwanie od dygnitarza.

— To pilne — twierdził Miliardnik.

Majsterkowicz zachodził w głowę, co aż tak ważnego ma mu do zakomunikowania cywilny zwierzchnik wyprawy.

Idąc na spotkanie, ze zdziwieniem zauważył, że udzielił mu się nastrój Admirała.

Poddenerwowanie bez powodu, niczym nie uzasadniony niepokój. Szybko jednak przekonał sam siebie, że są to pierwsze objawy choroby aklimatyzacyjnej. Z nawigatorni przez sale dyspozycyjne i laboratoryjne dotarł do windy, którą zjechał na właściwy poziom.

Cywilny Komisarz Lotu zajmował obszerny apartament. Łysy, sprawiający wrażenie lekko ograniczonego Rutto, miał wygląd dobrodusznego wujka z ilustracji Hoggharta.

— Chciałeś, zdaje się, ze mną pogadać — rzekł, wskazując na autofotel, który podjechał

i usłużnie wymodelował się pod siedzeniem Marta. Majsterkowicz nie lubił tego typu urządzeń, mogących w określonym momencie zmieniać się w chwytną, owadożernym roślinom podobną, pułapkę. Toteż przysiadł skromnie na drewnianym stoliczku.

— Podobno odwiedzałeś dziś Admirała? Jak się czuje nasz pan i władca? — zapytał Rutto.

— Jak najlepiej.

— Zapalisz? — Miliardnik podsunął szkatułkę z cygarnionami, wąskimi eleganckimi papierosami nadziewanymi lekkim narkotykiem. Gość nie odmówił. Rutto też się poczęstował, po czym przełamał swój cygarnion na połowę i zapalił.

— Lekarz poradził mi, abym palił mniej — powiedział, uważnie przypatrując się gościowi.

— Doskonały pomysł, i jak tak zrobię.



Dygnitarz kiwnął głową i pogrążył się w aromatycznym obloczku.

— Właściwie to i ja mam do ciebie sprawę. Słyszałeś o awarii na trzydziestce czwórcie.

Roboty już ją usunęły, ale nie dokonały remanentu. Specyfikacja podczas wyłączenia dopływu energii uległa częściowemu wymazaniu, oczywiście mamy zabezpieczone dokładne spisy.

Dobrze by jednak było, aby jakiś człowiek rzucił okiem i sprawdził, czy nic nie zginęło.

— Chętnie się tym zajmę. Choć trudno sobie wyobrazić złodzieja na naszej jednostce.

— Tu masz specyfikator, rozejrzyj się wyrywkowo, a potem znów wpadnij do mnie.

Trzydziesty czwarty magazyn leżał mniej więcej w odległości kilometra w poziomie i ćwierci w pionie, od apartamentów Miliardnika. Posuwając się korytarzami Mart przeglądał specyfikator. Nic nadzwyczajnego — kombajny konstrukcyjne, roboty ogrodnicze, przetworniki białkowe. Wtem drgnął. Doszedł do działu — broń myśliwska, środki wybuchowe i samoobronne. Czego tam nie było! Rusznice osobiste, sztucery na dinozaury... Prawdziwy arsenał!

Niegroźna usterka trzydziestki czwórki nabrała nagle zgoła nowego znaczenia.

Szybko dotarł do szybu windy towarowej. Włączył przywołanie dźwigu i czekając, patrzył na wpół bezmyślnie w migdał wiszącego czasownika. 22.19. I nagle przyszło olśnienie. 72245!!!

Czy to przypadkiem nie miało oznaczać — 7 dzień wyprawy, 22.45. Ale jeśli tak, to znaczy, że za dwadzieścia pięć minut coś się wydarzy...

Dźwig nadchodził z lekka hałasując. Mart zajęty swymi myślami, nawet nie zauważył, że stojący w niszy nieruchomy wieloczynnościowy robot poruszył się bezszelestnie. Cios trafił

Hobbystę w skroń, potem, zanim jeszcze nadjechała winda, automat wyrwał ażurową bramkę i pchnął bezwładne ciało w przepastną głębię szybu. Jeśli nawet zaczepi się gdzieś po drodze, klatka dźwigu rozgniecie go jak muchę.

\* \* \*

Psycholog Habbu nie mógł zasnąć. Od paru dni gnębiła go tęsknota. W ankiecie personalnej zataił fakt posiadania konkubiny i małego dziecka. Owszem, pragnął bardzo tej wyprawy. Zrobił

wszystko, aby zwyciężyć w testach, wiedział, że ubiega się o przyjęcie do priorytetowej akcji, nie miał tylko pojęcia, że ekspedycja ma trwać tak długo. Kiedy w przeddzień poznał szczegóły, przeżył prawdziwy szok. Oczywiście mógł się jeszcze wycofać, ale zbyt wiele zapалу i zabiegów włożył w przygotowania, zbyt gorąco marzył o uczestniczeniu w czymś wielkim, aby teraz rzucić proste: „dziękuję”.

Myślał, że łatwiej przetrzyma okres aklimatyzacji. Tymczasem coraz częściej wspominał szloch pięknej jasnowłosej Gabbi — „Przecież za trzydzieści lat będziemy tacy starzy”.

Jako psycholog mógł jej oczywiście polecać kurację ammetyczną, autoterapię, partnerstwo zamienne — bądź tuzin podobnych metod leczenia. Jako człowiek czuł się podle. Tak podle, że nie usłyszał rozsuwania się drzwi (ktoś uprzednio wyłączył brzęczyk) i zobaczył śmierć dopiero, gdy ta stanęła tuż obok niego.

\* \* \*

Gdyby atakujący Marta był człowiekiem — Majsterkowicz ze zdruzgotaną jak orzeszek czaszką doszybowałby do dna szybu. Człowiek zawsze uderza za mocno, robot jedynie w sam raz. Ot, tyle, ile trzeba. Oczywiście mechaniczny morderca nie wiedział, że zamiast z kruchą

czaszką ma do czynienia ze sprasowanymi włosami, mocnym podkładem peruki i wreszcie drugą warstwą włosów. Majsterkowicz lecąc w dół był tylko ogłuszony, a nie martwy.

Instynktownie łapał się wsporników (lata podświadomych nawyków wyrobionych podczas stałych ucieczek w gałęziomiastach). Wreszcie zawisł półprzytomny, ale żywy. Tymczasem z góry narastał brzęk nadciągającej windy, która zatrzymała się tylko na moment, po czym zaczęła opadać w dół. Mózg Hobbysty pracował błyskawicznie — wiedział już, że dokonano na niego zamachu, zrozumiał, że odkryto mistyfikację, a po trzecie, że Boddox musiał być uczestnikiem jakiegoś wcześniejszego sprzysiężenia. Nie miał jednak czasu na deliberacje.

Kątem oka dojrzał niewielkie wgłębienie na ścianie szybu — małą półkę, metr pod nim.

Z trudem utrzymał równowagę i wtulając się w ścianę, czekał na osuwający się prostopadłościan. Nie znalazł szerokości luzu, nie wiedział, czy nie zostanie sprasowany. Głowę obrócił z profilu, ręce wbił w jakieś wystające wsporniki, wciągnął brzuch i czekał jak egipska płaskorzeźba... Dźwig musnął jego twarz o milimetr, zerwał naszywki z bluzy... a potem zgilotynował lekko wystające palce prawej stopy. Uderzenie bólu było straszliwe, Mart puścił się wsporników i runął na dach klatki. Ogarnęła go noc i pustka.

\* \* \*

Gomi skradał się korytarzem, klnąc w duchu cały wszechświat. Diabli nadali! Taki wspaniały plan, a tu nagle komplikacje. Niezidentyfikowany facet zamiast Boddoxa. W czterech musieli wykonać robotę przeznaczoną dla pięciu. Popatrzył w narożny migdał czasownika — 22.45.

Zaczynamy!

Oczywiście nie wątpił w sukces akcji, ale nie lubił zmian w harmonogramie. Z szafki na korytarzu wyjął ręczną rusznicę i machnąwszy ręką cieniowi wylaniającemu się po drugiej stronie pasażu, skręcił ku pierwszym drzwiom apartamentu mieszkalnego.

Dobrze po wpół do jedenastej Lodder zorientował się, że Boddox spóźnia się ponad miarę.

Wywołał go indywidualnym sygnałem. Brak odpowiedzi! Dziwne... W ciągu paru dni upewnił się co do sprawności i punktualności pułkownika. Jeśli nie zgłaszał się — prawidłowo rozumujący szef miał do wyboru trzy odpowiedzi: Nie chciał, nie mógł albo nie żył. Admiral zwrócił się do Koordynatora, maszyny od całokształtu spraw na ARGO. „Znajdź Boddoxa”

— rozkazał. Na odpowiedź komputer potrzebował zastanawiająco dużo czasu.

— Nie ma go w obszarze zakresu czytelnego — odparł wreszcie.

Lodder zdenerwował się.

— Co za obszar czytelny, sprawdź cały statek!

— Niektóre sektory są wyłączone.

— Jakże?

Na monitorze zaczęły pojawiać się cyferki, a potem cała mapa przekrojowa ARGO z obszarami zaciemnionymi.

— Awaria? — zapytał Lodder.

— Nie, ręczne wyłączenie. Trzy minuty temu. Nie wiem przez kogo.

Dialog z maszyną przerwał Anioł Stróż, czuwający najwyraźniej nad Lodderem. Admiral odwrócił głowę i zobaczył cień wyrastający na ścianie korytarza. Nie zastanawiając się, nacisnął ręczną dźwignię. W dwie sekundy nawigatornia stała się opancerzoną twierdzą.

— Kto idzie? — rzucił pytanie przez videofon.

Nie było odpowiedzi, a potem rozległ się brzęk tłuczonej kamery, która mogła przekazać do dyspozytorni widok części korytarza przed drzwiami. Lodder dłużej się nie wahał. Sięgnął po leżący na biurku indywidualny informnik, by włączyć alarm na ARGO.

Nie zdążył. Nim ruszył palcem, zapłonęły czerwone światła i rozległ się świdrujący dźwięk syreny. Najwyraźniej ktoś wpadł na taki sam pomysł wcześniej.

\* \* \*

Pisk informnika ocknął Marta. Ktoś go poszukiwał. Wróciła świadomość i ból. Rzucił okiem na chronometr. 22.51! Nie namyślając się, włączył przycisk alarmowy, jaki posiadał przy sobie każdy z załogantów. Alarm pierwszego stopnia od razu musiał być przenoszony przez Koordynanta na cały system statku. Majsterkowicz ludził się nadzieją, że nie uczynił tego za późno. Jęcząc z bólu zaczął tamować krew i owijać skaleczoną stopę strzępem kombinezonu.

Bardzo się śpieszył, nie przestając jednocześnie analizować sytuacji.

Wiedział niewiele. Wystarczająco jednak dużo, aby wyciągnąć wnioski. Wykryto, że nie jest Boddoxem, atoli nie wykrył tego Lodder, tylko jakaś grupka konspiratorów, która na dziś wyznaczyła sobie akcję. Tylko jaką? Mógł jedynie domniemywać — na pewno ważną, skoro przed przystąpieniem do niej uznano za celowe likwidację fałszywego pułkownika.

Skończył bandażowanie. Stojąc na dachu windy, zdołał uchwycić się progu na poziomie Z i wciągnąć na górę. Rozdzierający ból zgilotynowanych palców co chwila porażał jego mózg.

Przewyciężając cierpienie dokuśtykał do windy osobowej. Wszędzie rozbłyskiwały sygnały alarmowe. Bez trudu dotarł jednak na poziom mieszkalny. Po kilkunastu metrach był już na korytarzu załoganckim... Mój Boże!

Na progu kabiny nr 2 leżał trup ślicznej Mii — lekarza pediatri. Przez uchylone następne drzwi widać było skurczone zwłoki psychologa Habbu, Majora Tezze śmierć zaskoczyła, gdy usiłował zasłonić się stolkiem. W kolejnych apartamentach — następnych pięć ciał. Szóstego, pocziwego safandulowatego belfra (w tym momencie nie mógł sobie przypomnieć jego imienia) znalazł krok od windy. Pólnagi, z wytrzeszczonymi oczami, robił wrażenie zagapionej lalki. A reszta...?

\* \* \*

Kiedy zabrzmiał sygnał, reszta załogi, zgodnie z pryncypiami superzdrowego trybu życia, pogrążona była we śnie. Spała również Adda Tsi, która wściekła na Virdera i na siebie za numer z Miliardnikiem, tyknęła przed snem coś mocniejszego.

Niemniej sygnał poderwał wszystkich na równe nogi. Odruch był oczywisty. Ratować dzieci!

Toteż z wyjątkiem nauczyciela safanduly, wszyscy zamiast na korytarz, domowymi katapultami dostali się na poziom miasteczka, lądując w kamieniczkach stanowiących jakby poddasza ich rzeczywistych kwater. Z nich dopiero wybiegli na ryneček. Miasteczko spało, świecił księżyc (czyli przygaszone do ułamka swej mocy sztuczne słońce) i tylko nerwowo poszcekiwały psy.

Rozbudzone dzieci tłumnie cisnęły się do okien.

— Fałszywy alarm — pomyślał niejeden z załogantów. Nikt przecież nie wiedział, że koledzy z apartamentów o niższych numerach zostali już zlikwidowani.

— Uwaga, wszyscy! — zabrzmiał naraz głos Loddera. — Mam powody sądzić... — zamilkł, widocznie miał miasteczko na podglądzie i zobaczył to samo co oni.

Z trzech stron rynku wysunęły się zakapturzone postacie. W rękach trzymały krótkie lekkie

karabinki myśliwskie nie stworzone, żeby obezwładniać, paraliżować, pacyfikować, lecz by zabijać. Takiej broni dziewiątka załogantów, która wbiegła na rynek, nie znalazła nawet z przepojonych humanitaryzmem biofilmów...

Zalały ich strugi ognia. To nie była walka, lecz egzekucja. Na oczach stłoczonych w oknach dzieci załoganci osuwali się na bruk jak marionetki, którym podcięto sznurki. Zaspana Adda Tsi wytoczyła się właśnie z drzwi różowej kamieniczki i zamarła w bezgranicznym osłupieniu, nie pojmując, czy to co widzi, nie jest tylko sennym majakiem. Jeden z egzekutorów wymierzył w nią broń.

— Poczekaj! — zabrzmiał władczy głos innego. — Ona jest moja. Idźcie i pomóżcie Gomi uporać się z tym starym capem, Lodderem. Bez nerwów, ale nie przeciągajcie sprawy.

Spętawszy Addę zmyślną biokrępą, pchnął ją z powrotem do wnętrza kamieniczki.

— Co robisz, morderco?! — krzyknęła dziewczyna poznawszy napastnika po głosie.

— Realizuję swoją świętą misję! — wycedził Rutto.

— Jaką misję?

— Odwrócenia losów wszechświata. Przejmuję tę jednostkę w imieniu Najszlachetniejszej Rady Zjednoczonych Ludów Południa... Słyszysz mnie Lodder?!

\* \* \*

Gomi uważał zdobycie nawigatorni za formalność. Krótką rusznicę w jego rękach znów zastąpił masywny sztucer na dinozaury. Gdyby to nie poskutkowało, miał w odwodzie znaczną ilość środków wybuchowych. Komunikat z miasteczka mówił o opanowanej sytuacji. Samotny Lodder mógł tylko skapitulować. Ale Gomi nie zamierzał przedkładać propozycji kapitulacji.

Otrzymał wyraźny rozkaz: Nikt z wyjątkiem dzieci nie może przeżyć. Lodder nie miał wielu szans — właściwie żadnej. Wszystkie roboty manipulacyjne mogące wziąć udział w walkach na pokładzie zostały uszkodzone, a jedyny czynny egzemplarz — przeprogramowany (skutków owej manipulacji doświadczył Mart). Użycie masowych środków eliminujących nie wchodziło w grę — chyba, że Admiral gotów był poświęcić wszystkie dzieci. Mógł również próbować zdetonować cały statek, ale do tego potrzebny był drugi klucz, przechowywany przez Miliardnika lub przynajmniej zakodowany sygnał przyzwolenia z Ziemi.

— No, staruchu — mruknął przez zęby Gomi. — Przygotuj się, zaczynamy.

Trzy strzały ze sztucera w zamki wystarczyły, aby droga do nawigatorni stała się otworem.

Gomi pochylił się, aby odłożyć sztucer i podnieść lżejszą ruszniczkę... Nie zdążył. Cios dłoni Marta nieomal odrąbał mu głowę... Majsterkowicz przeskoczył przez zwłoki i wybiegł do środka, wołając: — Przybywam, Admirale!

Lodder wysunął się z kryjówki, ścisnął w rękach mały paradny laseromiot, zresztą nie naładowany. Jego twarz stała się popielato szara.

— Wszyscy nie żyją! — wybelkotał. — Wszyscy oprócz morderców! Nie wiem tylko, co z Miliardnikiem? Nie mam jego sygnału.

— Przypuszczam, że jest po ich stronie — rzucił Mart. — Wysłał mnie na pewną śmierć.

— To całkiem możliwe. Ładnych parę lat temu pojawiły się anonimowe ostrzeżenia przed szpiegiem w Konwencie Konwentów, ale zostały zlekceważone, a Rutto oczyszczony z zarzutów.

— Ile może być spiskowców?

— Trudno mi dokładnie obliczyć, ale przypuszczam, że czterech, może pięciu.

— No to o jednego mniej!

Nie tracili czasu. Choć Admiral uważał, że należy ponownie zabarykadować się w nawigatorni, skąd istniała możliwość podglądu sytuacji na całym statku i kontaktu z Koordynantem. Mart przekonał go, iż powinni jedynie udawać przed dywersantami, że chcą bronić centrali, a tymczasem zając stanowiska obronne zupełnie gdzie indziej. W dyspozytorni prędzej czy później wrogowie dostaliby ich, dysponując przewagą środków wybuchowych. Co się tyczy utraty kontroli nad jeszcze działającymi systemami łączności, Majsterkowicz wyrażał przekonanie, że i tak atak rozpocznie się od wysadzenia rozdzielni w powietrze.

Tak się stało. W szale niszczenia napastnicy zdetonowali całą nawigatornię. Wiele nie ryzykowali, istniała przecież zaplombowana nawigatornia rezerwowa, a także automatyczne sterowanie Koordynanta. Tymczasem Lodder i Mart już znaleźli się na tyłach wrogów. Celnym strzałem został trafiony jeden z morderców nazwiskiem Karr, niestety drugi strzał, mniej celny, ugodził w zapas amunicji. Eksplozja wstrząsnęła kilkoma poziomami ARGO, przy okazji pękł

jakiś zbiornik łatwopalnej cieczy i wnet jęzory ognia rozlały się szeroko. Miliardnik i jego towarzysze rzucili się do ucieczki, pozostawiając ранego Karra na pastwę płomieni.

Z nacierających, stawali się ściganymi.

\* \* \*

Bitwa o ARGO! Nie czuję w sobie siły ani talentu Homera, aby zrelacjonować ją sekunda po sekundzie, oddać wszelkie barwy pożogi i skalę napięcia. Oglupienie komputerów i automatów gaśniczych, determinację przeciwników. Nienawiść i strach. Wściekłość Miliardnika, który w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że mu się nie powiodło. A wszystko w scenerii prawdziwego piekła. Eksplozja w rozdzielni unieruchomiła system kamer, na wielu poziomach nastąpiły awarie, na innych szalały potoki ognia. Wskutek tego zwierzyna i myśliwi tropili się nawzajem po omacku. Dwójka ostatnich, spanikowanych dywersantów ostrzeliwała się chaotycznie, pomnażając rozmiary zniszczenia. Rozwalono po drodze część magazynów hodowlanych, toteż ogólny chaos powiększały jeszcze goniące wzdłuż i wszerz ARGO na wpół oszalałe króliki i kury. Chwalić Boga, że na poziomie miasteczka uspokajający głos komputera wychowawcy powstrzymał dzieci przed rozbiegnięciem się po statku. Zresztą dominującym odczuciem przyszłych patriarchów pozostało przerażenie.

W którymś momencie uciekający rozdzielili się. Miliardnik skierował się do swych apartamentów, pozostała zaś przy życiu Ida postanowiła schronić się w miasteczku, tam, pod żywą tarczą dzieci zamierzała zwabić przeciwników w pułapkę.

Sparaliżowana biokrępa Adda mogła tylko przysłuchiwać się odgłosom walki. Ich rozmiar wskazywał, że nie wszyscy zginęli. Tsi pomyślała wtedy o Boddoxie. Nie zauważyła go od początku alarmu. Czyżby pułkownik przeżył? Ta myśl dodała jej nadziei.

Na razie do swego apartamentu wrócił Rutto. Osmalony, z rozprutym skafandrem, twarzą wykrzywioną wściekłością i lękiem, w niczym nie przypominał pełnego wykwinnych manier lowelasa.

— Pomożesz mi? — zapytał Addy.

Odpowiedzią było spojrzenie pełne nienawiści. Karty zostały odkryte. Drżącymi rękami dołączył do biokrępy ładunek wybuchowy i odbezpieczył go. Zakneblowanie ust dziewczyny nie sprawiło mu większej trudności. Potem cofnął się ku drzwiom z zamiarem zaczajenia się na przeciwników. Prędzej czy później będą go tu szukać. Zastanawiał się, kiedy do akcji włączy

się robot, który ponownie otrzymał biogram Marta z rozkazem — „Zabij!”

Zanim jednak dygnitarz dotarł do drzwi, te otwarły się same i lufa rusznicy dotknęła jego pleców. Lodder dostał się do jego apartamentu od tyłu!

Miliardnik nie stracił rezonu.

— Nie próbuj mnie zabijać, moje autopole związanie jest z biokrępą Addy, a wszystko zespała ładunek wybuchowy... — krzyknął.

Admirał Lodder należał do staroświeckich dżentelmenów, dla których kobiety stanowiły coś więcej niż jednorazowy przedmiot pożądania. Zamiast nacisnąć spust i wysłać Miliardnika do egalitarnego piekła Bojowców Południa, rzekł spokojnie:

— Uwolnij ją!

— Dobrze, dogadajmy się. Moje życie za jej...

Nacisk broni zelżał, to wystarczyło. Rutto podbił łokciem rusznicę, jednocześnie inteligentny nóż czekający w rękawie drugiej ręki rozpruł brzuch dowódcy...

Mart spóźnił się kilkanaście sekund. Wpadł wprawdzie jak burza, ale za późno. Potężny cios rzucił Rutto na łóżko obok. Miliardnik nie zdążył nawet zabrać broni admirała. Inteligentny nóż przyciśnięty ciałem Loddera nie mógł pospieszyć mu z pomocą.

— Detonator, uważaj! — zaskomlił uderzony. Majsterkowicz milcząc ocenił sytuację. Widział

przestrach w oczach sparaliżowanej Tsi i wracającą pewność siebie zbrodniarza.

— Dogadajmy się, Boddox, czy jak cię tam zwa — powiedział Miliardnik. — Zagwarantuję wam obojgu przeżycie. W końcu chodziło nam tylko o ARGO.

Mart pokręcił głową.

— Zabijając mnie, unicestwisz również ją... — dorzucił zdrajca.

— Teraz ja ci coś proponuję, Rutto — rzekł wolno Hobbysta. — Przywołasz zaraz swoich ludzi i złożycie broń, a ja wam obiecuję uczciwy sąd na Ziemi. Kara śmierci została zniesiona, zostaniecie więc jedynie zredukowani. Oddaj biokrępę!

— Zabiję dziewczynę, jeśli mnie tkniesz!

— Dziewczyna nic mnie nie obchodzi — warknął twardo Mart, puszczając równocześnie oko do Addy. — Liczę do trzech. Raz, dwa...

Drżąca ręka Miliardnika wyciągnęła się razem z pudełeczkiem zasilacza. W tym samym jednak momencie pękły i tak już nadwątlone drzwi i na progu stanął robot-morderca. Widząc to kątem oka, Mart kopnął rękę Miliardnika. Zasilacz uderzył w sufit i wyłączył się, szczęśliwie nie detonując. Majsterkowicz wykonał tygrysi skok, przeturlał się przez łóżko, porywając za sobą Addę. Jednocześnie zdążył również strzelić. Chybił. Ciężki ładunek na dinozaury oderwał jednak prawą mackę elektronicznego mordercy. Rutto wykorzystał zamieszanie i zniknął w sąsiednim pomieszczeniu. Natomiast jednoręki golem na moment stanął, aby się samodzielnie przeprogramować. Mart i uwolniona Adda pobiegli za szefem sprzysiężenia.

— Ach Virri, Virri! Wierzyłam w ciebie, pułkowniku! — wołała dziewczyna. Nie prostował pomyłki. Pościg trwał. Miliardnik znów zaopatrzył się w broń i dołączywszy do Idy dążył teraz ku górze. Wymiana ognia z magnosztucerów zostawiała za sobą tylko zniszczenie. Rozprute ściany, zniszczone drzwi i transporciagi... Ale i bez ich walki sytuacja ARGO była tragiczna, korytarzami snuł się coraz gęstszy dym, a z poziomów zbliżonych do nawigatorki dolatywał

syk ognia, który posuwał się zygzakami, ustępując tu i ówdzie autogaśnicom, jednak szybko odnajdywał nowe trakty poprzez otwory wysieczone podczas walki. Migotały wszystkie światła alarmowe. Wyły syreny.

Adda miała ze sobą broń Rutto. Jakże się przydała, aby przeszkodzić strzałowi, który zamierzała oddać w plecy Marto zaczajona Ida.

Gonitwa ku górze postępowała z oporami. Automatyczne opadnięcie szeregu grodzi ognioodpornych odcięło najkrótszą drogę na powierzchnię. Samotny Miliardnik musiał opuścić się parę kondygnacji, aby ominąć główne ogniska pożaru. Segmentów odcinanych od działającej jeszcze reszty statku przybywało, ogień jednak nadal się rozprzestrzeniał. Rutto wciąż wierzył, że w tłumie dzieci skuteczniej wciągnie przeciwnika w zasadzkę. Wiedział już, że fałszywy pułkownik przeżył i zastanawiał się, kim właściwie jest ten śmiałek, o którego potknął się misterny plan dywersji.

Od wyjścia na łękę dzieliły go metry. Odwrócił się i czekał, mając nadzieję, że kulejący przeciwnik wyjdzie na linię strzału lub powstrzyma się przy drgającej już płycie ochronnej grodu. Mart zaatakował z przeciwnej strony, niż się spodziewał. Strzelił z półdystansu. W biegu jednak marnie wycelował. Niemniej strzał, chociaż chybił, obrócił Miliardnikiem i ogłuszonego cisnął na schody. Majsterkowicz pragnął wycelować starannie, ale zza opuszczającej już płyty dobiegł go krzyk Addy Tsi. Uwięzła wśród strug ognia, zaklinowana w jakimś przejściu. Mart skoczył z powrotem. W ostatniej chwili precyzyjnie przeszedł przez zbliżające się krawędzie grodzi i doskoczył do Azjatki. Ostatnie zapory zamknęły dostęp dymu i ognia do miasteczka. To ciągle funkcjonujący komputer zlokalizował obszary objęte pożogą, wyciął je z pozostałej tkanki statku, okrążył, pozostawiając rezerwę ochronną i puścił do akcji resztę gaśników... Wyrwane ze snu dzieci kręciły się wśród trupów. Parę dziewczynek płakało. Najmłodszy wzywał na pomoc opiekunów. Dyżurny komputer włączył im uspokajającą muzykę. Tymczasem kilkunastu starszych chłopców odgrywało scenę egzekucji przed tymi, którzy ją przespali. Ich przywódca, Joxxe, wyrosnięty dwunastolatek, śledził z zazdrością jeszcze wyższego Owa, który zamiast uczestniczyć w zabawie, komenderował grupką dzieci kopiącą groby na zielonej łące pod spokojnym księżycem.

Naraz z cienia dobiegł jęk. Chłopcy rozbiegli się. W wyrwie w zapadniętym po jakiejś eksplozji trawniku pojawił się pokrwawiony człowiek, który jeszcze pięć minut temu był dumnym Miliardnikiem — jęcząc, wyciągał ku nim okaleczone ręce. Ovve ogarnął strach, mężczyzna miał na sobie jeszcze czarną bluzę kata.

— Wody, wody! — jęczał Rutto.

Joxxe, choć też przerażony, zrobił krok naprzód. Inni chłopcy, już rzucający się do ucieczki, zatrzymali się wyczekująco.

Wśród kwitnących krzewów stał sobie (jak na angielski park przystało) biust jakiegoś brodatego filozofa. Chłopcy już wcześniej zauważyli, że nasadzony na trzpień nie tworzy całości z cokołem. Joxxe nie spuszczać oczu z rannego, dźwignął popiersie. Przyciskając je do siebie, zrobił parę kroków po obramowaniu chodników, a potem upuścił ciężar prosto na twarz Miliardnika.

\* \* \*

Adda krztusiła się, łzawiła. Uciekali teraz z Martem w przeciwnym kierunku, w głąb zrujnowanych i częściowo płonących ładowni, dzięki licznym przegrodom zamienionym w

przedziwny labirynt. Porzuciwszy broń, przedzierali się poprzez zdewastowane poziomy, szukając sposobu wydostania się z płomiennej nawałnicy. Wkrótce trafili na poziom już wypalony, ogień przetrwał tu większość instalacji i pożarł wszystko, co było do pożarcia.

W powietrzu wisiał duszący odór, z poprzebijanych rur sączyła się woda. Komputer–mózg przeprowadził już zapewne rachunek zysków i strat, rozważając, które strefy trzeba zamknąć, aby reszta ARGO mogła kontynuować misję. Zdewastowane rewiry, na których remont nie miał

środków, po prostu odcinał, wyłączał światło, klimatyzację. Jeśli nie wszystkie pograżyły się od razu w kompletnym mroku, to tylko dzięki samoczynnym bateriom awaryjnym, które niezależnie od głównego systemu, jakiś czas mogły dostarczać energii...

— Czy uda nam się stąd wydostać? — pytała Adda.

— Sądzę, że znajdziemy jakieś miejsce, gdzie przeczekamy alarm. Roboty zgaszą ogień i wtedy ręcznie odblokujemy którąś z grodzi...

— Jestem tak zmęczona!

Nic nie odpowiedział. Ze zmasakrowaną stopą, nadwężoną czaszką, raną w przedramieniu, przypominał wrak w równym stopniu jak nieszczęsna ARGO.

Dotarli właśnie nad małe jezioro utworzone przez wodę spływającą z uszkodzonej izolacji.

Obok, szybem zniszczonej windy, dudnił żywy ogień. Cóż u licha tak buzowało wśród tych rzekomo absolutnie niepalnych materiałów?

— Może tu odpoczniemy? — nalegała dziewczyna.

Skinał głową. Odczuwał znużenie. Wygrał, ale cóż to było za żalosne zwycięstwo. Trzeba było jeszcze przeżyć, a potem podjąć decyzję: wracać czy kontynuować lot?

Nie zauważył niebezpieczeństwa. Na szczęście Tsi je dostrzegła.

— Uważaj, Virri!

Instyktownie skoczył w bok i morderczy cios przeszył powietrze.

— Robot!

Zapomniał o nim. Tymczasem automat zaprogramowany na biogram Marta, cierpliwy i metodyczny, przeżył swoich mocodawców i wierny programowi zamierzał wykonać go do końca. W dużym stopniu fizycznie przypominał teraz Majsterkowicza. Uszkodzony, poruszał się koślawo i wolno. Ale nadal nieźle kombinował, a Mart nie miał ani skutecznej broni, ani siły, o szybkości nawet nie wspominając. Mógł zrobić tylko zasadzkę. Toteż zwabił mechaniczną bestię na skraj płonącego szybu i markując cios, zastosował unik. Robot przewidział to, przeciął trasę uniku i opasawszy Hobbystę zdrowym prawym ramieniem, pociągnął go w stronę buzującego ognia. Nie dysponował jednak wystarczającą statecznością. Mart przeważył i obaj runęli w płomienną gardziel. Na szczęście lecąc w otchłań piekła, cybernetyczny morderca zwolnił chwyt i Adda, która złapała Marta za nogę, mogła wyciągnąć go z powrotem. Ale to nie był Mart. Z ognistego pieca wydobyła bezwłosą lalkę o spalonej twarzy. Adda krzyknęła rozdzierająco i również straciła przytomność.

\* \* \*

Lugg płakał, bo nie należał do bandy Joxxego. Płakał, bo wiedział, że jego los będzie tragiczny. Ovve z pewnością nie da rady dłużej go bronić. A Lugg sam nie miał żadnych szans.

Był bowiem słaby i garbaty.

Gdyby wypadek przytrafił mu się w pierwszych dniach rejsu, kiedy jeszcze funkcjonował



automat medyczny, najprawdopodobniej upadek z facjatki nie okazałby się tak tragiczny w skutkach. W wieku dziesięciu lat Lugga cechowało silne zdrowie i dobra kondycja. Niestety, zdarzyło się to już w czwartym miesiącu po katastrofie, kiedy centrum medyczne praktycznie nie istniało. Początkowo dzieci nie chciały źle. Pozbawione opieki dorosłych nie zamierzały się jedynie uczyć, to znaczy chłopcy pozwalali jeszcze na naukę dziewczynkom. Perswazyjne działania komputera wychowawcy miały tylko taki skutek, że Joxxe, który został przywódcą paczki, postanowił trochę „podkręcić” automatycznego pedagoga. Skończyło się to zepsuciem wychowawcy, zaś późniejsze próby „reperowania” przyniosły jego pełną dewastację. Zresztą, z miesiąca na miesiąc obyczaje młodych ludzi stawały się coraz dziksze. Chłopcy polowali na zwierzęta, bez trudu podporządkowali sobie starsze dziewczynki. Korzystając z faktu, że automatyczna kuchnia wydawała bez zmian posiłki (tu niczego na szczęście nie próbowano reperować), cały czas tracono na zabawy. Często okrutne. Raz, bawiąc się w stos poparzone mocno chłopca imieniem Teddo, który potem chorował i umarł.

Nic dziwnego, że nikt nie zajął się kontuzją Lugga. Bark bolał, potem nawet przestał boleć, ale kości zrosły się krzywo i ze zdrowego, szybko rosnącego chłopaka zrobił się kaleka, pośmiewisko innych, chłopiec do usług i bicia. Sam Joxxe osobiście nie miał nic przeciwko garbusowi, był na to zbyt ważny. W bandzie wytworzyła się ścisła hierarchia. Na czele stał

Joxxe, dalej szli jego zastępcy — chłopcy najbardziej wyrośnięci i silni, potem warstwa „równiachów”, wreszcie grupka młodszych popychadeł, jeszcze należących do grupy, ale bez prawa gardłowania i bez szansy na ciekawsze role w zabawach. Ci byli najgorsi. Słabi, przestraszeni odgrywali swój strach, prześladując garbuska. Tym chętniej, że bezkarnie.

W miarę jak psuły się stosunki Joxxa z Ovve, sytuacja Lugga pogarszała się. Młody herszt nigdy nie darował płowłosemu koledze inteligencji, a także bał się konkurencji o przywództwo. Podczas sporów, a te zdarzały się coraz częściej, Ovve ciągle jednak miał wielu zwolenników. Poza tym był silny. Silniejszy nawet od Joxxa i to hamowało poczynania dziecięcego dyktatora. Atoli w miarę barbaryzacji grupy, siły Owego malały. Przyboczni

„wodza” coraz śmielej nalegali na wykluczenie konkurenta z bandy. A młodszy, o sadystycznych inklinacjach, coraz ostrzej poczynali sobie z Luggim. Tymczasem od startu ARGO upłynęły dwa lata.

Nie wiadomo kto pierwszy wymyślił superpolowanie. W każdym razie Joxxe zaakceptował pomysł. Dotąd bawiono się w dręczenie zwierząt, teraz wymyślono łowy na człowieka.

Garbusek świetnie się nadawał, zabawnie uciekał, no i nie był groźny. Do zabawy mogło już dojść dwa dni wcześniej, ale Ovve umiejętnie zmienił temat i poparła go Ulla, wcześniej dojrzewająca bruneteczka, której obfite jak na trzynastolatkę piersi zaczęły już robić pewne wrażenie na Joxxe. Ulla zawsze zwracała dużą uwagę na to, co mówił Ovve i ten fakt nie uszedł

uwadze młodocianego herszta. W końcu doszło do gwałtownej sprzeczki, Joxxe wstał i mocno popchnął rywala, ten oddał. Wtedy szef bandy uderzył go w twarz. Ovve nie wytrzymał, zwinnie obalił przeciwnika i po chwili siedział na nim okrakiem, okładając pięściami. Nie wiadomo kto z gęstwy kibiców zawołał wówczas: „Zabij go! Zabij!” Ovve nie posłuchał rady i wstał, otrzepując kombinezon.

— Zawsze kiedy zechcesz, udzielę ci rewanzu — powiedział z uśmiechem.  
Pokonany nie powiedział nic, tylko rumieńce na jego twarzy zrobiły się większe. Ovve przez

dwa dni chodził w glorii zwycięzcy. Znow miał wielu zwolenników. Ulla całowała go publicznie.

Gdyby chciał, mógłby pewnie zająć miejsce szefa paczki. Dlaczego tego nie zrobił?

Ovve w ogóle był inny. A jeszcze mocniej zmienił się w ciągu tych paru lat. Może poczucie siły, może inteligencja, sprawiły, że czuł się bardziej odpowiedzialny od innych, miał swoje stronniczki wśród tych paru dziewczyn, które dalej chciały się uczyć, bolał nad spalaniem biblioteki i uszkodzeniem czytników mikrofilmowych. Szkoda, że w parze z tymi zaletami szła spora łatwowierność. Uważał, że zawsze da sobie radę. Obecnie mu były intrygi...

Lugg płakał, bo zbliżał się kolejny świt. Już wieczorem doszły go szeptaki słabeuszy, którzy w dotychczasowych łowach odgrywali rolę naganiaczy, że nazajutrz rozpocznie się wielkie polowanie. Cóż miał zrobić. Uciec?

Już dosyć dawno znaleziono przejście do zablokowanych poziomów. Paru odważniejszych chłopców zapuszczało się w pościg za zdziczałymi królikami w wypalone trzewia statku.

Niedaleko jednak. Za to wracając, snuli przerażające opowieści o tajemniczym świecie bez światła, pełnym rozmaitych zjaw, duchów dziwnych zwierząt i włóczących się uszkodzonych automatów. Najstraszniejsze były jednak opowieści o Potworze. Ovve wyśmiewał te rewelacje.

Inni jednak gorliwie przekazywali straszliwe podanie o wampirze zrodzonym z krwi zabitych załogantów (ostatniego wszak ukatrupił osobiście Joxxe) krążącym wokół miasteczka, a nocą zagląającym na łąkę. Chłopcy porobili sobie proce i luki, ale nigdy nie udało im się dosięgnąć upióra. Zresztą zbytnio się bali, aby urządzić prawdziwą ekspedycję.

Upiór nie był jedynym powodem lęku Lugga przed ucieczką. Czegóż miał szukać sam, kaleka, w tajemniczym świecie bez słońca, bez automatów z pożywieniem. Płakał i usiłował się modlić, chociaż nie bardzo wiedział do kogo.

Nad ranem przysnął na chwilę, a gdy zbudził się (sztuczne słońeczko dopiero zaczynało się rozjarzać), powziął pewną myśl. Porozumie się z Owem, potem ukryje, a przyjaciel będzie dostarczał mu pożywienia. Za jakiś czas banda o nim zapomni, a być może znajdzie inną ofiarę.

Dzieci mieszkaly początkowo w jednoosobowych pokojach, ale po tragedii wielu skupiło się w małych grupkach. Lugg należał do mieszkających samotnie, z tej prostej przyczyny, że nikt nie miał ochoty bratać się z garbusem. Ovve mieszkał parę kamieniczek dalej, również sam.

Miasteczko pogrążone było w uśpieniu, ciszę mąciło jedynie pianie kogutów. Garbusek wślizgnął się do pokoiku swego protektora... Opuszczone żaluzje tworzyły lekki półmrok. Nie tak wielki jednak, aby nie dojrzeć wielkiej kałuży obok materaca.

— Ovve!

Na dźwięk głosu zapaliło się światło. Półnagi nastolatek leżał w rozrzuconej pościeli, nieruchomy. Krew z kilku, a może kilkunastu ran zdążyła już zaschnąć. Nogi ugięły się pod Luggiem.

Przez uchylone drzwi zajrzał rudy Sewt — agresywny małolat, bodajże najdokuczliwszy prześladowca kaleki.

— Morderca! — wrzasnął piskliwie. — Garbus morderca! Jak udało się chłopcu uciec z kamieniczki, sam tego nie wiedział.

Ale oblawa pod wodzą Joxxe była przygotowana.

— Garbus zabił Ovve! — podawano sobie z ust do ust.

Lugg nie miał czasu, aby się bronić. Trafił go kamyk, rozcinając policzek. Rzucającą, dostrzegł to zrozpaczą, była Ulla. Tymczasem krąg dzieciaków zawężał się. Ze wszystkich

stron rynku zbliżali się prześladowcy, a przy bramie do parku stał samotny, triumfujący Joxxe. Jego dosyć ładną twarz wykrzywił grymas okrucieństwa. Kiedy jeszcze czytano książki, Lugg widział obrazek przedstawiający Kaligulę. Teraz miał przed sobą jego żywe wcielenie. Rozpacz dodała mu sił. Skulił się, sprężył i skoczył do przodu. Pewność, że herszt był jednym z morderców jego przyjaciela, dodała mu sił. Uderzony bykiem Joxxe przewrócił się, a Lugg znalazł się na otwartej przestrzeni. Kiedyś dobrze biegał, teraz z wysadzoną łopatką, uniesionym barkiem poruszał się jak łamaga. Miał jednak przewagę zaskoczenia, a strach dodał mu skrzydeł. Dopadł jednego z otworów wiodących do podziemi i skoczył. Nie przejmował się upadkiem, nawet skręcona kostka nie powstrzymała go od dalszej ucieczki. Biegł w mrok, potykając się o kupy nie uprzątanego śmieci. Dotarł wreszcie do szczeliny przy niedomkniętej grodzi, wymacał ją i zanurkował w labirynt. Potem biegł, czuł się, upadał, podnosił. Wreszcie natrafił na jakąś zaporę i znieruchomiał... Był spocony, obolały, stracił oddech.

Ścigający łatwo nie zrezygnowali. Joxxe i kilkunastu najstarszych chłopaków zaopatrzyło się w latarki i poszło w ślad za uciekinierem. Szli wolno, ostrożnie. Przy kolejnych rozwidleniach dzielili się na małe grupki. Jedna z nich po kwadransie trafiła na Lugga. Nie miał już siły uciekać. Krążek świetlny wyluskał go wtulonego w resztki wypalonych i skręconych od żaru mebli kabiny załoganckiej.

— Tu jest, chłopaki! — zawołał rudy Sewt.

— Idziemy! — odkrzyknął Joxxe.

Garbusek przymknął oczy. Otworzył je, kiedy usłyszał skowyt. Latarka wypadła z rąk napastnika. On sam przeraźliwie krzycząc: „Upiór! Upiór!” — rzucił się do ucieczki.

— Nie ma upiorów — odpowiedział z dystansu Joxxe. — A jeśli jest, to załatwimy go.

Chłopaki, poświecić.

Kimkolwiek był interwent, nie miał czasu ani ochoty poddawać się próbie sił. Silne ręce schwyciły skulonego Lugga i przerzuciły przez ramię jak worek. Lugg nie opierał się. Potem nieznajomy ruszył szybko w głąb zgliszczy. Zdrętwiały ze strachu kaleka nie miał siły, aby wolać o ratunek. Zresztą nie wiedział już co lepsze.

Przy następnej krzyżówce nadziali się na dwóch chłopaków z nagonki. Upiór roztrącił ich dwoma kopniakami i pobiegł dalej. Posuwał się wśród idealnego mroku. Miętko, nie powodując hałasu, omijał przeszkody ze zwinnością ducha.

— Nie bój się, nie bój się Lugg — powiedział parę razy półgłosem. — Jestem przyjacielem.

Kaleka kulił się jeszcze bardziej. Nie wierzył nikomu. Wreszcie upiór (czy może raczej święty Krzysztof) zmęczył się. Złożył delikatnie Lugga na ziemi.

— Przestań drzeć, chłopie — powtórzył. — Nikt cię już nie skrzywdzi. Nie zapalę żadnego światła, bo nie chcę cię przestraszyć. Byłem swego czasu trochę kontuzjowany, ale, wbrew opinii krążącej wśród twoich kolegów, nie jestem wampirem ani upiorem tylko ostatnim załogantem ARGO. Mam na imię Mart.

\* \* \*

Parę miesięcy minęło, zanim udało się Addzie Tsi przywrócić Majsterkowicza światu żywych. Zresztą, co to był za świat? Mroczne katakumby, w których wygasły wprawdzie pożary, ale ze wspaniałej automatyki nie pozostało śladu. Adda miała zbyt wiele kłopotów z Martem, aby nawiązać kontakt z dziećmi. Zresztą Mart nie pragnął tego kontaktu, uważając słusznie, że widok twarzy przypominającej maskę musiałby przyprawić o szok mieszkańców miasteczka.

Poza tym z każdym tygodniem malała swoboda ruchów Tsi. Miliardnik zostawił jej bowiem pamiątkę...

Nie chciała tego dziecka. Czula się, jakby pod sercem nosiła swego osobistego wroga. Mart był innego zdania. Czuly i opiekuńczy twierdził, że będzie kochał maleństwo jak swoje.

Uwierzyła mu. Zresztą ze wspólnej niedoli wyklula się wśród tych ponurych miesięcy niewiarygodna miłość. W niczym nie przeszkadzał Addzie fakt, że Mart nie był Virderem.

Przeciwnie, ucieszyło ją to. W pokierszowanym mężczyźnie co dzień na nowo odkrywała coraz wspanialszego człowieka.

Optymizm Hobbysty, jego niezmacona wola przetrwania, miłość — o tym można by pisać godzinami w powieści dla młodych pańienek. Majsterkowicz w konsumpcyjnym świecie egoizmu i wąskiej specjalizacji, rzeczywiście mógł uchodzić za mutanta. Natomiast w tragicznym położeniu, w labiryncie zniszczonego statku okazywał się prawdziwym herosem.

Skromnym, pracowitym, zawsze skorym do pomocy.

Ledwo się wykaraskał, zaczął na nowo działalność godną Majsterkowicza. W ich gniazdku było wkrótce wszystko, od hodowli kur i królików po łazienkę. Mart skonstruował też noktowizyjne okulary pozwalające Tsi widzieć po ciemku. Zaś dla siebie sporządził rodzaj echosondy, dzięki której przemieszczał się w labiryncie niczym nietoperz.

Niestety, jego optymizm znów został poddany poważnej próbie. Niewiele brakowało, aby znikł w ogóle. Jeszcze w siódmym miesiącu ciąży planowali wspólnie, jak po urodzeniu dziecka i jego półrocznym odchowaniu, Mart skonstruuje dla siebie maskę i w trójkę wyjdą na powierzchnię, zając się dziećmi.

— Młodzież dorasta i musi mieć opiekę — twierdził. — We dwójkę powinniśmy dać sobie radę i powstrzymać proces ich dziczenia.

Niestety, plany te miały się załamać.

Poród był trudny. Mart, choć również lekarz — samouk, nie dysponował medycznym sprzętem, nie posiadał też właściwej grupy krwi do transfuzji. Chłopiec — Jor — urodził się duży i silny. Ale Adda zmarła po czterech dobach, pomimo rozpaczliwych wysiłków Marta.

Potem był niesłychanie trudny rok — okres żalu i obowiązków samotnego ojca. Aż wreszcie Jor zaczął chodzić, a ojczym skonstruowawszy kojec, mógł zostawiać go na dłużej samego i zapuszczać się w poblizę miasteczka. Właśnie z jednej z takich wypraw przyniósł Lugga.

\* \* \*

Kaleki chłopiec spał. Nareszcie bezpieczny, materac w materac obok Jora. Żywe dziecko przekonało go nareszcie, że wybawca nie jest ludożerczym upiorem. Po długotrwałych naleganiach zobaczył wreszcie twarz Marta. Najpierw przeraził się, a potem o dziwo, nabral zaufania. Wybawca był kaleką jak on sam.

Hobbysta uczył go siły i odwagi. Tłumaczył, że nigdy nie ma sytuacji tak beznadziejnej, żeby nie opłacało się walczyć. Że istnieje coś silniejszego nad przeciwności losu i pospolitą słabość. Jest nią wola bycia odważnym i potęga inteligencji.

Dlatego Lugg z ochotą przyjął propozycję nauki.

— Biblioteka jest zniszczona, przepadły również programy, twoi koledzy dziczeją, a ja... Cóż, nie jestem młody — mówił Mart. — Muszę nauczyć cię tego wszystkiego, co sam umiem. Muszę przekazać ci wiedzę o przeszłości Ziemi, o naszym Stwórcy, o literaturze, sztuce i nauce. Twoi koledzy pod wodzą Joxxe karmieni przez automaty nie podejrzewają jednego.

Gdy dotrą na Nową Ziemię i jeśli uda im się wylądować wahadłowcami, staną bezbronni wobec bezlitosnej natury. Ogromnych gadów, przyrody nie znającej dotąd człowieka. Nie będą mieli do dyspozycji służebnych maszyn, cybernetyki, wszechsprawnych robotów. To wszystko zginęło w pożarze.

Będą mieli tylko własne ręce i własne szare komórki...

— To zginą!

— Tak, jeśli im nie pomożemy... — mówił Mart.

Teraz Lugg śpi, oddycha równo, podobnie jak maleństwo obok.

— Strasznie dużo mamy do zrobienia — mruczy Majsterkowicz. Poprawia koce i sam wyciąga się obok na materacu. I tak zasypiają. Ślepiec, kaleka i zaczynające dopiero mówić dziecko. Ostatnia szansa dla przyszłości człowieka. Kaganek wiedzy przeciwko fali barbarzyństwa.

Głowa Hobbysty — biedna, poraniona, poparzona głowa — teraz równocześnie Biblioteka Aleksandryjska, Zbiory Kongresu i poradnik „Zrób sam” — opadła na poduszkę z kurzego pierza.

Mart sypia krótko — czasami targają nim okropne sny. I wtedy z uporem powtarza się jeden majak. Wizja konfliktu na Macierzystej Planecie, wkrótce po starcie ARGO. Obraz wojny, która zniszczyła świat skuteczniej niż pożar ładowni statku kosmicznego. I wtedy Majsterkowicz budzi się z pełną grozy konstatacją, że jest ostatnim rozumnym człowiekiem nie tylko na tym statku, ale również we Wszechświecie... To jest oczywiście sen... ale... ale... Kontakt z Ziemią nie ma.

Już śpią.

Maleńki nośnik życia, jakim jest ARGO, posuwa się tymczasem coraz dalej i dalej w głąb Galaktyki.

# PARTY

*Opowiadanie to napisałem w 1990 roku. Umieszczając jego akcję w okolicy przypominającej Anin, absolutnie nie mogłem przewidzieć ani mordu na Jaroszewiczach w 1992, ani samobójstwa Ireneusza Sekuły, ani powrotu po trzech latach lewicy do władzy. Można więc stwierdzić, że choć troszeczkę okazałem się prorokiem, to słabym jakimś.*

Ostatnie sto metrów przeszedł, potykając się o zlodowaciałe pryzmy śniegu. Gdzież ta epoka, gdy była to uliczka pierwszej kolejności odśnieżania w całej dzielnicy? Od czasu jego ostatniej bytności wyraźnie spsiała. Dawny drewniak ochrony straszył wybitymi oknami. Płot uginał się pod suchymi o tej porze pędami dzikiego wina. Nikt nie sprzątał podjazdu, zaś sam dom — położony w głębi posesji i ukryty wśród świerków — wydawał się niezamieszkały.

Mężczyzna nacisnął guzik przy furtce. Dwa krótkie dzwonki, dwa długie. Zabrzęczało elektryczne urządzenie sygnalizacyjne przy zamku, dowodząc, że ktoś jednak w środku był.

Przybysz rozejrzał się wokół. Nie zauważywszy nawet psa z kulawą nogą, otworzył furtkę.

Wewnątrz domu uderzyło go ciepło i zapach igliwia. Piękna jak sen dziewczyna (najwyżej dwadzieścia lat, ale wyglądająca jeszcze młodziej) odebrała od niego płaszcz, a ze środka wytoczył się Otyły. Dziś bardziej przywiędły niż przed rokiem, lecz z zaróżowionymi policzkami i oczami ciągle błyskającymi energią.

— Jesteś, byku! Nareszcie!

Wymienili standardowy uścisk, który Łysy pamiętał z lepszych czasów i ciekawszych spotkań, od Phenianu po Hawanę.

Weszli do salonu. Tu zmieniło się niewiele. Przybył jeden obraz Kossaka, zniknęła biblioteczka klasyków marksizmu-leninizmu. Na kominku wesoło płonął ogień, a ze ścian gapily się bezpartyjnie trofea myśliwskich wypraw Otyłego, ze skórą ussuryjskiego tygrysa i łbem angolskiego nosorożca na czele.

— Viola, zrób Mareczkowi drinka! — zadysponował gospodarz.

Dziewczyna zabrała się do tego ze skrupulatnością godną podziwu.

Skąd on bierze tak młode partnerki? — przemknęło przez myśl Łysemu. Właściwie było to pytanie retoryczne. O wyczynach erotycznych Andrzeja wiedział zarówno od samego zainteresowanego, jak i ze służbowych notatek, których wiele nagromadziło się przez lata.

Udało mu sieje w porę zniszczyć przed niespodziewanym przejściem na emeryturę.

Jeśli chodzi o Violettę, to Otyły rozповідаł, że zgarnął ją podczas romantycznej nocy na weselu góralskim w Gorcach. Na owo wesele zablądził „jako prosty turysta” po zgubieniu obstawy. Podobno wraz z dziewczyną uciekali całą noc przed bandą pijanych harnasiów, którzy gonili ich ze sztchetami zamiast ciupag. Prawda była bardziej prozaiczna. Poznał Violettę, kiedy wraz z jego wnuczką przygotowywała się do sesji egzaminacyjnej na wydziale prawa.

Miała dość akademika, więc gdy starszy pan zaproponował jej sublokatorski, darmowy pokój, nie odmówiła. Zresztą, odmawianie nie należało do zwyczajów młodej studentki.

— Po raz pierwszy w życiu trafiła na równie dorodnego samca — komentował Otyły. —

Szalejemy za sobą!

Łysy skończył rutynowy obchód mieszkania. Z dawnych lat pozostała mu podejrzliwość i dopatrywanie się podsłuchów za każdym zgrubieniem tynku.

— Jesteśmy sami? — zapytał.

Właśnie w tym momencie otworzyły się drzwi od palarni i wyszedł Cienki. Uściskali się.

Nikt nie lubił całować Cienkiego. Ów znakomity był ideolog miał cerę szarą i gąbczastą, tak charakterystyczną dla nałogowych palaczy, nie gardzących nadto kieliszkiem.

— Chyba jeszcze schudłeś — rzekł mu towarzysz Marek (Łysy).

— O tobie nie mogę tego powiedzieć — odwdzieczył się Cienki.

Violetta podała drinki. Łysy złapał się na tym, że zbyt nachalnie gapi się w jej dekolt, głęboki jak loch na Łubiance.

— Czy będzie Stary? — zwrócił się do Otyłego.

— Oczywiście. Zawsze wpadał na moje urodziny. Zresztą, rozmawialiśmy wczoraj przez telefon.

Łysy, całkowicie już odprężony, sięgnął po drinka. Było tak domowo: dyskretnie sącząca się muzyka, choinka, nadawały wnętrzu miły i staroświecki charakter. Towarzysz Marek nie należał

do osób sentymentalnych, ale czasami potrzebował relaksu.

— Czyli będziemy mieli komplet — stwierdził z zadowoleniem.

— Ograniczony — sprostował Otyły. — Ze starej paki Rafał się przekręcił, Karol w Stanach, a Wiktor zgłupiał.

W dawnych czasach postępowanie eks-towarzysza Wiktora stałoby się przedmiotem sądu partyjnego zakończonego cywilną śmiercią obwinionego. Czy wieloletni pracownik aparatu, absolwent Instytutu Moskiewskiego i Budowniczy Polski Ludowej mógł nagle i bezkarnie odciąć się od swych korzeni? Skoczyć w ramiona opozycji, wypowiadać się i stać praktykującym katolikiem? Wystarczyła krótka choroba, nerwowe załamanie, rypnięcie systemu, a profesorek przeskoczył na drugą stronę barykady.

„Jak trwoga — to zażywamy opium dla mas!” — zwykł mówić o takim postępowaniu Stary.

Sędziwy aparatczyk zjawił się kwadrans po Łysym. On również odprawił taksówkę już na rogu i kusztykając o laseczce, dotarł do willi. Przywitali go ze zrozumiałą atencją. Stary to był ktoś. Zawsze otaczał się małą barierą niedostępności, zawsze stał przynajmniej pół obcasa wyżej od pozostałych. A oni akceptowali taką sytuację.

— Cieszę się, że mogę was oglądać, chłopcy. Najważniejsze, że nadal jesteśmy na chodzie i... — tu Stary niedbale machnął ręką, wskazując okno — nie ponosimy odpowiedzialności za ten burdel.

— Żałośni amatorzy — skomentował Cienki. — Nawet dekomunizacji przeprowadzić nie potrafią.

— Taak — powiedział przeciągle Łysy.

Pozostali towarzysze wbili w niego wzrok. Nie lubili, kiedy Łysy poważniał. Zawsze wtedy okazywało się, że wie dużo więcej, niż wynikałoby to z jego miejsca w hierarchii. „Powiedz, Mareczku — nagabywał go kiedyś w pijackim rozmarzeniu Otyły — czy ty przypadkiem nie jesteś Ruski?” Na szczęście, poczucie humoru kazało obu uznać tę wypowiedź za niebyłą.

Tymczasem Łysy z nagłą przypomniał sobie swój dawny zawód. Spuścił zasłony, dorzucił dREW do kominka, wyjął wtyczkę telefonu i zgłosił muzykę.

— Do czego zmierzasz? — zainteresował się Otyły.

— Porozmawiamy.

Stary najwyraźniej coś wiedział na ten temat, bo tylko przyzwalająco opuścił powieki i siorbnął koniaku.

— Ale po co, skąd takie środki ostrożności? — rozległ się głos Cienkiego.

— Węszą za nami — wyjaśnił krótko Łusy.

— Kto? Ci niepoważni gówniarze z UOP-u, których znajomość policyjnego fachu wynika z biernego styku z gumową pałką? — zaśmiał się Cienki. — A może ksiądz proboszcz?

Przecież tylko patrzeć, jak ten bajzel runie.

— Nie wykluczam tej ewentualności. — W głosie Łysego nie znalazł się nawet gram entuzjazmu. — Ale co wówczas nastąpi? Kto weźmie władzę? Przecież nie my. Nasz powrót to pieśń dalszej przyszłości. Jakiś człowiek znikąd, populistą, ktoś z tłumu. W każdym razie będzie zapotrzebowanie na krew i czyjeś głowy.

— Mają nową nomenklaturę — zauważył Otyły.

— Nową zajmą się dla przyjemności, a starą z obowiązku. Ale być może zbytnio wybiegam w przyszłość — zastrzegł się Łusy.

— Nam grunt pod nogami pali się już dziś. Dorwali Pietię.

Stary chwilę zastanawiał się, o kogo chodzi. Wreszcie przypomniał sobie tajemniczego młodego człowieka, o którym więcej mu mówiono, niż sam mógłby zauważyć. Oficjalnie spotkali się może dwa razy. I chyba nawet nie rozmawiali.

— Kto go dorwał?

— Przecież nie święci anieli obrządku wschodniego. Ruscy! Nawet nie wiem, jak się to ich nowe KGB nazywa. W każdym razie kotłuje się nielecho, jedni przeciwko drugim, drudzy przeciwko trzecim. Pietia znalazł się po niewłaściwej stronie. Może wykazał za mało refleksu.

Dawniej powiedzielibyśmy — intuicji rewolucyjnej.

Cienki, wychyliwszy duszkiem pełną szklaneczkę, rzucił:

— Konkrety.

— Niestety, towarzysz Pietrow był nadzwyczaj systematyczny. Nie przeszkadza to w pracy partyjnej, gorzej, gdy dotyczy zajęć nadobowiązkowych. — Po tym wstępie Łusy przeszedł w końcu do sedna sprawy: — Miał domowe archiwum.

— A co w nim?

— Wszystko. Wszystkie interesy. Przelewy, transfery. Nasze wspólne przedsięwzięcia.

Szczyściem, bez nazwisk. Ale nietrudno będzie natrafić na kontakt w Polsce, zweryfikować to i owo.

— Rafał nie żyje — wtrącił Stary.

— Sprzyjająca okoliczność, ale notatki sięgają dużo głębiej — wyjaśnił krótko Łusy. —

A Ruscy lubią ostatnio robić prezenty naszym aktualnym zarządom. Podadzą nas na srebrnym talerzu za jakiś wagon ziemniaków, który pozwoli Moskwie przeżyć tydzień bez głodu. A nasi, nawet przy swym bałaganiarstwie, prędzej czy później dotrą do nas.

Cienki poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Już od dłuższego czasu zastanawiał się, co on tu właściwie robi. Żona od roku w Paryżu, synowie w Nowym Jorku. Stary był w jeszcze gorszej sytuacji: córka nie chciała rzucić uczelni, małżonka nigdy nie zaaprobowałaby ucieczki.

Również Otyłemu zrobiło się nieprzyjemnie. Polubił życie zasobnego emeryta, spisującego pamiętniki w towarzystwie nadobnych kobietek. Perspektywa sądu, więzienia, a nade wszystko utraty pieniędzy wydawała się przerażająca.



A gdyby jeszcze dogrzebali się do tego nieszczęsnego wypadku...

Łysy, świadom ogarniającej ich paniki, po raz pierwszy się uśmiechnął.

— Nie wszystko jeszcze stracone, towarzysze. Archiwum Pietki to spory kłopot, ale nie mają jego zeznań, nie znają nazwisk. Nie dysponują dowodami materialnymi.

— Wyduszą je z Pietrowa — skonstatował ponuro Otyły.

— Nie wyduszą. Pietka nie żyje.

— Rzeczywiście! — Cienki aż podskoczył z radości. — Czytałem gdzieś o jego samobójstwie.

Łysy wyduł wąskie wargi.

— Tak, strzelił sobie w głowę z dziesięciu kroków, i to ze trzy razy. Niezły wyczyn strzelecki.

Umilkł, bo do pokoju weszła bezszmerowo Violetta, wnosząc przystawki. Wycofała się równie dyskretnie.

— Pięknie wyszkolona, jak moja wyżliczka — pochwalił Stary. W tym momencie Otyłemu przypomniało się jakieś polowanie.

Łańsk, może Arłamów. Stary o dwadzieścia lat młodszy. Prominentni cudzoziemcy. Wokół ogniska pokot jak w tajdze. I żal ścisnął serce, że to już nigdy nie powróci... Może być tylko gorzej: ktoś rozpracuje warszawskie kontakty Pieti, jakiś idiota zacznie paplać i dobiorą się...

— Kiedy byłem w tajdze — Łysy najwyraźniej miał podobne skojarzenia — starzy myśliwi opowiadali mi o obyczajach jeleni uciekających przed wilkami. W rozpaczliwej sytuacji poświęcają jednego ze stada. Ten zostaje. Wataha ma żer, a stado może uciec.

Twarz Cienkiego zrobiła się czujna i jeszcze cieńsza. Jego profil przypominał teraz sierp księżycy.

— Do czego zmierzasz?

— Poświęcenie jednego z nas mogłoby rozwiązać sprawę. Wiarygodnie napisane oświadczenie, w którym wziąłby winę na siebie, taki pożegnalny list... Ślad by się urwał.

— Zwariowałeś? — na twarz Otyłego wystąpiły krwiste cętki.

— To jest jakaś koncepcja — odezwał się Stary. — Tajemnica zabrana do grobu, kontaktów nie ma, dowodów też, pieniądze przepadły. Nie będzie powodów do dalszego śledztwa.

— Nikt nie mówi, że teoretycznie jest to zły pomysł — wykrzyknął Otyły. — Ale to oznacza, że któryś z nas musiałby się zgodzić na rolę kozła ofiarnego.

— Zawsze miałeś talent do chwytania byka za rogi — zgodził się Łysy. — Oczywiście, takiej decyzji nie powinno się nikomu narzucać, jest zbyt ważna, powiedziałbym — zbyt intymna. Nie mam jednak wątpliwości, że ktoś z was się zdecyduje. Z żarliwością młodych lat, dla sprawy, dla współtowarzyszy...

— Chyba oszalałeś, stary cyniku. Do kogo to mówisz? — obruszył się Cienki. — Szukasz frajera?

Stary wolno zmiażdżył papierosa w popielniczce.

— Tak, to byłoby niezłe wyjście — mruknął.

Nie wiadomo dlaczego, wszystkie oczy skierowały się ku Cienkiemu. Ten wcisnął się w miękki fotel. Czuł w ich spojrzeniach wyrok śmierci, nieomal słyszał ich myśli: „Znana kanalia. Nikt po nim nie zapłaci”.

— Słuchajcie — wybelkotał. — Uważam, że są poważniejsi kandydaci. Kto by uwierzył, że

byłem głównym macherem? W hierarchii stałem dość nisko, mam najskromniejszą dacie, stare BMW. Moja ofiara nie powstrzymałaby pościgu. Co innego, gdyby...

Urwał pod spojrzeniem Starego, który aż uniósł się z fotela.

— Do mnie pije, cwaniaczek. Że najstarszy? Najwyższy rangą? Ale przecież wszyscy wiedzą, że byłem od lat figurantem. Uczciwym człowiekiem do protokolarnych spotkań. Szczerym, prostym, skromnym. Każdy zapytany o mózg, wskazałby na Łysego.

Adresat tych słów prawie nie zareagował. Może odrobinę ściszył głos. Przypominał teraz lekko podrażnionego węża.

— Tak, mam opinię fachowca od specjalnych zadań. Ale dla kraju i organizacji, nie dla siebie! Nadto moje ewentualne samobójstwo mogłoby tylko wzmocnić czujność organów węszenia. Jeśli ktoś taki jak ja wybiera podobne rozwiązanie, coś się musi za tym kryć. Nawet moi przeciwnicy mówią o mnie: ideowy, nieprzekupny. Co innego, jeśli ktoś był całe życie sybarytą...

Ale również Otyły nie przejawiał chęci do poświęcenia.

— Moi drodzy — powiedział tonem lekko drwiącym — taki czyn w moim wykonaniu byłby równie śmieszny, jak wstąpienie do klasztoru. Wiadomo, że byłem cynikiem, koniunkturalistą, który nigdy nie wierzył w komunę. I co, teraz na starość miałbym udawać romantycznego bohatera? A poza tym nie podoba mi się ta syberyjska anegdotka. Mocno naciągana.

Wrócili do punktu wyjścia. Na łysinę pomysłodawcy wystąpiły krople potu.

— A może odrobina hazardu? — zaproponował. Cienki i tym razem pierwszy zażądał wyjaśnień:

— Co masz na myśli?

— Losowanie — rzucił Łysy, wyraźnie przywiązany do swojej koncepcji.

Zanim pozostali biesiadnicy wypowiedzieli się na temat nowego pomysłu, wewnątrz willi wypełniło charakterystyczne brzęczenie dzwonka: dwa długie dźwięki, dwa krótkie. Zastygli w bezruchu.

— Nikogo więcej nie zapraszałem — sumitował się Otyły.

Weszła Violetta.

— Jakiś facet do ciebie. Przez bramofon powiedział, że ma na imię Wiktor.

— Wiktor? — zdziwił się gospodarz. — A jemu co się stało?

— Po co nam ta mysz kościelna? — skrzywił się z niechęcią Cienki.

— Głupio wyjdzie, jeśli go nie wpuszczę — mruknął Otyły. Stary przyzwalająco skinął głową.

Wiktor był porządnie wlany, chyba tylko dlatego przyszedł. A może po pijaku wpadł po prostu w starą koleiną?

Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych należał do najbliższych przyjaciół

Otyłego, jemu zawdzięczał posadę i pozycję. Potem zepchnięto go na boczny tor: nie był dość pewny, dość dyspozycyjny. Trzy lata temu podczas jakiejś ostrej dyskusji po wódce Wiktor stwierdził, że ma dość. I zrezygnował.

Dlaczego przyszedł? Czy przyciągnął go jedynie instynkt pijaczka, który nawet pośrodku Sahary potrafi wygrzebać pół litra?

— Chciałem ci złożyć życzenia, tłusciuchu. Trzymaj się. Byli towarzysze niespodziewanego gościa zachowywali się z rezerwą. Sama obecność apostaty bardzo ich spięła. Gorzej, że

Wiktor — wypiwszy jeszcze dwie kolejki — wpadł w obrzydliwie kaznodziejski ton.

— I co? Wy, naturalnie, nie wyciągacie żadnych wniosków.

— Machnął palcem przed nosem Łysego. — Wam ciągle się wydaje, że czas sobie na chwileczkę stanął, postoi, postoi i ruszy. Będzie jak dawniej.

— Daj spokój, jesteś pijany! — usiłował łagodzić Cienki.

— Ja pijany?! — ryknął Wiktor i cisnął szklanką o podłogę.

— Ja pijany?! A może i pijany — zgodził się nagle. — Za to wy jesteście impregnowani.

Nadszedł czas, aby powiedzieć sobie: to już koniec. Błądziliśmy, myliliśmy się, popełnialiśmy zbrodnie. Co gorsza, nie ma sposobu na odkupienie. Na zadośćuczynienie. Krzywdy, które wyrządziliśmy, gonią nas jak Erynie. Nasza małość dusi nas samych. Dokąd, po co? To już koniec! — powtórzył. W pokoju trwała kompletna cisza. Przerwał ją dopiero Łysy.

— W porządku, Wiktor, zasunąłeś nam. Po oczach! Ale przecież ty od samego początku wiedziałeś, w co grasz. W latach pięćdziesiątych studiowałeś w Moskwie, potem pracowałeś tutaj i teraz chcesz udawać niewiniątka?

— Ja nie udaję niewiniątka. Ja z tym skończyłem. Trzeba umieć skończyć, nawet, gdy to boli. Trzeba się oderwać od własnego lajdactwa.

— Daj spokój, robisz się śmieszny — na twarzy Otyłego pojawił się wyraz niesmaku. —

Gdzie piłeś cały dzień?

— Pewnie u proboszcza — zachichotał Cienki.

Wiktor wybelkotał jeszcze, że już wie, co chciał wiedzieć, że szkoda z nimi rozmawiać, ponieważ są absolutnie niereformowalni.

— Możliwe, ale bądźmy tolerancyjni — rzekł Otyły. — I kulturalni.

Po następnej kolejce Wiktor zupełnie oklapł. Powiedział, że będzie się zbierał do domu.

— W tym stanie lepiej nie wychodź, wezwę taksówkę — zaofiarował się z pomocą Otyły.

— Przez las mam niedaleko.

— Wypij przynajmniej kawę — zaproponował Łysy. — Jeszcze zamarzniesz w zaspie.

Udało się jakoś wmusić w Wiktora mocną kawę. Na odchodnym rzucił parę gorzkich myśli.

— Żyj sto lat, tłuszciochu! Ale pamiętaj o Sądzie Ostatecznym! — krzyknął jeszcze na progu i wytoczył się w noc.

Wyjście odszczepieńca wywołało westchnienie ulgi u wszystkich panów. Violetta wniosła desery.

— Skurwiel! — rzekł dobitnie Stary, który lubił podsumowania.

— Zawsze taki był — zgodził się z nim Cienki. — A na starość i po wódzie wylazło to z niego w dwójnasób.

Otyły nie powiedział nic, siedział dziwnie zamyślony.

— Pożyteczny gość — stwierdził naraz Łysy.

Spojrzeli na niego, zdziwieni tym stwierdzeniem. Nie wiedzieli, o co mu może chodzić.

— Tak, to chyba rozwiązuje nasze problemy.

Łysy wydobyl z kieszeni nieduże pudełeczko, coś przekręcił, potem włączył: „Trzeba umieć skończyć, nawet gdy to boli. Trzeba się oderwać od własnego lajdactwa”.

Popatrzyli z podziwem na towarzysza.

— Ty draniu — zawołał Stary. — Nagrałeś go! Ty cwany draniu! Oczywiście, nagranie stanowiło tylko połowę sukcesu. Resztę Łysy streścił w paru słowach:

— Za jakieś trzy godziny Wiktor źle się poczuje, straci przytomność...

— Widziałem, jak mieszałeś mu kawę — domyślił się Cienki.

— Za trzy i pół godziny odwiedzę tego pijaczka w domu. Z dawnych czasów pozostał mi klucz od jego mieszkania. Nieprzytomny, nawet nie poczuje smaku trucizny. Na fiołce pozostaną ślady jego palców. Tymi samymi palcami wystukam na maszynie krótki list do prokuratury. Szczegóły, dane, cała wina na siebie...

— A pieniądze? Nie będą węszyć? — upewniał się Stary.

— Ślad gubi się za granicą — uspokoił go Łysy. — Potem przegram te pijackie wyznania na jego magnetofon... I całość załatwiona.

— Ty masz leb!!!

W słowach Otyłego pobrzmiwał rzeczywisty podziw. A może nawet odrobina strachu.

— Dobra, załatw to. Tylko pamiętaj, my o niczym nie wiemy — zastrzegł się Stary.

— Właśnie. A jeśli coś się rypnie? — denerwował się Cienki.

— Co na przykład?

— Wiktor nie dotrze do domu albo jego magnetofon będzie zepsuty, a maszyna w naprawie.

— Myślicie, że nie sprawdziłem? Myślicie, że on tu się zjawił przypadkiem? Pił z moim człowiekiem i to on dyskretnie podsunął Wiktorowi, że Otyły jest chory i wypadałoby go odwiedzić.

— Zaraz, zaraz, to po co ta cała zabawa z wybieraniem samobójcy? — zachnął się Otyły.

— Może chciałem się pobawić, może stary policjant jest miłośnikiem Mrożka?

Stary przesunął swój kieliszek w stronę gospodarza.

— Violka! Violka! — krzyknął Otyły. — Możesz przynieść trochę lodu? Violka, słyszysz mnie?

Wiktor szedł, co rusz potykając się przez las, dziś jakby dłuższy i ciemniejszy niż niegdyś.

Był naturalnie pijany, ale nie bardziej niż zwykle. Tylko w piersi czuł jakiś ogromny, dodatkowy ciężar. Serce?

Trzęsła go wściekłość na siebie. Po co tam poszedł? Przecież do tych ludzi nie trafiały żadne argumenty. Litość? Głupota? Znowu poczuł bolesne uklucie.

— Panie Wiktorze, panie Wiktorze!

Przystanął, odwrócił głowę. Któż mógł biec za nim o tej porze?

— Violetta?

Tak, to była dziewczyna Otyłego, bez czapki, zdyszana i bardzo zdenerwowana.

— Szybko, skręćmy, cofnijmy się do tej uliczki — mówiła pośpiesznie. — Niedaleko jest postój taksówek, zawiozę pana do szpitala.

— Do szpitala? Po co? — znowu się zatoczył.

— Dranie, dali panu jakiś specyfik, potem upozorują samobójstwo. Wszystko słyszałam.

Szybciej!

Właściwie nawet się nie zdziwił. Po Łysym można się było wszystkiego spodziewać.

Pozwolił, by prowadziła go jak dziecko.

— Wszystko będzie dobrze, panie Wiktorze. Łysy miał swój magnetofon, ale i ja miałam swój. Nagrałam całą ich rozmowę. Do ich partyjnych szwindli dojdzie jeszcze usiłowanie zabójstwa.

Wiktor z wolna zaczął rozumieć, choć nie wszystko.

— Ale dlaczego ty to robisz, dziecko? Źle ci było z Otyłym? Skrzywdził cię? Dlaczego?

— A może marzy mi się awans na sierżanta, panie Wiktorze? No, niech się pan na mnie oprze. Jestem silna, bardzo silna...

W dali zamajaczyło światelko taksówki. Viola odczuwała satysfakcję. Wiktor też.

Byli tak zaaferowani swoimi sprawami, że nie zauważyli nawet krępego mężczyzny skrytego za ośnieżoną choinką.

## HORRORY

*W tej części zebrałem luźne opowiadania pochodzące w większości z lat dziewięćdziesiątych. Część z nich opublikowałem w „Fantastyce”, jedno w „Życiu”.*

*„Alternatywa” ukazała się w r. 2003 w pierwszym numerze „Faktu”.*

*Wszystkie mają pochodzenie radiowe. Dłuższe były słuchowiskami, krótsze opowiadaniem.*

*W wyborze książkowym ukazują się po raz pierwszy.*

## ALTERNATYWA

Ojciec Łukasz był dobrym księdzem, surowym kiedy trzeba i wyrozumiałym, gdy można.

Grosza nadmiernie z parafian nie wyciskał, w piłkę z młodzieżą grał, a gospodynię miał tak starą i brzydką, że nikomu nie przyszłoby do głowy posądzać proboszcza o cokolwiek.

Owego letniego dnia, kiedy nad ziemią wisiały burzowe chmury jak nieuchronny koniec lata, a kapłan odbywał w konfesjonale przedobiednią drzemkę, jakiś zgrzyt zakłócił ciszę panującą w świątyni.

— Czy można...? — zabrzmiał głos dziwny, ni młody ni stary, w którym ton skruchy mieszał się z zagadkowo chępliwą intonacją. Ksiądz poprawił się w fotelu i skłonił ucho do kratki.

— Chcesz wyznać swe grzechy, synu?

Obcy chciał jednak na początek pogadać. Nieformalnie. Zaskoczony Ojciec Łukasz chciał wychylić się z konfesjonalu, ale niedoszły penitent przytrzymał drzwiczki, twierdząc, że jego widok może być dla duchownego szokujący.

— Jestem, co tu ukrywać, przedstawicielem konkurencji — mruknął.

— Adwentysta, może Żyd? Albo... — zawahał się przed użyciem określenia — socjaldemokrata?

— Dużo gorzej. Diabeł.

— O mój Boże! — jęknął proboszcz, ale przybysz upomniał go, aby nie wzywać imienia Szefa swego nadaremno. Ksiądz jeszcze przez chwilę żywił nadzieję, że to jakiś kawał, jednak zapach siarki i koniuszek ogona, który prześlizgnąwszy się przez kratkę, musnął podbródek kapłana, pozbawił go złudzeń. Westchnął zatem tylko: „A zatem nadszedł czas próby”. I głośno rzekł:

— Chcesz zwieść mnie na manowce?

— Wręcz przeciwnie — padła riposta. — Chcę się nawrócić.

— Niewiarygodne!

— Ale czy ksiądz myśli, że niemożliwe. Od pewnego czasu usiłuję zdobyć książkę profesora Kołakowskiego „Czy diabeł może być zbawiony”, ponieważ ostatni egzemplarz w piekielnej bibliotece został wyczytany do cna.

— Dlaczego jednak zwracasz się z tym do mnie, syn... kolego!?

— A do kogo miałbym się zwrócić? Kardynał Ratzinger to dla mnie zbyt wysoki szczebel, ksiądz Życiński jest zbyt uczony, ojciec Rydzyk aż nadto fundamentalny, a pan, prosty,

uczciwy, praktycznie bezgrzeszny duszpasterz...

Tu Ojciec Łukasz zdziwił się tą oceną, ale diabeł szybko wytłumaczył, że zarejestrowane w „Księdze Uczynków” te parę chwil gniewu na parafian, przypadki drobnego łakomstwa czy oglądanie (jeden raz) „Playboya o północy” mieści się w granicach dopuszczalnych przewin.

Oszolomiony ksiądz usiłował się pomodlić, ale z wrażenia napomniął nawet, jak zaczyna się „paternoster”, spytał więc o motywy kierujące gościem.

— Jestem zmęczony — padła odpowiedź. — Tysiące lat minęły od chwili, gdy przez przypadek dołączyłem do zbuntowanych aniołów. Właściwie była to słabość koniunkturalisty.

Wydawało mi się, że spisek Lucyfera powiedzie się i lepiej będzie mieć legitymację z niższym numerem. Muszę dodać, że przez całą swoją karierę w służbie Złu niczym się nie wyróżniałem.

Nie awansowałem, nie otrzymywałem wyróżnień. Nie stałem się bohaterem dzieł Goethego czy Bulhakowa, nie malował mnie Memmling ani Bosh, słowem byłem czartem szarakiem, który nie wykonywał zbyt nadgorliwie rozkazów Góry, znaczy w tym wypadku — Dołu.

Ksiądz cmoknął z niedowierzaniem. Diabeł zauważył to i szybko dorzucił :

— Proszę mi wierzyć! Nigdy nikogo nie namawiałem do grzechu, w życiu nie sporządziłem ani jednego cyrografu. Zresztą jak? Pracowałem jedynie w dziale piekielnej rachuby, rozliczającym koszty delegacji, wydatki na cele reprezentacyjne, ekwiwalenty dla tajnych i jawnych współpracowników. Ale mam już tego dość. Chciałbym zmienić swoje życie. Porzucić złe towarzystwo. Wrócić na stronę światłości.

Ojciec Łukasz poczuł suchość w gardle. Ostatnim razem czuł coś takiego, kiedy pewien parafianin wyznał mu, wykorzystując tajemnicę spowiedzi, że jest poszukiwanym od miesięcy seryjnym gwałcicielem i aczkolwiek żałuje swych czynów, będzie je kontynuował. Cóż miał począć z dzisiejszym penitentem? Czy kapłańska władza odpuszczania grzechów sięgała tak daleko? Czart przejrzał jego rozterki.

— Czy odmówiłbyś wielebny rozgrzeszenia ludzkiemu klonowi, o którym nawet nie wiadomo, czy ma duszę? — spytał podchwytliwie, a nie słysząc zaprzeczenia, ciągnął dalej: —

A zmutowany szympan, jeśliby posiadał zdolność rozróżniania Dobra i Zła, a żył w celibacie i pościł w piątki? Czy zostałby odtrącony? — w sapnięciu kapłana wyczuł wahanie. —

A komputer? — tu ksiądz zaprotestował, ale czart nie przerwał wywodu — Komputer przyszłości, obdarzony wolną wolą, samoświadomością, wrażliwością społeczną, a w dodatku o prawicowych przekonaniach?

Tym razem zabrzmiała odmowna odpowiedź. Szatan powstał z klęczek, otrzepał ogonem spodnie i chciał odejść. Proboszcz zatrzymał go jednak.

— Proszą zaczekać. Mówisz, że naprawdę żałujesz?

— Szczerze i gorąco.

— A znasz katechizm?

— Kto jak kto, ale każdy z nas zna go na pamięć. Jednocześnie, biorąc pod uwagę moje wielowiekowe doświadczenie, musi być jasne, iż jestem wierzącym. A praktykującym będę... podczas każdej sumy sztuka złota zasili tacę.

Ksiądz wpadł w panikę, naraz wyobraził sobie szatana na niedzielnej mszy, jak ze stukotem kopytek sunie główną nawą... Wolął nawet nie myśleć o możliwych reakcjach parafian, którzy wzdrygali się przekazać znak pokoju nawet jednemu Wietnamczykowi w gminie. Delikatnie

więc zapytał, czy — przynajmniej z początku — nie mógłby pozostać podczas nabożeństwa niewidzialnym?

— Oczywiście, mógłbym — zachichotał czart. — Ale czy ksiądz nie uważa, że jego parafianom przydałaby się praktyczna lekcja tolerancji... Przecież dopiero kiedy wraz z ich dziećmi przystąpię do pierwszej komunii, będą mogli śmiało powiedzieć: „weszliśmy do Europy”.

Po upewnieniu się, że święcona woda nie działa złąco na przedstawiciela piekieł, a znak krzyża przyjmowany jest z czcią i pokorą, kapłan zdecydował się. Ochrzci diabła! Zaprosił gospodynię i organistą na rodziców chrzestnych i zobaczy, co z tego wyniknie. Podniósł się z miejsca, ale w tym momencie gość sam go powstrzymał:

— Chwileczkę. A jeśli kłamię? W końcu my, diabły, jesteśmy specjalistami od fałszu i prowokacji. Przecież mogę być na przykład współpracownikiem pisma „NIE”, które tylko czeka, żeby zrobić reportaż z ukrytej kamery, jak to Ojciec Łukasz diabła pobłogosławił.

— Istnieje takie ryzyko — westchnął ksiądz. — Ale czy mam inne wyjście?

I ochrzcił dobry kapłan czarta. A niedawnemu funkcjonariuszowi Zła odpadły rogi, kopyta i ogon, i stał się wiernym i hojnym parafianinem, pod lasem pobudował niewielki zakład utylizacji odpadów siarkowych, pojął za żonę bratanicę gospodyni, a po kolejnych wyborach nawet został sołtysem. I wszystko byłoby dobrze, gdyby pewnego dnia Ojciec Łukasz nie otrzymał dziwnego telefonu.

— Dzwonię do księdza w bardzo nietypowej sprawie — powiedział ciepły alt. — Zamierzam albowiem niestety upaść.

— Ależ córko! — zachnął się proboszcz. — Jeśli spodziewasz się mej aprobaty, to jesteś w błędzie. Owszem, wysłuchuję kobiet upadłych, czasem je rozgrzeszam, ale wtedy kiedy już upadną, nigdy przed.

Telefonujący(a) przerwał wywód kapłana, uprzejmie wyjaśniając, że jest... a właściwie był, aniołem. Co prawda, dotąd udawało mu się okiełznywać nietypowe dla anielskiej kondycji preferencje, ale teraz skorzysta z okazji, jaką daje mu umowa transferowa zawarta na najwyższym szczeblu i dołączy do synów ciemności.

— Jaka umowa? — spytał proboszcz.

— Stara jak świat, która przewiduje, że jeśli jeden diabeł się nawróci, to niestety dla równowagi jeden anioł powinien... Bilans musi wyjść na zero!

Fala smutku, która zalała księdza, przybrała jeszcze na sile, gdy dowiedział się, że anioł konwertyta był jego osobistym aniołem stróżem. Co gorsza, popadł on w grzeszne skłonności z nudów, albowiem mając tak zacnego podopiecznego od lat praktycznie był bezrobotnym.

Zapłakał wtedy dobry ksiądz. I pomyślał nawet, że może by powstrzymał anioła przed karygodnym odstępstwem, popełniając jakiś grzech drobny, no może średni, który wstrząsnąłby zawodową etyką rozmówcy. Puścił nieudolną wiązką przekleństw, strzelił setkę koniaku, zagroził wizytą w gminnej agencji towarzyskiej, atoli głos anioła w słuchawce był

coraz cichszy, a dochodzący z zakrystii chichot diabła coraz głośniejszy...

## ADVENTURE EXPLORER

Za minutę dwunasta wszyscy na pokładzie Transpacyfika „Adventure Explorer” gotowi byli na powitanie Nowego Roku i Nowego Tysiąclecia, pół setki kelnerów z butelkami szampana, uśmiechnięty kapitan na podium, dyżurujący nawigatorzy na mostku, orkiestra... Cały ogromny

ekran telebimu wypełniała tarcza zegara, na którym sekundowa wskazówka nieubłaganie postępowała naprzód. Za panoramicznymi taflami szkła widać było mroczne morze i rozświetlone plaże atolu Kiribati, na których setki mieszkańców i turystów czekały na wielki moment nadejścia Nowego Tysiąclecia. Właśnie tu, w miejscu, gdzie przebiega niewidzialna granica zmiany daty.

Zabrzmiały uderzenia perkusji i talerzy. Tłum gości począł odliczać. Dziesięć, dziewięć, osiem...

Stuletnia pasażerka — Diana Leyton — jedyna, która urodziła się jeszcze w XIX wieku, przymknęła oczy: „Kto by pomyślał — zaczynam trzeci wiek?” W jednej chwili ujrzała tysiąc obrazów — dziecięce zabawy w Hyde Parku, ochotniczą służbę w szpitalu u schyłku Wielkiej Wojny, rozkoszne lata trzydzieste, kiedy tańczyła w rewii, naloty na Londyn. Kolejne małżeństwa, podróże, porody. Miała czwórkę dzieci, jedenastu wnuków, dwudziestkę prawnuków... Dziś była sama i gdyby nie pieniądze, służba, pielęgniarki i ten komputerowy rozrusznik... Ech!

— Trzy, dwa, jeden, zero... — Naraz zapadła ciemność, zgasł telebim, ucichła muzyka...

Ludzie zaczęli bić brawo. Minęło jednak pół minuty i zaniepokojony szmer wypełnił mroczną restaurację. Kapitan Hart zmarszczył brwi. Płonące lody zaplanowano na później.

— Proszę zachować spokój — zawołał głośno. — Wszystko znajduje się pod kontrolą! — sam nie był o tym przekonany. Światła i owszem, miały przygasnąć, ale tylko na pięć sekund. I na pewno nie lampki na topie ani awaryjne podświetlacze schodów...

— Do cholery, dlaczego jeszcze nie włączyło się oświetlenie awaryjne?

Po omacku dotarł na mostek.

— Co tu się dzieje ? — rzucił

— Nie mamy pojęcia — odparł Pierwszy, którego twarz w słabym płomyku zapalniczki przypominała oblicze Draculi. — Nagle wszystko zgasło. Matt sprawdza, dlaczego nie włączyło się zasilanie awaryjne. Zresztą, nie my jedni mamy kłopoty. Niech pan spojrzy — wskazał w kierunku atolu. Na wybrzeżu nie paliło się ani światelka. Zgasła nawet latarnia morska usytuowana na cyplu.

— Co podaje radio?

— Przecież nic nie działa.

— Mamy chyba odbiorniki na baterie w szalupach ratunkowych.

Okolo kwadransa zajęło im wstępne opanowywanie sytuacji. Trzeba było przełączyć sterowanie automatyczne na ręczne — udało się też uruchomić zasilanie awaryjne i w końcu w sterowni pojawiła się słaba poświata.

— Wygląda na to, że siadły wszystkie komputery — stwierdził Główny Mechanik Matt Stone.

— Niepojęte! Przed wyjściem z portu w Honolulu wszystko było sprawdzone.

— Co z silnikami? Głównymi generatorami?

— To dłuższa robota.

— Nie możemy czekać, aż prąd zniesie nas na rafy...

— Rzućmy kotwice...

— Kabestany też są uruchamiane przez komputer. Ten statek to pieprzone arcydzieło elektroniki.



— A szalupy ratunkowe?

— Można spróbować ręcznie odblokować wyciągi. Jest taka opcja.

— Wezwijcie wszystkich członków załogi. Niech zajmą się kotwicami i szalupami... Żadnej paniki. A przy okazji, nie macie pojęcia, co stało się na lądzie?

— Nie działają radiostacje ani telefony komórkowe, umilkło radio...

— A gdzie indziej?

Drugi oficer wrócił ze starym tranzystorem. Na wszystkich zakresach rozbrzmiewały radosne dźwięki muzyki. I naraz, w pół taktu, zamilkło Radio Auckland w Nowej Zelandii, dwadzieścia pięć minut potem cisza spowiła wyspy Fidżi, wkrótce po nich Nową Kaledonię.

— Co się dzieje? — wołał kapitan, gdy nawet laptopy wyposażone w akumulatory nie dały się uruchomić.

— Wygląda, że nastąpił koniec świata elektroniki — powiedział Matt Stone. — Przed chwilą umilkł środkowo-pacyficzny satelita komunikacyjny.

— Czyżby to ta cholerna pluskwa milenijna? Wszyscy zdążyli o niej zapomnieć, a ona przyszła z rocznym opóźnieniem?

— To świństwo jest gorsze od pluskwy — niszczy pamięć operacyjną, panele sterowania.

Wszystkie bez wyjątku komputery, nawet te w zegarkach, równo ze zmianą daty na pierwszego stycznia 2001 roku zmieniły się w kupę złomu.

— Czyżby totalny sabotaż hakerów?

— Jeśli tak, to wyjątkowo perfidny, jeśli bez ostrzeżenia sięgnął satelity i fabrycznie nowe notebooki. Nie potrafię powiedzieć, czy możliwe jest obciążanie winą jakiegokolwiek człowieka.

— A kogo... — kapitan mimowolnie uniósł głowę ku rozgwieżdżonemu niebu, na którym lśnił Krzyż Południa — nie myślisz chyba...?

— Może ktoś tam na górze doszedł do wniosku, że posunęliśmy się zbyt daleko w konsumpcji owoców z Drzewa Wiadomości.

— Jeśli w ciągu pięciu minut nie rzucimy kotwicy, wejdziemy na rafy! — zawołał Pierwszy Oficer, wracając na mostek. Jakby na poparcie słów dobiegł ich rozdzierający zgrzyt kadłuba.

Diana Leyton umierała. Krew nie pobudzana przez elektroniczny rozrusznik serca stężała w jej żyłach. Narastał chłód i ciemność... Podobna ciemność od wschodu nakrywała coraz większym cieniem ziemski glob. Ten jednak, nie wiedząc jeszcze o zagrożeniu, bawił się i przygotowywał do zabawy. Na Times Square, na Placu Czerwonym, na Placu Defilad.

Wszędzie szykowano się świętować śmierć dwudziestego wieku. Wieku, który może kiedyś kronikarze skrobiący na glinianych tabliczkach nazwą Wiekiem Elektroniki.

## OPERACJA HEROD

Kiedy zobaczył łódkę, była tylko małą kreseczką na czystej tafli jeziora. Zmarszczył brwi.

Któż zamierzał składać mu wizytę na odludziu? Dusza policjanta, która niezupełnie dała się przenieść na emeryturę, podpowiadała mu, że nieproszony gość zawsze oznacza kłopoty.

Ronald Baxter odłożył wędkę i poszukał wzrokiem sztucera, z którym nie rozstawał się od czasu, kiedy przed paru miesiącami przeszedł mu przez ścieżkę dorodny grizzly. Przez celownik optyczny popatrzył na wiosłującego, te płomiennie rude włosy... Brian? Czego może chcieć od niego Brian Murphy, że pofatygował się aż dwa tysiące mil od Chicago? Ostatnim razem widzieli się na pogrzebie Marka, później Brian odezwał się tylko raz, z życzeniami

noworocznymi. Co przygnało go teraz? Baxter zszedł na pomost i czekał. Umilkły żaby, a niebo przybrało kolor dekoracji do „Studium w szkarłacie”.

Murphy zmienił się bardzo przez te kilka lat. Schudł, a z workami pod oczyma i bladą, niegoloną od paru dni twarzą, wyglądał na starszego o dobrą dychę, niż by to wynikało z jego metryki. Uścisnął Ronalda i ruszył za nim w stronę chaty z bali, rozglądając się, jakby obawiał się, że ktoś może ich śledzić. Wyglądał jak ktoś pilnie potrzebujący pomocy.

— Tylko nie mów chłopcze, że wpakowałeś się w jakieś tarapaty? — odezwał się Baxter, gdy już znaleźli się w środku chałupy.

Murphy potrząsnął ramionami, niczym człowiek pragnący zrzucić niewidzialny ciężar.

— Nie wiem dokładnie, w co się wpakowałem — odrzekł. — Ale to dłuższa historia.

— Mów, chociaż nie bardzo wiem, w czym może ci pomoc emerytowany gliniarz ze sztywnym kolaniem — powiedział stary policjant, wyciągając puszki piwa z lodówki.

— Czy kiedykolwiek zastanawiał się pan, że śmierć Marka mogła nie być przypadkowa? — zaczął po przełknięciu pierwszego łyka.

Ronald zamyślił się. Ongiś sam głowił się nad tym miesiącami. Nigdy nie znaleziono kierowcy, który potracił jego syna. Jednak poza tym incydent wyglądał na normalny wypadek.

Mark nie miał wrogów, był dobrym studentem i typowym molem książkowym. Nie dorobił się nawet stałej dziewczyny. Oczywiście Baxter rozważał możliwość zemsty któregoś z wielu kryminalistów, jakich sam posłał za kraty. Ale nie miał na to najmniejszych dowodów.

— Masz jakieś podejrzenia? — spytał chrapliwie Briana. — Mark wyznał ci coś przed śmiercią?

— Nie, nie. Jak pan wie, po pierwszym roku studiów przenieśliśmy się z biologii na medycynę w Michigan i nasze kontakty osłabły. Moje podejrzenia wynikają z innych powodów. Dwa lata temu, w czerwcu, przebywaliśmy z Markiem na zjeździe młodych biologów w Vancouver.

Kilkudziesięciu wybijających się studentów ze Stanów, Meksyku i Kanady. Razem z Markiem zaprzyjaźniliśmy się szczególnie z trójką z nich. Zapamiętałem ich nazwiska — Dolores Mendoza z Meksyku, Tom Hill z Toronto i Bob Shimanski z Coloumbia Universtity... Po wypadku Marka pomyślałem sobie, że wypadałoby ich zawiadomić. Ale wysłane listy wróciły do mnie bez odpowiedzi. Próbowałem więc skontaktować się z nimi telefonicznie. Na próżno. Cała trójka nie żyła.

— Co powiedziałaś?! — Ronald omal nie wypuścił puszki z rąk.

— Wszystko rozegrało się ciągu trzech miesięcy. Dolores utonęła podczas wakacji w Acapulco, Tom rozbił się swoim samochodem pod Ottawą, a Bob Shimansky popełnił samobójstwo, wyskakując z tarasu widokowego Trade World Center. Początkowo uznałem to tylko za dość niezwykły zbieg okoliczności. Jednak coś nie dawało mi spać. Gdzieś pół roku później, przy pomocy Internetu zacząłem sprawdzać, czy nie zdarzyło się więcej podobnych nieszczęśliwych wypadków?

— No i?

— Rezultat przerósł moje najgorsze oczekiwania — w ciągu ostatniego roku tylko w USA straciło życie pięćdziesięciu ośmiu obiecujących studentów biologii. Wypadki, samobójstwa, czasem zabłąkana kula podczas ulicznej strzelaniny, raz ukąszenie węża, parę razy przedawkowanie narkotyków, przez ludzi, którzy nigdy się nie narkotyzowali. A dwójka młodych biologów z Bostonu w ogóle zaginęła bez wieści.

Ronald zapalił papierosa, widać było, że opowiadanie zrobiło na nim wrażenie, Brian zaś kontynuował swą relację.

— Szukałem dalej, zauważając z osłupieniem, że zjawisko przypadkowych zgonów wśród studentów ma zasięg światowy. Znalazłem kilkanaście podobnych tragedii zarejestrowanych w Europie Zachodniej, dwa w Polsce, cztery w Moskwie. Sami biolodzy! Czyżby przeklęty fakultet? Dla porównania, w tym samym czasie wśród studentów literatury angielskiej zdarzyło się jedynie pięć zgonów i żaden nie był aż tak tajemniczy.

— Podzieliłeś się z kimś tymi refleksjami?

— Nie. Najpierw nie chciałem narazić się na śmieszność, a od pewnego momentu zacząłem się bać. O siebie. Moje obawy wzrosły, kiedy dokonałem pewnej operacji komputerowej.

Zebrałem maksimum informacji o każdym denacie i próbowałem ustalić ich cechy wspólne. —

Tu na moment zawiesił głos i popatrzył na Baxtera. — Poza studiowaną biologią wszystko ich różniło: rasa, płeć, pochodzenie, nawet wiek, najmłodszy był szesnastoletnim geniuszem, najstarszy, liczącym trzydzieści jeden lat „wiecznym studentem”. W końcu jednak znalazłem coś, co ich łączyło. Hobby! Wszyscy ze zmarłych byli namiętными fanami science fiction!

Członkami klubów, częstymi gośćmi bibliotek, bywalcami konwentów... — Na bladej twarzy Briana pojawiły się rumieńce, coraz bardziej ponosiła go opowiadana historia.

Ronald nie komentował, ale w głębi serca odczuwał smutek. Biedny chłopak, najwyraźniej stracił kontakt z rzeczywistością. Murphy musiał wyczuć obawy Baxtera.

— Wiem, wiem, że moje hipotezy przypominają rojenia wariata — rzekł. — Jednak postanowiłem sprawdzić też ten trop. I znalazłem coś jeszcze dziwniejszego. Otóż, Mark w dniu swej śmierci czytał książkę „Nadchodzą” Herberta Queena. Tę samą powieść zabrała ze sobą do Acapulco Dolores Mendoza. I nie ona jedna! Udało mi się też ustalić, że pierwsze „wypadki”

wśród studentów amerykańskich zaczęły się w kwietniu, bezpośrednio po pojawieniu się tej powieści na rynku. W pozostałych krajach również żaden zgon nie zdarzył się przed wydaniem powieści. Postanowiłem ją przeczytać. I wówczas okazało się, że dzieło to zostało kompletnie wykupione i nie mają go w żadnej bibliotece. Uwierzy pan, wszystkie egzemplarze poginęły.

Zdobyłem ją dopiero u prywatnego kolekcjonera.

— Mam nadzieję, że na ciebie żadna klątwa nie działała — w głosie Ronalda zabrzmiała delikatna ironia.

— Na razie chyba nie. Powiem więcej, pierwsze dwieście stron zabójczego arcydzieła bardzo mnie rozczarowało. Pomysł jest mniej więcej taki: W stronę Ziemi nadciąga inwazja z kosmosu. W szeregach ludzkości działa od lat potężna, tajna armia Obcych, przygotowujących teren. Flotylla inwazyjna ma przybyć za parę lat...

— Wydano całe setki podobnych bzdur — skrzywił się Baxter.

— Toteż czytałem rzecz z rosnącym znużeniem. Aż do momentu, kiedy nasze satelity zwiadowcze wykrywają flotyllę i na Ziemi wybucha panika. Potęgują ją akty dywersji uniemożliwiającej skutecznie obronę. Dla ludzi staje się jasne, że Obcy są wśród nas, ale nie można ich rozpoznać ani zwalczyć. I wtedy grupa młodych biologów przypadkiem odkrywa, że pewien ogólnodostępny preparat, nieszkodliwy dla Ziemi, może być zabójczy dla Obcych.

Następuje zwrot w akcji, dekonspiracja agentów, wreszcie rezygnacja z inwazji.

— Nie powiesz chyba, że uwierzyłeś w taką bajeczkę?

— Długo nie wierzyłem, dla świętego spokoju postanowiłem jednak porozumieć się z autorem książki. W tym celu zadzwoniłem do agentki literackiej Herberta Queena, niejkiej Lizy Stein. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby, nie zdradzając swojego nazwiska, przedstawić się jej jako Burt Conolly, dość znany krytyk literacki z redakcji „Chicago Globe”.

Prawdopodobnie podświadomie chciałem zostać poważniej potraktowany przez pannę Lizę.

Już pierwsza informacja, której mi udzieliła, była porażająca: Herbert Queen nie żył od paru dni.

„Wypadek?” — domyśliłem się. „Nie, atak serca, wspomniano o tym w wiadomościach, a więcej napisały dzienniki Zachodniego Wybrzeża. Oczywiście, jeśli idzie o twórczość pan Queena, służę pełną informacją, panie redaktorze”. Mimo zaskoczenia udało mi się jeszcze dowiedzieć od niej, że amerykańska edycja „Nadchodzą” pojawiła się w marcu. W Kanadzie zainaugurowano sprzedaż w kwietniu, przekład na hiszpański pojawił się w czerwcu, podobnie było z niemieckim i polskim. W Moskwie zaczęto rozprowadzanie nakładu w lipcu. Szło rewelacyjnie. Tymczasem w sierpniu Queen nieoczekiwanie wstrzymał dalsze dodruki, twierdząc, że musi przeredagować dzieło. Miał zabrać się za to późną jesienią. Nie zdążył...

Ronald nie wyglądał na przekonanego. Historia była nazbyt nieprawdopodobna, hipotezy naciągane. Brian miał jednak argument dla starego sceptyka, wyciągnął wczorajszą gazetę.

Czarne litery nekrologu były wręcz w oczy „Znakomity krytyk „Chicago Globe” Burt Conolly ginie porażony prądem podczas kąpieli...”

\* \* \*

W wieloletniej karierze policjanta Baxter spotkał się z najróżniejszymi sprawami. Ta była absolutnie nieprawdopodobna. Jednak stary policjant nie zwykł lekceważyć żadnych dowodów.

A te, które przedstawiał Brian, układały się w logiczną całość. W dodatku, jeśli hipoteza była prawdziwa... Do diabła! Kimkolwiek byli mordercy, mogli znajdować się wszędzie. Bez trudu wykupili książki na paru kontynentach. Bezlitośnie likwidowali wszystkich, którzy w momencie prawdziwej inwazji mogliby znaleźć sposób obrony. Młodych, zapalonych naukowców, pozbawionych uprzedzeń, jakie mają do fantastyki ich starsi koledzy. Murphy uważał, że mogło to być prewencyjne działanie przeciwnika, coś na wzór akcji Heroda przeciwko Niewiniątkom.

Jeśli miał rację — cały gatunek ludzki znalazł się w śmiertelnym zagrożeniu. Dlatego też, kiedy Brian skończył opowieść i pytająco spojrział na Ronalda, ten mruknął tylko:

— Pojadę z tobą, chłopcze. Jeśli nawet w tej historii kryje się promil prawdy, nie odpuszczę skubańcom, którzy zabili mi syna.

Skoro świt ruszyli w drogę, kierując się w stronę odległego o tysiące mil San Diego, gdzie mieściła się rezydencja Herberta Queena. Baxter wykluczył możliwość zwrócenia się o pomoc do władz. Po pierwsze, nikt by im nie uwierzył, a po drugie Obcy (jeśli w istocie to oni kryli się za aferą) zdusiliby śledztwo w zarodku.

— Gdy zdobędziemy jakieś mocniejsze dowody, spróbujemy zainteresować sprawą media — stwierdził.

— Uważa pan, że w pojedynkę, kiedy nie wiemy nic o przeciwniku, mamy szansę dowiedzieć się czegokolwiek? — pytał Brian

— Nawet mimo braku świadków i dowodów można wyciągać pewne wnioski. Po pierwsze wiemy, że Obcy (zakładając ich istnienie) skądkolwiek by pochodzili, nie są wszechmocni i wszechwiedzący...

— Fakt, my jeszcze żyjemy. Poza tym dość łatwo kupili wersję, że jestem Burtem Conolly i zlikwidowali jego zamiast mnie.

— Można ich unicestwić, ponieważ gdyby byli nieśmiertelni, nie zareagowaliby tak histerycznie na możliwość dekonspiracji. Nie są również bezcieleśni ani niewidzialni. Nie potrafią wnikać parapsychologicznie w nasze ciała. Bo przecież gdyby to potrafili, po prostu przejmowaliby kontrolę nad ciałami Ziemi zamiast ich likwidować...

— Ale dlaczego zakłada pan, że muszą przybierać ludzkie kształty?

— Kiedy spałeś, przejrzałem pliki z twego laptopa. Przy żadnym z zarejestrowanych zgonów nie ma nawet wzmianki o obecności w pobliżu ofiar jakichś dziwnych istot, cyborgów czy choćby zwierząt... Owszem świadkami katastrof czy samobójstw bywali niekiedy przechodnie, dzieci... — tu urwał. Prowadzący pickupa Brian popatrzył na Baxtera z zaskoczeniem.

— O co mu chodzi?

— Cholera! Zupełnie o tym zapomniałem... — mrucał były glina.

— O czym?

— Kiedy szukałem sprawcy śmierci Marka, zupełnie zlekceważyłem jedno z zeznań. Jakiś pijacek upierał się, że kwadrans przed wypadkiem widział stojący w bocznej ulicznej chevrolet, za którego kierownicą siedziało mniej więcej dziewięcioletnie dziecko.

Brian hamuje gwałtownie. I jemu przypomina się, że jedynymi świadkami śmierci Dolores w Meksyku była gromadka dzieci. Również jakiś księgarz oskarżał kilkoro niedorostków o kradzież ostatnich egzemplarzy „Nadchodzą”. Murphy opowiada o tym Baxterowi, a ten prosi o zatrzymanie się przy najbliższym aparacie telefonicznym. Wykręca kierunkowy do Chicago.

Ma szczęście, dyżur ma akurat jego stary kumpel, Jim Gross. Ronald, sprytnie zmieniając głos, przedstawia mu się jako Larry Glenn, gliniarz z Phoenix, stary towarzysz broni jeszcze z Wietnamu. Wprawdzie Gross ma już nieco przytępiony słuch, ale pamięć doskonałą.

— Słuchaj stary? — pyta Ronald charakterystycznym, skrzekliwym głosem Glenna. —

Chodzi mi o szczegóły śmierci tego waszego dziennikarzyni, Conolly’ego. Podobno utonął we własnej łazience. Mieliśmy u nas w Arizonie podobny przypadek, żona pomogła mężowi przejść na tamten świat przy pomocy prądu podłączonego do wanny. Czy i u was istniała taka możliwość?

— Nic z tych rzeczy! — zaprzecza Jim. — W mieszkaniu nie było nikogo. Po prostu Conolly siedząc w wannie, jak idiota postanowił się ogolić, nie zauważając, że przetarł się kabel jego elektrycznej golarki.

— A może ktoś jeszcze miał klucze do jego apartamentu?

— Odpada! Wszystko było zaryglowane od wewnątrz, do tego kraty w oknach i zamurowane okienka piwniczne.

— Słowem mysz by się nie prześlizgnęła?

— Mysz może tak, na strychu znalazłem maleńki świetlik, ale z trudem precyzyjnie się przez niego bardzo szczupłe dziecko:

\* \* \*

Tego wieczoru w Chicago, gdy panna Liza Stein po powrocie z zebrania feministek nalewała sobie wieczornego drinka, zabrzączał dzwonek do jej drzwi. Musiał przybyć ktoś z sąsiadów, bo portier z dołu nie anonsował żadnej wizyty. Otworzyła. Na progu stała parka na oko trzynastoletnich dzieciaków. Schludnie ubrani, wyglądali sympatycznie i reżolutnie.

— Chcieliśmy porozmawiać z panią, pani Stein — powiedział Chłopiec.

— To bardzo ważne. Dla pani — dodała Dziewczynka.

— Nie mam czasu — odparła opryskliwie Liza, myśląc o drinku i usiłowała zamknąć drzwi.

Chłopiec odepchnął ją z siłą Mike'a Tysona.

— Co robisz? — krzyknęła.

— Zamknij się, suko! — padło w odpowiedzi. — I siadaj na tyłku, jeśli nie chcesz, żeby cię naprawdę zabolalo.

Oslupiała. Co gorsza, chwycił ją jakiś niespodziewany paraliż, nie mogła poruszyć ani ręką, ani nogą. Łudziła się, że to tylko koszmarny sen. Kim były te okropne szczeniaki?

Zmaterializowanymi płodami wyobraźni Queena?

— Jesteśmy dziećmi — powiedziała Dziewczynka z wyraźnym obrzydzeniem wylewając nienapoczętego drinka do zlewu. — Dziećmi! — powtórzyła. — Tylko troszkę mądrzejszymi niż inne w naszym wieku. Jeśli będziesz z nami współpracować, nic ci się nie stanie.

— Chodzi nam o drobiazg — dorzucił Chłopak, niedbałym tonem zawodowego gangstera. —

Musisz ogłosić, że przygotowujesz nową, pośmiertną wersję powieści „Nadchodzą”, według ostatnich zapisków Herberta Queena, pod tytułem „Już nadeszli”.

— O mój Boże! — jęknęła Liza, czując, że zsikała się w majtki.

\* \* \*

Po trzech dniach jazdy non stop zatrzymali pickupa dwie przecznice od domu Herberta Queena, fantazyjnej krzyżowce średniowiecznego zamczyska z przeszklonym punktem sprzedaży hot-dogów. Zmierzchało i na malowniczym zboczu opadającym w stronę oceanu i mostu Coronado rozbłyskały tysiące światel. Ronald zalecił Brianowi pozostanie w samochodzie. Sam zamierzał wybrać się na rekonesans. Murphy niechętnie pogodził się z rolą, ale na wszelki wypadek wyciągnął strzelbę z bagażnika.

Rezydencja pisarza sprawiała wrażenie niezamieszkałej. Wygaszone światła, spuszczone żaluzje, uschnięte kwiaty w ogrodzie. Wszędzie szalały cykady. Baxter obszedł całą posesję i naraz doleciał go plusk wody od strony willi przylegającej do posiadłości pisarza. Otworzył

furtkę. Dwójka małych pluskających się w basenie skierowała ku niemu swój wzrok. W ich kąpieli nie byłoby nic podejrzanego, gdyby nie brak światel w całym domu i wywieszka „na sprzedaż” wisząca przed budynkiem. Każdy jednak może się kąpać, korzystając z nieobecności gospodarzy.

— Cześć, dzieciaki! — zagadnął Baxter, podchodząc bliżej.

— Dobry wieczór... — odparł grzecznie Chłopiec, pomagając wygramolić się z wody Dziewczyńce.

Kąpali się nago i można było zauważyć, że proces dojrzewania jeszcze się u nich nie zaczął.

Wyglądali zdrowo, normalnie, a mimo to Ronald poczuł, że jego puls gwałtownie przyśpiesza.

— Nie wiecie przypadkiem, czy ktoś teraz mieszka w domu Herberta Queena? — spytał, siląc się na maksymalnie swobodny ton.

— Chyba nikt... A kogo pan szuka? — spojrzenie chłopaka było czujne, świdrujące.

— Jego morderców — rzucił i natarł na nich ostro. — Czy to wasz dom? Możecie poprosić tu swoich rodziców? Myślał, że przestraszy szczeniaków. Bardzo się pomylił. Naraz przeniknął go ból, ostry jak trafienie porażającą pałą. Zdumiony zarejestrował bezwład swych mięśni.

Zachwiał się. Widział rozszerzone źrenice dzieciaków, utkwione w nim niczym wyloty łuf i

przysięgliby, że słyszy gdzieś w głębi mózgu komendę: „Idź do basenu, do basenu...”

Uśluchał, nie miał żadnej kontroli nad swym ciałem.

— A może najpierw go przesłuchamy? — zaproponowała półgłosem Dziewczynka.

— Przesłuchamy tego drugiego. Czuję, że jest tu gdzieś drugi — odparł Chłopiec. Impulsy atakujące mózg Ronalda wzmożyły się — „Idź do basenu, do basenu...”

— A więc tak działają... — przemknęło przez głowę staremu policjantowi. Krawędź zbiornika była tuż tuż. — Zaraz mnie utopia! Cholera, czemu nie wziąłem ze sobą Briana?

Naraz gruchnął strzał. Z drzew posypało się listowie. Dzieciaki odwróciły głowy. Na skraju tarasu pojawił się Murphy, ściskając dubeltówkę. Idiota, strzelał na postrach!

— Celuj w nich! — wrzasnął Ronald. Atoli pod ciężarem skoncentrowanego spojrzenia bachorów młody mężczyzna upuścił broń. Jednak ten moment odwrócenia uwagi wystarczył

Baxterowi, odzyskawszy władzę w rękach, wydobył spluwę...

— Nie! — wrzasnęły Dzieciaki, próbując sparaliżować go powtórnie. Za późno. Uderzenie pocisku cisnęło Chłopca do basenu, w którym woda niezwłocznie zabarwiła się jego krwią, trafiona w udo dziewczyna osunęła się obok trampoliny jak szmaciana lalka.

— O Boże, ty naprawdę zabiłeś tego szczeniaka! — jęknął Brian i zgięty w pół poszedł wymiotować w krzaki. Tymczasem Baxter klęknął przy dziewczynie, usiłując zatamować krwotok. Przeklinała go niskim głosem dobywającym się gdzieś z trzewi.

— Pieprzeni durnie! Nie macie z nami żadnych szans! Żadnych szans.

Znów próbowała go spętać spojrzeniem. Brakowało jej jednak sił, a kiedy narzucił jej ręcznik na twarz, cała moc się ulotniła. Była tylko ranną, bezradnie szlochającą dziesięciolatką. Ronald załadował ją do wozu. Wyłowione zwłoki Chłopaka umieścił w bagażniku. Zastanawiał się, czy Dziewczyna może telepatycznie ściągnąć im na kark pościg? Miał nadzieję, że nie. Gdyby łączyli się telepatycznie, czemu miałyby służyć leżące na stole telefony komórkowe?

Tymczasem od strony głównej ulicy doleciało wycie syreny. Ktoś z sąsiadów wezwał policję.

Trzeba było szybko się zmywać.

\* \* \*

Nie zatrzymali się, dopóki nie dotarli na opuszczone rancho na pograniczu Nevady, które Ronald najwyraźniej znalazł z jakichś wcześniejszych eskapad. Mieli szczęście. Nikt ich nie ścigał.

A przynajmniej nikt ich nie zatrzymał. Gdy rozwidniło się nieco, Brian przystąpił na stole w obszernym salonie do sekcji Chłopaka. Wyniki nie były obiecujące.

— Jak to, nic nie znalazłeś? — złościł się Ronald. — Kompletnie nic?

— Nie jestem biegłym patologiem, tylko studentem o niewielkiej praktyce, jednak w ciele denata nie znalazłem śladu żadnej pozaziemskiej istoty. To był normalny, dobrze odżywiony dziesięciolatek. Szczepiony na ospę. W dzieciństwie operowany na kolano. Krew zwyczajna, grupy 0, RH+. W żołądku niestrawiona pizza.

— A jego mózg?

— Również w normie. Może odrobinę większe podwzgórze odpowiadające za nerw wzroku.

Poza tym nie znalazłem żadnych guzów, zmian tkanki, obecności obcej substancji. Jeśli jest w nim coś kosmicznego, to musi być równie nieuchwytnie jak dusza.

Ronaldowi zrobiło się nieprzyjemnie. Czyżby uległ złudzeniu i w amoku zabił normalne dziecko? Postanowił zajrzeć do umieszczonej w sąsiedniej izbie Dziewczynki i spróbować z nią

porozmawiać.

— Niech mnie pan uwolni — pisnęła spod szmaty, którą zawiązał jej oczy. — Jestem ranna, powinnam już dawno znaleźć się w szpitalu.

— Wiesz dobrze, że to niemożliwe, póki nam wszystkiego nie powiesz.

— Kiedy ja nic nie wiem, to Alex był jakiś inny... Ja jestem tylko jego małą, bezbronną siostrzyczką.

— Nie kłam — przerwał jej — wiem, do czego jesteś zdolna. Od kiedy Obcy jest w tobie?

— Nie wiem, o czym pan mówi, zawsze byłam taka, jaka jestem.

— Z nadzwyczajnymi zdolnościami do telepatii i z umysłem dojrzałego człowieka?

— Jestem po prostu troszkę zdolniejsza od innych — szepnęła rozbijając. — Pomyliliście się.

— Z kim w takim razie kontaktowaliście się przez telefony komórkowe?

— Rodzice nam dali.

— I to jest głos waszych rodziców? — Baxter włączył pocztę głosową. Zabrział dziwny mechaniczny bas: „CA-211, CA-212, zgłoście się...”

— Nic więcej ci nie powiem! — Dziewczynka odwróciła się do niego plecami.

\* \* \*

Wnioski nasuwały się wielce niepokojące. Jeśli 211 i 212 były numerami porządkowymi Obcych, to w samej Kalifornii musiało być ich parę setek. A w całych Stanach? A na świecie?

Baxter przejrzał pamięć komórek. Ostatnie trzy rozmowy Dzieciaki odbyły z panną Stein. Do diabła! Czyżby agentka Herberta Queena też była kosmitką?! A może ktoś przejął kontrolę nad jej telefonem. Było to o tyle prawdopodobne, że na stronie internetowej Agencji Lizy Stein pojawił się tej nocy obszerny anons o kontynuacji powieści „Nadchodzą”. Porządkując papiery nieodżałowanego Queena natrafiła ponoć na prawie kompletną, drugą część bestsellera pod roboczym tytułem „Oni już tu są”.

— Co mamy o tym myśleć? — spytał Brian RONALDA, a ten odrzekł, iż jego zdaniem jest to dość fachowa przynęta, na którą ktoś chce ich złapać.

\* \* \*

Biedna Liza Stein, mimo spełnienia żądań Dzieciaków nie odzyskała wolności. Daremnie próbowała wydostać się z domu. Za każdym razem zaraz za drzwiami napotykała któreś z tych okropnych dzieci. A samo wejście ich przeraźliwie błękitnych oczu cofało ją do środka.

Próbowała ich prosić, starała się być przymilną, na próżno. Jedyna odpowiedź, którą słyszała, brzmiała: „Proszę z nami współpracować, a będzie pani żyć”.

— A jeśli nie zechcę?

Wlepili w nią swoje ślepie. Ubezwłasnowolniona powlokła się do kuchni. Jej ręka pozbawiona autokontroli sama powędrowała do kurków z gazem. Dzieciaki odwróciły wzrok i parsknęły śmiechem.

— Po co ma ci się przydarzyć jakieś nieszczęście? Prawda?

\* \* \*

Mimo braku porozumienia z Dziewczynką, samotni „obrońcy naszej planety” nie próżnowali.

Baxterowi udało się porozmawiać z pewnym emerytowanym policjantem z Los Angeles, kolegą jeszcze z Akademii Policyjnej. Hugh Murdock o nic nie pytał i zgodził się pomóc. Efektem jego paru rozmów było ustalenie imion Dzieciaczków. Dwunastoletnie bliźniaki



nazywały się Alex i Eva Graham. Urodzili się w słynnej klinice w San Fernando w wyniku zapłodnienia in vitro.

Zabiegu dokonała doktor Amy La Foret. Hugh zdołał jeszcze ustalić, że w ciągu roku pani doktor przyjęła około dwustu porodów będących efektem sztucznego zapłodnienia. Wnioski nasuwały się same.

— Chyba powinniśmy jak najszybciej porozmawiać z panią doktor — zawołał ożywiony nagłą nadzieją Brian.

— To będzie trudne — Ronald westchnął. — Amy La Foret nie żyje. Dziesięć lat temu popełniła samobójstwo. Przedawkowała środki nasenne. Ale dowiedziałem się jeszcze, że zanim dotarła do Kalifornii, pracowała w Nowym Yorku, wcześniej rok w Chicago, a zaczęła praktykę w Waszyngtonie...

— Rozumiem. Powinniśmy zatem szukać niebezpiecznych jedenastolatków w Nowym Jorku, dwunastolatków w Illinois, a trzynastolatków w Dystrykcie Columbia.

— Przede wszystkim Hugh musi zdobyć dla nas listę wszystkich dzieci, jakie ujrzały świat w Szpitalu San Fernando przed dziesięciu laty.

Uzyskane informacje napelniły ich otuchą. Zobaczyli przynajmniej cień wroga. Ronald postanowił jeszcze raz przesłuchać Evę. Nie zamierzał jej torturować. Chciał tylko podać jej odrobinę burbona... Na rozluźnienie.

Dziewczynka nie spała. Słyszając kroki Baxtera, zażądała rozwiązania i odsłonięcia oczu.

— Wszystko zależy od ciebie. Ale najpierw wypij to. — Podsunął jej kubek. Wzdrygnęła się.

— Czuję alkohol. A mnie nie wolno pić alkoholu...

— To tylko kropelka na wzmocnienie. No pij!

Podniosła wrzask, dziko pluća i kopała. Mimo to Ronald czuł wręcz sadystyczną przyjemność, wlewając burbona przez jej zaciśnięte zęby. Naraz maleństwo ryknęło basem:

— Zabiliście mnie, zabiliście! — drobnym ciałem wstrząsnęły konwulsje, jeszcze chwila i znieruchomiało. Ronald zawołał Briana i obaj spróbowali reanimacji. Na próżno! Zanikł oddech, a serce nie biło. Nie pomógł masaż ani sztuczne oddychanie. Murphy był w wstrząśnięty. Baxter za to promieniał.

— Chłopcze! To przełomowy moment. Być może przypadkiem odkryliśmy to, czego tak się obawiali. Prosty środek, który specjalnie nie szkodząc ludziom, zabija klony obcych.

— Alkohol? — zaśmiał się Brian. — Od razu widać, że to musi być cywilizacja pozaziemska.

— Jednak to tłumaczy, dlaczego na swych agentów wybrali dzieci. Te raczej rzadko znajdują się w sytuacjach, w których muszą wypić...

— Zatem inwazja musi nastąpić, zanim dorosną!

— Bez wątpienia. Dlatego bierzmy się zaraz do roboty, Brian. Musimy szybko pochować ciała i pędzić do Kalifornii. Hugh dostarczy nam nazwiska pozostałych nastolatków, my poddamy paru z nich testowi alkoholowemu. Jeśli metoda się sprawdzi, ostrzeżemy społeczeństwo za pomocą mass mediów i oddamy się do dyspozycji władz.

Szybko uwinęli się ze wszystkim. Może za szybko! Brian zaniedbał sekcji zwłok, a gdy w półmroku zapadającego zmierzchu przysypywał piaskiem zimne ciało Evy, nie zwrócił uwagi na zaskakujące przebarwienie skóry. Nie wyczuł także powolnego, ale z każdą chwilą mocniejszego bicia serca.

\* \* \*

Tym razem mieli pecha. Nie ujechali nawet trzydziestu mil od farmy, gdy zatrzymał ich patrol policji. Pech okazał się podwójny. Dowódca patrolu, sierżant Crebs, był niewątpliwie najgłupszym policjantem na zachód od Gór Skalistych. W ogóle nie dał im dojść do głosu.

Wyrecytował formułkę o przysługujących im prawach.

— Znam swoje prawa. Sam byłem gliniarzem, kolego — zawołał Baxter.

— Wiem! — z miejsca ściał go Crebs. — Ale to nie zmienia waszej sytuacji. Jesteście podejrzani o uprowadzenie i przetrzymywanie rodzeństwa, Alexa i Evy Graham.

Mimo protestów skuto im ręce, wrzucono do samochodu policyjnego i skierowano się wprost na miejscowy posterunek. Ronald próbował jeszcze uzyskać zgodę na zatelefonowanie do Murdocka, ale sierżant skonfiskował im oba komórkowe aparaty. Należały wszak do porwanych.

— Sierżancie, proszę nas wysłuchać, tu chodzi o czas — gorączkował się Murphy, nie zważając na gesty mitygującego go Baxtera. — Nie ma pan pojęcia, jakie to ważne. Czy pan wie, o co idzie gra? Kim jest przeciwnik? Nie uwierzy pan, ale te śliczne dzieciątka to w istocie osobniki o niebywałych możliwościach telepatycznych. Potrafią zmusić człowieka do samobójstwa, do składania fałszywych zeznań. Stanowią zagrożenie dla całej naszej cywilizacji jako forpoczta przyszłej inwazji...

— Aha. Małe, zielone ludziki? — zaśmiał się Crebs. — Bardziej ciekawi mnie coście z nimi zrobili, chłopaki? Naturalnie możecie milczeć. Wkrótce i tak się dowiemy, nasz drugi patrol odnalazł już farmę, na której się dekowaliście.

\* \* \*

Areszt był mały, ciasny i smrodliwy. Do skontaktowania się z Hughsem Murdockiem nie doszło. W osadzie przestały tego dnia działać zamiejscowe telefony. Komórki też ogłuchły.

Brian czuł coraz większy niepokój. Strach wzmógł się jeszcze bardziej, gdy ujrzał na ulicy anielsko wyglądającego chłopczyka, gapiącego się w stronę ich celi. Zagadnięty strażnik wyjaśnił, że jest to Mike, syn tutejszej starej panny Ann Greenway. Ann urodziła go, gdy miała pięćdziesiąt pięć lat. Bez ojca! To była sensacja. Ronald spojrział wymownie na Briana. Ten zagryzł usta. Po pół godzinie mogli zobaczyć, jak do Mike'a dołączył sympatyczny Murzynek, po następnych dwóch kwadransach zjawił się jeszcze jeden ich rówieśnik. Indagowany na ich temat sierżant stwierdził, że to nietutejsi.

— A czy mógłby pan sprawdzić, czy ich nazwiska znajdują się na liście porucznika Murdocka? Czy urodzili się w San Fernando? — prosił Ronald.

— Niczego nie będę sprawdzać, panie Baxter!

— Niech pan posłucha, sierżancie, a przynajmniej skojarzy fakty — nalegał były glina. —

Czy to nie jest podejrzane? Głuchną telefony, milkną komórki, nietutejsze dzieci okrażają areszt.

Ale Crebs nie chciał ich słuchać. Promieniał. Właśnie otrzymał meldunek, że na farmie znaleziono ciała dwojga nieletnich ofiar. Posterunkowy Greg Henderson relacjonował mu na bieżąco przebieg akcji przez krótkofalówkę (ta jakoś działała), podczas gdy drugi z funkcjonariuszy, Matt Slump, zajmował się odgrzebywaniem ciał. Nie była to pierwsza ekshumacja w życiu Matta, toteż od razu zaskoczył go dziwny zapach. Nie przypominał woni rozkładu, raczej odór jakiegoś zwierzęcia.

— Chyba mamy tę dziewczynę — meldował Henderson. Naraz jego głos się zmienił. —

O Boże, szefie, to się rusza... Nie!!! Dobiegający z drugiego planu krzyk Slumpa był przerażający. Policjant spodziewał się trafić na zwłoki Evy Graham, ale to, co ukazało się jego oczom....Ciało na znacznej powierzchni pokrywała łuska, a twarz, mimo że pozostały jeszcze dwa dziewczęce warkoczyki, wydłużyła się już w zębaty pysk gada...

— Przerwałeś mój sen, człowieku — zaryczał potwór ludzkim głosem.

Henderson rzucił się do ucieczki. Gonił go rozpaczliwy wrzask Slumpa i jakieś przerażające mlaśnięcia. Kryjąc się za samochodem, otworzył ogień. Ale kule najwyraźniej nie mogły zaszkodzić bestii. Zbliżała się. Policjant skoczył do wozu. Desperacko piłował rozrusznik.

Motor krztusił się i gasł. W ostatniej chwili ruszył. Kiedy Greg odważył się wreszcie spojrzeć w lusterko, zobaczył za sobą jedynie tuman kurzu.

Na posterunku Murphy i Baxter obserwowali przez kraty miotającego się sierżanta. Najpierw wściekłego, potem coraz bardziej przerażonego, próbującego wezwać pomoc, ściągnąć posilki.

— Cholera! — wrzasnął wreszcie do aresztantów. — Kogo wyście tam zakopali? Greg mówił, że to pół człowiek, pół potwór, i w dodatku rosnący w oczach. Pożarł mojego najlepszego funkcjonariusza, zagraża drugiemu. Co to znaczy? Mówcie! — ciężko dysząc, oparł się o kratę.

— Nie mam pojęcia — odparł Ronald. — Kiedy odjeżdżaliśmy, Eva nie żyła.

— Widocznie tylko nam się wydawało — nagła myśl wpadła do głowy Brianowi. — A jeśli alkohol wcale ich nie zabija? Tylko usypia. I uruchamia mechanizm przemiany. Uaktywnia uśpione chromosomy. Przyspiesza metabolizm. W efekcie ludzki nosiciel Obcych przeobraża się we właściwą, dorosłą postać.

— O czym wy mówicie? O inwazji jaszczurów? — przerywa Crebs.

— Być może odkryliśmy ich plan na „godzinę zero” — tłumaczy Murphy. — W odpowiednim momencie każdy z Dzieciaków miał chlapnąć lufę i ujawnić się jako kosmiczny gad. A my niechcący przyspieszyliśmy ten proces.

— Nic nie rozumiem! — belkocze sierżant. — Mówcie lepiej, czym się zwalcza takie cholerstwo, gazem, ogniem? Tam są moi ludzie. Potwornie przerażeni... A wam co?

Nagła fala lęku dotarła i do aresztowanych. Poczuli ją równocześnie. Nie zwiastowała jednak zbliżania się potwora. To nadchodziły Dzieciaki. Na zewnątrz zgromadziła się już ich co najmniej dziesiątka. Mimo grubych murów, Brian i Ronald czuli hipnotyczny pierścień zaciskający się wokół ich głów.

— Sierżancie, proszę odsunąć się od okna, otworzyć celę i dać nam broń! — wrzasnął Ronald. — Albo wszyscy zginiemy!

Ale Crebs, niezdolny do jakiegokolwiek działania, zachowywał się jak pijany. Zataczając się, zrobił dwa kroki i nieprzytomny runął na podłogę. Z oczu, uszu i nosa płynęła mu krew. Ronald nie tracił czasu, przypadł do ziemi wysunął rękę przez kratę i dotarł do kluczy. Po chwili cela stała otworem i miał broń. Wręczył strzelbę Murphy’emu. Ten drżał cały. Ronald odbezpieczył

broń, zaraz szczęknął też zamek dubeltówki. Naraz uświadomił sobie, że obaj z Murphym mierzą do siebie. Próbował odchylić rękę. Choć o cal. Nic. Palce same zacisnęły się na spustach...

Naraz z zewnątrz rozległo się wycie wozu policyjnego. To wracał Henderson. Może z posilkami? Krąg hipnotyczny raptownie osłabł. Dziesiątka dzieciaków rozglądała się niepewnie

po ulicy. Brian i Ronald dopadli okien. Musieli działać natychmiast. Otworzyli ogień!

Coś krzyczało w Brianie:

— A jeśli to wszystko złudzenie, pomyłka, błąd? Jeśli te małodzaki są niewinne?

\* \* \*

W masakrze zginęło dziesięcioro dzieci i jeden z policjantów, usiłujący przeciwstawić się strzelaninie. Potem Brian i Ronald złożyli broń. Policjanci i przybyli wkrótce funkcjonariusze FBI z trudem zapobiegli ich linczowi przez wzburzonych mieszkańców. Prasę poinformowano o grupie szaleńców, którzy po dokonaniu rzezi zniknęli. Co naprawdę stało się z Barterem, Murphym i Hughiem Murdockiem, trudno dociec. Ich rodziny do tej pory nie otrzymały z Waszyngtonu żadnych wiadomości. Tymczasem w ciągu następnego roku na całym świecie zmarło na tajemniczą dziecięcą tężyczkę około siedmiu tysięcy dzieci. Dziwnym trafem wszystkie urodziły się wskutek zapłodnienia in vitro. Światowa Organizacja Zdrowia nadzorowała zabieranie ich ciał do badań na pewną bezludną wyspę u wybrzeży Brazylii.

Później szerzyły się pogłoski o pojawieniu się na niej ogromnej ilości martwych jaszczurów.

Ale jaka jest prawda i czy ma ona związek z gwałtownym wzrostem spożycia alkoholu, nawet w świecie wojującego islamu? Kto to wie? Może tylko autorzy science fiction należący do Agencji Lizy Stein. Ale i oni w tej sprawie trzymają gębę na kłódkę.

**ŁAPISZCZE**

Igranie z lękiem. Któż przyzna się otwarcie do czerpania przyjemności z tego rodzaju procederu? A przecież jest coś podniecającego w obserwowaniu strachu innych. Wie to każdy, komu zdarzyło się wsadzić małego psiaka na stojący zegar, zamknąć kota w wirującym bębnie pralki czy przysuwać do twarzy schwytanego ptaszka, czując jak jego małe serduszko łomocze w naszych paluchach. Strach innych, to jakby powiększenie obszaru własnego bezpieczeństwa, to obawa sprzedana bliźnim, to ucieczka przed tym, co nas samych w sobie przeraża.

Łapa, a właściwie gipsowa piąstka ukruszona na wysokości przegubu, znakomicie nadawała się na rolę straszaka, była niewielka, jak u kilkuletniego dziecka, a jednak w jakiś sposób niesamowita. Jacek po raz pierwszy zobaczył ją na trawniku przed domem. Najwyraźniej ktoś przerzucił przez płot ukruszony detal jakiejś rzeźby. Czy był to fragment cementarnego aniołka, czy odłamany kawałek amorka, zdobiącego któryś z nowobogackich ogródków? Na użytek wścibskiej i płochliwej siostry natychmiast zaimprovizował przerażającą historyjkę...

— To wcale nie jest rzeźba sporządzona przez artystę, tylko fragment dziecka — oznajmił.

— Dziecko z kamienia? — oczy Zosi zrobiły się wielkie jak spodeczki.

— Fragment bardzo niedobrego dziecka, które dwieście lat temu skamieniało.

— Dlaczego skamieniało? — dopytywała się ciekawa jedenastoletka.

— Dlaczego... Dlaczego? Zamordowało swoich rodziców i zostało ukarane.

W paru zdaniach, dość sugestywnie zrelacjonował przebieg wydarzeń. Złe dziecko znalazło w domowej apteczce truciznę i wyspało do zupy domownikom — babci, dziadkowi, rodzicom i rodzeństwu.

— I wszyscy umarli? To kto o tym opowiedział? — spytała przytomnie Zosia.

— Wszyscy umarli z wyjątkiem najmłodszego brata, którego akurat bolał brzusek i nie zjadł

zatrutej zupki.

— Aha. A co było potem? Ten braciszek opowiedział o wszystkim na policji?

— Na razie nie mógł nic powiedzieć, bo ze strachu odebrało mu mowę. Ale w noc po pogrzebie, kiedy mały morderca udał się na cmentarz, uderzył w niego piorun, zmieniając w nagrobny posąg. Równocześnie w domu jego młodszy braciszek odzyskał głos. Oczywiście, to wszystko zdarzyło się dwieście lat temu, potem cmentarz porósł lasem, zapomniano o nim, a współcześnie podzielono teren na działki i pobudowano domy.

— To my mieszkamy na cmentarzu? — zaniepokoiła się Zosia.

— Mniej więcej. A złe dziecko tylko czeka, żeby się znowu obudzić.

— To już nie mów dalej. Idę spać! — Zosia nakryła się kołderką.

Przez następnych parę dni zabawa z łapą dostarczyła Jackowi mnóstwo satysfakcji. A to ukradkiem wsunął ją siostrze do tornistra, a to nocą położył na parapecie na zewnątrz okna i kijem zastukał od ogrodu. Trzeciego dnia tych zabaw Zosia dostała wysokiej gorączki.

A zdenerwowani rodzice ukróćili igraszki, oddając gipsowy gadżet śmieciarzom. Można powiedzieć — koniec sprawy, niestety, następnego popołudnia gipsowa dłoń znów znalazła się u Zosi pod poduszką.

— Znowu wygrzebałeś to świństwo ze śmietnika, mały sadysto?! — krzyczał ojciec, wywijając pasem.

— Ależ tato... — tłumaczył Jacek. — Ja tego nie zrobiłem. Zresztą, to nie jest ta sama łapa. Tamta ograniczała się tylko do pięści, a tu jest cały przegub.

— Pewnie znalazłeś gdzieś drugą i podrzuciłeś siostrze.

— Kiedy? Dopiero wróciłem ze szkoły i nie byłem jeszcze w pokoju Zośki.

— Nie powiecie mi chyba, że łapa znalazła się tam sama?! — zawołała matka.

Jacek nie skomentował jej słów. Sam czuł się niewyraźnie. Nie żeby się bał. Przecież historia o „złym chłopcu” była wytworem jego wyobraźni. Jednak gipsowy detal przestał go bawić.

Wyniósł go do śmietnika, a przed snem sprawdził, czy nadal tam jest i dla pewności przywalił kłapę ciężkim kamulcem. Zasnął szybko. Obudził się jednak tuż po północy, kiedy sypialnię zalaly potoki księżycowego światła. Do jego uszu doleciał nieprzyjemny chrobot. Mysz?

— Kto tam? — spytał półgłosem.

Chrobot, a właściwie delikatne pukanie, nasiliło się. Dźwięk dochodził z wnętrza staromodnej szafy. Co to za kawały!? Chłopak zerwał się na równe nogi i szarpnął drzwiczki bieliźniarki!

— O cholera!

Łapa leżała beczelnie na stosie ręczników. Wydawała się jeszcze większa, urosła już do łokcia. Czyżby rzeźba odrastała? Niedoczekanie! Starając się nie budzić domowników, Jacek wziął młotek, łapę pod pachę i wybiegł na ogródka. Dzięki pełni było jasno jak w dzień. Roztłukł łapsko na kilkanaście kawalców, rozsypał po grządkach, przekopał. Z emocji nie zauważył nawet, że się skaleczył i dopiero w pokoju dostrzegł ślady krwi na dłoniach. Ale spał dobrze.

Inaczej Zosia. Całą noc dziewczynce śniły się koszmary. Przy śniadaniu, cała rozdygotana opowiadała o cmentarzu, o rozgrzebanych grobach i wypełzających z nich trupach, które wołały: „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca”.

Temat powrócił również przy kolacji, wywołując dłuższą rodzinną dyskusję, na temat nawiedzonych miejsc, wędrówki dusz i tym podobnych bzdur. Matka opowiadała o kobiecie pokazywanej w jakimś programie telewizyjnym, która przypomniała sobie, jak w poprzednim wcieleniu, przed trzystu laty zakopała skarb. Wskazała miejsce i zaraz znaleziono tam garnek pełen złotych monet. Ojciec uznał opowieść za kompletną bzdurę, wciskaną przez

telewizyjnych manipulatorów ciemniakom, gotowym uwierzyć we wszystko.

Jacek nie zajął stanowiska, ale zasypiając, dużo myślał o tych sprawach. Analizował, skąd przyszła mu do głowy historyjka o „złym chłopcu”? Nigdy wcześniej nie słyszał o czymś podobnym. Naraz zawieszonemu w półśnie wydało się, że widzi tamtą rodzinę zgromadzoną w staromodnej jadalni, że słyszy pokasywania dziadka i głos babci: „Jasiu, nie bądź złym chłopcem, bo Bozia cię pokarze...”

Gdzieś w pobliżu złowróźnie zawył pies. Chłopak poderwał się z tapczanu. Jakaś siła skłoniła go, by podszedł do okna. Wiedział, co może zobaczyć, zagrabione grządki, śmietnik, garaż... Zaraz. Czyżby już zaczęły kielkować tulipany? Na tle czarnej ziemi widać było białe kielki, rosnące szybko jak na filmie przyrodniczym. Ale to nie były pędy. To były palce! Patrzył jak urzeczony, nie mogąc wykształcić słowa. Tymczasem za palcami wyłoniły się ręce. Potem głowy i dobiegł go szept: „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!”

Koniecznie trzeba się obudzić! To sen, oczywiście, tylko głupi sen! Uszczypnął się. Nic!

Chciał zapalić lampkę nocną, potem żyrandol. Ale pojawiło się jedynie niewielkie czerwone światełko, jak w fotograficznej ciemni. Szepty narastały. „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!” Usiłował krzyknąć, nie miał siły, próbował otworzyć drzwi do sypialni rodziców, daremnie. Mógł jedynie patrzeć na to kielkowanie, rozpoznawać wynurzające się postaci —

Babcię w starodawnej mantyli i Dziadka w kontuszu... „Ukarać złego chłopca, ukarać złego chłopca!” — powtarzali mrukliwie. Strach stawał się coraz bardziej dojmujący, ściany zdawały się zacieśniać wokół niego, sufit zaś tak się zniżył, że przypominał do złudzenia wieko trumny.

Na schodach zabębniły kroki nieproszonych gości. Czyjeś chichoty. I naraz w kulminacji lęku zdał sobie sprawę z najgorszego: Zły chłopiec to on!

Rankiem rodzina nie zastała Jacka w pokoju. Gdzie się podział? Łóżko było rozgrzebane, ubranie leżało na krześle, a okulary na nocnej szafce. Jeszcze trudniej było pojąć, w jaki sposób, w ciągu nocy na klombie przed domem wyrosła rzeźba bezskrzydłego amorka. O złym grymasie ust i wykrzywionych palcach. I dlaczego na lewym policzku miała taką samą charakterystyczną myszkę jak Jacek?

## WIRUS

Pierwszą ofiarą epidemii był w czwartek Janusz T., maturzysta z niewielkiego nadmorskiego miasteczka. Drugi wypadek odnotowano nazajutrz w stolicy — piękna sekretarka dyrektora poważnej spółki. W wypadku trzeciego i czwartego denata trudno mówić o kolejności, symptomy bowiem pojawiły się prawie równocześnie w powiatowym C. (na skraju gór) i wojewódzkim B. we wschodniej części kraju. Do poniedziałku odnotowano dwadzieścia jeden przypadków, do wtorku sześćdziesiąt trzy.

— Mamy epidemię! — powiedział Naczelny Lekarz Kraju. Władza, jak to władza, natychmiast utajniła tę informację.

— Panika tylko może zaszkodzić sprawie — stwierdził wicepremier powołany na szefa sztabu kryzysowego, obradującego permanentnie metodą telekonferencji.

— Chwalić Boga, choroba nie kończy się śmiercią! — rzekł Minister Wyznań.

— Na razie! — lakonicznie uzupełnił Minister Zdrowia.

— Ale może nas zdrowo kosztować — dodał Minister Finansów.

— Zwłaszcza, gdy dowie się o tym świat — westchnął Minister Spraw Zagranicznych.

— A czy musi? — zapytał Premier.

Choroba miała przebieg gwałtowny, a równocześnie dziwny — zrazu objawiała się wysypką na twarzy, potem wysoką gorączką, wreszcie wywoływała stany euforyczne, prowadzące niekiedy do zakłócania porządku publicznego, przechodząc po trzech dniach w głęboką apatię.

Podobne reakcje wywoływał dotąd tylko alkohol wespół z narkotykami. Żaden jednak z chorych nie znajdował się pod wpływem wspomnianych używek. Niektórzy nawet mieli opinię abstynentów. Najdziwniejsze było jednak, że żaden z chorych nie kontaktował się przedtem z innym zarażonym. Ba, trudno by znaleźć jakiegoś wspólnego nosiciela. Naukowcy z Centrum Epidemiologicznego zgadzali się, że zarazę powoduje jakiś wirus dotąd nieznany medycynie i tak mikroskopijny, że nie sposób było go zauważyć. Tylko, jak dochodziło do infekcji?

Szybko wykluczono możliwość zatrucia pokarmowego, kropelkowego, choroby nie mogły roznieść insekty ani gryzonie. Nie przenosiła się metodą płciową (wśród zarażonych był jeden pop i jedna zakonnica). Może więc wirus był wszechobecny, a aktywizował się tylko u wybranych?

Niestety, po przeanalizowaniu stu podstawowych cech — okazało się, że nie ma żadnej prawidłowości, wśród chorych reprezentowani byli przedstawiciele wszystkich grup krwi, kolorów włosów i skóry (zachorował jeden Murzyn), ras (wśród chorych nie zabrakło Cygana ani Żyda). Chorowali mężczyźni i kobiety, młodzież i emeryci, humaniści i technicy, urzędnicy i artyści. Chociaż, co skwapliwie odnotowano, przewagę mieli ludzie z wyższym wykształceniem.

— I to jest jakaś wskazówka! — zauważył Minister Oświaty.

— Może należy gruntownie zbadać ich hobby? — podpowiedział Minister Kultury.

— Sprawdziliśmy — ripostował Minister Spraw Wewnętrznych. — Są tam reprezentowani zarówno filateliści, numizmatycy, bibliofile, wędkarze, myśliwi, krzyżówkowicze jak i działkowicze.

— A komputerowcy? — zapytał z głupia frant Minister Łączności.

— O kurczę — zawołał Premier, podrywając się znad klawiatury. — O tym nie pomyśleliśmy, wszyscy zarażeni mieli komputery podłączone do sieci.

W tym momencie na ekranie domowego monitora każdego z członków gabinetu uczestniczących w telekonferencji pojawiła się pulsująca ikonka: „Masz wiadomość”.

— Nie otwierać — wrzasnął szef Urzędu Ochrony Państwa.

— To od hakera!

Ale było za późno.

W następnych dniach doszło do wielu zaskakujących zdarzeń.

— Minister Spraw Wewnętrznych uciekał przed kontrolą drogową, Minister Spraw Zagranicznych poprosił o azyl na Białorusi, Minister Finansów goły jak święty turecki stanął żebrząc pod kościołem, zaś Minister Kultury wtargnął z szablą do Muzeum Narodowego i porąbał dwa Picassy. Wkrótce jednak euforia minęła i cały gabinet pogrążył się w apatii, aż do przedterminowych wyborów. Hakera nigdy nie znaleziono. Ciekawe jednak, dlaczego prominenci czołowej partii opozycyjnej jeszcze przed wybuchem epidemii wyposażyli swe komputery w nowe programy antywirusowe?

**DOM SPECYFICZNEJ TROSKI**

Na początek zobaczył jej nogi, gdy schodziła po betonowych schodach wiodących na molo.

Mocne łydki, wyrastające z wełnianych skarpet. Wyglądała dokładnie tak, jak ją sobie wyobrażał, wysportowana blondynka o silnych ramionach i płaskiej klatce piersiowej. Był

pewien, że jej biogram nie mija się z prawdą — pełna subordynacja i nieskomplikowany charakter gwarantowały, że będzie idealną osobą do wyznaczonych zadań. Oczy miała osobiście niebieskie, a na policzkach rumieńce, jakie zapewnić może tylko czyste sumienie i regularny tryb życia, aczkolwiek nie można było wykluczyć istotnego wpływu doskonałego kosmetyku o nazwie Lavandina.

Zielonożółta karetka służby psychiatrycznej zakręciła na pustym placu i zniknęła w głębi platanowej alei. Joanna zeskoczyła do motorówki. Herbert podał jej rękę. Uścisk miał mocny, pewny.

— Rewelacyjna punktualność — pogratulował. Odpowiedział mu szczery uśmiech nieskazitelnie białych zębów.

Zapisał silnik. Czekal ich kawał drogi. Dom leżał na wyspie w północnej, niegościnniej części jeziora, gdzie dostępu do brzegów broniły dzikie góry, a wypływająca rzeka tworzyła groźną kaskadę. Herbert nie zadawał wielu pytań. Posiadał pełne dossier pielęgniarki: pięć lat pracy w szpitalu w stolicy, trzy ostatnie lata w Zakładzie dla Kobiet o Zaostrzonym Progu Ryzyka, stanowiły doskonałą rekomendację.

— Praca nie będzie trudna, siostrzo Joanno — tłumaczył. — To maleńki ośrodek, można powiedzieć prawie domek jednorodzinny, czterech strażników, kucharka, pielęgniarz i my, to wszystko.

— A pensjonariusze?

— Przeważnie starzy, zmęczeni ludzie, o nieco śmiesznych choć niezbyt groźnych dewiacjach, żyjący w wyimaginowanym świecie o dość skomplikowanej hierarchii. Naszym celem jest zapewnienie im maksimum spokoju, stąd troska o jak najmniej zmian i ta klauzula w umowie, która mogła panią nieco zdziwić.

— Jaka klauzula, doktorze? — błękitne oczy popatrzyły na niego z zaciekawieniem.

— Zgoda na zerwanie na najbliższe trzy lata wszystkich kontaktów ze światem zewnętrznym.

— Ach, nawet nie zwróciłam na to uwagi!

Max, potężny, ponad dwumetrowy pielęgniarz — niemowa o twarzy dziecka, zaniósł jej walizkę do pokoiku na poddaszu. Joanna umyła ręce w mikroskopijnej umywalce, a następnie krętymi schodami zeszła do stołówki. Pensjonariusze jedli zupę podaną przez kucharkę, która wyglądała jak idealna krzyżówka rodziców, z których jedno cechował zespół

Downa, drugie zaś nękane było przez Basedowa. A, i tak uchodzić mogła za przystojniaczkę w porównaniu z pacjentami. Joanna różne już monstra w życiu widziała, ale czwórka mężczyzn przy stole przypominała potwory z filmowego horroru. Twarze pensjonariuszy pokrywały przerażające wypryski, bąble i czyraki, które całkowicie zniekształcały im rysy, a postronnego obserwatora musiały napawać odruchowym wstrętem. Odrażający karmin świeżych blizn przechodził w zadziwiający fiolet zrogowaciałych tkanek... Herbert uprzedził ją wprawdzie, że w poprzednim miejscu pobytu pensjonariusze ulegli zatruciu szerzącym się tam grzybką *fungus miraculus*, a zastosowana terapia zablokowała jedynie przerzuty na dalsze partie ciała, ale mimo to przeżyła szok.

— Przywyknie pani. I proszę się nie bać, w obecnym stadium grzybek nie jest zaraźliwy.

Jej wejście powitano pochrząkiwaniami i pełnymi uznania sapnięciami.

— Chłopcy, to wasza nowa opiekunka, siostra Joanna — powiedział doktor. — A to, jeśli



siostra pozwoli, są: Naczelnik, General, Profesor i Patriarcha.

Witali się z nią kolejno, każdy na swój sposób. General najpierw dziarsko stuknął obcasami i zasalutował, ale potem, gdy odwróciła się do Profesora, uszczypnął ją w pośladek, szepcząc:

„Zdrowa dupa!” Profesor ucałował koniuszki palców pielęgniarki tak delikatnie, że nawet kropla ropy z jego nosa nie padła na jej dłoń. Patriarcha przywitał się, podając rękę po kobiecemu. Jak do ucałowania. A potem pobłogosławił znakiem krzyża. Naczelnik zaś uściskał

Joannę, jakby była jego kumplem z drużyny piłkarskiej. Przy okazji dowiedziała się, że do Generala najlepiej mówić: „Tak jest, panie Generale!”, do Profesora: „Ekscelencjo”, a do Patriarchy: „Ojczy”.

— A ja jestem Henryk — zakończył mężczyzna tytułowany Naczelnikiem.

Po obiedzie, w trakcie którego z dużym wysiłkiem zmusiła się do przelknięcia paru łyków zupy, przeszli razem z doktorem Herbertem do niewielkiego ambulatorium. Joanna poprosiła o karty historii choroby pacjentów.

— Nie prowadzimy — zaskoczył ją Herbert. — Nie ma takiej potrzeby. Stan pacjentów można określić jako stabilny, objawy cechuje constans, ot łagodne niekonfliktowe urojenia, zabawne nawyki. Podajemy im standardowe środki uspokajające. I pozwalamy się bawić.

— Bawić?

— Patriarcha uroił sobie, że naprawdę jest księdzem. Rzeczywiście rewelacyjnie zna Biblię, żywoty świętych, lubi monologować o moralności. General uwielbia gry komputerowe, czasem też rozstawia na planszach armie ołowianych żołnierzyków. Profesor natomiast przepada za literaturą. Sam też pisuje wiersze. Aha, i bardzo dba o swoje zdrowie i tężyznę. Trzeba więc codziennie pobiegać z nim po alejce wokół wyspy.

— Nie może biegać sam?

— Zdarzyło mu się już raz wpaść do wody. Ledwo go wyciągnęliśmy.

— A ten, jak mu tam...? Naczelnik?

— Henryk? To ponury, nieobliczalny typ. Trzeba na niego uważać.

— W jakim sensie? Seksualnym?

— W ogóle nie należy przebywać z nim sam na sam.

\* \* \*

Mimo ogromnego zmęczenia Joanna spała krótko. Obudził ją jakiś szmer. Ogromna twarz księżycy w pełni zajmowała przestrzeń między framugami okna. Zegarek wskazywał dziesięć po pierwszej. Gdzieś w pobliżu rozległ się szept:

— Sostro Mario, sostro Mario...

Poznała głos Henryka. Jak się tu dostał? Przecież drzwi zamknęła od wewnątrz?

Wyskoczyła z łóżka i dopadła drzwi. Zamknięte. Tymczasem spory cień przysłonił otwarte okno.

Naczelnik musiał wspiąć się po bluszczu.

— Sostro Mario...

Otworzyła drzwi, chciała wyskoczyć na korytarz, krzyknąć. Przybysz okazał się szybszy.

Dopadł jej dwoma susami i zatkał dłonią usta. Joanna była silna, ale w jego rękach czuła się jak szmaciana lalka.

— Spokojnie! — szepnął prosto do ucha. — Nic ci nie zrobię, ten bezpieczniak musiał ci naopowiadać na mój temat koszmarnych bzdur. Zaraz, ty nie jesteś siostrą Marią, ty jesteś ta

nowa... Biedactwo.

— Co tu się dzieje? — z korytarza dobiegł głos Herberta. Drzwi otworzone uniwersalnym kluczem stały otworem. Za doktorem postępowal olbrzymi sanitariusz. Naczelnik puścił Joannę, skulił się na podłodze jak psiak oczekujący na skarcenie.

— Henryk do pokoju! Znowu wariujesz podczas pełni?! Max cię zaprowadzi.

Pacjent pokornie pokiwał głową i pochlipując jak dziecko, dał się odprowadzić gigantowi.

— Nie wolno spać przy otwartych oknach — pouczał Herbert. — A jeśli zauważy się coś podejrzanego, należy wzywać pomocy. Nie chciałem siostry straszyć, ale prawda jest taka, że nasz samozwańczy Naczelnik tydzień temu gołymi rękami udusił siostrę Marię, pani przewodniczkę.

\* \* \*

Przez następne kilka dni nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. Pacjenci dopiero oswajali się z nową pielęgniarką, czasami tylko wyrwało im się jakieś zdanie nie dotyczące pogody, diety, korzonków czy hemoroidów. Na przykład Patriarcha, gdy masowała mu pokręcone przez reumatyzm nogi, zapytał znieca:

— A powiedz, dziecinko, czy odbudowano już stołeczną katedrę spaloną podczas zajęć kwietniowych?

Ponieważ milczała, powtórzył pytanie na poły lękliwie, na poły błagalnie.

— Odbudowano, pięć lat temu — odrzekła. — Ale bardzo proszę nie zadawać mi więcej takich pytań.

— Nie będę. Niech cię Bóg zachowa w swojej opiece, moje dziecko.

Innym razem General zaprosił ją do planszy zastawionej ołowianymi żołnierzami, sporo mówił o walorach działań oskrzydających, a zakończył rzuconym półgłosem zwierzeniem:

— Szkoda, że swego czasu zabroniłem przyjmowania kobiet do szkół oficerskich, posiada pani niewątpliwie coś, co zwie się „gruczolem Bellony”.

— A wie pani, że zawsze lubiłem takie zdecydowane blondynki — wyznał jej parę godzin później Profesor. — Szkoda, że nie zdecydowałem się uczynić kogoś podobnego do pani swoim rzecznikiem. Tak, tak, popełniłem poważny błąd, lekceważąc opinię publiczną.

Wydawało mi się, że program radykalnych reform wystarczy. A propos, nie wie pani przypadkiem, jaki jest aktualny kurs naszej waluty do dolara?

Nim zdążyła odpowiedzieć, zabrzączał pager przy jej pasku, Herbert wzywał ją do siebie.

Czyżby przekaźnik był równocześnie mikrofonem podsłuchowym?

— Pomyślałem sobie, że może mieć pani do mnie parę pytań. — Brzydki uśmiech igrał na wąskich, zaciętych wargach doktora.

— Nie mam. Pacjenci jak na razie nie nastroczają mi szczególnych trudności.

— A nie zastanawiają pani ich urojenia? Nie sposób przy pani inteligencji nie zauważyć, że ci biedacy mniej lub bardziej udatnie usiłują odgrywać przed panią postaci z ostatniego dziesięciolecia naszej historii. General podaje się za przywódcę junty, która uciskała naród aż do rewolucji wrześniowej. A przecież musiała pani widzieć, jak pluton egzekucyjny rozstrzeliwuje tę kreaturę przed kamerami telewizji.

— Oczywiście.

— Profesor uroił sobie, że jest owym gapowatym intelektualistą, premierem pierwszego demokratycznego rządu, który po roku reform zmiotł strajk generalny.

— Doskonale wiem, że tamten premier popełnił samobójstwo.

— Właśnie. Natomiast nasz następny pacjent, pseudonim Naczelnik, podaje się za przywódcę owego strajku generalnego, późniejszego Naczelnika Państwa, którego obalił kolejny przewrót. Powstanie kwietniowe. Naczelnik dzielnie poległ na schodach swego pałacu.

Potem, jak wiadomo, powstała u nas republika teokratyczna na czele z patriarchą Zjednoczonego Kościoła. Pamięta pani, państwo wyznaniowe, celibat urzędników, kara chłosty w szkołach i fabrykach. Gdyby pożył dłużej, wystrzegając się trucizny, pewnie mielibyśmy tu drugi Iran...

— Rozumiem już, za kogo uważa się Patriarcha! — powiedziała Joanna.

— Zgodzi się pani, że jest to bardzo interesujący przypadek dopełniających się dewiacji —

Herbert uśmiechnął się jeszcze szerzej. — Normalnie chorzy żyją własnymi, pojedynczymi urojeniami. W naszym domu mamy rzadki przykład paranoi zbiorowej. Jest to ewenement na skalę światową i dlatego dostałem subwencję rządową na prowadzenie tego eksperymentu.

Sądzę, że teraz wszystko jest jasne?

— Tak jest — odparła.

— No to proszę wracać do pracy. A jeśli zechcą się pani zwierzać, proszę udawać, że ufa pani każdemu ich słowu.

\* \* \*

Nazajutrz przy podwieczorku wybuchnął konflikt. Patriarcha skrytykował jakość ciastek.

— To kwestia mąki — zauważył Profesor. — Jej jakość ostatnio się pogorszyła.

— Bo kto swoimi poronionymi reformami zrujnował wieś — wtrącił Naczelnik.

— Wielowiekowe zaniedbania — nie dawał się zbić z tropu Profesor.

— Niska kultura agrarna i spuścizna po rządach junty.

— O przepraszam, moje wojska zawsze pomagały w żniwach — obruszył się General.

— Jeżdżąc czołgami po czarnoziemach!

Poczerwieniały na twarzy General walnął pięścią w stół, na co Naczelnik porwał za kremówkę. Aliści General najwidoczniej należał do dowódców, którzy kulom klaniać się nie zwykli, więc uchylił się i pocisk trafił prosto w Patriarchę...

Bitwę przerwał dopiero Max ze szlauchem i Herbert ze strzykawką...

— Co tu się dzieje, czyżby nie zaaplikowała im siostra codziennej dawki środków uspokajających? — pieklil się lekarz.

— Dałam, jak pan zalecił, dawka 0,05.

— Za słaba. Należy dawać 0,5! Na przyszłość, siostro, będzie pani potwierdzać moje polecenia pisemnie. A teraz proszę zająć się Profesorem, widelec Generała rozharatał mu udo, a potem Henrykiem. Kiedy upadł nań Patriarcha, chyba zwicznął sobie rękę...

Upał był nieznośny, więc pensjonariusze przebywali w cienistych altanach. Joanna opatrzyła Profesora i nastawiła nadgarstek Naczelnika. Mężczyzna cicho jęczał z bólu.

— Zrobimy usztywnienie, dostanie pan zaraz coś przeciwbólowego i na sen — powiedziała.

Podala mu pastylkę, a następnie opróżniła strzykawkę w watkę, którą przytknęła do ręki. Nie musiała nawet mrugać porozumiewawczo. I tak zrozumiał. Wzrokiem wskazał swój zegarek, na stałe wrzynający się w przegub, i jej służbowy pas z pagerem. Podsluchuy! Poradziła sobie z jednym i drugim. Zdjęła pasek wraz z kitlem i położyła go na skraju

pobliskiego basenu.

Następnie dość ściśle i grubo obandażowała nadgarstek pacjenta, skrywając pod grubą warstwą podsłuchowy zegarek. Henryk był zaskoczony jej działaniami. Dłuższy czas milczał, ale w końcu szepnął:

— Pani nie dała nam dzisiaj leków, dlaczego?

— Muszę poznać prawdę? Dowiedzieć się, co tu się dzieje?

— To bardzo niebezpieczne.

— Ja się nie boję. Kim jesteście naprawdę?

— Czy zna pani życiorys Naczelnika Henryka?

— Któż go nie zna?

— Czytała więc pani o wybuchu pary w hucie, gdy omal nie zginął i o postrzale podczas demonstracji.

— W lewą nogę...

— Proszę zatem obejrzeć moje plecy i lewe udo. Tego nie mogli zmienić nawet aplikując nam tego upiornego grzyba... No, śmiało. — Ściągnął spodnie. — Poznaje pani?

— O mój Boże? — krzyknęła. — A ci pozostali?

— Też są najprawdziwsi.

— Przecież powinni nie żyć.

— Powinni, ale żyją. To nasz oryginalny wkład do światowej kultury politycznej. Wszystko rozpoczął Profesor, gdy zamiast zlikwidować Generała zainscenizował egzekucję i zesłał go tutaj. Ja zrobiłem to samo z Profesorem, Patriarcha ze mną, a kolejny szef państwa, Namiestnik wydelegowany przez wywiad ościennego mocarstwa, który jak sądzę, rychło tu do nas dołączy, wypróbował analogiczny patent na Patriarsze. Da się tu żyć, a problemem jest tylko nasz doktor Herbert. Jedyne prawdziwy wariat na tej wyspie.

— Wariat? — w głosie Joanny zabrzmiał niepokój.

— Pełny schizol! Jak pani myśli, kto zabił te wszystkie dziewczyny. Ja?

— Jak to wszystkie? Wiem tylko o śmierci siostry Marii.

— A Klarusia, Dorotka, Regina? Zginęły wszystkie, które zaczęły domyślać się prawdy.

— Czy są na to jakieś dowody?

— Sądzę, że w jego biurku znalazłaby siostra i sztylet z krwią Doroty i pończochę, którą udusił naszą małą Reginę. Ale nie radzę szukać! Kończmy tę rozmowę. I nigdy do niej nie wracajmy.

\* \* \*

Było dobrze po północy, kiedy Joanna wślizgnęła się do gabinetu doktora. Z korytarza niosło się pochrapywanie Maxa, a światło w oknie przylegającej do gabinetu sypialni Herberta zgasiło dobrą godzinę wcześniej. Drzwi nie były zamknięte, któż mógłby tu wtargnąć?

Pojawienie się pacjentów na pierwszym piętrze automatycznie uruchomiłoby alarm. Księżyc oświetlał wnętrze tak jasno, że nie musiała zapalać latarki. Dotarła do biurka, podważyła szufladę... Poświata odbiła się od chłodnej stali sztyletu. Równocześnie jednak rozbrzmiał przenikliwy dźwięk telefonu. W korytarzu zaszurały ciężkie buty sanitariusza. Przerazona, zdążyła wsunąć się pod biurko.

— Ja odbiorę! — w drzwiach sypialni pojawił się Herbert. Chwycił słuchawkę.

— Tak, to ja. Melduję panie prefekcie, że wszystko gotowe na przyjęcie Namiestnika. Co?

Oczywiście, że tu jest. Bardzo dobrze się spisuje. Jak to nie żyje? — chwilę słuchał bez przerywania. — Rozumiem. Oczywiście, poradzimy sobie. Nie ma problemu. Nowa za tydzień?

Tak jest. A Namiestnik? Rozumiem, jak tylko skończy kurację grzybkową. Tak. Ku chwale Ojczyzny!

Położył słuchawkę i nabrał więcej powietrza w płuca: — Max! Pielęgniarsz stanął w drzwiach. — Natychmiast sprowadzisz tu siostrę Joannę. Uważaj, to niebezpieczna wariatka. W swoim zakładzie zabiła prawdziwą pielęgniarkę i przybyła do nas podając się za nią. Dopiero dziś znaleziono zwłoki tamtej biedaczki i odkryto, że stan więźniarek się nie zgadza. Ciekawe tylko, dlaczego to zrobiła?

Max odszedł, a Herbert dopiero teraz zauważył wysuniętą szufladę.

— O cholera! Dlaczego?..

Nóż dziewczyny wyprysnął spod biurka jak jadowita żmija. Chłód przeszył trzewia doktora. Cofnął się, krzycząc i bluzgając krwią, a Joanna postępowała za nim, zadając kolejne ciosy. — Dlaczego? — wołała. — Dlatego, że zabiłeś siostrę Marię, którą kochałam i która mnie kochała jak męża! Dlatego, że jestem aniołem śmierci, zesłanym na tę grzeszną ziemię, aby odmienić jej oblicze!

Więcej dyrektor placówki nie mógł słyszeć, pochłonęła go czarna mgła. Max zginął porażony elektryczną palką, a potem zepchnięty w fale jeziora. Nikt z pacjentów nie dowiedział się nigdy, co stało się z pozostałymi strażnikami. Rano, kiedy Joanna zadzwoniła na pobudkę, na posterunku nie było żadnego.

— Jesteście wolni, panowie — oznajmiła pacjentom, stojąc w paradnym mundurze straży.

Jej głowa była ogolona na zero. — W ciągu tygodnia dzięki maści antygrzybiczej wasze oblicza wrócą do dawnego wyglądu, a po tygodniu wsiądziemy w łódź i odmienimy bieg historii.

Milczeli zaszokowani.

— Na Boga — wyksztusił wreszcie General. — Kim pani jest?

— Joanną. Joanną Orleańską — zawołała z ogniem. — U mego boku wkroczycie do stolicy.

Każdy świadom popełnionych wcześniej błędów, przekonany do wspólnego działania.

Wspólnie uszczęśliwimy ten kraj...

— Ależ Joanno — głos premiera intelektualisty nagle się załamał. — To przecież niemożliwe.

— Bierzesz nas dziecko za kogoś innego — dorzucił General.

— Bóg odjął ci rozum, gdzie jest pan doktor? — zakwilił Patriarcha.

— My jesteśmy tylko biedni wariaci — zakończył Henryk.

— Biedni wariaci!

Nad górami pojawiło się słońce. Na wysepce rozpoczynał się kolejny piękny dzień.

## AKTYWACJA

To miał być wielki dzień dla całego Instytutu Inżynierii Genetycznej. A już szczególnie dla pawilonu X, realizującego programy tajne. Co gorsza — zakazane.

Oficjalnie bowiem zajmowano się tam udoskonalaniem zwierząt domowych, a że po godzinach profesor S. eksperymentował troszkę na ludziach. Komu to przeszkadzało?

Zacząło się od realizacji zamówienia na sportowców doskonałych. — Odpowiednie gry i zabawy z chromosomami pozwoliły na wyhodowanie jednoręcznego tyczkarza, pływaka ze skrzelami i szachisty składającego się wyłącznie z głowy i małych rączek. Wkrótce potem, z

pewnego kraju, w którym prawa człowieka nie należały do pierwszych potrzeb, przyszło zamówienie na idealnego obywatela. Jak zwykle zadanie podzielono między zespoły robocze.

Grupa A miała wyhodować osobniki odżywiające się powietrzem, gazetową papką i promieniowaniem telewizyjnym.

Grupa B zajęła się uszlachetnianiem skóry, by ta stała się gruba i szczeciniasta, tak by z łatwością mogła zastąpić kosztowne i skomplikowane w użyciu ubrania.

Grupa C, dzięki domieszaniu do DNA kwasu mrówkowego wyhodowała „ludzi stadnych”, pracowitych, reagujących na odpowiednie bodźce grupowo, tworzących ochoczo ze swych ciał żywe mosty i konstrukcje przestrzenne, a w miarę potrzeby zasypujących sobą rowy i fosy w imię lepszego jutra.

Osiągnięciem zespołu D był imbecylissimus — człowiek roboczy o muskulaturze Herkulesa, za to prawie pozbawiony mózgu — niestety nie potrafił on rzetelnie wykonywać nawet najprostszycch czynności, a co gorsza, zanieczyszczał swoje miejsce pracy. Tę grupę wywalono na pysk!

Kolejne zespoły pracowały nad genetycznym uwarunkowaniem takich cech jak ślepa lojalność, bezkrytycyzm, odwaga i operatywność. Długo nie udawało się połączyć tych właściwości w jednym osobniku i otrzymać istotę bezkrytyczną, a równocześnie inteligentną, lojalną i zarazem pomysłową. Jednak dzięki skomplikowanej miksturze mieszanki hormonów lisa i węża, wołu i tygrysa, pawia i papugi, a przy okazji tchórza, osła, barana, małpy i świni — udało się stworzyć superosobnika dysponującego wszystkimi cechami w stopniu maksymalnym. I co najważniejsze, wykorzystującego w danym momencie tylko te, których zażyczy sobie zwierzchnik.

Prototypową serię umieszczono w dojrzewalni, tak by w tydzień z osesków wyrosły osobniki dorosłe — nieśmiertelne, samowystarczalne, inteligentne...

— Ale co zagwarantuje, że będą wobec nas lojalne? — dopytywał się zamawiający superludzi ambasador Q.

— System aktywacji — tłumaczył profesor. — Jutro rano, gdy ich pan obudzi, jak małe psiaki przywiążą się do pana i na całe życie będą panu posłuszne...

— O której mam się zjawić?

— Powiedzmy o dziewiątej.

Niestety, o ósmej wybuchła rewolucja, dziesiątka superinteligentnych niezniszczalnych osobników opanowała miasto, głosząc hasła równości i nowego porządku, śmierci jajogłowcom i dyktatury uciśnionych.

Oczekując na egzekucję, profesor S. i ambasador Q. zdołali się dowiedzieć, że do nieszczęścia doprowadziła stara, skretyniała sprzątaczką, która włączając odkurzacz, uruchomiła przedwcześnie system aktywacji, a obudzeni, dojrzały superludzie podporządkowali się jej, jako pierwszej napotkanej istocie — przejmując jej poglądy, wyobrażenia, uprzedzenia i fobie za własne.

ZA NIC

Kiedy zaproponowano mi tę robotę wydawało mi się, że wszystko mam już za sobą.

Skończyłem sześćdziesiąt lat i nie miałem przed sobą dalszych perspektyw. Żona nie żyła, a dzieci, dawno samodzielne, nie paliły się do rodzinnych kontaktów. A pętla ograniczeń zaciskała się. Facet, niejaki Łubud, ryży, piegowaty drażal, który do mnie przyszedł, był

doskonale zorientowany w kondycji finansowej Rafała Frączaka.

— Dziesięć tauzenów przed, dwadzieścia po sprawie — zaproponował. — To dla rencisty chyba niezła stawka za nic.

— A na czym to „nic” ma polegać?

— Na spędzeniu tygodnia w wytwornej rezydencji. Udając właściciela... Musi się pan tylko podstrzyc i zapuścić brodę. Tu Łubud wręczył mi zdjęcie obywatela niezwykle do mnie podobnego.

— Kto to jest?

— Polking. Słyszał pan chyba o Polkingu?

Któż nie słyszał o tym legendarnym przywódcy półświatka, który po powrocie zza oceanu wbił się klinem w mafijne struktury w naszym mieście, osiągając pozycję prawdziwego Ojca Chrzestnego.

— Na jakiś czas szef musi zniknąć, a dobrze by było, gdyby gliny sądziły, że nadal przebywa w rezydencji. Oczywiście drinki i dziewczyny będą gratis.

— Ale ja nie nadaję się na przestępcę.

— O żadnym przestępstwie nie ma mowy. Prosta sprawa. Czysty zarobek... A jak nie... — Pomacał się po kaburze.

Co było robić. Zgodziłem się. Dwa dni przeżyłem w atmosferze luksusu i wykwintnej erotyki.

Podobało mi się. Jednak trzeciej nocy coś wybiło mnie ze snu. Dziewczyna, która zasnęła u mego boku, zniknęła. Nie było też pod drzwiami Ćwiary — mego ochroniarza. Pusty był też pokój Łubuda. Kiepsko to wyglądało.

Na szczęście w pokoju myśliwskim znalazłem sztucer i dubeltówkę. Nabite. Kiedy przyszli, byłem przygotowany. Przypomniały mi się moje młodzińcze doświadczenia ze służby w oddziale specjalnym. Pierwszego załatwiłem sznurem od rolety, drugiemu wygarnąłem w twarz kaczym śrutem. Trzeci spadł z balkonu do pustego basenu i chyba coś sobie uszkodził, bo skowyczał cicho.

— Brawo — powiedział nagle Łubud, wychodząc ze schowka pod schodami. — Sprawdził się pan.

— Miałem być celem zabójców? — wycedziłem, biorąc go na muszkę. — Polking chciał upozorować swoją śmierć i wykorzystać w tym celu mego trupa. O nie!

— Polking nie żyje — zawołał pośpiesznie ryży — a ja jestem z Komendy Głównej. Mam ci pokazać legitymację?

— Więc co tu jest grane?

— Od paru lat pracowałem pod przykrywką dla tego drania, oczywiście nigdy nie podejrzewał, że jestem tajniakiem. Byłem z nim w Baden–Baden, kiedy trafił go zawał. Trudno o gorszy moment. Przewidywaliśmy, że po tej śmierci nastąpi dekompozycja mafii, wyłonią się nowi przywódcy. Jeden z moich szefów znalazł cię z wojska z czerwonych beretów. Wiedział, że dasz radę. Zaproponował mistyfikację...

— Miałem zginąć?

— Bynajmniej. Znaliśmy twoje możliwości. Chodziło o wyeliminowanie trójki najbliższych niebezpiecznych współpracowników Polkinga. Tych, którzy mogliby cię zdemaskować.

Powiedziałem im, że to pomysł szefa. Napad, śmierć sobowótora, po której on sam, czasowo przebywający w ukryciu, wypłynie ze zmienioną twarzą i tożsamością...

— Czyli odegrałem swoją rolę i dostanę resztę wynagrodzenia?

— Zaraz, zaraz. Twoja rola dopiero się zaczyna. Będziesz „naszym” Polkingiem.

Zdominujesz krajowe przestępcze podziemie. Wyeliminujesz konkurencję z rynku.

Wejdiesz do struktur światowych. Oczywiście pomożemy ci. Nie muszę dodawać, że co zarobisz, będzie twoje. Nam wystarczą informacje. Więc jak? Zresztą, biorąc pod uwagę te trzy trupy, nie masz specjalnego wyboru.

Skinąłem głową z udaną rezygnacją. Duszę przepelniała mi radość. Udało się.

Wysyłając Rafała Frączaka z moimi dokumentami do Baden–Baden, wiedziałem, że tak będzie. W jego lekach nasercowych znalazła się pewna kapsułka. Reszty mogłem się domyślać. Mój człowiek w Komendzie doskonale wiedział, jak na widok zgonu rzekomego Polkinga zachowa się komisarz Łubud. Że zgłosi się do mnie, udającego nieszkodliwego Frączaka. Cholera. Przy pomocy naszej dzielnej policji naprawdę mogę w krótkim czasie z Polkinga zostać „Eurokingiem”. A potem się zobaczy.









● ??

○ ??

○ ??

○ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

○ ?? A

○ ??

○ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

○ ??

○ ??

# Spis treści

PARTY

\*

???

??Z

??A